

# KIRK DOUGLAS

PODARUNEK

Przekład Joanna Hetman



ORBITA

Tytuł oryginału:

*The Gift*

Redaktor prowadzący: *Taida Załuska-Szopa*

Redaktor: *Barbara Nowak*

Redaktor techniczny: *Andrzej Tyczyński*

Copyright © 1992 by Kirk Douglas and Anne Douglas,

Trustees under the Trust Agreement dated June 9, 1989.

All rights reserved.

© Copyright for the Polish edition by „Orbita”, Warszawa 1993

ISBN 83-7034-117-9

*Mojej żonie, Annie, jak zawsze*

Chciałbym podziękować następującym osobom za niezwykle hojne użyczenie mi swojego czasu w trakcie moich przygotowań do napisania tej powieści: Reedowi i Janowi Finfrockom z Sespe Creek Insectary, Montemu Carpenterowi i Billie Inmanowi z Fillmore Protective District; doktorowi Ernestowi Burgessowi, twórcy protezy zwanej Seattle Foot, pracownikom MND — producentom protez; osobom, które przeszły operacje amputacji: Albertowi Rappoportowi i Jimowi MacLarenowi, którzy z taką otwartością podzielili się swoimi doświadczeniami; Jerry'emu Kammerowi i Sandy Tolan, których sprawozdania badawcze zaprowadziły mnie do Nogales w Meksyku; Luisowi Filipe Duarte Valencia Rodriguesowi z Centro Equestre da Leziria, gdzie po raz pierwszy zostałem oczarowany pięknem portugalskich koni i klasą ich umiejętności; Bartabasowi Zingarze, paryskiemu zaklinaczowi koni; Antonio Soaresowi Francowi, właścicielowi winnic José Maria da Fonseca; oraz Tomowi i Marcie de la Calom, moim przewodnikom po Portugalii. Poza tym winien jestem podziękowania Gaylandowi Hansenowi. Jego obraz zatytułowany „Zawieszanie gwiazd” zainspirował „Tego, który zawiesza gwiazdę”. Dziękuję także następującym autorom, których słowa i spostrzeżenia wzbogaciły moją wiedzę: Elizabeth Arthur, autorce „Pobytu na wyspie”, Tomowi Brownowi, którego opowiadanie nosi tytuł „Naganiacz”, Viktorowi E. Franklowi, psychoterapeucie i autorowi książki „Człowiek w poszukiwaniu sensu” oraz Nuonowi Oliveirze, słynnemu mężowi, którego filozofia ujeżdżania koni została przedstawiona w „Refleksjach o sztuce jeździeckiej”.

*Bóg odpowiada gwałtownie i szybko  
na niektóre modlitwy.*

*I podsuwa rzecz, o którą błagaliśmy,  
ku naszym twarzom,*

*Dłoń, a w niej ukryty podarunek*

ELIZABETH BARRETT BROWNING

# PROLOG

## Lizbona, Portugalia

Szczupła dłoń o długich krwistoczerwonych paznokciach wysunęła się z wąskiej niszy skąpo oświetlonego korytarza i wbiła się w umięśnione udo Miguela Cardigi.

— Isabel! Co ty tu robisz?

Spojrzała spłoszona w głąb korytarza, skąd widać było pierwszych widzów gromadzących się wokół areny, pragnących zdobyć jak najlepsze miejsce na ostatnią w tym sezonie walkę byków. Spojrzała i gwałtownie wciągnęła Miguela do swojej kryjówki.

— Pragnę cię — jęknęła, z trudem łapiąc powietrze, jej gładkie usta szukały jego warg, podczas gdy dłoń zjechała na dół po jego ciele, próbując pieszczotami wywołać erekcję.

— Na miłość boską, opanuj się! Twój mąż kręci się tu gdzieś w pobliżu.

— Nie martw się, Luis jest zbyt zajęty wybieraniem dla ciebie byka. — Dłoń kobiety wczepiła się w rękaw jego koszuli. — Dziś wieczorem?

— Tak — odpowiedział, uwalniając ramię. — Jestem już spóźniony, muszę się natychmiast przygotować.

— Tam gdzie zawsze! — ukradła mu niedyskretny pocałunek na pożegnanie.

Przez chwilę Miguel obserwował jej oddalającą się sylwetkę — była taka ponętna, nawet teraz, gdy z pośpiechem znikwała w głębi korytarza. Niepokoiło go jednak, że poczyniła sobie tak lekkomyślnie. Podejmowała znacznie większe ryzyko niż niejeden pogromca byków. Gdyby jej mąż się dowiedział o ich romansie, zabiłby obydwójce.

Przemykając na skróty do swojej garderoby, aby uniknąć spotkania z rozozoconymi wielbicielami, Miguel wspinał się na rusztowanie łączące wolną przestrzeń nad wybiegami dla byków. Ostrożnie omijał chwiejne, źle umocowane deski.

Pod nim kręciły się i dreptały w miejscu byki stłoczone w ciasnych wybiegach. Niepokojący dźwięk racic szurających o podłogę wzmagał się jeszcze przez groźny odgłos wściekłego pocierania rogów o cementowe ogrodzenie. Czuł powstrzymaną furję, którą wyrażały ruchy zwierząt, ich jedyny cel: zmiażdżyć ograniczające je mury, zabić wszystko, co stało na ich drodze.

Za niepełną godzinę jeden z nich wbiegnie z wściekłością na arenę i cały swój gniew skupi właśnie na nim; w walce, w której zwierzęca brutalność buchają konkuruje ze zręcznością i umiejętnością konia i jeźdźca. Poczynania Miguela będą ściśle zaplanowane zgodnie z najstarszymi zasadami rycerstwa. Tak właśnie portugalscy wieśniacy, przedkładający tradycję ponad wszystko i gardzący hiszpańskim upodobaniem do przelewu krwi, ocenią jego występ. Jeżeli zdarzy mu się, że przez przypadek ugodzi śmiertelnie byka, zostanie ukarany wysoką grzywną.

W rogu, tuż przy wybiegach dla zwierząt, Miguel dostrzegł potężną sylwetkę męża Isabel, jednego z najlepszych w Iberii hodowców byków. To właśnie z bykiem Luisa Velosa miał się zmierzyć Miguel tego popołudnia. Pracownik hodowcy chwycił długi drąg i przy pomocy innych ludzi oddzielił jedną potężną bestię od pozostałych. Byk ryczał gniewnie, dźgany i popędzany w kierunku wąskiej pochylni.

Wszystko było gotowe.

Godzinę później Miguel rzucił ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze. Złoty misterny haft połyskiwał na tle głębokiej czerni atlasowego płaszcza; dopasowany do talii, a rozszerzający się ku dołowi, doskonale pasował do szczupłego, muskularnego ciała mężczyzny.

Zmrużył ciemne brązowe oczy — śniada twarz, wpatrująca się w niego uważnie spod gęstej czupryny czarnych kręconych włosów, wyrażała

hardość człowieka świadomego własnego przeznaczenia.

— Najbardziej podoba ci się to, co widzisz — odezwał się drwiąco jego przyjaciel, Emilio Fonseca, rozkładając się swobodnie na miękkim fotelu. Nogi wyciągnął leniwie przed siebie, w jego palcach zwiślał papieros.

— Tak, w istocie — odparł spokojnie Miguel, odpowiadając na drwinę.

Dochodziło ich dudnienie stada wołów, które za każdym razem eskortowały byka schodzącego z areny po skończonym widowisku. Miguel poczuł, jak jego nerwy się naprężają i stają się stalowe. Teraz jego kolej.

Emilio wstał z fotela.

— Oho, słyszę dreptanie małych stopek.

Miguel roześmiał się. Doceniał wysiłki przyjaciela, który chciał go rozweselić przed wyjściem na arenę.

Otworzył drzwi garderoby i wraz z podążającym za nim Emiliem pomaszzerował wolno w głąb korytarza.

Nic w jego wyglądzie nie zdradzało lęku tłącego się gdzieś w środku, obawy o to, że tym razem może mu się nie udać, że może przynieść niesławę nazwisku Cardiga. Oczywiście jego własny ojciec, nienawidzący walki byków, był przekonany, że syn już zdążył okryć nazwisko niesławą. Czy synowie wielkich ludzi kiedykolwiek są zdolni im dorównać?

W niszy na końcu korytarza chłopiec trzymał jego konia, grzywę ruma ozdabiały atłasowe wstążki dopasowane do płaszcza jeźdźca.

Miguel założył swój trójrożny przystrojony piórem kapelusz i z lekkością wskoczył na misternie tłoczone stare siodło. Dzisiaj dosiadał wierzchowca noszącego imię Talar — „okruch złota”. Koń stawał niespokojnie dęba, za każdym razem uderzając o ceglana podłogę. Dźwięk kopyt zło-wrogo dostosowywał się do bicia serca jeźdźca. Zwierzę było gotowe lada chwila wybuchnąć, wibrujące w nim napięcie pulsowało jak żywa nieposkromiona elektryczność.

— *Fortuna*, przyjacielu — powiedział Emilio, poklepując koński zad.



Miguel skierował konia ku delikatnym promykom światła prześwitującym w szczelinach potężnych drzwi prowadzących na arenę. Z tego miejsca mógł już usłyszeć niespokojne pomruki oczekiwania dochodzące z drugiej strony. Echo jego sukcesów na prowincji dotarło także do Lizbony: traktowano go jak wschodzącą gwiazdę. Był już przygotowany na włączenie do grona tych najlepszych. Dobrze o tym wiedział. Dzisiaj ostatecznie wyrobi sobie tę markę, na którą tyle pracował i w pełni zasługiwał. Dzisiaj stanie się bardziej znany niż Paulo Cardiga — i to jako pogromca byków, a nie mistrz jeździectwa. Miał dwadzieścia pięć lat i nie mógł się zgodzić na spędzenie reszty życia w cieniu własnego ojca.

Rozległ się dźwięk trąb i odrzwia zaczęły się wolno rozsuwać. Nagle cały strach go opuścił. Teraz instynkt zaczynał brać górę.

Nakazał zwierzęciu wdzięczny pasaż — stawanie dęba w zwolnionym tempie; koń po każdym kroku wspinał się przez kilka sekund na tylnych nogach, utrzymując chwiejnie równowagę, po czym znów opadał niczym balerina powtarzająca wciąż ten sam układ. Skrócony *haute école*\*. [\**Haute école* (franc.) — seria skomplikowanych kroków, podskoków itp. wykonywanych przez konie cyrkowe.] To był właśnie styl Miguela: zaprezentować się już na wejściu jak najbardziej skomplikowanym układem ruchów. Widzowie zaczęli podnosić się z miejsc, jakieś dziewięć tysięcy głosów wykrzykiwało z zachwytem: „Miguelinho! Miguelinho”. Najwyraźniej arena wypełniona była dziś po brzegi, i to nie tyle dla samej walki z bykiem, ile dla jeździeckiego mistrzostwa pogromcy. Jako syn największego jeźdźca wszystkich czasów spodziewał się porównań między nim a ojcem. Wiedział, że nie sprawi zawodu.

Zwierzę i jeździec stopili się w jedno podczas tego tańca w rytm muzyki. Koń delikatnie przekrzywił nogi w pęcinach, płynnymi ruchami poruszając się po przekątnych areny. Brawa zerwały się ponownie na wszystkich jej kondygnacjach, gdy tylko Talar wykonał krótki galop w tył — ruch, który uczynił sławnym ojca Miguela.

Jedyną reakcją Miguela na tę powtórnią owację był lekki ukłon w stronę łoży VIP znajdującej się pod jednym z czterech minaretów, zarysowanych wyraźnie na tle błękitu. Z tej właśnie łoży każdy jego ruch śledziły głodne oczy Isabel. Jej mąż natomiast przyglądał się z grymasem znudzenia.

— Wygląda, jakby uczył się tego na balach — przez zaciśnięte zęby mruknął do swojego asystenta.

Trąby umilkły i cisza zaległa na arenie.

Miguel i Talar zamarli bez ruchu jak jeden posąg, czekając na otwarcie wybiegu dla byka.

Przez chwilę widoczny był tylko tunel prowadzący w ciemność. Nagle jednak rozległ się wściekły ryk i buchaj wybiegł na arenę. Za jego tylnymi nogami podniósł się tuman kurzu, gdy zatrzymywał się, ślizgając po piasku. Wielki czarny łeb, z rogami owiniętymi w skórę, by przynajmniej częściowo chronić konia, poruszał się gwałtownie z jednej strony na drugą, próbując ocenić sytuację. W końcu oczy bestii spoczęły na Miguelu.

W tym samym momencie koń i jeździec otrząsnęli się z bezruchu. Powoli, jak gdyby od niechcenia i z lekkim lekceważeniem zbliżali się do byka.

— *Ehe! Ehe!* — krzyknął Miguel, naigrywając się z byka i wymachując przy tym niedużą flagą zakończoną stalowym ostrzem. Przyrząd ten, zwany *farpa*, służył podrażnianiu byka kluciem w ściśle określone miejsce zadu i, według bardzo surowych zasad, paraliżowaniu zakończeń nerwów szyjnych.

Zwierzę zaatakowało — ważąca pół tony furia zaczęła toczyć się w poprzek areny. Miguel zmusił konia do kilku kroków naprzód, pozwalając buhajowi na swobodne natarcie. Nagle jednak, gdy wydawało się już, że rogi lada sekunda dotkną ofiary, jeździec bezbłędnym, pewnym ruchem dźgnął *farpa*, nakazując jednocześnie koniowi zejście z niebezpiecznego szlaku.

Tłum zawrzał. To było uniknięcie nieszczęścia o maleńki włos, a przecież wszyscy uwielbiali ekscytujące rozpoczęcie walki, jak to się stało tym razem. Zazwyczaj wyzwolenie całej agresji byka zabierało trochę

czasu. Ten jednak był już gotów.

Koń i jeździec wydali się zupełnie spokojni, gdy obrócili się swobodnie we wdzięcznym piruecie, gotowi spotkać się i poflirtować z bykiem w kolejnej potyczce. Tym razem buchaj zaatakował, nacierając na swych przeciwników bezpośrednio potężnym łbem. Miguel odciągnął konia nieco ku prawej stronie i wycelował stalowe ostrze, byk jednak, nie zniechęcony, przesunął się w tym samym kierunku. I właśnie w tej chwili Miguel tak gwałtownie ściągnął konia, przesuwając się w lewo, że z ledwością udało mu się utrzymać równowagę.

Na szczęście siła rozpędu odrzuciła byka trochę dalej. Gdy jednak zwierzę zatrzymało się, ślizgając w tumanie kurzu, Miguel poczuł nagle ucisk strachu gdzieś głęboko w trzewiach. Ta bestia miała swoją własną strategię. Zdążyła już się nauczyć tego jak unieszkodliwić konia i jeźdźca. Wszystko wyglądało tak, jak gdyby już wcześniej rozgrywała tę partię.

Sędzia prowadzący walki byków dał sygnał i dwóch ludzi ruszyło, aby odprowadzić byka z powrotem, używając peleryn. Miguel jednak dał znak, żeby zawrócili.

Jego spocone dłonie ścisnęły mocno cugle, gdy nakazywał swojemu wierzchowcowi ostry galop, przygotowując się do następnej potyczki.

Byk, przez chwilę zdezorientowany, przygarbił się z wściekłością, utkwil oczy w przeciwniku, kopytami pocierał powierzchnię. Schylił łeb, nadstawiając rogi. Nagle zaatakował, rozniecając na boki tumany kurzu, pędząc na oślep do przodu.

Miguel spróbował skrócić w prawo, powtarzając poprzedni manewr. Było już za późno. Byk, przewidując ruch przeciwnika, okazał się szybszy. Twarde rogi dosięgły swych ofiar, w jednej sekundzie podnosząc konia i jeźdźca w górę, zanim wszyscy runęli na ziemię.

Tłum z krzykiem poderwał się na równe nogi.

Miguel wciąż jeszcze leżał, cieknąca z jego pogruchotanej lewej nogi krew wsiąkała w żółty piasek. Lecz nie czuł bólu. Oczami wyobraźni zobaczył Talara, który niczym Pegaz rozpościera skrzydła i wzlatuje

ponad arenę, ratując siebie i jeźdźca. Krzyk tłumu stawał się coraz słabszy, a oni szybowali coraz wyżej i wyżej ku błękitowi, mijając strzeliste minarety.

## Lozanna, Szwajcaria

Patrycja Dennison po raz dziesiąty wygładziła jasnobłękitną narzutę, po czym wreszcie usiadła na tak schludnie zasłanym łóżku. Obok niej stało wiele walizek.

Czuła się niczym małe dziecko, po ostatnim dniu letniego obozu, czekające na tatusia, który miał się lada chwila zjawić i zabrać ją do domu. Miała już jednak dziewiętnaście lat, była dorosła. Nie wypadalo, aby czuła się taka słaba i opuszczona. No cóż, przynajmniej zmienił się jej stosunek do tego miejsca — kiedy zjawila się tu po raz pierwszy, zaraz po samobójstwie matki, myślała o sanatorium jak o więzieniu, teraz traktowała je jak swoistego rodzaju letni obóz.

Oczekiwanie wydawało się męczarnią, lecz sama była wszystkiemu winna — po co się już spakowała, nie wiedząc nawet dokładnie, kiedy jej ojciec zamierzał przybyć? Teraz zaś nie pozostawało jej nic innego poza czekaniem. Może powinna rozpakować swoje książki i zacząć czytać — to mogłoby nieco zabić czas. Zamiast tego jednak podniosła się, żeby znowu spojrzeć przez okno.

W całej swojej niepewności jutra zdążyła już dojść do jednej niezaprzeczalnej prawdy: — tatuś bardzo ją kochał i pragnął być z nią tak długo, jak długo tego sobie życzyła. Wspólnie znowu stworzą wspaniały, ciepły dom, taki jaki pamiętała z dzieciństwa, kiedy tatuś i mamusia byli jeszcze razem. Wszystko się skończyło, gdy mama zabrała ją do Nowego Jorku i zamieszkały razem z dziadkiem w Stoneham. J.L. — nigdy nie pozwalał, żeby nazywała go dziadkiem — zawsze tak bardzo się złościł, gdy tylko wspomniała, że chce odwiedzić ojca w Kalifornii. Po pewnym czasie w ogóle przestała o to pytać. Nie wynikało z tego nic dobrego.

Teraz jednak mogliby wspólnie nadrobić stracony czas.

Wpatrywała się jak w transie w krajobraz za oknem, ze wszystkich sił próbując dostrzec jakąś postać rysującą się na tle alei. Nie było tam jednak nikogo. Park był zupełnie wyludniony, nikomu nie chciało się wychodzić nawet na przechadzkę. Tylko delikatne gałęzie wierzb poruszały się nieustannie na wietrze, a taniec ich wiotkich ramion odbijała w najdrobniejszych szczegółach woda stawu.

Drobnymi palcami odszukała skoble okienne, przymocowane do wnętrza framugi. Była to w każdym razie jakaś tam ochrona przed samobójstwami. Szyby miały specyficzny żółtawy odcień, pokryte warstwą ochronną przed uszkodzeniami, i bardzo słusznie. Kiedy przyjechała tu po raz pierwszy, miała ochotę rzucić się całym ciałem na tę szybę, zostawiając na niej kontury swojej sylwetki. Chciała zrobić cokolwiek, żeby wreszcie skończyła się ta męka, ta uporczywa bolesna rozpacz.

Pamiętała dokładnie dzień, w którym doktor Solomon orzekł, że postępy terapii są wystarczające, aby pozwolić jej na zatrzymanie lustra. Sam przyniósł je do pokoju i osobiście zawiesił na ścianie. Spojrzała na swoje odbicie, ale twarz, którą ujrzała, nie mogła przecież należeć do niej. Była to jakaś trupio blada twarz, otoczona krótkimi jasnymi włosami i wyglądająca na tak kruchą, jak gdyby była zrobiona z porcelany. Mętne, niewidzące szare oczy wyrażały spojrzenie ściganego zwierzęcia. To była twarz jej matki.

— Uśmiechnij się — odezwał się doktor Solomon.

Popatrzyła na bardzo różowe wargi, które mimo woli zaczęły drżeć, w końcu jednak podniosła do góry kąciki ust, ukazując rząd białych zębów.

— Więc masz jednak lekką wadę zgryzu, hm? — dokuczał dobrodusznie doktor.

Roześmiała się i nagle spostrzegła, że ta szczęśliwa twarz po drugiej stronie lustra rzeczywiście do niej należy.

Biedna mamusia — tak długo była smutna i samotna. Dopiero po śmierci wydawała się spokojna. Patrycja pamiętała dokładnie, jak stała nad trumną, nafaszerowana środkami uspokajającymi, przyglądając się

leżącej w niej matce. Była taka piękna i spokojna, otoczona swoimi ulubionymi białymi różami. I nagle ten słodki zapach zakłóciła ostra woń męskiej wody kolońskiej — przytłaczająca, ciężka, odpychająca. Dziadek objął ją ramieniem i jego zapach omal nie przyprawił jej o mdłości.

Następnym wspomnieniem było przebudzenie w tym właśnie pokoju, w jednym z lizbońskich sanatoriów. Nad sobą miała duże współczujące oczy powiększone nienaturalnie za grubymi szklami okularów. Po chwili rozróżniła jeszcze gąszcz rozczochranych jasnorudych włosów i rzadki zarost tego samego koloru.

— Jestem doktor Solomon — powiedział łagodny głos. — Nie bój się... Jesteś tu bezpieczna.

W ciągu następnych sześciu miesięcy Patrycja nauczyła się rozpoznawać ten głos pełen ciepła i mądrości. Nie zamęczał jej pytaniami o dzieciństwo i sny. Zamiast tego doktor przynosił inspirujące książki o bohaterskich ludziach, którzy odnaleźli sens i głębokie znaczenie swojego istnienia. I zawsze rozmawiali o tym, co przeczytała.

Postanowiła, że teraz też zacznie coś czytać — książki sprawiały, że od razu czuła się lepiej. I poza tym był to dobry sposób na zabicie czasu. Rozsunęła suwak walizki i znalazła malutką książeczkę, której właśnie szukała, wciśniętą obok butów jeździeckich: „Mistyczna natura konia” Paula Cardigi.

Jutro spotka się z tym słynnym portugalskim mistrzem jazdy konnej. Uwielbiała konie i jeździectwo, dlatego właśnie ojciec zamierzał zabrać ją na wakacje do Portugalii, gdzie będzie brała lekcje w jeździeckiej szkole Cardigi. Prawdę mówiąc, chciał, aby przyjechała do Portugalii już w zeszłym roku, gdy kręcił film w Lizbonie i Troi, J.L. jednak zaoponował.

Nie jest jeszcze za późno, zapewniał tata, kiedy zadzwonił do niej wczoraj z Włoch. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział przed odłożeniem słuchawki, wciąż jeszcze dźwięczały jej w uszach:

— „Patrycjjo, nigdy nie jest za późno. Dopiero co sam się o tym przekonałem. Jest tyle spraw, o których musimy porozmawiać. Muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego”.

Było w jego głosie jakieś drżenie, kiedy wypowiadał ostatnie zdanie. Co mógł mieć na myśli, mówiąc je?

Westchnęła. Wkrótce przecież wszystkiego się dowie.

Minęły już więcej niż dwadzieścia cztery godziny, odkąd ojciec zatelefonował z Triestu mówiąc, że jest właśnie w drodze do Zurychu. Połączenia lotnicze nie były zbyt częste, a poza tym we Włoszech ciągle zdarzały się jakieś opóźnienia. Doskonale o tym wiedziała, ale żeby to trwało aż tak długo? Czy nie powinien już tu być?

Wstała ponownie i wyjrzała przez okno. I nagle dostrzegła go. Szedł wzdłuż alei obok rozczochanego doktora Solomona.

Gdy się zbliżył, Patrycja poczuła, jak krzyk zbiera się w jej piersiach, przesuając do gardła, nie mogła jednak otworzyć ust i wyrzucić go z siebie. Dawne uczucie niepohamowanej paniki, uczucie które doktor Solomon tak skutecznie nauczył ją powstrzymywać, pojawiło się znowu, zawiądnęło nią. To nie ojciec zbliżał się aleją — lecz J. L.

Zepsuł już zbyt wiele jej wakacji. Ale nie uda mu się to tym razem. Tatus na to nie pozwoli. Obiecał.

J.L., wysoki i sztywny, ze stalowosiwymi włosami i świdrującym wyrazem niebieskich oczu — granitowy posąg, jak nazywała go mama — wszedł bez pukania do jej pokoju. Za nim stał najwyraźniej wstrząśnięty doktor Solomon.

— Patrycjjo... zabieram cię z sobą — zakomenderował J.L., zbliżając się do wnuczki. Zapach jego wody kolońskiej był wciąż tak samo przytłaczający.

Cofnęła się i usiadła z powrotem na łóżku, ściskając w dłoni rączkę walizki.

— Panie Stoneham — odezwał się doktor Solomon — to nie jest sposób na załagodzenie kryzysu. Teraz bardziej niż kiedykolwiek Patrycja potrzebuje tutejszej opieki, aby...

— Nie wątpię, że jest pan o tym przekonany — przerwał J.L. — Sądząc po wysokości pańskiego honorarium, zapewne chciałby pan zatrzymać ją tu na zawsze.

Zapach jego wody kolońskiej doprowadzał Patrycję do szaleństwa. Wzięła głęboki oddech i zacisnęła zęby.

— Nigdzie z tobą nie pojedę — jej głos drżał, gdy wypowiadała te słowa — czekam na tatusia.

— Twój ojciec nie przyjedzie — odpowiedział ostro J. L.

— Panie Stoneham... proszę... — Spokojny głos doktora był teraz pełen oburzenia,

Patrycja nie mogła powstrzymać swojego ciała od drżenia, gdy spojrzała prosto w stalowe oczy J. L.

— Nie wierzę ci. Już nigdy nie uda ci się nas rozdzielić. J. L. pochylił się nad nią.

— Posłuchaj mnie przez chwilę...

Jego twarz przysuwała się coraz bliżej. Patrycja czuła się zamroczonej potwornym, znajomym zapachem. Odwróciła głowę i odepchnęła go dwoma rękami.

— Zostaw mnie w spokoju.

— Więc sprzeciwiasz mi się. Pamiętaj, że to ja płacę rachunki.

— Nie chcę tych twoich brudnych pieniędzy... — Jej drżący dotychczas głos stawał się teraz coraz bardziej stanowczy i pewny. — Nienawidzę ich. I nienawidzę ciebie!

Uderzył ją w twarz.

Patrzyła na niego z przerażeniem, podczas gdy doktor Solomon chwycił go za ramię.

— Panie Stoneham... Nalegam, niech mi pan pozwoli dokończyć tę sprawę. Popewnia pan zasadnicze błędy.

— Nie! — odciął się ostro Stoneham. — Ona musi się o tym dowiedzieć, i to musi się dowiedzieć właśnie ode mnie. — To powiedziawszy, zniżył głos: — Patrycjo... twój ojciec nie żyje.

Poderwała się z łóżka, rozglądając się wokół dzikimi oczami.

— To nieprawda! — zaczęła krzyczeć. — Kłamiesz! Wynos się stąd!

Stoneham stał wciąż w tym samym miejscu, obserwując wnuczkę zimnym wzrokiem.

— Proszę coś zrobić, doktorze, niech pan coś powie dziewczynie.



Doktor Solomon usiadł na łóżku i spróbował posadzić ją obok siebie. Ona jednak wciąż stała, nie mogąc wydać z siebie głosu.

— Posłuchaj mnie, Patrycjo — odezwał się łagodnie doktor. — To prawda...

Oczy Patrycji rozszerzały się w panicznym przerażeniu.

— Tatus... Nie żyje? — wyszeptała.

Nagle znów zwróciła się do J. L. i powiedziała głuchym głosem, który zdawał się dochodzić z najgłębszych zakamarków jej ciała:

— Więc teraz wszyscy już umarli... Dlaczego ty jeszcze ciągle żyjesz?

Nie wiedziała, co się stało później. Nagle znalazła się gdzieś bardzo daleko, zbyt daleko, aby móc cokolwiek usłyszeć. Doktor Solomon, J. L. i wszystkie przedmioty zgromadzone w jej pokoju zaczęły maleć i tracić barwę — zupełnie jak zamazane zdjęcia w gazetach. W pewnej chwili wszystko stało się szare i nogi ugięły się pod Patrycją. Czuli, że wpada w wielką czarną otchłań — mała, skrzywdzona laleczka obracana i rzuca na wszystkie strony w przerażającej ciemności.

Kiedy się ocknęła, była zupełnie sama. Leżała na łóżku, przykryta bładoniebieską narzutką. Walizki zostały zabrane, a lustro zniknęło ze ściany.

Znacznie później dowiedziała się, że właśnie tego dnia J. L. odlatywał do Nowego Jorku. Na pokładzie swojego prywatnego odrzutowca dostał drugiego ataku serca, który — tym razem skończył się fatalnie.

Patrycja była jedyną spadkobierczynią J. L. Zostawił jej wszystkie swoje miliardy, jak gdyby chciał...

DWA LATA PÓŹNIEJ

# ROZDZIAŁ 1

## Nowy Jork

Szczupłe długie palce Patrycji Dennison nerwowo skubały brzegi wiytówiek. Do tej pory ustawiła je dopiero na dwóch z dziesięciu stołów. Teraz czekała ją praca nad głównym stołem na dwadzieścia osób.

Spojrzała na zegarek — musi się pośpieszyć, bo inaczej spóźni się na spotkanie ze swoją radą zarządzającą. Szybko ruszyła wzdłuż stołu, i po chwili znalazła się przy miejscu honorowym. „Doktor Thomas Keegan”, honorowy gość zasiądzie właśnie tutaj, pod portretem jej dziadka. Spojrzała na stalowe oczy J. L. i lekko zadrżała.

Miał ten sam twardy wzrok, gdy widziała go żywego po raz ostatni — kiedy przyjechał, żeby zabrać ją z sanatorium w Lozannie. I teraz patrzył na nią z tego oto portretu, przypominając ból, jaki jej sprawiał.

J. L. Stoneham, którego jedynym celem w życiu było gromadzenie pieniędzy, nigdy nie zaakceptował Toma, młodego chirurga żyjącego w wielkim ubóstwie w targanym wojną Libanie, troszczącego się o ludzi zapomnianych przez cały świat. Ale po śmierci J. L. Patrycja zrobiła przecież tyle rzeczy, na które jej dziadek nigdy by się nie zgodził. Przede wszystkim jego testament stanowił, że spadkobierczyni ma mieszkać w posiadłości przy Park Avenue. J. L. nawet po śmierci próbował planować jej życie. Znalazł się jednak sposób, dzięki któremu mogła przekształcić dom w prawdziwe muzeum, gdzie każdy, kto chciał poświęcić godzinę swojego życia, mógł przyjść i podziwiać bezcenne dzieła sztuki eksponowane na ścianach wspaniałej posiadłości miliardera.

Dzisiaj wielka jadalnia wykorzystywana podczas ważnych spotkań towarzyskich i dyplomatycznych została zamknięta dla publiczności. Liczna obsługa pracowała gorączkowo w kuchni, przygotowując wydawany przez Patrycję wspaniały obiad w intencji powiększenia dochodów fundacji. Patrycja nigdy jeszcze tego nie robiła i z niecierpliwością oczekiwała, że wszystko się uda i osiągnie sukces — dla Toma.

Młody doktor zawładnął jej sercem sześć miesięcy temu, wówczas gdy przeczytała o nim artykuł w „Newsweeku”. Choć rzadko opuszczała swoją farmę w północnej części stanu Nowy Jork, zdecydowała się przyjechać na jeden z wykładów doktora. Wysoki, o jasnych włosach i chłopięcej delikatności przypominał jej uwspółcześionego Alberta Schweitzera, którego inspirujące książki czytała w sanatorium. Tom przemawiał z niemalże gorączkowym zaangażowaniem, od czasu do czasu spoglądając na Patrycję:

— U podstaw każdego najdrobniejszego nawet gestu skierowanego ku dobru innych istot ludzkich leży mądrość i pokój. Jeżeli nie troszczysz się o innych, masz przed sobą tylko życie pełne konfliktów, walki i zła. Gdy jednak zaczniesz zabiegać o dobro bliźnich, wtedy odnajdujesz drogę ku wewnętrznej harmonii i twoje życie staje się zwycięstwem nad wszystkimi sprzecznościami i złem, z którymi do tej pory nie mogłeś sobie dać rady.

Słowa te zrobiły na niej ogromne wrażenie i poruszyły jej sumienie. I tego właśnie dnia stała się sprzymierzeńcem Toma, oddającym wszystkim pieniądze, jakie udało jej się wyblagać od rady zarządzającej, na jego szpital w Bejrucie. W zamian za to doktor stał się źródłem jej siły, ukazał, że niekoniecznie musi być zawsze przykuta do klątwy ciężającej nad pieniędzmi dziadka.

Żyjąc samotnie na farmie i pozostawiając radzie zarząd nad imperium Stonehama, Patrycja zupełnie oddaliła się od ludzi. Teraz, z pomocą Toma, mogła oddać biednym i pokrzywdzonym przez los istotom większość pieniędzy, którymi obsypał ją dziadek.

Nagle aż podskoczyła na dźwięk głośnego kaszlu. Była tak zaabsorbowana własnymi myślami, że nie usłyszała wejścia swojego zarządcy.

— O co chodzi Francis?

— Już powiedziałem, panno Dennison, czy to się pani podoba? — Podniósł w górę dwa kryształowe dzbanki z ułożonymi w nich pękami białych róż.

— O tak! przepięknie to zrobiłeś.

Francis aż się rozpromienił.

— Te róże są rzeczywiście cudowne. Jeszcze nigdy nie widziałem tak wspaniałych białych okazów z lekkim odcieniem różowości w samym środku.

— Nazywają się „Ulotna rozkosz”. Rosną u mnie na farmie.

— Naprawdę, panno Dennison? Ależ to wspaniałe!

Francis wrócił do kuchni, ona zaś dokończyła ustawiać wizytówki, umieszczając swoją dokładnie naprzeciwko Toma, w drugim końcu stołu. Za jej miejscem wisiał duży portret matki. Woląa mieć go tym razem za sobą. Bolało ją każde spojrzenie na portret, a tego szczęśliwego dnia postanowiła nie myśleć o przeszłości.

Matka nigdy nie chciała pozować do tego portretu, ale J. L. tak uparcie nalegał i zawsze osiągał to, czego pragnął. Artysta wykonał swoją pracę w sposób absolutnie doskonały, prawie niewiarygodny jeśli chodzi o uchwycenie podobieństw obydwu postaci. Namalował J. L. tak, jak gdyby był on pozbawionym wyrazu kamiennym posągami, z wyjątkiem oczu, które zdawały się przewiercać Patrycję na wylot swoim stalowym blaskiem. Natomiast portret jej matki zdawał się kipieć życiem. Za każdym razem gdy patrzyła na obraz, miała wrażenie, że ręce matki drżą przy obskubywaniu płatków samotnej, białej róży. Patrycja przystawała przed tym portretem tysiące razy, studiując tę niewymownie piękną twarz, łagodny, splaszczony wyraz szarych oczu, pełnych niemożliwego do pokonania smutku, który w końcu kazał matce targnąć się na własne życie.

Patrycja również czuła się kiedyś całkowicie bezradna — zupełnie jak mały kawałek drewna rzucony raz tu, raz tam przez wściekle morze. Przepląkała wiele nocy, nie mogąc zasnąć z rozpacz. Ale to już minęło.

Teraz zagłębiła się w cudownym marzeniu, że pewnego dnia Tom znajdzie się u jej boku, będzie leżeć tuż przy niej, trzymając ją w ramionach i sprawiając, że poczuje się spokojna, bezpieczna, kochana.

Czy jej matka, już po rozwodzie, straciła chęć do życia, gdyż nie było nikogo, kto mógłby ją kochać?

Ludzie często mówili Patrycji, że wygląda zupełnie jak matka, dziewczyna również była o tym przekonana. Miały te same szczupłe dłonie, te same jasne włosy, Patrycji jednak były ścięte na krótko i kręciły się zupełnie jak włosy ojca — z tym że jego były kruczoczarne, lekko siwiejące na skroniach. Dlaczego musiała stracić ich oboje? Dlaczego jedna śmierć następowała po drugiej w tak krótkich odstępach czasu?

Wszystko co wiedziała o zamordowaniu ojca, pochodziło ze szczególnego artykułu w gazecie. Danny Dennison był w drodze z Triestu do Zurychu, gdy samolot włoskich linii lotniczych Alitalia, którym leciał, został porwany przez terrorystów palestyńskich. Oddzielili Żydów od pozostałych pasażerów. Zastrzelili trzy osoby spośród wybranych, zanim pilot i załoga zdołali ich obezwładnić. Jej ojciec był jednym z zabitych — błędnie wzięty za Żyda.

Och, tatusiu, tatusiu, jak bardzo za tobą tęsknię, myślała, a jej oczy mimowolnie napelniały się łzami. Już nigdy się nie dowiem, co takiego chciałeś mi powiedzieć tamtego dnia.

Zrobiła wszystko, aby poznać prawdę. Odszukała jedną ze stewardes, która leciała na pokładzie samolotu razem z jej ojcem.

Nazwisko tej kobiety wymieniono w gazecie.

— To był straszliwy błąd — opowiadała stewardesa — po prostu straszliwy. Ten wstrętny człowiek o spoconej twarzy cały czas wrzeszczał: „wszyscy Żydzi wystąp!”. Zmusił mnie, abym zebrała paszporty. Pani ojciec podał mi swój i zaczął Przechodzić do przodu wraz z innymi. Powiedziałam: „Pan nie, panie Dennison, oni chcą tylko Żydów”... Ale wcale mnie nie słuchał.

Patrycja czekała cierpliwie, aż stewardesa pociągnie łyk kawy, jak gdyby starała się zmyć gorzki posmak swych wspomnień.

— Potem zaczęli strzelać... Załodze udało się wyrwać i walczyć z terrorystami... Nie mam pojęcia, jak to się stało, że przeżyliśmy.

Patrycja nie mogła przestać o tym myśleć.

— Więc to się zdarzyło podczas lotu, gdy ja czekałam na niego w Lozannie.

Stewardesa westchnęła.

— Chciałabym móc opowiedzieć pani coś więcej... Rozumiem, jak musi się pani czuć po tym wszystkim.

— No cóż, tak to już jest, że... — głos Patrycji niemalże załamał się — zadzwonił do mnie i powiedział, że jest coś bardzo ważnego, coś co ma mi do zakomunikowania... Ale nigdy się nie dowiedziałam, co to było... i to mnie wciąż prześladowuje...

Stewardesa wydała się przez moment zupełnie pogrążona we własnych myślach.

— Mogłaby pani skontaktować się z biurem Alitalia w Trieście — odezwała się w końcu. — Zazwyczaj ważnym pasażerom zapewniają eskortę aż do wejścia na pokład. Osobą odpowiedzialną za służby specjalne jest Sophia. Może jej o czymś powiedział, może ona wie więcej.

Sophia jednak niczego nowego nie wiedziała. Kiedy Patrycja ją odnalazła, Sophia była dla dziewczyny bardzo miła. Tak, pamiętała Danny'ego Dennisona bardzo dobrze.

— Ależ to był przystojny mężczyzna, wyglądał po prostu doskonale. Sprawiał wrażenie raczej gwiazdora filmowego niż reżysera. Był przynębiony, ponieważ samolot się spóźnił.

— Rozmawiała z nim pani?

— Tak, ale niewiele. Był zbyt zajęty pisaniem jakiegoś listu miłosnego.

— Listu miłosnego?

Sophia roześmiała się.

— Tak właśnie sam to nazwał. Poprosił mnie, abym wysłała ten list do Londynu.

— Do kogo?

— Do jakiejś kobiety... takie dziwne imię... może rosyjskie... Sasza?... Nie, nie, zaczynało się na L. Lora? Nie. Ach tak, już sobie przypominam. Luba!

— Luba? A jakie było nazwisko?

— Nie wiem. Zapamiętałam to imię, bo wydawało mi się takie niespotykane.

I w tym miejscu trop się urwał. Po jakimś czasie Patrycja pogodziła się z myślą, że już nigdy się nie dowie, co tak ważnego chciał jej powiedzieć ojciec.

Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i otarła oczy. Nie pora na rozklejanie się w chwili, gdy tyle rzeczy było jeszcze do zrobienia. Spotkanie z radą zarządzającą... Boże, była już spóźniona.

Wbiegła pędem do biblioteki na górze i stanęła twarzą w twarz ze znanym sobie trio. Jego zajęciem było zarządzanie olbrzymim majątkiem dziadka, dopóki prawowita spadkobierczyni nie osiągnie dwudziestu pięciu lat lub nie wyjdzie za mąż. Oczywiście kandydat na męża musiał sprostać określonym wymaganiom. Nawet z za grobu J. L. chciał unieszkodliwić wszelkich łowców posagów.

Wszystkie zastrzeżenia, jakie zawierał testament Stonehama, mogłyby uczynić z życia Patrycji prawdziwy koszmar, ale dzięki Bogu istniał jeszcze Horace Coleman — lub też, jak go nazywała Patrycja, wujek Horace — który głównie zajmował się jej interesami. Przez szereg lat Coleman był głównym doradcą J.L. do spraw inwestycji, teraz zaś wziął na swoje barki całą odpowiedzialność za interesy Patrycji i — z wyjątkiem tych comiesięcznych spotkań, na których była potrzebna do podpisania pewnych dokumentów — zajmował się absolutnie wszystkim, pozwalając dziewczynie żyć swoim własnym ekscentrycznym życiem.

Zazwyczaj opiekunowie woleli urządzać spotkania w pokoju konferencyjnym w siedzibie Stonehama przy Wall Street, gdzie czuli się bardziej u siebie, tym razem jednak zrobili wyjątek. To spotkanie było dla



Patrycji szczególnie ważne: potrzebowała zgody opiekunów na znaczny udział w przedsięwzięciu Toma Keegana, jakim miał być jego wymarzony szpital, i nie bez przyczyny przeczuwała, że kwota, o którą poprosi, może się wydać Colemanowi co najmniej lekko podejrzana. Bardzo starannie ubrała się na to spotkanie — granatowy kostium z białymi guzikami i takim samym kołnierzykiem — elegancko i skromnie. Nie mogła przecież pokazać się jak małe, słabiutkie dziecko błagające opiekunów o zaspokojenie jej zachcianek. Musi wzbudzać szacunek, przedstawić swoją prośbę w jak najbardziej przekonywający sposób. Gdy jednak zobaczyła całą trójkę, siedzącą wokół małego stolika w stylu Królowej Anny, poczuła się onieśmielona niczym oskarżony postawiony przed trybunałem.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała słabym głosem pomimo postanowienia, że będzie silna i śmiała.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział Horace Coleman, usadawiając się wygodniej na delikatnym starym krześle. Zaskrzybiało pod ciężarem jego potężnych kształtów i Patrycja rzuciła szybkie spojrzenie na kruche nogi cennego mebla. Była pewna, że lada chwila mogą nie wytrzymać tego ciężaru. W głównym biurze Stonehama jego tron był przynajmniej trzy razy większy.

— Wyglądasz ślicznie, kochanie — odezwała się Margaret Sperber, smukła brytyjska pani adwokat. Była bezdzietną wdową po jednym z pierwszych wspólników Stonehama, sama zaś przez długi czas zajmowała stanowisko asystenta J.L. załatwiając sprawy inwestycji międzynarodowych. Jak gdyby chciała zatrzeć cechy swojej płci, zawsze miała krótko i po męsku obcięte siwe włosy, ubierała się w surowe szare kostiumy z flaneli, bez żadnego kolorowego akcentu. Dzisiaj także ubrana była w szarą bluzkę z wysokim kołnierzem. Patrząc na nią, Patrycja przypomniała sobie opowieść o żonie Lota zamienionej w słup soli za spojrzenie rzucone na Sodomę i Gomorę. Czy pani Sperber również udało się kiedyś poznać jakąś zbiorową tajemnicę?

Pani Sperber zazwyczaj brała stronę Patrycji podczas dyskusji o filantropijnych dotacjach. Niekiedy nawet wprowadzała w rozdrażnienie Horace'a Colemana, który nie znoślił, gdy sprzeciwiano mu się w czymkolwiek.

Robert Ash, drobny energiczny mężczyzna w krzykliwej sportowej marynarce w szkocką kratkę, podniósł się, żeby podać dziewczynie krzesło. Patrycja zastanawiała się, czy Ash wiedział, że za jego plecami pracownicy Stonehama żartują sobie z niego.

Ash był najwyraźniej zadowolony, że to Coleman zdecydował się poprowadzić całe przedstawienie; osobiście bowiem interesował się w życiu tylko jedną sprawą: jak ulepszać swój sposób gry w golfa? Patrycja podejrzewała, że Ash znalazł się w radzie tylko dlatego, że zawsze pozwalał J.L. wygrać w golfa.

Patrycja wzięła głęboki oddech. Dziesięciocentymetrowy stos papierzysek oczekiwał na jej podpis. Szybko zaczęła podpisywać dokumenty jeden po drugim, nie trudząc się nawet, by przeczytać nagłówki. Były tam papiery dotyczące łączenia kapitałów, umowy nabycia, akty udzielające pełnomocnictw. Nie chciała mieć z nimi nic wspólnego — wszystkie te sprawy były tak odległe od życia, jakie prowadziła na farmie. Testament J.L. zabraniał jej jednakże całkowitego zrzeczenia się swoich obowiązków na rzecz jakiegokolwiek pracownika. Co takiego miał ten szatańsko skonstruowany testament osiągnąć: zamienić ją w potentata giełdowego, spędzającego czas wyłącznie z pieniędzmi i goniącego za rozmnażaniem fortuny? Uczynić z niej żeńską odmianę samego J. L.?

Skończyła i podniosła wzrok.

— Czy przeczytali państwo moją propozycję dotyczącą przeniesienia pewnych funduszy na rzecz Fundacji Keegana?

— Tak — odpowiedział Coleman — i muszę przyznać, moja droga, że przyjąłem to z pewnego rodzaju niedowierzaniem. — Dostrzegła dziwne niezadowolenie, w drzeniu jego podwójnego podbródka, większe niż mogła się spodziewać, niespotykane, zważywszy na pogodną naturę tego

człowieka. Wszystko wskazywało na to, że dzisiejszego dnia Coleman występuje w imieniu całej trójki. — Proszę, przyznaj sama, kochanie, że to nie było na serio.

Patrycja poczuła, jak żołądek zaczyna jej się podnosić do gardła. Wcale nie chciała zaczynać z nimi walki, ale nie widziała innego sposobu uzyskania pieniędzy, które obiecała Tomowi.

— To wszystko jest na serio, wujku Horace — mówiła z nadzieją, że siła głosu będzie wystarczającym świadectwem jej zdecydowania. — Nie mogłabym wymyślić lepszego hołdu dla uczczenia pamięci dziadka niż właśnie ten szpital dla dzieci.

— W Libanie? — wtrącił się Ash.

— Przecież Izraelczycy zbombardują go, zanim jeszcze zostanie zakończony. Kolosalna strata pieniędzy — powiedział Coleman.

— Muszę niestety zgodzić się z Horace'em — dodał piskliwie Ash.

Pani Sperber, zawsze starająca się łagodzić sytuację, lekko chrząknęła.

— Panowie, czy nie wydaje się wam, że Fundacja Miłosierdzia imienia Stonehama jest wystarczająco dużym przedsięwzięciem do dotowania szpitali...

— W tym kraju — przerwał Ash.

— Ale czy nie powinno nas także obchodzić dobro ludzi w innych częściach świata? — spytała Patrycja.

— Ona naprawdę ma rację — przyznała pani Sperber.

Nie zwracając na nią uwagi, Coleman skierował swe słowa bezpośrednio do Patrycji, tym razem jednak łagodniejszym tonem.

— Jest wiele istotnych i palących problemów na całym świecie, ale gdzie musimy się przecież zatrzymać.

— Lecz gdzie mamy się zatrzymać? — spróbowała odpowiedzieć, Coleman jednak ciągnął dalej:

— Moje drogie dziecko, zrozum, że nie chcemy z tobą walczyć...

— Jesteśmy tu, żeby ci pomóc — dokończył tę myśl Ash — dlatego właśnie twój dziadek zlecił nam zadanie: mamy wskazywać ci mądre rozwiązania, służyć dobrą radą.

— Patrycjjo — Coleman odchrząknął — masz dwadzieścia jeden lat. Jesteś bardzo inteligentną dziewczyną, ale twoje wykształcenie, to które wyniosłaś z tych wszystkich dziwacznych zagranicznych szkół, wydaje się ograniczone wyłącznie do filozofii, psychologii i... hm... hodowli zwierząt. — Coleman zatrzymał się chwilę na dwóch ostatnich słowach. — Jest to może wystarczająco dobre przygotowanie do prowadzenia stumilionowej fundacji charytatywnej, ale nie do zajmowania się interesami światowej korporacji, której aktywa wynoszą około dziesięciu miliardów! Jesteś dobrym celem wszystkich próśb o pomoc. Musimy cię chronić.

— Ale ja proszę tylko o milion dolarów... żeby ratować życie niewinnych ludzi.

— To reguła, kochanie — Coleman próbował załagodzić sytuację.

— Ale dlaczego tak jest, że sama sobie mogę pofolgować — jej głos brzmiał rozpaczliwie — kupować sukienki, biżuterię, samochody...

Coleman wyciągnął ramię i wziął ją za rękę.

— Wiesz dobrze, że twój dziadek chciał, byś miała wszystko, co najlepsze i nigdy nam się nie śniło, by kontrolować twoje osobiste wydatki.

— Ale pragnę się podzielić tym, co mam, z innymi...

— Bądźmy szczerzy! — Wyglądało na to, że cierpliwość Colemana zaczynała się wyczerpywać. — Już i tak oddałaś innym więcej, niż należało, zamieniłaś swoją farmę na dom spokojnej starości dla kalekich i chorych koni...

— Farma to także mój dom.

Ash ponownie się ożywił.

— Twój dziadek życzył sobie, żebyś mieszkała tutaj...

— Więc odmawiacie spełnienia mojej prośby? — wybuchnęła Patrycja.

Ash opadł na krzesło, czekając na to, co powie Coleman. Pani Sperber bawiła się nerwowo długopisem.

— Przykro mi bardzo, że ci odmawiam, kochanie, ale w tej sytuacji niestety muszę. — Jego głos przybrał na sile. — W sprawie wniosku panny Dennison na temat zainwestowania miliona dolarów w szpital Kegeana w Libanie wszyscy uprawnieni odpowiedzą tak lub nie. — Powiedział to w taki sposób, jakby wygłaszał jedną z formuł podczas obrad Senatu.

Pani Sperber próbowała zabrać głos:

— Szczerze, panowie, wydaje mi się, że możemy spełnić tę...

Coleman zmierzył ją zimnym spojrzeniem, władczy gestem wysuwając do przodu swój potrójny podbródek. Ash miał na twarzy wciąż ten sam beznadziejny uśmiech. W pokoju zaległo głuche milczenie,

— Wszyscy przeciw?

I jednym głosem Coleman i Ash odpowiedzieli:

— Tak.

Patrycja miała ochotę wybuchnąć płaczem, ale z niemałym trudem zebrała wszystkie siły i podniosła się z godnością.

— Dziękuję państwu — powiedziała spokojnym głosem i wyszła z pokoju.

Obiecała Tomowi te pieniądze i wiedziała, że na pewno je dla niego zdobędzie. Nieważne, w jaki sposób.

Lista gości obejmowała wyłącznie te osoby, które nie tylko były bogate, ale na dodatek hojnie łożyły na wszelkiego rodzaju cele charytatywne. Patrycja słyszała już ożywioną krzątanicę dochodzącą z dołu podczas przybycia pierwszych gości. Sama zaś z pośpiechem zmieniała ubranie. Upłynęło wiele czasu od momentu, gdy po raz ostatni zakładała uroczystą długą suknię, rzadko bowiem ściągała dzinsy, lecz dzisiejszy wieczór stanowił specjalną i bardzo ważną okazję. Wygląd zewnętrzny miał bardzo duże znaczenie dla ludzi, wśród których miała się dziś obracać, więc Patrycja chciała wyglądać w ich towarzystwie jak najbardziej poprawnie. Wybrała jedną z sukienek swojej matki — osobiście nie znosiła kupować ubrań, a poza tym matka zostawiła przecież tak bogatą garderobę.

Była to prosta atlasowa suknia o szmaragdowozielonym odcieniu, spływająca swobodnie po szczupłym ciele dziewczyny i wycięta w idealny sposób, by zaprezentować brylantowy naszyjnik, który Patrycja kupiła na ten wieczór.

Jak zwykle była spóźniona. Odetchnęła głęboko: jesteś przy mnie tatusiu? zapytała w myślach. W chwilach szczególnych napięć czy radości łapała się na tym, że zaczynała rozmawiać ze swoim ojcem, jej oczy zaś mimowolnie szukały jakiegokolwiek skrawka nieba, jak gdyby próbując nawiązać kontakt. Pewnego dnia ojciec dał jej obraz zatytułowany „*Ten, który zawiesza gwiazdę*” i powiedział, że to on jest sportretowanym człowiekiem, wspinającym się po drabinie z gwiazdą w dłoni. Obiecał, że gdy odejdzie, będzie zawsze zawieszał dla niej pierwszą gwiazdę na niebie. Wiedziała, że myślenie o tym, iż tatuś jest teraz gdzieś tam daleko i patrzy na nią z góry, to tylko fantazja dziecka, nie mogła jednak uciec od tego. Za oknem zmierzchało się, błękit powoli przechodził w szarość, ale nie pojawiła się jeszcze ani jedna gwiazda. Odwróciła się szybko od okna i z pośpiechem zeszła na dół.

Tom Keegan już na nią czekał, oparty o balustradę, uśmiechnięty i bardzo przystojny w czarnym fraku. Roztaczał wokół siebie dziwny czar i witalność.

— Wyglądasz cudownie — podniósł do ust jej szczupłą dłoń. — Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś nosiła biżuterię... Jego oczy spoczęły na ekstrawaganckim naszyjniku ze złota i brylantów, lśniącym na jej szyi. — To naprawdę wspaniałe cacko.

— Dziękuję, Tom. Kupiłam go dziś po południu, specjalnie dla ciebie.

— Patrycjjo! Kochanie! — głos ten niezaprzeczalnie należał do Joanny Benson, niegdyś hollywoodzkiej sexbomby, która zdobyła wielkie pieniądze, poślubiając wiekowego potentata finansowego, gdy ten był już na łożu śmierci. Teraz szczyciła się widząc, jak wiele miejsca w gazetach zapewniała jej fortuna męża. Wysoką, tapirowaną fryzurę, usztywnioną

tak dużą ilością lakieru do włosów, że Joanna żartowała sama z siebie, iż jest osobiście odpowiedzialna za powstanie dziury ozonowej, ozdabiała wyjątkowo ogromny rubinowy diadem. Patrycji natychmiast przemknęło przez myśl, że obecność aktorki podczas dzisiejszego wieczoru będzie warta co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Tom ścisnął mocniej jej rękę, gdy Joanna ruszyła w ich kierunku.

Obiad przebiegał w najzupełniejszym porządku. Francis spisał się świetnie, jeżeli chodzi o serwowane potrawy, Patrycja jednak prawie niczego nie tknęła. Nie mogła przestać myśleć o swoich nieszczęsnych paznokciach, trzymała więc ręce na kolanach, ściskając kurczowo serwetkę. Oddałaby wszystko, żeby mieć teraz manicure, ale takie problemy były dla niej dotychczas zupełnie obce; na farmie długie paznokcie są tylko niewygodą.

W końcu kelnerzy uprzątnęli stół po ostatnim z podanych dań. Tom uchwycił jej spojrzenie i mrugnął porozumiewawczo okiem. Po chwili wstał, podnosząc w górę kieliszek wina.

— Chciałbym prosić wszystkich państwa o dołączenie się do szczególnego toastu na cześć bardzo specjalnej osoby. — Jego spojrzenie było utkwione prosto w niej i Patrycja nie mogła powstrzymać napływu krwi do swoich policzków. — Sprawila ona, że spotkaliśmy się tu wszyscy dzisiejszego wieczoru. Właśnie jej wysiłki pozwoliły nam podwoić rozmiary szpitala w Bejrucie. Ale najważniejsze jest to, że nasze marzenie o stworzeniu tak potrzebnego oddziału dziecięcego staje się coraz bardziej prawdopodobne dzięki niesłabnącej pomocy naszej młodziutkiej gospodyni: Partycji Dennison.

Odczekał chwilę, aż umilkły oklaski.

— To ona przypomina nam, że wszyscy razem jesteśmy zjednoczeni w tych wysiłkach, pomagając słabszym, zastraszonemu ludziom... okaleczonym przez bomby dzieciom... Te istoty nie potrzebują niczego więcej ponad to, żeby dać im spokój. Ale pozostawić tych ludzi samych znaczy tyle, co skazać ich na śmierć.

Patrycja była poruszona. Tom mówił dalej:

— Wszystkich nas zgromadzonych tu łączy jedna rzecz: myślenie o innych. — Przerwał na moment i z lekkim uśmiechem powiódł wzrokiem wokół stołu. Jego oczy spoczywały po kolei na każdym z gości. — Wszystkim państwu dziękuję za wsparcie. Niech was Bóg błogosławi.

Gdy tylko ucichły brawa, podniosła się nieśmiało Patrycja. Cisza załęgła w całej sali.

— Tom — powiedziała cicho — nie jesteś nam winien żadnych podziękowań. To my jesteśmy twoimi dłużnikami. Żyjemy w komforcie i dostatku, podczas gdy ty każdego dnia ryzykujesz własne życie, pracując w kraju rozdartym wojną. Podniosła kieliszek. — Za doktora Thomasa Keegana i za jego wspaniałą pracę.

— Brawo! Brawo! — rozległy się okrzyki.

Postawiła z powrotem swój kryształowy kieliszek, nie przestając mówić dalej:

— Zgromadzeni tutaj mężczyźni okazali się bardzo hojni w swoich wspólnych i indywidualnych dotacjach. Teraz my, kobiety, musimy zrobić coś równie doniosłego.

Podniosła ręce ku swojemu karkowi i rozpięła naszyjnik. Owinęła nim palce, a brylanty mieniły się w blasku świec. Trzymając go tak, Patrycja kończyła swoje wystąpienie:

— Oto moja ofiara. Zapraszam panie do przyłączenia się do mnie. — To powiedziawszy położyła naszyjnik na stole.

Dotychczasowe milczenie przerodziło się nagle w gwałtowny aplauz. W pewnym momencie wstała jakaś zamożna, elegancka wdowa, zdjęła z nadgarstka szmaragdową bransoletę i położyła obok naszyjnika. Po geście tym nastąpiły inne. Wkrótce stół aż lśnił od wszelkiego rodzaju klejnotów.

Patrycja podniosła w górę spojrzenie na Toma. Jego oczy były pełne łez.

To był długi, męczący wieczór i Patrycja z ulgą pożegnała swoich gości. Tom siedział wciąż przy fortepianie, gdzie znalazł się w momencie



podawania kawy. Joanna przekonała go, żeby zagrał jakiś kawałek Cole'a Portera. *I've got you under my skin...*, śpiewał Tom, a jego oczy ponownie szukały wzroku Patrycji, która próbowała za wszelką cenę się nie zaczerwienić.

Goście najwyraźniej nie mieli ochoty opuszczać przyjaznego domu Patrycji, co było dowodem na to, że miniony wieczór stanowił niezaprzeczalny sukces. Złożone cenne dary na rzecz biednych istot sprawiły, iż wszyscy goście byli przepełnieni głębokim uczuciem samozadowolenia. Patrycja uśmiechała się: niektórzy ofiarowali datki bardziej niechętnie od innych, ale mimo to Tom miał zapewnione otwarcie oddziału dziecięcego w swoim szpitalu. I to się właśnie liczyło.

Joanna, która ofiarowała swój rubinowy diadem, była ostatnią osobą opuszczającą przyjęcie.

— Kochanie, kusilo mnie, żeby dać ci tę bransoletkę — dotknęła grubego kółka ze złota i diamentów, opasującego jej nadgarstek — ale musiałam zbyt ciężko pracować, żeby ją zdobyć. — To powiedziawszy, złożyła wilgotny pocałunek na policzku Patrycji i szepnęła prosto w jej ucho, popatrując na Toma: — Niezły kąsek, gratuluje!

Patrycja wróciła wolnym krokiem do salonu.

— Mam nadzieję, że wszyscy już poszli? — spytał Tom.

— Tak, wreszcie. Może trochę brandy?

— Nie, nie dziękuję. Ciągle jeszcze czuję się trochę ogluszony.

— Może chciałbyś kawy?

— Tak naprawdę to potrzeba mi trochę snu.

— Ależ tak, oczywiście, musisz być wykończony.

Nie ruszył się jednak od fortepianu. Zaczął natomiast znowu grać, ciicho śpiewając *Night and day, you ate the one...* Oderwał ręce od klawiatury i odwrócił się do Patrycji.

— To ulubiona piosenka mojej matki. Była nauczycielką muzyki... nauczyła mnie grać na fortepianie.

— Nie wiedziałam, że grasz tak dobrze... zupełnie jak zawodowiec.

— Bo nim byłem. Udało mi się skończyć medycynę dzięki temu, że grywałem w barach.

Wstał i lekko się przygarbił.

— Czas już na mnie. I tak jestem pewien, że zbyt długo zanudzałem cię moją osobą.

— Ależ nie — odparła, krocząc u jego boku przez główny hall i starając się za wszelką cenę znaleźć jakiś powód, żeby zatrzymać Toma jeszcze przez chwilę. Już przecież proponowała mu i brandy, i kawę...

Gdy znaleźli się przy drzwiach, Tom wziął ją za rękę.

— Jak mogę ci się odwdziżyć za wszystko, co dla mnie zrobiłaś?

— Ależ nie... To ja ci dziękuję za to, że nadałeś mojemu życiu sens. Pieniądze dziadka były dla mnie jak dotąd takim ciężarem. Chciałabym zrobić coś więcej.

— Jest rzeczywiście wiele do zrobienia.

— Pozwól, bym ci pomogła.

Stali tak, wpatrując się w siebie.

— Jesteś dla mnie bardzo ważna — odezwał się Tom, głaszcząc dziewczynę łagodnie po policzku.

Serce zaczęło jej bić coraz szybciej, ale słowa, które tyle razy powtarzała, nie mogły przejść przez gardło. W tym samym momencie wziął ją w ramiona. Jego wargi były delikatne i miękkie, gdy spoczęły na jej ustach.

Podniecenie Patrycji zaczęło przybierać na sile, lecz on nagle oderwał się od dziewczyny.

— Co się stało? — zapytała zdziwiona.

— Nie mam prawa — odparł, biorąc jej twarz w swoje dłonie. — Nie mam żadnego prawa, żeby wciągać cię teraz w swoje życie.

— Och proszę! Tom...

Położył łagodnie palec na jej ustach.

— Kiedy wykonam to, co do mnie należy... za rok...

Czekała, że może powie coś jeszcze, on jednak po prostu znowu ją pocałował, tak delikatnie, jak gdyby było to muśnięcie piórkiem, po czym wyszedł, a Patrycja zamknęła za nim drzwi.

Dotknęła dłonią swoich ust — wciąż czuła dotyk jego warg. Wzięła głęboki oddech. Wbiegła po schodach na górę, jak gdyby szybując w powietrzu.

Jak cudownie jest znaleźć kogoś, z kim można rozmawiać, kogo można słuchać, kto nie jest zainteresowany gromadzeniem pieniędzy, kogoś tak niepodobnego do J. L. i do wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek знаła.

Kochała go. Była pewna, że tak to właśnie wygląda. Pragnęła go we wszystkim, co było jej życiem. Może to zdarzy się następnym razem. Tak. Kiedy wróci z Libanu, na jesieni, wówczas zaprosi go na farmę — to właśnie było odpowiednie miejsce do przeżywania magii miłości.

## ROZDZIAŁ 2

### Lizbona

Lśniące srebrzyste ferrari gnało wśród innych samochodów zapełnioną autostradą 249, która prowadziła na północ od Lizbony ku Migdałowej Dolinie. Emilio Fonseca bezbłędnie prowadził samochód, oczy kierowcy były utkwione prosto przed siebie. Obok siedział Miguel Cardiga.

— Nie bądź zbyt twardy dla staruszka, Miguelinho, wcale nie jest taki zły, jak go oceniasz.

— Ale on to uczynił za moimi plecami.

— Bądźmy uczciwi. Zrezygnowałeś z tego konia, więc go sprzedał.

— To był najlepszy koń, jakiego kiedykolwiek ujeżdżałem!

— Więc poproś go, żeby anulował sprzedaż.

— Błagać go? Żeby znów mógł mnie wziąć w garść i skazać na prowadzenie tej pieprzonej szkoły dla tłustych, bogatych pannic?

Samochód wjechał w wysadzaną drzewami żwirową drogę, która prowadziła do Centro Equestre da Cardiga.

— Miguelinho, chcesz się od niego uwolnić? Wróc więc na arenę.

Twarz Miguela jak gdyby zbladła. Jego zęby zacisnęły się, gdy patrzył prosto w oczy swojego najlepszego przyjaciela.

— Mówiłem ci już setki razy, Emilio. Nie mogę. Nie mogę.

— No, już dobrze — Emilio położył uspokajająco dłoń na ramieniu Miguela. — Będzie mi ciebie brakowało, przyjacielu. Powodzenia.

— Nie będziesz mnie odwiedzał?  
— Oczywiście, że będę. Zadzwoń do mnie, kiedy znowu się pokłócisz z ojcem.

Uruchomił ponownie silnik i szybko odjechał.

Wysokie buty Miguela wydawały dziwny, nierytmiczny hałas. Jeden obcas uderzał mocniej, gdy przechodził przez brukowany kamieniami dziedziniec. Filipe, nauczyciel w szkole ojca, powitał go z entuzjazmem.

— Jak to miło znowu pana widzieć, *Senhor* Cardiga. Wrócił pan do miejsca, do którego pan należy.

Miguel z bólem zdawał sobie sprawę, jak trudno było młodzieńcowi patrzeć wciąż w jego twarz i nie spuścić wzroku na lewą nogę rozmówcy. Filipe nie mógł się jednak opanować. Opuścił wzrok na ułamek sekundy, po czym podniósł głowę z powrotem tak szybko, że aż lekko odskoczyła.

Miguel uśmiechnął się gorzko. Chyba nigdy nie przywyknie do tych ukradkowych spojrzeń. Znosił je, bo najgorsze miał już przecież za sobą.

Najboleśniejszy moment nastąpił w dzień po wypadku, gdy po raz pierwszy otworzył oczy w szpitalu. Zobaczył nad sobą pełne współczucia twarze arcybiskupa i doktora. Arcybiskup zrobił krok naprzód i uczynił znak krzyża na jego czole, szepcząc łacińską modlitwę. Miguel skrzywił się z bólu.

Wydawało mu się, że zanim doktor przemówił, upłynęła cała wieczność.

— *Senhor* Cardiga, próbowałem... ale nie było innego wyjścia... musieliśmy amputować część pańskiej lewej nogi...

Zimny dreszcz przebiegł Miguelowi po kręgosłupie, znieczulając jego nerwy, zmrażając jego umysł na dźwięk słowa: a m p u t o w a ć .

Głos doktora wydawał się dochodzić gdzieś z daleka.

— ...Lecz udało nam się uratować część kości i mięśni poniżej kolana...

Miguel wcale nie słuchał. Słowo a m p u t o w a ć odbijało się głucho

w każdej komórce jego mózgu, nie dopuszczając doń żadnych innych dźwięków.

Arcybiskup znów uczynił znak krzyża, szepcząc błogosławieństwo, po czym obydwa z doktorem opuścili pokój.

To nieprawda. To nie mogła być prawda. Jego noga była wciąż na tym samym miejscu. Czuł nawet swędzenie palców stóp. Nie śmiał jednak się podrapać. Dłuższy czas leżał tak z zamkniętymi oczami. Po chwili jednak, wolno jak nigdy dotąd, zrobił wysiłek, żeby usiąść na łóżku. Wciąż z zamkniętymi oczyma pochylił się nad swą lewą nogą i wolno powiódł dłoń w dół. Miał wrażenie, że dłoń posuwa się i posuwa bez końca. Aż wreszcie spoczęła na materacu. Wciąż jednak czuł to samo swędzenie palców u stóp. Nie bez trudu otworzył oczy i spojrzał na własną dłoń leżącą na białym prześcieradle. Wiedział już, że stracił nogę.

Przez wiele tygodni leżał w ciężkiej depresji, nie odbierając telefonów i nie przyjmując wizyt. Nawet Emilio nie miał do niego dostępu. Ale żadne zastępy pielęgniarek i lekarzy nie mogły powstrzymać Paula Cardigi, gdy ten zechciał zobaczyć się z synem.

Wtargnął pewnego dnia do pokoju Miguela. Mięśnie jego twarzy drżały pod wpływem powstrzymywanego napięcia. Miguel nigdy jeszcze nie widział twarzy swego ojca tak zszarzałej jak teraz, prawie w kolorze jego siwych włosów. Jasnoniebieskie oczy starca były zmrożone gniewem.

— Lekarze powiedzieli mi, że obrażenia mojego syna zostały już wyleczone, ale on nie chce ruszyć się z miejsca. Powiedzieli mi także, że mój syn leży w odrętwieniu, bez ochoty do życia.

Miguel popatrzył na ojca bez słowa.

— Powiedziałem im, że bardzo się myślą. Mój syn jest jednym z rodu Cardiga. Ma stał w swoim wnętrzu i przygotowuje się do wielkiej rozgrywki...

— Przygotowuję się na śmierć.

— Nie waż się nawet tak mówić. — Paulo był na granicy wytrzymałości, z trudem panował jeszcze nad sobą.

— Nie mam po co żyć.

— Wyrzuć z siebie te myśli. Odpoczywałeś już wystarczająco długo. Pora wrócić do pracy.

— Jesteś okrutny — odparł cicho Miguel.

— Mam zamiar mówić prosto z mostu, kiedy rozmawiam z własnym synem: wkrótce znowu wsiądziesz na konia.

— Zwariowałeś! Jestem kaleką!

— Musisz.

— Ogłuchłeś?! — krzyknął Miguel. — Jestem kaleką! — Zrzucił z siebie prześcieradło i wysunął ku ojcu swą chorą nogę. — Popatrz!

Paulo delikatnie dotykał wyciągniętego kikuta, nic nie mówiąc.

Miguel ponownie nasunął na siebie prześcieradło.

— Całe życie nienawidziłem drugiego miejsca, tego że zawsze byłem za tobą. Więc cóż mi teraz pozostało?

— Być najlepszym — odpowiedział cicho Paulo. Jego niedawny gniew zupełnie gdzieś zniknął.

— Ach, żeby stać się najlepszym jednonogim jeźdźcem na świecie — odciął się cynicznie Miguel.

— Miguelinho, potrzebuję cię w szkole...

— Żeby ponownie samemu kontrolować moje życie?

Paulo westchnął i położył na nocnej szafce cienką książeczkę.

— Poczytaj Bauchera...

Miguel nie zwrócił nawet uwagi na książkę.

— ...Był najlepszym jeźdźcem osiemnastego wieku.

— Czy może udziela rad, jak jeździć, mając tylko jedną nogę? — ironizował Miguel.

— Możliwe, sam stracił obydwie. — Paulo ciężkim krokiem zbliżył się do drzwi. Odwrócił się. — Do widzenia, mój synu — zabrzmiały jego ostatnie słowa.

W tym momencie Miguel znowu to zobaczył. Twarz ojca przybrała ten sam wyraz, który widział już wcześniej na twarzach arcybiskupa i doktora. Całe życie zabiegał o to, żeby widzieć wyraz szacunku i podziwu na twarzy swego ojca. Nie współczucia. Drzwi się zamknęły.

Miguel z powrotem położył głowę na poduszce, przymykając oczy,

żeby powstrzymać łzy, które same gromadziły mu się pod powiekami. Zacisnął je z całej siły. Nienawidził współczucia, jakie mieli dla niego inni ludzie. Jeszcze bardziej nienawidził współczucia, jakie okazywał sam sobie. Nie mógł jednak się powstrzymać. Łzy zaczęły spływać mu po policzkach wbrew jego woli.

Nagle zawrzał w nim gniew na ojca, na siebie samego. Chwycił ze stołu dzbanek z wodą i rzucił nim w nieduży przenośny telewizor. Ekran został kompletnie pogruchotany, odłamki szkła rozsypały się po całym pomieszczeniu. Pielęgniarka wbiegła natychmiast do pokoju i stanęła jak wryta, widząc Miguela ciskającego krzesło w stronę okna. Trzech mężczyzn musiało sprowadzić go na dół, podczas gdy pielęgniarka wstrzyknęła w jego ramię środek uspakajający. Ostatnim wspomnieniem Miguela był wyraz współczucia na twarzy pielęgniarki.

Następną rzeczą, którą pamiętał, był widok Emilia wchodzącego wolno do pokoju. Dźwigał dużą torbę z brązowego papieru, z której bez żadnych ceremonii wyciągnął dwie butelki wina. Periquita rocznik 1938! Miguel wiedział, że słynne piwnice rodziny Fonseca przechowywały tylko trzy butelki tego najprzedniejszego z win. Rodzina Emilia zdecydowała, że jedną butelkę można otworzyć raz na pięć lat, z powodu szczególnie ważnej okazji, a oto Emilio przyniósł aż dwie.

Z filuternym uśmiechem na twarzy Emilio otworzył obydwie butelki, nie wypowiadając przy tym ani słowa. Jedną wręczył Miguelowi, sam zaś pociągnął długi łyk ze swojej.

— Ach! — otarł usta wierzchem dłoni, pochylił się i szepnął Miguelowi do ucha: — Miej to wszystko w dupie.

Miguel roześmiał się po raz pierwszy od dnia wypadku, po czym podniósł butelkę do ust.

Pili i rozmawiali, a kiedy butelki były już puste, Miguel obiecał, że zamieszka wraz z Emiliem, w domu rodziny Fonseca w krainie Arrábida.

Kilka dni później doktorzy z ulgą obserwowali, jak ich najtrudniejszy pacjent opuszcza szpital. Emilio pchał Miguela na wózku inwalidzkim,



po czym ulokował go w swoim ferrari i błyskawicznym ruchem schował przed nim protezy — tę masę linek, metalu i drewna, której Miguel nie-  
nawidził i nawet nie chciał dotknąć — zamykając je w bagażniku.

Dom Emilia — który dumnie nazywał „Castelo da Arrábida” — został  
zbudowany w piętnastym wieku jako myśliwska rezydencja króla. Emi-  
lio kupił go kilka lat temu w przyprawie jakiegoś romantycznego impul-  
su. Miguel żartował, że przyjaciel powinien zachować w zamczku  
wszystko tak, jak zastał, szczególnie hydraulikę, ale krok za krokiem  
Emilio wygonił z dachu gołębie, przykleił do popękanych ścian piękne  
ceramiczne mozaiki, przekształcając w ten sposób ruiny w wygodne i  
przytulne mieszkanie. Miguel z wyraźną radością powitał szare, podłuż-  
ne kopuły wieńczące trzy wieże zamczku, które zaczynały wylaniać się  
na horyzoncie.

Gdy tylko Emilio, z pomocą ogrodnika, zdołał wtargać Miguela po  
kamiennych schodach, zaczęto ucztowanie.

Na stole zjawił się kolejny rodzaj rzadkiego wina, a Emilio robił, co  
tylko mógł, żeby wyciągnąć przyjaciela z depresji. Wykorzystywał do  
tego każdy sposób, pragnąc jedynie wywołać jego uśmiech. Czasami mu  
się to udawało. Zazwyczaj jednak Miguel upijał się po prostu do nieprzy-  
tomności. Siadywał później na balkonie pierwszego piętra, wpatrując się  
ponuro w wybieg dla koni, gdzie zaczęła się jego kariera pogromcy by-  
ków, gdzie po raz pierwszy wymknął się rogom młodego byczka, kiero-  
wany przez Emilia. W ciągu dnia spał aż do lunchu, po czym leczył się z  
kaca przez całe popołudnie, czekając na powrót Emilia z winnic.

Podczas jednej z wieczornych biesiad Emilio przekonał przyjaciela,  
żeby założył zniechęconą protezę. Od tego czasu Miguel niekiedy wy-  
chodził, kuśtykając, z domu. Z wysiłkiem stąpał na swej mocnej kończy-  
nie, przechodząc przez dziedziniec ku pokrytemu czarnym dachem bu-  
dynkowi z łukowatymi arkadami przed wejściem. Było to miejsce, które  
Emilio przeznaczył na stajnię. Mimo że Miguel przysięgał, iż nigdy wię-  
cej nie dosiądzie konia, nie mógł jednak wytrzymać z dala od ukochanych

zwierząt. Czuł się znacznie lepiej z nimi niż w obecności ludzi.

Kuśtykał tak wzdłuż końskich legowisk. Zwierzęta zaczęły już go rozpoznawać i wysuwały łby ponad wysokimi drzwiami przegród, żeby powitać przechodzącego. Miguel nigdy nie zapomniał każdego z nich przyjaźnie podrapać czy popieścić. Jego cichy głos, niemal szept, łączył w sobie taką delikatność i uczucie, jakich nigdy nie okazywał żadnej kobiecie.

Emilio wiele razy namawiał go, żeby wreszcie dosiadł konia, lecz Miguel był nieugięty — już nigdy więcej nie będzie jeździł konno. Nigdy nawet nie będzie udzielał przyjacielowi rad w sprawach treningu koni. Pewnego dnia jednak pojawił się przy wybiegu. Stał oparty o barierkę, ze szklanką wina w dłoni, a Emilio siedział na koniu, próbując usilnie wykonać piruet, który mimo wszystkich wysiłków jeźdźca wyglądał raczej jak koślawo wyznaczony ował.

— Odchyl się do tyłu! — zawołał Miguel. — Wprowadzasz go w błąd swoim ciężarem pochylonym do przodu.

— Odpieprz się! — odkrzyknął Emilio, znów próbując się obrócić, zrobił to jeszcze bardziej beładnie. Miguel nigdy nie widział go jeżdżącego tak nieporadnie.

— Rozsiądź się dobrze na dupie, do cholery! — Miguel zaczynał tracić cierpliwość.

Emilio puścił koniowi wodze i zeskoczył z siodła.

— Doskonale wiem, jak mam siedzieć na dupie.

— No, to zrób to — parsknął ironicznie Miguel, osuszając szklankę.

— Już zrobiłem.

— Nie, nie zrobiłeś.

— Więc pokaż mi.

— Nie bądź śmieszny.

— Możesz przynajmniej siąść na konia, jeżeli już nie będziesz jeździł — drwił Emilio. — No proszę, pomogę ci wsiąść. — Wystawił tak ręce, żeby podnieść Miguelowi nogę.

— Nie potrzebuję pomocy — odciął się bełkotliwie Miguel. Wsunął protezę w strzemię i odbił się od ziemi na prawej nodze, bez trudu wskazując na konia.

Gdy tylko znalazł się w siodle, wyprostował się i rozejrzał dookoła. Siedział wreszcie na koniu! Dreszcz podniecenia przeszył jego ciało. Czuł pod sobą wibrującą siłę zwierzęcia. Już nie był kaleką. Był jak wszyscy inni.

Spojrzał w dół na Emilia, który jak zwykle szczyrzył do niego zębami w tym swoim głupim uśmiechu.

Powoli Miguel nakazał koniowi iść truchtem. Emilio pobiegł przed nim i otworzył na oścież bramę prowadzącą do winnic. Miguel spojrzał na zielony krajobraz, jaki rozciągał się przed nim, i z okrzykiem triumfu pokłusował na koniu przez pola.

Następnego ranka, zaraz po przebudzeniu, nie czuł już zwykłej depresji przytłaczającej go, tego bólu, który tylko picie wydawało się uśmierzać. Poczul przypływ energii, gotów był biec co sił do stajni i znowu bawić się z końmi. Zrzucił z siebie prześcieradła, wyskoczył z łóżka i... upadł jak długi na podłogę. Nie zdążył przymocować protezy. Zapomniał przez chwilę, że jest kaleką. Nie miał jednak czasu na uzalanie się nad sobą — mógł przecież jeździć.

Bieg wypadków zupełnie się zmienił kilka miesięcy później, gdy na dziedzińcu zamkowym zatrzymała się ciężarówka, przeznaczona do przewozu koni. Widniał na niej znak Centro Equestre da Cardiga. Kierowca wręczył Miguelowi krótki list od ojca:

*Bardzo się ucieszyłem, gdy dowiedziałem się od Emilia, że znowu zacząłeś jeździć. Może zechciałbyś spojrzeć na ogiera i orzec, co da się z nim zrobić. Ultimato ma fantastyczne możliwości i w dobrych rękach może wyrosnąć na doskonałego wierzchowca. Skończył pięć lat i przeszedł już cały podstawowy trening.*

*Zdarzyło się jednak, że pewien niezdarny uczeń jeździł na nim bez mojej wiedzy, co przyniosło zastraszające wprost skutki. Koń stał się prawdziwym buntownikiem. Może zmiana otoczenia lub jakiś inny bodziec odpowiedni do jego talentów przywrócą go do równowagi.*

Miguel rzucił kartkę na ziemię z uczuciem niesmaku.

— A niech to diabli, Emilio. Wolałbym jednak, żebyś trzymał się od tego z daleka.

— O co ci chodzi?

— Dlaczego, do diabła, porozumiewasz się z moim ojcem za moimi plecami?

— Och, daj sobie z tym spokój, Miguelu. Zadzwoił, zapytał o ciebie i bardzo się ucieszył, gdy mu powiedziałem, że znowu wsiadłeś na konia. Ty przynajmniej masz ojca, który się o ciebie troszczy, ja go nie mam.

Miguel odszedł dużymi krokami, a Emilio cichym głosem nakazał chłopcu, żeby wyprowadził konia z ciężarówki i umieścił go w stajni.

Miguel miał wyrzuty sumienia — dlaczego, do cholery, wybuchnął w taki sposób? Emilio tak bardzo się starał, żeby wydobyć go z dołka, żeby znowu dosiadł konia, a on teraz zachowuje się niczym nadąsany dzieciak. To właśnie tego tak bardzo nienawidził, w swoich kontaktach z ojcem.

A przecież nie mógł powstrzymać chęci poznania tego buntownika noszącego imię Ultimato.

Gdy Miguel wszedł do stajni, konie zaczęły rzeć jak zwykle, wyciągając ku niemu szyje ponad drzwiami przegród. Wszystkie z wyjątkiem konia stojącego w ostatnim kojcu.

Stamtąd bowiem nie wysuwał się żaden łeb. Piękny, szary ogier ukrył się w najdalszym kącie, spoglądając na człowieka podejrzliwie spod gęstej zmierzwionej grzywy.

— Nie lubisz ludzi, prawda, Ultimato? — Zamilkł na chwilę, jak gdyby oczekując odpowiedzi.

— Ja też nie. Jestem taki sam jak ty.

Cicho, łagodnie przemawiał do konia, wpatrując się w duże, piękne oko, w tęczęwkę, która wyglądała niczym błękitny płomień błyskający ze zrozumieniem. Bardzo długo stał tam bez słowa, dopóki Ultimato wolno nie zaczął posuwać się w jego kierunku.

Z największą delikatnością zaczął pieścić koński pysk i drapać zwierzę po karku.

Po pewnym czasie, gdy zaczął dosiadać Ultimata, Miguel zauważył, że znacznie mniej pije. Musiał teraz być ciągle w gotowości, żeby pracować z tym jakże trudnym zwierzęciem. Nocami jednak gorzyc i melancholia znowu brały nad nim górę i nie mógł zasnąć bez wypicia kilku drinków. Czuł się gorzej, gdy Emilio wyjeżdżał do Lizbony, by zabawić się z kobietami. Nie mógł się uwolnić od nałogu mimo nalegań przyjaciela.

— Spotkałem Isabel w Lizbonie. Chciałaby się z tobą zobaczyć — relacjonował Emilio po jednym ze swoich wypadów.

— Nie potrzebuję jej współczucia.

— Nie, mylisz się. Jest tak samo napalona na ciebie jak dawniej. — Emilio mrugnął okiem porozumiewawczo. — Powiedziała, że jej mąż zabiera transport byków do Hiszpanii, więc mogłaby przyjechać z wizytą w następny weekend.

— Ona potrzebuje faceta z trzema nogami, nie mnie.

— Miguel, daj spokój, nie możesz się tutaj ukryć na zawsze.

— Powiedziałem, że nie chcę jej widzieć.

— Co się z tobą dzieje? Chcesz zostać księdzem?

Miguel nie odpowiedział.

— Pamiętam, że kiedyś nie mogłeś się od niej oderwać. Więc jesteś pewien?

— Tak.

— W porządku, możesz sobie zostać księdzem, ale nie myśl nawet, że wciągniesz mnie do swojego kościoła.

Miguel spędził z Emiliem ponad rok, pracując w spokoju nad Ultimatem, z dala od współczujących spojrzeń. Ten buntowniczy ogier miał w sobie więcej energii i wdzięku niż jakikolwiek inny koń, którego kiedykolwiek ujeżdżał.

Pewnego dnia, gdy uczył Ultimata skomplikowanego kroku polegającego na delikatnym, precyzyjnym dreptaniu, ukazał się Emilio, pchając przed sobą taczkę z zamontowanymi u góry rogami byka.

— *Ehe!* — krzyknął Emilio, nacierając na konia i jeźdźca.

Śmiejąc się Miguel z łatwością ustawił konia z dala od rogów. Emilio atakował ich jeszcze raz i jeszcze, dopóki nie poczuł zmęczenia.

Ciężko dysząc, gdy siadł znużony na taczce, Emilio wycharczał:

— Ten koń...

Miguel wiedział, że to prawda. Tak pragnął walczyć z bykiem, dosiadając właśnie Ultimata. Oczami wyobraźni widział, jak potężny łeb z rogami zbliża się w ich kierunku, Ultimato zwinnie odskakuje w drugą stronę, o mały włos unikając starcia, tłum zaś wiwatuje z entuzjazmem. Na tym koniu ponownie mógłby znaleźć się na szczycie. Będą rzucać mu pod nogi kwiaty, gdy znów rozpocznie drogę swojego triumfu...

I tutaj kończyło się jego fantazjowanie. Drogę triumfu! To będzie żalodne kuśtykanie: kaleka błagający o współczucie zgromadzony tłum. Nigdy na to nie pozwoli.

Następnego dnia odesłał Ultimata do szkoły ojca.

Paulo napisał do syna długi list, w którym prosił go, aby jednak zajął się koniem i powrócił do domu, do Centro Equestre da Cardiga. Miguel odpowiedział krótko i szorstko, odmawiając obydwu prośbom. Po jakimś czasie otrzymał wiadomość, że Ultimato został sprzedany.

W tej chwili właśnie, wbrew solennej przysiędze, że nigdy tu już nie wróci, Miguel zbliżał się do miejsca, którego tak nienawidził. Zatrzymał się na moment przy fontannie obserwując, jak Filipe pędzi przez dziedziniec; zbierał siły na utarczkę z ojcem. Szklane drzwi gabinetu były uchylone. Paulo przeglądał przez grube szkło okularów leżące na jego biurku papiery i nie usłyszał wejścia syna. Był ciepły letni dzień, ale mimo to na kamiennym kominku, w pobliżu miejsca, w którym siedział ojciec, palił się ogień.

Miguel uważnie przypatrywał się starcowi. Wydawał się bardziej przygarbiony niż zwykle. Jego skóra wyglądała jak pergamin rozciągnięty

na udreżonej twarzy, arystokratyczne kości policzkowe ostro odcinały się od reszty.

Nagle Paulo podniósł głowę i zauważył syna. Wstał zza biurka z wyrazem radosnego zdziwienia.

— Miguelinho! Jak to dobrze cię widzieć!

— Miguel nie postąpił ku ojcu, chociaż ten wyciągnął ku niemu ramiona.

— Przyjechałem porozmawiać o Ultimacie — powiedział oschle.

— Zrobiłeś coś niebywałego z tym zwierzęciem. Sam się na nim przejechałem któregoś dnia. Co za różnica! Całkowite opanowanie ruchów z absolutną swobodą — oto twoja dewiza jako trenera...

— Ale sprzedałeś go!

— Tak. Ostatnio sprzedałem dwa konie: Ultimata i Harpała, do Ameryki...

— Jak mogłeś to zrobić za moimi plecami?

— Jak mogłem? Przecież tym się właśnie zajmuję: trenuję konie, aby je potem sprzedać. Nie rozumiem cię, Miguelu. Te konie osiągnęły zawrotną cenę: trzysta tysięcy dolarów amerykańskich.

— Nie możesz sprzedać Ultimata.

— Miguelu, bądź rozsądny. Przecież go zwróciłeś.

— Zmieniłem zdanie.

— Transakcja została już dokonana. Dałem słowo.

Miguel spojrzał na uroczysty wyraz twarzy starca. Tak, pomyślał, dał słowo, a to oznaczało dla niego honor. Nigdy nie łamał zobowiązań. Nawet dla własnego syna.

— Kim jest ten Amerykanin?

— To kobieta. — Paulo spojrzał na leżące przed nim papiery. — Patricia Dennison.

— Czy to znaczy, że jakaś podstarzała baba z tłustym zadem będzie wyjeżdżać na przejażdżki na tym cudownym koniu?

— Nie jest podstarzała, ani nie ma tłustego zadu i, naprawdę, ma wyjątkową smykałkę do koni.

— Ale umie w ogóle jeździć?

– Dużo się jeszcze musi nauczyć. W umowie jest jednak specjalna klauzula: jeżeli jeździec nie nauczy się właściwie obchodzić z końmi, będziemy mogli odstąpić od transakcji.

– Jak ci się uda postąpić zgodnie z umową na taką odległość, przez ocean?

– Trener będzie towarzyszył koniom i przez sześć miesięcy pracował z jeźdźcem.

– Przez sześć miesięcy?

– Takie są warunki.

– Ona tego chciała?

– Nie, Miguelu, ja tego chciałem. Nigdy nie pozwoliłbym żadnemu zwierzęciu na opuszczenie tego miejsca, jeżeli przyszły jeździec nie byłby odpowiednio wytrenowany.

– Kto jedzie razem z końmi?

– Filipe.

– Filipe?

– Tak, jest w tym dobry i godny zaufania.

– Potrzebujesz go przecież tutaj w szkole. Ja pojedę.

– Ty?

– Ja ujeżdżałem Ultimata, więc ja zdecyduję, czy jego nowy właściciel jest odpowiedni do tego, aby go dosiadać.

Miguel stał w drzwiach prowadzących do jadalni, bez słowa obserwując, jak Isabel układa na środku stołu żółte orchidee, które tak pasowały do jej sukni. Ta kobieta była rzeczywiście piękna. Nie patrzyła w jego kierunku, ale wiedział, że czuje jego obecność. Dostrzegł rumieniec biegnący od jej długiej wdzięcznej szyi i zalewający policzki.

Ostatni raz kochał się z Isabel w noc przed tragiczną walką byków. Jakże często od tamtej pory Miguel rzucał się na łóżku rozgoryczony, wyobrażając sobie, że znowu jest u jej boku. W swoich marzeniach miał takie samo ciało jak dawniej, w swoich marzeniach nie ryzykował rozstania. W takim razie jaki był prawdziwy powód tego, że nie odbierał telefonów, gdy dzwoniła, i nie odpowiadał na jej listy pełne miłości?



W końcu Isabel wiedziała o jego kalectwie i mimo to wciąż jeszcze o niego zabiegała. To on ją odrzucał.

Dwa dni po swym powrocie z krainy winnic, otrzymał od Luisa Velosa zaproszenie na obiad, który mieli zjeść we troje. Zaproszenie przyjął. Tym razem nie mógł już powstrzymać się od zobaczenia jej.

— Och! — zawołała Isabel odwracając się — wcale nie słyszałam, jak wchodziłeś.

— Dziękuję za tak miłe zaproszenie na obiad.

— Byłam taka szczęśliwa słysząc, że wróciłeś do domu. Dlaczego nie odpowiadałeś na moje telefony?

— Nie chciałem nikogo widzieć przez jakiś czas.

— Tak. Emilio mi powiedział.

— Ale teraz wracam z wygnania.

— I odpoczynek bardzo dobrze ci zrobił — uśmiechnęła się zalotnie.

— Nigdy nie widziałam, żebyś wyglądał lepiej. — Podeszła bliżej i wzięła go za rękę.

— Gdzie twój mąż? — zapytał nagle.

W tej samej chwili, jak gdyby na zawołanie, w głębi korytarza dały się słyszeć kroki Luisa Velosa. Isabel odeszła prędko i stanęła po przeciwnej stronie stołu.

Wszedł Luis i wyciągnął ręce do gościa.

— Mój drogi Miguelinho, zaszczyciłeś nas swą obecnością.

Miguel pozwolił, żeby gospodarz wziął go w objęcia — zbyt serdeczny, pomyślał — i poprowadził do honorowego miejsca u szczytu stołu. Zastanawiał się, dlaczego, w geście jakiejś nadzwyczajnej gościnności, dał mu miejsce przysługujące tradycyjnie głowie domu. A może było w tym coś symbolicznego, że Veloso usadowił się między żoną i jej kochankiem?

Isabel, siedząca na wprost Miguela, pod ponurymi spojrzeniami męża, bawiła się nerwowo zapięciem grubej złotej bransolety, która ozdabiała jej szczupły nadgarstek.

Veloso napełnił kryształowe kielichy szampanem — najwyraźniej na tę okazję sprowadzono najlepszy — po czym wzniósł toast:

— Za moją śliczną żonę. — Nie podniósł jednak kieliszka w jej kierunku,

zwrócił się natomiast do nowego portretu Isabel, który wisiał nad małym stolikiem. Isabel, ubrana w czarną aksamitną suknię, opierała się o bryczkę, jej dłoń o długich, pomalowanych na czerwono paznokciach była wyciągnięta do przodu, jak gdyby przywołując patrzącego. Długie, kruczoczarne włosy miała skromnie splecione w warkocz, ciemne oczy lekko przymknięte, pełne wargi zmysłowo rozchylone.

— Malarz uchwycił jej hipnotyzującą urodę bardzo dobrze, nie sądzisz, przyjacielu?

Miguel skinął głową, sącząc szampana. Jakże często całował kiedyś te nienasycone usta, jakże często widział te włosy rozrzucone na poduszce, jakże często te paznokcie wbijały się w jego skórę w przyływie namiętności.

— I za twoje zdrowie, Miguelinho. — Veloso ponownie napełnił swój kieliszek.

— I za twoje, Luisie — odwzajemnił się Miguel.

Po drugiej kolejce i po wysączeniu drugiej butelki szampana Miguel miał już dosyć tego napuszonego udawania przyjaźni i gościnności. Oczywiście Veloso doskonale wiedział, że Miguel sypiał z jego żoną. Dowodem na to był byk, którego podesłał mu na ostatnią walkę, byk, który znał już reguły tej gry, byk morderca, nieodpowiedni przeciwnik dla każdego jeźdźca. Obserwował uważnie uśmiechniętą twarz gospodarza. Ten człowiek próbował go zabić. I w pewien sposób mu się to udało. Więc co było przyczyną całej tej pompy? Rozkoszowanie się widokiem kaleki? Dręczenie żony?

Isabel jadła bardzo niewiele, prawie nic nie mówiła, mając oczy wciąż utkwione w talerzu. W końcu zwróciła się do Miguela:

— Cieszę się, że uraz nie powstrzymał cię od kontynuowania tradycji ojca. To musi być bardzo trudne dla ciebie... żyć... z... no...

— Jedną nogą? — dokończył, patrząc jej prosto w oczy. — Na koniu używa się dupy, nie nóg.

Po tej grubiańskiej odpowiedzi zapadło głuche milczenie. Nie dbał o to. Szampan brał nad nim górę. Osuszył do końca szklanekę, po czym Veloso natychmiast znowu ją napełnił.

— Więc jakie masz teraz plany, skoro wróciłeś do Lizbony?

— Nie wróciłem na długo. Za tydzień wyjeżdżam do Ameryki, żeby dostarczyć dwa konie ojca jakiejś bogatej spadkobierczyni.

— Ach, bogatej. Musi być pewnie także piękna, prawda? — Veloso wpił wzrok w twarz żony. — Może zostaniesz na stałe w Ameryce.

— Tylko pół roku, to wystarczająco długo, żeby wprowadzić dziewczynę w podstawy sztuki jeździeckiej. — Popatrzył gospodarzowi prosto w oczy. — Nie mógłbym dłużej wytrzymać bez Portugalii.

Na ułamek sekundy uśmiech zniknął z twarzy Velosa, ale po chwili znów się pojawił.

— Oczywiście, że nie. Przecież właśnie w Portugalii żyją najpiękniejsze kobiety świata. — Pochylił się nad stołem i ścisnął silnie dłoń żony.

— I najlepsze konie.

— Nie zapominaj o bykach.

— Jakże bym mógł — odpowiedział Miguel z sarkastycznym uśmiechem.

— Tak, jest mi bardzo przykro, że to jeden z moich byków przyczynił się do twojego nieszczęśliwego wypadku.

To skurwysyn, pomyślał Miguel, nie potrafi ukryć satysfakcji.

— Aha! — Veloso uniósł w górę ręce. — Muszę ci pokazać mój ostatnio nagrodzony okaz.

Miguel popatrzył na niego zamglonymi od pijaństwa oczami.

— Bardzo chętnie.

— Świetnie, więc chodźmy. — Veloso wstał od stołu, wycierając grube wargi serwetką.

Miguel podniósł się niepewnie, przewracając przy tym pusty kieliszek. Wiedział, że jest pijany, ale jakiś impuls samozniszczenia nakazywał mu wyrzucić z siebie wszystkie rozsądne myśli. W drodze do drzwi chwycił gwałtownie butelkę szampana, którą służąca dopiero co otworzyła i wstawiła do wiaderka z lodem.

— Chodź z nami, kochanie — uśmiechnął się nienaturalnie Veloso, biorąc Isabel pod ramię i prowadząc w stronę wybiegu dla byków, który znajdował się na dziedzińcu posiadłości.

— Ten okaz będzie podstawą nowej generacji wspaniałych portugalskich byków — mówił dalej Veloso. — Jego nigdy nie posłę na ring.

Miguel rozejrzył się dokoła. Okolica była zupełnie wyludniona.

— Gdzie twoi ludzie? — zapytał.

— Na polach zaganiają byki... Potrzebujemy do tego wszystkich mężczyzn. Poczekaj chwilę — powiedział przez ramię — wypuszczę go.

Miguel pociągnął z butelki potężny łyk obserwując, jak Veloso ściąga sznurek i uchyla furtkę. Wielka czarna bestia wyskoczyła na leżącą w półcieniu arenę.

— Pół tony mięśni i agresji — powiedział Veloso z dumą. — Miguelinho, czy chciałbyś być tym jedynym, który zrobi z nim kilka kroków z płachtą... Przerwał nagle, wpatrując się uporczywie w nogę Miguela. — Przepraszam, to było głupie.

— Nie, nie, bardzo chętnie.

Isabel odwróciła się ku niemu gwałtownie.

— Miguelu, chyba za dużo wypięś.

— Ależ skąd — odparł, wycierając usta wierzchem dłoni i wręczając butelkę Isabel.

— Może Isabel ma rację. Jesteś pewien?

— Nadmierna troskliwość Velosa ubodła Miguela.

— Jestem pewien — odparł, przechodząc za drewnianą barierkę. Było to miejsce, które chroniło pogromcę, gdy obserwował ruchy byka. Zatakuję z prawa czy z lewa? To, co zdołał zauważyć, mogło mu uratować życie.

Lampy rzucały cienie na arenę, całą zaś wyludnioną posiadłość zalegała głucha cisza.

— Proszę — powiedział Veloso, wręczając Miguelowi czerwoną płachtę. — Ale nie wychodź zbyt daleko na wszelki wypadek, gdybyś musiał zawrócić.

— Nie martw się, Louisie. Aha, najpierw chciałbym zobaczyć jeden z jego ataków,

— Oczywiście. — Veloso ostrożnie wkroczył na arenę i zamachał płachtą.

Byk najpierw napiął się, po czym zaatakował, Veloso zaś przeskoczył szybko barierę i stanął tuż przy Miguelu. Rogi bestii uderzyły w drewno, wbijając się tak silnie i głęboko, że poleciały drzazgi. Gdy byk uwolnił się i zaczął oddalać, Miguel zauważył szramę na zadzie zwierzęcia, szramę, która mogła pochodzić jedynie od nieumiejętnego nakłucia włócznią. Miguel nagle jak gdyby zupełnie otrzeźwiał. Ten byk znał już reguły gry! Adrenalina zakipiała w ciele Miguela.

— Niezła sztuka — powiedział cicho, lecz w jego głowie kłębiły się różne myśli. Ten byk był kolejnym zabójcą. Veloso prawdopodobnie chciał dopełnić dzieła.

— Najlepszy, jakiego miałem w ostatnim czasie — powiedział Veloso.  
— Mam nadzieję, że da mi wielu synów.

— Chciałbym zobaczyć jeszcze raz, jak atakuje.

— Aa, robisz się ostrożny, przyjacielu.

Miguel spojrzał mu prosto w oczy.

— Nie poruszam się teraz tak szybko jak kiedyś.

— Oczywiście, oczywiście. — Veloso ponownie wszedł za barierkę i zamachał płachtą, podczas gdy byk kopał ziemię na środku areny.

— *Ehe, ehe!* — krzyknął Veloso.

Byk z ogromną siłą rzucił się w jego kierunku. Zanim jednak mężczyzna uskoczył w bezpieczne miejsce, silne ramię Miguela opłotło jego szyję, odginając do tyłu głowę, trzymając ciało wbite mocno w barierkę, dusząc krzyk próbujący wydobyć się z gardła. Cielsko byka zważyło się na ciało ofiary, rogi wbiły w Velosa, barierka aż zatrzęsła się od uderzenia.

Isabel krzyknęła.

Byk szarpał głową, ale Miguel nie zwalniał uścisku. Wyszeptał prosto w ucho Velosa:

— Chciałbym ci pomóc, ale mam tylko jedną nogę, skurwysynu.

Rogi po raz drugi wbiły się w ciało. Miguel rozluźnił uścisk i Veloso upadł bezwładnie. Isabel wpatrywała się bezmyślnie w męża.

— Nie żyje? — szepnęła po chwili.

Miguel oparł się o barierkę, ciężko dysząc. Nie odpowiedział. Powoli odwrócił się i bez pośpiechu zaczął iść w kierunku domu. Isabel jednak pobiegła za nim.

— Och, Miguelu... Proszę cię, poczekaj na mnie. Tak się boję. — Objęła go w pasie i rozpaczliwie przywarła całym ciałem.

— Isabel, przestań... — uwolnił się z jej uścisku — muszę się czegoś napić.

Podawała mu butelkę szampana. Wypił łączywie, jak gdyby próbując ugasić straszliwe pragnienie. Nagle, z uczuciem wielkiego zmęczenia, zwałił się na trawę. Uklękła przy nim.

— Tak bardzo cię kocham... Cieszę się, że już go nie ma — zaczęła opętańczo całować Miguela, spijając krople potu z czoła. — Teraz cała należę do ciebie — wybuchnęła.

— Weź się w garść. Musimy powiadomić władze.

— Ale co powiemy?

Miguel mówił cicho, głosem pełnym sarkazmu:

— Twój mąż był odważnym człowiekiem. Gdy się potknąłem ruszył mi z pomocą.

— Tak, tak, masz rację, tak dokładnie musimy powiedzieć.

— Piję za jego odwagę...

To powiedziawszy, Miguel pociągnął kolejny potężny łyk i zamknął oczy. Kręciło mu się w głowie. Nagle poczuł, jak palce Isabel rozpinają mu spodnie. Otworzył oczy i w pijackim zamroczeniu rozpoznał potężne cielsko byka, spacerującego ospale po oświetlonej przyćmionym światłem arenie. Na barierce leżało poharatane ciało Velosa. Spojrzał na Isabel. Czy wiedziała o tym? Ale jej oczy, płonące w gorączce, były utkwione tylko w nim. Pociągnął łyk szampana w chwili, gdy jej głodne usta zbliżyły się, aby go pocałować. Szampan bryzgnął prosto w jej rozchylone wargi.

— Wiem, że zrobiłeś to dla mnie, Miguelu — szeptała ochryple.

Uśmiechnięte usta Isabel ułożyły się w radosnym uśmiechu.

Zaczęło go ogarniać nieprzewyciężone uczucie wstrętu na wspomnienie tego, co zrobił. Brzydził się samym sobą. Brzydził się nią. Nie mógł się jednak poruszyć. Leżał tam w zupełnym odrętwieniu. Czuł, jak Isabel, mokra od szampana, chciwie bierze jego wargi w swoje.

## ROZDZIAŁ 3

### Stone Ridge, stan Nowy Jork

Patrycja wierzchem dłoni otarła pot spływający jej na brwi, gdy odprowadzała konia do stajni. Skończyła dzisiejszy objazd farmy. Był to niezwykle parny, sierpniowy wieczór. Komary latały chmarami z głośnym bzykiem, powietrze wisiało wilgotne i ciężkie. Na tle ciemniejszego nieba można było rozróżnić kształty nietoperzy podrywających się z poddasza stodoły. To wczesny początek nocnego życia jak na nietoperze, pomyślała, one też chcą uciec od zabójczego upału. Wierny dalmatyńczyk — zwany Taxi, gdyż jego białe-czarne kropki przypominały kraciate amerykańskie taksówki — również nie był tak żwawy jak zwykle. Zazwyczaj biegał po łąkach trzy razy szybciej, okrążając zaczepnie konia, dzisiaj jednak, pozbawiony energii, włókł się w tyle.

Przywiązała konia przed stajnią i poszła po szlauch, żeby splukać zmęczone zwierze wodą. Sama też miała ochotę wskoczyć do wody, zmoczyć ciało, ubranie, wszystko.

Pomimo licznej służby uwielbiała osobiście myć Sporta po przejażdżce — w ten sposób dziękowała temu zwałistemu Appaloosie, swojemu ulubieńcowi. Sport odwrócił łeb i spojrzął na dziewczynę. Rozśmieszał ją do łez sposób, w jaki białka konia biegały to w jedną to w drugą stronę, dolna zaś warga zwisała bezwładnie. Wyglądał wtedy zupełnie jak smutny, mały chłopiec. Ocierając wodę z końskiego zadu, przyglądała się lekkiemu pośpiechowi i ożywieniu, jakie panowały na farmie przygotowującej się do przyjęcia dwóch wytrenowanych koni rasy Lusitano, które miały przybyć jutro z Portugalii.



Patrycja kupiła te konie kilka miesięcy temu, gdy w drugą rocznicę śmierci ojca postanowiła odbyć podróż, którą kiedyś wspólnie zaplanowali. Doktor Solomon odwoził ją od rozpamiętywania tego, co wiązało się z przeszłością, ona jednak nie mogła przestać o tym myśleć.

Przejechała przez całą Portugalię, wyobrażając sobie, że jest z tatusem i próbując odgadnąć to, co chciał jej wówczas powiedzieć. Jego ostatnie słowa wciąż rozbrzmiewały w jej pamięci: „Muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego”. W dziwny sposób zaczęła wierzyć, że klucz do rozwiązania tej zagadki leży właśnie w Portugalii. Co mogło być takie ważne? — zapytywała wciąż samą siebie, spacerując po plaży w Troi, zwiedzając katedry i pałace Lizbony. Ale odpowiedź nigdy nie nadchodziła.

Wówczas, dwa lata temu, tatuś planował wizytę w słynnym Centro Equestre Paula Cardiga, gdzie wciąż jeszcze konie i jeźdźcy trenowali według renesansowej tradycji. I oczywiście Patrycja także tam pojechała. Obserwowała z zapartym tchem doskonałość sztuki samego mistrza. Pod wpływem nagłego impulsu poprosiła o nauczenie jej tej metody, on jednak zażądał co najmniej sześciu miesięcy, aby tego dokonać. Niestety odpowiedzialność za farmę i zbieranie coraz większych funduszy na rzecz Toma Keegana nie pozwalały Patrycji na spędzenie tak długiego czasu poza Ameryką. Poprosiła więc o kompromis. Pieniądze nie stanowiły żadnej przeszkody. Cardiga zgodził się w końcu sprzedać jej dwa konie i zapewnić opiekę instruktora, który pojedzie do Ameryki, by z nią pracować.

Teraz konie i instruktor byli już w drodze. Długa lista zaleceń i szczegółowy opis warunków, które miano zapewnić zwierzętom, nadesłano dwa tygodnie temu — wymogi co do specjalnego siana, ziarna, odpowiednich posłań. Te konie były królewskiej krwi. Fala podekscytowania i niecierpliwości ogarniała ją na wspomnienie urody zwierząt i ich wspólnego wyszkolenia.

Edgar, zarządzający, wyszedł na zewnątrz i wraz z Dennisem, który zajmował się na farmie trenowaniem koni, sprawdzał wykonanie

wszystkich poleceń. Ten silny parobek z Appalachów stanął przed cichym, nieśmiałym Dennisem.

— Więc sprawdziłeś wszystko, hm? — wrzasnął. — To co robią te liny w tamtym kojcu?

Patrycja westchnęła. Edgar był znany ze swojego gwałtownego usposobienia, odznaczał się jednak lojalnością i pracował jak mrówka od świtu do nocy. Nigdy właściwie nie zaaprobował Dennisa, który rozpoczął pracę na farmie kilka miesięcy temu. Za plecami Dennisa mówił o nim: „ten zarozumiały mieszcuch”. Ale Patrycji żal było nieśmiałego chłopaka. Wydawał się delikatny, myślący, okazał się dobrym jeźdźcem. Zauważywszy, że Patrycja wróciła, Dennis zawołał ją:

— Panno Dennison... cieszę się, że pani już wróciła. Pan Cardiga właśnie przed chwilą telefonował...

— Z Lizbony?

— Nie... z ciężarówki.

— Sam pan Cardiga? Myślałam, że ma zamiar przysłać instruktora.

— No cóż, ten człowiek powiedział, że nazywa się Cardiga i że konie są pół godziny drogi stąd.

— Poważnie? O mój Boże, byłam pewna, że przyjadą dopiero jutro.

Patrycję zupełnie oszalała myśl, że sam Paulo Cardiga przyjeżdża na jej farmę. Co powinna teraz zrobić? Gdzie go umieścić? Przygotowała dla instruktora nieduży, parterowy domek, sąsiadujący z bungalowami dla służby, ale dla tego arystokratycznego mężczyzny nie będzie to z pewnością odpowiednie lokum.

Niestety, było za późno na urządzenie czegoś nowego, gdyż ciężarówka już się toczyła wzdłuż drogi wysadzonej po obu stronach wiązami. Taxi, wyczuwając ogólne podekscytowanie, nagle jakby zupełnie odżył i zaczął biec drogą, witając przybywających głośnym szczekaniem.

Ciężarówka stanęła. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i przystojny, młody człowiek wysiadł z szoferki. Zdjął czarny płaski kapelusz z szerokim rondem, odsłaniając ciemne oczy i oliwkową cerę, po czym

wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

— Jestem Miguel Cardiga — powiedział, zwracając się do Dennisa i Edgara — rozmawiałem z którymś z was przez telefon?

— Tak, ze mną. Jestem Dennis, trenuję konie.

— Miguel Cardiga? — zawołała Patrycja. I nagle zaczęła dostrzegać podobieństwo. Tak, to z pewnością był syn Paula. On jednak, jakby wcale jej nie zauważył, podszedł sztywno i z wyraźnym kuśtykaniem do bocznych drzwi, by je otworzyć.

— Chcę, żeby moje konie natychmiast rozładowano — powiedział rozkazującym tonem.

O czym on mówi? — pomyślała Patrycja, jak to moje konie?

— Kojce są wysłane świeżą słomą, prawda?

— Otrzymaliśmy list z instrukcjami — odpowiedział mu Dennis.

— Żadnych trocin czy wiórów, to wysusza za bardzo ich kopyta.

— Oczywiście — przytaknął Dennis, pomagając Edgarowi opuścić pochylnię.

Patrycja czuła, że powinna obrazić się za grubiańskie maniery przybysza, ale było coś zabawnego w kontraście, jaki stwarzały jego władcze gesty i mokra od potu koszula, która przylgnęła do ciała, podkreślając linie dobrze zbudowanych ramion.

— Panie Cardiga — spróbowała raz jeszcze — jestem Patrycja Dennison, właścicielka farmy. Przede wszystkim chciałabym...

— Mademoiselle — przerwał jej, lekko skinąwszy głową — teraz zajmuję się końmi, później będę mógł zająć się panią.

— Ale ja chciałabym... — przerwała na widok pierwszego zwierzęcia. Był to cętkowany siwy koń z opadającą na pysk białą grzywą i dumnie uniesioną głową. Gdy, prowadzony przez Edgara, koń delikatnie schodził po pochylni, Miguel zbliżył się do niego wolnym krokiem.

— Ultimato — szepnął, łagodnie głaszcząc koński kark i mrużąc coś po portugalsku. Jego grubiańskie maniery zupełnie gdzieś zniknęły. Patrycja nie miała wątpliwości, że koń go rozumiał. Miguel wręczył postronek Dennisowi.

— Przeprowadź go tu dookoła — zatoczył palcami okrąg — powoli... pięć minut, potem zabierz go do stajni i daj mu wody... lekko ciepłej. Ten koń jest zgrzany. Strasznie dziś gorąco — oznajmił, jak gdyby tylko on to zauważył.

Stał przy ciężarówce, wyprostowany jak gospodarz, oczekujący na powitanie kolejnego honorowego gościa.

— Spokojnie, spokojnie — upominał Edgara. Ani na moment nie odrywał oczu od schodzącego po pochylni konia.

— Ach, Harpalo.

Lśniący gniadosz wysunął nos w jego kierunku. Mężczyzna znowu zaczął przemawiać do konia po portugalsku i Patrycja po raz drugi zobaczyła, jak koń odpowiada na łagodny dotyk jego dłoni.

— Ej, ty — zawołał do Dennisa, który wciąż jeszcze zajmował się siwym koniem. — Pamiętasz, co ci powiedziałem?

— Tak, proszę pana.

— To samo zrób z tym.

Patrycja, zirytowana, że pozostaje niezauważona, tym razem podeszła do niego bardziej stanowczo.

— Panie Cardiga!

Odwrócił się w jej stronę, zdjął kapelusz i skłonił się. Jego uwaga była teraz skoncentrowana wyłącznie na niej. Patrycja czuła się tak, jak gdyby światła reflektorów spoczęły na jej postaci. Nagle zdała sobie sprawę, że nie bardzo wie, w jaki sposób zaprowadzić mężczyznę do przygotowanego dla niego lokum. Zamiast tego zaczęła mówić jękając się:

— Jeżeli... jest jeszcze coś... co mogłabym dla pana zrobić...

— Ależ tak — uciął jej. — Gdzie będę spał?

Zwróciła się do Edgara, który z bierną miną obserwował całe przedstawienie, żując przy tym źdźbło trawy.

— Edgar... Zabierz, proszę, pana Cardigę i jego bagaż do bungalowu.

— Dziękuję. — W jego zuchwałym tonie nie było ani krzty wdzięczności.

— Czy chciałby pan coś zjeść?

— Nie, na razie potrzebuję tylko snu.

Patrycja obserwowała, jak gość kroczy sztywno za Edgarem, najwyraźniej miał jakiś problem z lewą nogą. Może byłby najlepszym trenerem na świecie, gdyby nie te jego grubiańskie maniery, pomyślała. Ale za to w jaki sposób obchodził się z końmi. I po angielsku też mówił zupełnie niezłe, z miło brzmiącym dla ucha śpiewnym akcentem. To zaczynało się robić coraz bardziej interesujące.

Jakiś dźwięk wyrwał Miguela z głębokiego snu. Ziewnął, przeciągnął się, nie mając najmniejszej ochoty otwierać oczu. Co to było? Ach, tak. To pianie koguta. Gwałtownie usiadł na łóżku. Siedział na dziwnym, pełnym białej pościeli posłaniu. Rozejrzył się po pokoju — ściany z chropawo heblowanych desek były do czysta wymyte, dębowa podłoga wyłożona bawełnianymi chodnikami. Po przeciwnej stronie — kominek, drewno na podpałkę i grubsze kloce tylko czekały na zapalki. To rzeczywiście przytulny pokój, musiał przyznać. Jego gospodyni miała dobry smak. Jak długo spał? Tylko przez chwilę, skoro koguty wciąż jeszcze piałły na powitanie nowego dnia. Poprzedniej nocy rzucił się na łóżko, tak jak stał, zbyt zmęczony, aby zdjąć z siebie ubranie. Wykończyła go ta podróż w ładowni dostawczego samolotu. Ale upierał się, że sam będzie doglądał koni. Teraz zaś był cały obolały i czuł dotkliwy skurcz w lewej stopie. Wyciągnął rękę, żeby ją rozmasować, ale nogi wcale nie było we właściwym miejscu. Luis Veloso już tego dopilnował — skurwysyn. Nie wystarczyło mu zrobić ze mnie kalekę — chciał jeszcze zobaczyć mojego trupa. Pragnął, aby Isabel ujrzała kochanka zawieszzonego na rogach byka, umierającego na mrocznej arenie. Zęby zacisnęły się Miguelowi, gdy próbował wyrzucić z siebie myśl, która prześladowała go od tygodnia: Zabiłem człowieka. Ale czy Veloso nie zasługiwał na śmierć? Próbował mnie przecież zabić — i to dwa razy.

Zeznanie, jakie on i Isabel złożyli policji, zostało przyjęte bez żadnych dodatkowych wątpliwości. Kapitan, zajmujący się tą sprawą, chyba nie mógłby okazać większego współczucia.

Najcięższym przeżyciem była msza żałobna w lizbońskiej Sé Cathedral. Siedział obok Emilia, nieznającego prawdziwej wersji wydarzeń, i słuchał, jak arcybiskup wylicza cnoty tego dzielnego człowieka. Ze swojego miejsca wyraźnie widział ubraną w żałobę Isabel. Ciężka, czarna woalka zakrywała jej twarz, ale Miguela nie opuszczał obraz tej samej twarzy z groteskowo rozmazaną szminką.

Zupełnie nie czuł się na siłach, żeby uczestniczyć w przyjęciu wydawanym po pogrzebie. Aby uniknąć jakiegokolwiek zetknięcia z Isabel, postanowił wyjechać do Ameryki dzień wcześniej.

Odepchnął od siebie te niepokojące myśli. Wstał, zdjął ubranie i wskoczył pod prysznic. Zimna woda otrzeźwiła go, przełamując zamroczenie po długiej podróży samolotem. Owinął się w jeden z grubych, tureckich ręczników leżących na półce, wziął z krzesła protezę i usiadł na łóżku. Popatrzył na ten kawałek metalu, drewna i skóry — nieprecyzyjne odzwierciedlenie kończyny. Umieścił kolano w zaokrąglonym wierzchołku protezy i ścisnął skórzane paski wokół uda.

Postawił ostrożnie nogę na podłodze sprawdzając, czy proteza jest wystarczająco mocno przymocowana. Po chwili naciągnął szybko swój czarny strój do konnej jazdy, chwycił kapelusz i wyszedł z domu.

.Delikatna, chłodna mgła unosiła się znad mokrej trawy, nadając całemu krajobrazowi tajemniczy i niesamowity klimat. Udało mu się rozróżnić sylwetki koni, poruszające się wolno za czarnym płotem.

Skierował kroki w tę stronę. Mgła rozpraszała się teraz szybko. Wysoko na niebie wisiał jeszcze samotny księżyc, opuszczony przez gwiazdy, jak ostatni gość na przyjęciu, który zasiedział się zbyt długo. Nowa jasność ukazała się oddalona wiele mil od białych podłużnych płotów.

Na horyzoncie pojawiało się coraz więcej koni. Musi tam być chyba co najmniej z setka, pomyślał. Podeszedł bliżej. Wszystkie konie wyglądały tak dziwnie. Poruszały się wolno. Kilka podeszło z trudem w jego stronę.

Miguel był zupełnie zaskoczony. Te konie były kalekami! Stare, z powykrzywianymi nogami, wybitymi kolanami. Wszystkie! Co robiła ta piękna młoda dziewczyna z tyłoma starymi końmi ledwo trzymającymi się przy życiu.

Jakiś gniadosz oparł głowę o płot i trącił Miguela. Musi być przyzwyczajony do pieszczoł, pomyślał mężczyzna, drapiąc koński łeb. Na mosiężnej tabliczce, przymocowanej do skórzanej uprzęży, widniał napis „Misty”. Wewnątrz pyska, na różowym mięsie wytatuowano niegdyś numer: U65-82551. Tak, to koń wyścigowy, urodzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym — bardzo stary, jak na tę rasę.

Przespacerował się wokół wybiegu. Nie wszystkie były końmi wyścigowymi. Zauważył araby, konie palomino, kuce. Cóż za dziwna osoba z tej Patrycji Dennison.

Słońce, różek intensywnej czerwieni, zaczęło wynurzać się zza odległego pagórka, rzucając cienką smugę złocistego światła na ranczo. Miguel skierował się ku stajni.

Patrycja wyskoczyła spod prysznic i wytarła się do sucha. Było jeszcze bardzo wcześnie — co najmniej dwie godziny do przyjazdu listonosza. Założyła szybko dzinsy, długie buty i flanelową koszulę w kratę. Przed drzwiami sypialni zatrzymała się na moment, patrząc na wiszący na ścianie duży obraz — „Ten, który zawiesza gwiazdę”. Podarował go jej ojciec, żartując, że to on jest mężczyzną na drabinie. Gdy patrzyła na obraz, nie miała co do tego wątpliwości.

Szybko zbiegła po drewnianych schodach, które prowadziły do rozległego salonu z dużym kamiennym kominkiem. Kochała swój dom. Kiedyś, gdy odkryła to miejsce, nie było tu nic więcej niż ruiny wypalonych posiadłości z półtuzinem oficyn i stodół w różnym stadium rozkładu. Opiekunowie byli oszołomieni, gdy oznajmiła im, że zamierza wyprowadzić się z domu przy Park Avenue i kupić właśnie ten rozwalający się

majątek. Podsluchiwała, jak Horace Coleman mówił do Asha, że renowacja zagrody będzie tym samym, co „splukiwanie pieniędzy do nieistniejącego sedesu”. Ale mimo to obstawała przy swojej decyzji.

Patrycja weszła do przestronnej, starej, wiejskiej kuchni, gdzie Concha, jej meksykańska zarządzająca, nalewała właśnie kawę do kubka, na którym widniał wizerunek Sporta.

— Dziękuję Concha — powiedziała Patrycja, sięgając po kubek. Nagle zamarła w bezruchu. Na stole leżała mała brązowa koperta z kolorowymi libańskimi znaczkami.

— Listonosz przyjechał wcześniej — stwierdziła Concha z uśmiechem.

Serce Patrycji zaczęło gwałtownie bić, gdy oddzierała brzeg koperty.

*Najdroższa — nie pisałem do ciebie przez kilka dni, gdyż nasz szpital został niemalże zniszczony ostatnim bombardowaniem Izraelczyków. Partyzanci ulokowali się w budynku sąsiadującym ze szpitalem myśląc, że w ten sposób unikną ataków. Mylili się jednak, a my znaleźliśmy się w samym środku.*

Ręce zaczęły się jej trząść. Jest bezpieczny, żyje, upominała samą siebie, próbując się uspokoić. Usiadła przy kuchennym stole, aby skończyć czytanie.

*Doprowadzenie wszystkiego do porządku kosztowało fortunę — będę musiał przyjechać do Stanów na zebranie. Ale nie jest tak źle, gdyż dzięki temu będę mógł spędzić Dzień Dziękczynienia wraz z Tobą. Zaczynam liczyć dni.*

Te słowa przyprawiły ją o rumieniec. Łyknęła trochę kawy i zaczęła obserwować domokrężne mrówki, które spacerowały w tę i z powrotem po parapecie. Wydała ścisły zakaz zabijania tych maleńkich stworzonek, które przecież nikomu nie szkodziły. Początkowo Concha wyklócała się zajadle: „Mrówki dostają się do szafek... do żywności... wszędzie”. Wtedy to Patrycja wpadła na genialny pomysł dokarmiania mrówek w jednym miejscu, tak aby nie próbowały szukać pożywienia gdzie indziej. Właśnie dlatego teraz na parapecie okna stał talerz cukru, a małe mrówki pędziły



spiesznie w jedną i drugą stronę, dźwigając ziarnka do swojego mrowiska na podwórzu. Concha oczywiście uważała, że Patrycja ma trochę nie po kolei w głowie i najchętniej w tajemnicy zmiotłaby mrówki z parapetu i spuściła rynną wraz z dużą ilością wody.

Patrycja wpatrywała się w owady — jeden rząd piął się zygzakiem w górę, drugi w dół. Gdy się mijaly, idąc w przeciwnych kierunkach, nigdy nie omieszkały dotknąć szybko swoich czulek. Tego ranka Patrycja czuła, że mrówki przekazują sobie wzajemnie pewną cudowną wiadomość mówiąc: „Tom, jest w drodze do domu!”

Złożyła starannie list i włożyła go do kieszeni spodni, po czym sprawdziła małą miseczkę w spiżarni, gdzie zostawiała jedzenie dla Phoebe, wychudzonej, przybłąkanej kotki, którą niedawno znalazła ukrytą między belami siana w stodole. Phoebe wystawiła nieśmiało swój pociągły pyszczek zza puszek z brzoskwiniami, a po chwili znowu zanurkowała w głąb.

— Przyjdzie tu jeszcze — powiedziała Patrycja do Conchy, która przewracała oczami. Wysączyła do końca kawę i poszła do stajni.

Przed sąsiadującymi ze sobą kojcami, w których umieszczono portugalskie konie, spotkała Dennisa.

— Piękne, prawda? — odezwała się Patrycja, głaszcząc ciekawski nos Ultimata.

— Tak, rzeczywiście, panno Dennison.

— Nie mogę się doczekać, kiedy na nie wsiądę.

— Nie dotykałbym się do nich, gdybym był na pani miejscu.

— Co takiego? O co ci właściwie chodzi?

— On był tutaj dziś rano, o szóstej, sprawdził paszę, wyprowadził każdego konia na półgodzinny spacer i wydał pewne ściśle zalecenie — Dennis dokończył, naśladując głos Miguela: „Nie dotykaj koni, zrozumiano! „

— Gdzie on teraz jest?

— Śpi.

— Śpi?

— Tak.

— Czy nie powiedział ci, kiedy zamierza wstać? — zapytała Patrycja, nie mogąc ukryć rozdrażnienia.

— Bałem się o to zapytać.

— Więc kiedy już wstanie, powiedz mu, że chcę go widzieć — powiedziała twardo na odchodnym.

— Spróbuję.

Odwróciła się, żeby sprawdzić wyraz twarzy Dennisa, ale ten już zniknął za drzwiami prowadzącymi do krytej areny jeździeckiej, która sąsiadowała ze stajnią.

Jeden z chłopców stajennych podał jej wodze. Sport był już osiodłany i tylko czekał na poranną przejażdżkę. Codzienne obowiązki na farmie sprawiały jej wielką radość. Nadawały sens życiu. Te zwierzęta były jej rodziną, nie miała poza nimi nikogo więcej. Oprócz Toma, który zjawił się niedawno.

Gdy przejeżdżała obok parterowego domku Miguela, spostrzegła, że rolety były zupełnie spuszczone. Co za arogancki człowiek. Może powinna wrzucić przez okno jakiś wielki kamień, żeby go wyrwać ze snu. Nawet nie zdążyli jeszcze omówić programu treningu.

Objechała wokół farmę sprawdzając, czy koryta z wodą są pełne i czyste, czy drążki płotów dobrze się trzymają, czy furtki są pozamykane i żaden ze starych inwalidów nie jest chory. Nagle usłyszała podniesione głosy dochodzące ze stodoły, w której przechowywano siano i ziarno.

— Ty przekłety skurwysynu! — rozpoznała ponury głos Edgara — trzymaj te torby z żarciem dla kurczaków z dala od paszy dla koni.

Gdy zbliżyła się, spostrzegła, że Edgar krzychał na jednego z robotników najemnych. Zwymyślany mężczyzna mruczał coś pod wąsem, wynosząc przy tym ciężkie worki.

— Czy to takie ważne, Edgarze? — zapytała Patrycja uspokajająco.

— Oczywiście, panno Dennison. Stały za blisko siebie, a Bóg kategorycznie zabrania je mieszać. Taki wypadek zdarzył się kiedyś na Jersey. Zdechło siedemnaście koni.

— Od karmy dla kurczaków?

— Tak, proszę pani. Karma dla kurczaków zawiera pewien rodzaj lekarstwa — antybiotyk. Dla konia to trucizna.

— Więc trzymaj tę paszę dla kurcząt z dala od mojego Misty — odezwał się kobiecie głos za nimi. Laura Simpson, pulchna kobieta z kręconymi włosami, zbliżała się ku nim, prowadząc Misty.

— Czy próbujesz ukraść tego konia? — zapytała żartobliwie Patrycja.

— Znowu zostałam przyłapana — odpowiedziała Laura, chichocząc.

Patrycja podeszła bliżej, żeby przejść się z przyjaciółką i w tym samym momencie poczuła znajomy zapach.

— Lauro! Obiecałaś, że nie będziesz piła tak wcześnie.

— Kochanie, kiedy ci stuknie pięćdziesiąt pięć lat, też będziesz potrzebowała kielicha, żeby naoliwić stare kości.

— Ależ, Lauro, niszczysz swoje zdrowie.

Laura parsknęła.

— Moje zdrowie! Zupełnie mnie to nie obchodzi. Czy mam po co żyć? Kiedy Joe i Bobby zginęli w wypadku, straciłam wszystko.

— Och tak, wiem, to była straszna tragedia.

— Prawdę mówiąc, jedynie Misty trzyma mnie jeszcze przy życiu. Gdybyś nie zgodziła się wziąć go do siebie i gdybym go także straciła, z pewnością bym się zabiła.

— Nie wolno ci mówić takich rzeczy, Lauro.

— Ale to prawda. Wiesz, że w tym roku Misty ma dwadzieścia pięć lat, dokładnie tyle co Bobby. Gdy jednak chodzę sobie z nim po farmie, udaję, że ciągle jeszcze jest małym źrebakiem, a Bobby to słodki dzieciak, marzący o tym, by zostać kowbojem. Spacerujemy po tej pięknej okolicy i prowadzimy długie rozmowy. To jedyna rzecz, która mi pozostała w życiu. Wiem, że jestem tylko jednym z przypadków, którym udzielasz pomocy, masz ich tutaj setki, ale to, że dajesz Misty maleńki kawałek nieba... — głos Laury się załamał i głośno wytarła nos rękawem.

Pod wpływem nagłego impulsu Patrycja objęła Laurę i mocno przytuliła do siebie.

— Zawsze będę się opiekować Misty i tobą także. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Czy wiesz, co to dla mnie znaczy mieć kogoś, z kim mogę rozmawiać i powierzać mu swoje sekrety?

— No, już dobrze, już dobrze, kochanie. Ależ się obydwie zaczynamy rozklejać. Dzięki Bogu, że nie używałam dziś rano tuszu do rzęs.

Patrycja roześmiała się.

— Lauro, ty zawsze masz jakieś zabawne powiedzonko w tylnej kieszeni.

— Mówiąc o tylnych kieszeniach... — Laura sięgnęła do nich ręką i wyciągnęła marchewkę — Misty jest gorszy od królika. — To powiedziawszy, wsunęła ją koniowi do pyska. — A co z tymi zagranicznymi końmi? Wolno im dawać marchewki?

— Chyba lepiej zapytam Miguela Cardigę.

— Kto to taki?

— Przyjechał razem z końmi.

— I co będzie tu robił?

— Nauczy mnie jeździć.

Laura parsknęła.

— Jedyną rzeczą, której naprawdę nie potrzebujesz, są lekcje jazdy konnej.

— Nie zrozumiałaś — odpowiedziała Patrycja. — To będzie klasyczne jeździectwo, styl portugalski. Te konie po prostu tańczą i prawie nie używa się cugli.

— Uwierzę, jeśli zobaczę to na własne oczy.

— Och, Lauro, one są niewiarygodnie piękne.

— I założę się, że równie drogie.

— No tak, bardzo... Czuję się trochę winna z tego powodu.

— Winna? Co takiego? Z twoją forszą?

— Po prostu czuję się winna, że wydałam tyle pieniędzy na siebie, ale gdy wyjdę za mąż, wszystko się zmieni.

— Wychodzisz za mąż?

— Tom jeszcze mnie nie poprosił, lecz nie mogę oprzeć się marzeniu, że zrobi to, gdy przyjedzie następnym razem...

— No tak, z pewnością potrzebujesz mężczyzny.

— Wiesz... kiedy wyjdę za mąż, zamierzam oddać wszystkie pieniądze dziadka.

— Co takiego? Zwariowałaś?

— Tom czuje dokładnie to, co ja.

Laura potrząsnęła głową.

— Nie nadajesz się do życia.

— Nic nie mogłoby uczynić mnie szczęśliwszą, niż uwolnienie się od tego ciężaru... i zrobienie czegoś dobrego przy użyciu tych pieniędzy.

Twarz Laury wyrażała zupełne zdziwienie.

— No cóż... powodzenia... — wyjąkała. — To wszystko, co mogę powiedzieć.

## ROZDZIAŁ 4

### Stone Ridge

Patrycja zgasiła światło, przewróciła się na bok i wpadła na Taxi. Ach, piesku, pomyślała, pewnego dnia Tom będzie tutaj leżał, a ty będziesz musiał przenieść się na podłogę przy łóżku. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, co? Podrapała psa po głowie. Taxi nie poruszył się, ale merdał ogonem, uderzając o koc.

Leżała tak spokojnie, przekraczając powoli granicę snu. W tym półprzytomnym stanie odniosła wrażenie, że coś drapie ją po twarzy. Otworzyła oczy. Światło księżyca wdzierало się przez okno, tworząc smugę, która oświetlała łóżko i Phoebe, przybłąkaną kotkę, siedzącą na poduszce i liżącą policzek Patrycji chropowatym językiem. Patrycja nie śmiała odpędzić jej — po raz pierwszy ten wystraszony, półdziki kociak okazał jej swoje uczucie. Phoebe nie przestawała lizać policzka dobrodziejki. Jeszcze chwila a nie zostanie mi ani kawałek skóry — zachichotała dziewczyna. Przestraszony kot zeskoczył z łóżka.

Patrycja rozbudziła się na dobre. Spojrzała na zegar — było dopiero wpół do piątej. Wstała, żeby przynieść sobie szklankę wody. Sącząc ją, podeszła do okna. Co takiego? Odciągnęła zasłonę, żeby lepiej widzieć i wstrzymała oddech.

Miguel Cardiga jeździł właśnie na szarym koniu, na Ultimacie, w srebrnym świetle prawie pełnego księżyca. Koń i jeździec poruszali się z wdziękiem wokół areny, jak gdyby odbywało się to w zwolnionym tempie. Koń zawieszał każdą z nóg w powietrzu, zanim zrobił następny krok. Wskazówki jeźdźca były nie do uchwycenia, gdy tak siedział wyprostowany

i pełen opanowania, ubrany w dobrze przylegającą kurtkę i kapelusz z szerokim rondem.

Mój Boże, żeby tylko potrafić tak jeździć, pomyślała Patrycja, podczas gdy koń rozpoczął jakiś skomplikowany manewr, krzyżując nawzajem tylne i przednie nogi i ślizgając się bokiem w poprzek areny — magiczny obraz w delikatnym świetle księżyca. Patrycja szybko narzuciła wełniany szal na cienką koszulę nocną i pobiegła w stronę schodów. Wilgotna trawa ugięła się pod jej bosymi stopami, gdy zbliżała się do areny. Ale gdy tam dotarła, Miguela już nie było.

Miał wyjątkową zdolność znikania. W zeszłym tygodniu w ogóle go nie widziała. Dennis opowiadał jej, że Miguel wstawał bardzo wcześnie, biegł do koni, po czym chyba spał cały dzień. Z pewnością także pił — tego dnia, kiedy przyjechał, wraz z jego siodłami i pozostałym bagażem, wyładowano także trzy skrzynki wina. Concha znalazła już sporo pustych butelek, sprząając jego dom.

Był niespokojnym facetem. Wydał ściśle polecenia Dennisowi, żądając, aby nikt nie dosiadał koni przynajmniej przez tydzień i nigdy bez jego nadzoru. Ale teraz, w końcu, miała próbkę jego jeździeckich umiejętności — nie ulegało wątpliwości, iż był synem swojego ojca.

Gdy stanęła już przy arenie, nagle pojawił się Miguel, dosiadając Harpala. Minął ją ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie. Była pewna, że ją zauważył. Wpatrywała się w niego jak zauroczona, gdy lekko i bez wysiłku kierował Harpalem, który posłusznie wykonywał wszystkie polecenia jeźdźcy. Po wykonaniu ostatniego piruetu Miguel opuścił arenę i skierował się ku stajni.

Zahipnotyzowana ujrzaną sceną, Patrycja ruszyła w tym samym kierunku. Gdy weszła do stajni, koń był już rozsiodłany i Miguel wycierał go mokrą szmatą. Podeszła do niego, nie zwracając uwagi na źdźbła siana, kłujące jej bosc stopy.

— Jesteś nadzwyczajny! — wyrzuciła z siebie.

Spojrzał na nią krótko, skinął głową i znów zaczął wycierać konia.

— Zawsze trenujesz konie nocami?

— Ojciec nauczył mnie, że w ciszy nocnej łatwiej uczynić zwierzę posłusznym.

Patrycja poczuła się niezręcznie, niepewna, czy należy powiedzieć coś więcej, czy odejść. Gdy rozważała ten problem, Miguel odprowadził Harpala do kojca, mamrocząc coś po portugalsku. Chciałaby móc rozumieć ten język. Słowa brzmiały delikatnie i z uczuciem, jak słowa, które mężczyzna szepcze swojej kochance.

— Mademoiselle, pewnego dnia będzie pani też jeździć w ten sposób.

— Nie sądzę, ale spróbuję, jeśli...

Nie pozwolił jej skończyć.

— Nauczę panią.

Zbliżył się do niej. W dłoni trzymał długi ozdobny bat. Zatrzymał się na odległość ramienia i podniósł bat w górę. Spiczasty czubek omal nie dotknął jej ust.

— Gdy siedzi się w siodle, wówczas ty i koń stanowicie jedność — powiedział cicho.

Była jak zahipnotyzowana. Bat zaczął wolno zsuwać się wzdłuż jej szyi, zbliżając do wypukłości na piersiach.

— Doświadczysz uczucia, jakiego nie zaznałaś nigdy dotąd.

Zauroczona jego słowami, stała jak wrośnięta w ziemię, niezdolna do wykonania żadnego ruchu. Miguel wypuścił bat z dłoni, objął ją mocno ramionami i pocałował mocno w usta. Prąd elektryczny przeszył jej ciało — to było fascynujące i przerażające jednocześnie. Wyrwała mu się i odskoczyła niczym oparzona.

— Jak śmiesz!

Miguel nie poruszył się. Po prostu stał i patrzył na nią, nie zmieniając wyrazu twarzy. Po chwili przymknął oczy.

— Przepraszam, mademoiselle. Źle zrozumiałem pani wizytę, w nocnej koszuli, o wpół do piątej rano.

Wydawało się, że patrząc zagląda gdzieś głęboko w jej duszę. Po chwili odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Patrycja po prostu wypadła ze stajni, pędząc do domu, do swojej bezpiecznej sypialni. Zatrzasnęła za sobą drzwi, jak gdyby była ściwana.



Bez tchu opadła na łóżko obok Taxi, który ledwie na nią spojrzął i ziewnął. Myśli kłębiły się w głowie Patrycji. Była szalona — na wpół naga wychodzić z domu w środku nocy. Ale tak ją porwała magia sztuki jeździeckiej Miguela, że zupełnie straciła rozsądek. Jak będzie mogła teraz z nim pracować? Musi poprosić go, żeby wyjechał — ale wtedy zabierze ze sobą konie. To była bardziej jej wina niż jego. Oczywiście, że źle ją zrozumiał. Och, dlaczego muszę zawsze zrobić ze wszystkiego jakiś problem?

Pozostała w łóżku, próbując udawać, że nic się nie wydarzyło, nie chcąc przyznać się przed sobą do myśli, że ten pocałunek sprawił jej przyjemność.

— Och, Tom, wracaj prędko! — szepnęła do poduszki.

Miguel usiadł ciężko na łóżku. Sięgnął po butelkę, napełnił kieliszek i pociągnął duży łyk, ale wino nie przyniosło spodziewanego rezultatu. Jego ciało trzęsło się z emocji.

Co on sobie, do cholery, wyobrażał? Ale przecież była prawie naga... Kształt jej piersi rysował się pod tym cienkim, jedwabistym materiałem. A co by zrobił, gdyby ona odpowiedziała twierdząco? Wziąłby ją tam, po prostu, w stajni? Pozwolić jej, żeby pomogła mu odczepić protezę? Obserwować, jak patrzy na jego kikut ze współczuciem albo ze wstrętem? Boże, ale ze mnie głupiec!

W końcu jednak wino zaczęło przynosić pożądany skutek. W alkoholowym zamroczeniu usłyszał nagle uporczywe dzwonicie. Minęło trochę czasu, zanim się zorientował, że był to telefon.

— Emilio!

— Kiedy wracasz do domu, Miguelinho?

— Chyba w przyszłym tygodniu. Po kilku lekcjach właścicielka Ultimata nie wsiądzie nigdy więcej na konia.

— Nie podoba ci się stara dziedziczka? Jest taka brzydka?

— Och nie, nie jest ani stara, ani brzydka. Jest bardzo piękna.

— Ach tak? Więc cierpisz?

- Tak Emilio, tęsknię za domem.
- Przyślę ci następną skrzynkę wina.
- Schowaj ją sobie gdzieś.
- Przyślę ci Isabel.
- O czym ty, do cholery, mówisz?
- Spotkałem ją wczoraj wieczorem, w klubie Bairro Alto. Ciągle o ciebie pytała.
- Po prostu nic jej nie mów.
- Musiałem.
- Co masz na myśli?
- Była rozczarowana, że nie przyszedłeś na przyjęcie po pogrzebie... Wyjechałeś tak nagle... bez pożegnania...
- Więc co jej powiedziałaś?
- Dałem jej twój numer telefonu.
- O cholera! Ciągle próbuję się od niej uwolnić.
- Dlaczego?
- Jest pieprzoną nudziarą!
- Aaaa... Ale czy jest taka nudna w pieprzeniu?
- Przyjacielowi znowu się udało, Miguel nie mógł powstrzymać śmiechu.
- Możesz ją mieć.
- Nagle na linii dały się słyszeć jakieś trzaski.
- Emilio... Emilio...
- Włączyła się portugalska telefonistka.
- Pod jaki numer pan telefonuje?
- Och, proszę sobie nie zawracać tym głowy — odparł Miguel. — On zadzwoni jeszcze raz.

Patrycja skuliła się pod wierzbą rosnącą na cmentarzu koni, przytuliła twarz do swych nagich kolan i zapłakała. Na ziemi obok niej leżał list od Toma — odwoływał swoją wizytę, która wypadła w przyszłym miesiącu. Miał ważne powody, ciężko chorzy potrzebowali go. Ale obiecał, że już na pewno spędzą razem Nowy Rok. Ciągle jednak nie mogła przestać płakać; nie było jej żal samej siebie, ogarnął ją po prostu niesamowity smutek. Jakaś jej część była pusta... Część, którą zawsze pragnęła wypełnić. Tom mógłby to uczynić, nie miała co do tego wątpliwości, ale

teraz czuła się taka samotna. Oczywiście może zadzwonić do którejś ze swoich przyjaciółek: Joanny Benson, Laury, ale nie znosiła pokazywać ludziom, jak bardzo była w środku nieuporządkowana. Czasami czuła się bardzo silna, później jednak smutek brał górę i nie mogła powstrzymać łez. W takich chwilach zawsze tu przychodziła i wyobrażała sobie, jak dobrze i spokojnie byłoby leżeć w ziemi wśród starych przyjaciół, tak bez strachu, po prostu śpiąc. Przepęlniona taką falą melancholii, nie miała by siły na jakąkolwiek konfrontację z Miguelem Cardigą. Postanowiła nie wspominać nawet słowem o wypadku w stajni i zobaczyć, jak wszystko się potoczy.

Na pierwszą lekcję Miguel przyprowadził na arenę gniadosza Harpala, uwiązanego sześciometrową liną. Koń miał założone siodło i uzdę, strzemiona jednak zostały zdjęte, brakowało także cugli. Zanim jeszcze Patrycja mogła to zakwestionować, Miguel władczy gestem nakazał Dennisowi, żeby pomógł jej wsiąść na konia. Znalazła się w siodle, jej ręce bezradnie szukały lejc, nogi zwiślały bezwładnie.

— Co mam teraz robić? — zapytała, śmiejąc się nerwowo.

— Nic — odpowiedział gburliwie Miguel — po prostu proszę wczuwać się w rytm konia. Klasnął językiem i Harpalo zaczął powoli iść naprzód, ale Miguel prawie natychmiast gwizdnął. Koń stanął. Trener zbliżył się na kilka kroków.

— Czy siedziała pani kiedykolwiek na koniu, panno Dennison?

— Panie Cardigą, całe życie jeżdżę konno, wygrałam wiele nagród w gonitwach myśliwskich.

— Ale nie ma pani wycucia konia. Siedzi pani sztywno jak deska, nogi uciskają koński brzuch. Jak to możliwe, żeby porozumiewała się pani ze zwierzęciem, skoro jest pani taka spięta?

— Nie jestem spięta! — zaprotestowała, robiąc się coraz bardziej rozłoszczona własnym upokorzeniem.

— Nie jest pani spięta? Och, no to przepraszam, mademoiselle. — Wypuścił linę, zostawiając Patrycję z głupim samopoczuciem. Zastanawiała się, czy nie powinna zsiąść, on jednak po chwili był już z powrotem, niosąc dwa jajka.

— Bez bekonu? — Patrycja próbowała ukryć własny niepokój.

Nie zwrócił uwagi na ten żart.

— To surowe jajka... Wsadzę jedno między siodło a pani udo. Proszę trzymać nogę mocno, żeby jajko nie spadło, ale jednocześnie nie napięrać, aby go nie zgnieść. — Podał jej drugie jajko — proszę umieścić to pod drugim udem.

Teraz czuła się jeszcze śmieszniej niż poprzednio, siedząc na koniu bez lejc i strzemion, delikatnie ściskając udami dwa jajka.

Miguel rozwinął linę i dał znak batem. Harpalo ruszył wolnym cwałem. Po kilku sekundach obydwaj żółtka ściekały po nogawkach bryczesów Patrycji wprost do jej butów.

Miguel zatrzymał konia i podał linę Dennisowi.

— To wszystko na dzisiaj.

Patrycja zeskoczyła z konia i spojrzała w dół na żółte ślady na spodniach. Gdy podniosła wzrok, Miguel już odchodził wolnym krokiem. Krzyknęła za nim:

— Ma pan rację, panie Cardiga. Jestem spięta! Jestem spięta! Ale pan też!

Odwrócił się i jego twarz rozjaśniła się radośnie. Dotychczas Patrycja nie zauważyła, jak białe i równe były jego zęby. Należało to przemyśleć, gdyż dopiero pierwszy raz zobaczyła jak się uśmiecha.

Miguel wrócił do swojego domku. Uśmiech wciąż jeszcze rozświetlał jego twarz.

Jeden zero dla Patrycji Dennison, pomyślał.

Był pewien, że dziewczyna ma zamiar się rozplakać. Musiał przyznać, że złośliwie oczekiwał na moment, gdy przez łyż obrzuci go wszelkimi możliwymi obelgami, każe wynieść się z farmy i zabrać te wstrętne konie. Ale ona go zaskoczyła.

Zauważył rumieniec napływający do jej policzków, gniew w jej oczach,

później jednak, zamiast załamać się, stracić panowanie nad sobą, przypawiła go o uśmiech.

Odwrociła całą sytuację, pomyślał, ciskając kapelusz na krzesło i rzucając się na łóżko. Nie łatwo złamać upór tej dziewczyny.

Sięgnął, aby odkorkować butelkę wina i znalazł kolejną wiadomość. Dzwoniła Isabel. Opróżnił szklankę. Kiedy ona, do cholery, zrezygnuje?

Ogień trzaskał na kominku w salonie, odpędzając chłody wczesnej jesieni. Z głośników płynął spokojny głos Billy'ego Joela. Weszła Concha, wnosząc kawę i babeczki.

Laura wypila łyk.

— Wiesz, że kocham ten twój stary dom, ale mając takie pieniądze, czy nie mogłabyś wymienić tego zarobaczywione go drewna na ścianach?

Patrycja roześmiała się.

— Och! Lauro, ja właśnie celowo ułożyłam to drewno. Pochodzi z osiemnastowiecznej stodoły, której nie udało się odbudować. Bardzo mi się podoba, gdyż pokój jest przez to taki przytulny, jak poddasze pełne siana.

— No cóż, dobrze, że przynajmniej nie ułożyłaś na podłodze siana i nie przeniosłaś Sporta do kuchni.

Patrycja się roześmiała tak serdecznie, że omal nie rozlała swojej kawy. Laura była czasami taka dowcipna.

— Lauro, wiem, że uważasz, iż jestem zwariowana, ale gdybym nie miała tej farmy, tych zwierząt, naprawdę doprowadziłoby mnie to do obłądu. Właśnie ty, spośród wszystkich ludzi, powinnaś rozumieć, ile koń może znaczyć dla człowieka.

— Tak, tak, wiem, kochanie — odpowiedziała Laura, patrząc w przestrzeń. Nagle smutny wyraz jej twarzy zniknął tak szybko, jak się pojawił i zwróciła się do Patrycji: — À propos koni, jak tam lekcje tańca?

Patrycja westchnęła.

— Nie mówmy o tym, proszę. Wolałabym zapomnieć o wydarzeniach ostatniego miesiąca. On jest okropnym człowiekiem. Moje najlepsze bryczesy są całe upaprane żółtkiem.

— Co jajka mają do konnej jazdy?  
— To długa historia. Wolalabym rozmawiać o czymś przyjemniejszym.

— Na przykład o Tomie Keeganie?

Patrycja westchnęła i sięgnęła do kieszeni, wyciągając stamtąd list.

— To od niego?

Skinęła głową.

— Pisz dwa razy w tygodniu.

— Nie trudź się z czytaniem mi wszystkiego, tylko to o seksie.

— Och Lauro, to cudowne być zakochanym — wskazała na wiszący na ścianie kalendarz, poznaczony dużymi iksami. — Zostało jeszcze sto czternaście dni.

— Mówisz jak więzień.

— Bo nim jestem i czekam na Toma, żeby mnie wyzwolił.

— O kurcze, wszystko wskazuje na to, że będziemy mieli na naszej starej farmie jakąś gorącą noc!

Patrycja zaczerwieniła się, nie wiedząc co odpowiedzieć i podeszła do okna. Miguel trzymał Harpała na długiej linie, trenując z nim klus. Jego noga wydawała się dziś sprawniejsza. Nigdy go o to nie pytała, ale zastanawiała się nad tą sprawą. Czy był to rezultat wypadku, czy może choroby Heinego-Medina... Czy wrodzonej wady? To z pewnością nie wpływało na jego jeździeckie umiejętności. Nie przestawała go obserwować, jego sposób traktowania koni przyprawiał ją o zdumienie.

— Wiesz Lauro, dzisiaj mężczyźni patrzą na ciebie i biorą siłą, pragnąc seksu.

— Naprawdę? — zachichotała Laura. — Chciałabym, żeby ktoś co chwila brał mnie siłą.

Lecz Patrycja się nie roześmiała. Nie opowiedziała Laurze o wypadku w stajni i teraz również nie chciała o tym mówić.

— Ale Tom nie jest taki. On kocha mnie naprawdę. Szanuje mnie jako człowieka.

— Mówisz jak dziewica — odparła Laura z ustami pełnymi babeczki.

— Chciałabym nią być... — Patrycja usiadła za biurkiem, pociągnęła łyk kawy i popatrzyła smutno na Laurę. — Wiesz, w szkole umawiałam się na randki, czasami chodziłam do kina, a potem kochałam się.

— Co w tym złego?

— Robiłam to z nieodpowiedniej przyczyny... Prawie rzucałam się na każdego napotkanego faceta. Byłam spragniona uczucia. Nigdy nie miałam dość. Już później doktor Solomon wyjaśnił mi, że uprawiałam seks po to, żeby po prostu ktoś mnie przytulił. Zawsze jednak zwalczałam w sobie rodzące się później uczucia.

— Dlaczego?

— Kiedy ktoś na mnie patrzy, to co widzi? Mnie czy pieniądze dziadka? — To powiedziawszy, pojaśniała. — Gdy Tom na mnie patrzy, wiem, że wielbi mnie taką, jaka jestem. Pieniądze nic dla niego nie znaczą.

— A czy seks coś dla niego znaczy?

— Och, Lauro, czy zawsze musisz wracać do seksu?

— Nie potrafię znaleźć lepszego tematu.

Patrycja westchnęła rozmarzona.

— Seks będzie czymś cudownym dla nas obydwójga, ponieważ zaczyna się od prawdziwej miłości. Ciągle wyobrażam sobie, że leży obok mnie...

— Zamiast Taxi.

— Lauro! Mówię poważnie.

— Mówisz jak z jakiejś romantycznej powieści.

— Ależ ja chcę romansu, to dla mnie bardzo ważne.

— No cóż, kochanie, może go już znalazłaś.

## ROZDZIAŁ 5

### Stone Ridge

Po odbyciu wielu jeszcze uciążliwych lekcji i poplamieniu sześciu par bryczesów, Patrycja była w stanie siedzieć na Harpalu podczas jego chodu, klusa i cwału nie zgniatając ani jednego jajka. Oczywiście Miguel nigdy nie pozwolił jej dosiąść Ultimata.

Nie mogła się doczekać jakiegoś słowa pochwały z ust Miguela, wszystkim, co udało jej się do tej pory osiągnąć, było słowo „tak”, gdy dobrze wykonywała jego polecenia. To „tak” stało się dźwiękiem, za którym najbardziej tęskniła. Ostatnio, gdy Miguel je wypowiadał, jego twarz rozświeślał uśmiech. Zawsze przyprawiało to dziewczynę o rumieniec.

Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Miguel przyprowadził Harpala osiodłanego i ze strzemionami zwisającymi na właściwym miejscu. Wciąż jednak nie było lejc.

Miguel wszedł na wybieg, niosąc dwie szklanki wypełnione do połowy czymś, co wyglądało jak czerwone wino.

— Aha, pora na bankiet?

— Nie, mademoiselle, pora na test. Jeżeli nie będzie pani miała przez cały czas idealnie pewnych dłoni, urazi pani delikatne zakończenia nerwów w końskim pysku. Ten trunek to periquita, jedno z najlepszych portugalskich win. Proszę go nie zmarnować. — To powiedziawszy, umieścił każdą ze szklanek w dłoniach Patrycji. — Teraz proszę udawać, że trzyma pani lejce delikatnie jak kwiat, nie jak kamień.

Miał poetyczny sposób mówienia, zupełnie niepasujący do jego surowych zachowań.



Ostrożnie Patrycja zaczęła prowadzić Harpala, nakazując wykonywanie podstawowych kroków. Nie uroniła ani kropli. Gdy Miguel zatrzymał konia, jej twarz rozświetlał uśmiech.

— Musi być pani bardzo z siebie dumna, mademoiselle.

— Rzeczywiście, jestem.

— Ale test jeszcze się nie skończył. — Odkorkował butelkę i wypełnił szklanki prawie po brzegi.

Zanim jeszcze Harpalo mógł przejść w cwał, czerwona ciecz rozlała się po białych bryczesach dziewczyny. Gdy spojrzała w dół, z przerażeniem oceniając straty, usłyszała jak Miguel mówi:

— To wszystko na dzisiaj, mademoiselle.

— Panie Cardiga! — zawołała, gdy Miguel już odchodził.

Odwrócił się, a ona podniosła wypełnioną do połowy szklankę.

— Gratuluję, znowu się panu udało.

Palce Miguela bębniły po telefonie, gdy czekał na połączenie z Lizboną. Przez okno widział Patrycję siedzącą na swoim Appaloosie. Nakrapiany pies biegł za nakrapianym koniem.

Musiał jej to przyznać — nigdy nie opuszczała codziennych okrążeń wokół posiadłości, rano ani wieczorem. Było mu nawet trochę przykro z powodu wszystkich zniszczonych bryczesów i, wbrew sobie, cieszył się z postępów, jakie robiła dziewczyna. Nie będzie łatwo odzyskać z powrotem Ultimata. Oczywiście nigdy nie prawił jej komplementów, ostatnio jednak jego krytycyzm zaczął łagodnieć.

— Halo! — odezwał się głos Emilia.

— Zgadnij kto?

— Och, to ty, Miguelu. Wróciłeś do Lizbony?

— Jeszcze nie.

— Mówiłeś ostatnio, że to potrwa jeszcze tydzień, a od tamtej pory minęły już prawie dwa miesiące. Czy coś nie w porządku?

— Problem nie w tym, że coś jest nie w porządku. Właśnie wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ona jest za dobrym jeźdźcem.

- To jeszcze nie znieawidziła koni?
- Nie, ale potrzebuję następnej skrzynki periquity.
- Więc ona tak uwielbia wino?

Podczas gdy Emilio zaczynał dokuczać przyjacielowi, oczy Miguela mimowolnie podążyły za Patrycją. Zsiadła na moment z konia i sprawdziła kopyta jednego ze swych podopiecznych. Zauważył, jak złocisty liść klonu opada i z miękkością zatrzymuje się na jej włosach. Promienie słońca zamieniły go w lśniący topaz. Miguelowi zrobiło się żal, że liść spadł na ziemię, gdy dziewczyna podniosła się z kłęzek. W chwili gdy skończył rozmowę, Patrycji już tam nie było.

Miguel szybkim galopem przejechał na Ultimacie wzdłuż całej łąki, zwolnił jednak bieg konia do nonszalanckiego kłusa, gdy dostrzegł Patrycję wychodzącą z małego przeszklonego domku, na którym widniał napis „Insektarium”.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Czym mogę panu służyć, panie Cardiga?

— Mademoiselle, interesuje mnie ten budynek. Służba nazywa go domem robali. Co to znaczy dom robali?

Roześmiała się, chowając dwie czarne buteleczki, pełne małych czerwonych żuczków, do torby przy siodle Sporta i ponownie dosiadła konia.

— Tak, służba też się z tego śmieje — powiedział Miguel.

— Ależ to naprawdę nie jest takie śmieszne. Hoduję tutaj pożyteczne pluskwy i w ten sposób nie muszę używać na moich różach żadnych sprayów przeciwko szkodnikom.

— A jak hoduje pani te pożyteczne pluskwy?

— Karmię je szkodnikami, które także hoduję w żdźbłach lucerny, co widać przez okna szklarni. Ale tutaj trzymam szkodliwych więźniów.

Jego twarz przybrała wyraz skupienia.

— Aha, ale jak odróżnia pani obydwie gatunki?

— Mszyce, czyli te złe zwierzaki, są czarne, a te pożyteczne — podniosła w górę jedną z fiolek — biedronki, czerwone. Gdy mam wystarczająco

dużo czerwonych, zabieram je do różanego ogrodu, aby zjadały tam szkodniki.

— Ach tak, rozumiem.

Jego zmarszczone brwi prawdopodobnie oznajmiały jej, że wcale nie rozumiał, ale mimo to był chyba pierwszą osobą, którą to zainteresowało.

Patrycja przynagliła Sporta i ze zdziwieniem zauważyła, że Miguel podążył za nią. Jechał jednak w takiej odległości, że prowadzenie rozmowy było absolutnie niemożliwe bez podnoszenia głosu.

Dziewczyna zatrzymała się przy płocie, zbudowanym z poprzecznych sztachet, który otaczał rozległy teren porośnięty różanymi krzewami. Otworzyła fiolki, uwalniając owady. Z bzykaniem poleciały zygzakiem w kierunku róż, ostatnich już o tej porze roku.

— Dlaczego jest tu tak dużo białych róż? — zapytał nagle Miguel.

— To były ulubione kwiaty mojej matki. Chyba byłam bardzo rozbita, kiedy się tu wprowadziłam. Chciałam za wszelką cenę odtworzyć czasy mojego dzieciństwa, kiedy jeszcze nic złego się nie wydarzyło... — przerwała. Bez słowa zaczęła oddalać się w stronę stawu dla kaczek i kurnika.

Jest coś dziwnego i wzruszającego w jej sposobie porozumiewania się ze zwierzętami, pomyślał Miguel. Nie jest twardym farmerem, liczącym swoje zyski, ani też sentymentalną dziewczynką bawiącą się zabawkami. Nie wiedział właściwie do kogo ją porównać — może do matki opiekującej się dziećmi.

Końskie kopyta szeleściły na grubym dywanie z liści, gdy dłuższy czas jechali bez słowa. Patrycja zatrzymała się na chwilę. Miguel stanął u jej boku.

— Czy to nie jest piękne? — odezwała się cicho.

Podążył za jej wzrokiem ku żółtozielonemu morzu rozciągającemu się przed ich wzrokiem i naznaczonemu sylwetkami wolno poruszających się koni. Białe drążki płotów połyskiwały w słońcu. Kontury Gór Catskill wyglądały jak kształty kobiety, rozciągnięte pod zachmurzonym niebem.

— To przypomina obraz — odezwał się Miguel.

— To coś lepszego, żywe malowidło. Ono zmienia się codziennie. Niech stare arcydzieła wiszą sobie na ścianach domu mojego dziadka... Ja mam to... — wzięła głęboki oddech — to jest moje arcydzieło.

Nagle zdała sobie sprawę, że Miguel nie wpatruje się już w krajobraz, ale uważnie patrzy na nią. Poczula się trochę niezręcznie.

— Dlaczego nie wraca pan do domu normalną drogą, panie Cardiga? Ja jadę na skróty, przez płoty.

Unióś kapelusz na znak zgody. Przez moment stał bez ruchu obserwując, jak Patrycja mknie przez łąkę, po czym zdecydował się za nią podążyć.

Słyszac za sobą tętent kopyt, odwróciła się i posłała mu szelmowski uśmiezek.

Taxi podniecony czekał na Sporta, gdy koń przeskakiwał przez powalone drzewo. Ultimato zawahał się lekko w tym miejscu, po czym również wziął bez trudu przeszkodę.

Ścigali się tak przez całą posiadłość szlakiem, który ona знаła doskonale, przeskakując wąską szczelinę, kamienny mur, stos drewnianych bali. W końcu wzięli zakręt i Miguel spostrzegł, że w ten sposób zrobili pełny okrąg i zbliżali się teraz do białego podłużnego płotu ostatniego pastwiska. Patrycja ściągnęła cugle i zaczęła coś mówić, Miguel jednak wcale nie zwolnił. Ciągle jeszcze popędzał Ultimata. Koń i jeździec przemknęli gładko w powietrzu, pokonując półtorametrowy płot z dobrym piętnastocentymetrowym naddatkiem, po czym popędzili w stronę stajni.

Miguel rozcierał nogi Ultimata, używając do tego jakiejś maści, gdy do stajni weszła Patrycja.

— No cóż, pokonał mnie pan. Nie wiedziałam, że on był trenowany także do skoków — powiedziała.

— Wcale nie był... ale mademoiselle — kąciki ust Miguela podniosły się nieznacznie w górę — koń, który bezbłędnie potrafi wykonać *capriole*, wyskakując w miejscu metr w górę, może swobodnie pokonać każdą przeszkodę w galopie.

Od tamtego dnia Miguel pojawiał się każdego wieczoru i bez słowa, zachowując zawsze odpowiednią odległość, towarzyszył Patrycji podczas objazdów. Początkowo cieszyło ją jego towarzystwo. Po jakimś czasie jednak zaczęła mieć poczucie winy. Czuli się tak, jak gdyby w jakiś sposób oszukiwała Toma, spędzając tak wiele czasu z innym mężczyzną. Postanowiła, iż powie Miguelowi, że wolałaby odbywać swoje przechadzki w samotności. Przygotowała sobie zawnazu całe przemówienie i ruszyła do stajni, dopóki jeszcze czuła się na siłach, aby je wygłosić. Ale Miguel nie czekał na nią jak zawsze.

— Dennis, czy widziałeś pana Cardigę?

— Nie, panno Dennison. Czy mam mu powiedzieć, że pojechała pani bez niego?

Zawahała się, klepiąc z roztargnieniem Sporta.

— Tak.

Wyjechała ze stajni, rozglądając się wokoło, czy przypadkiem gdzieś go nie ujrzy, ale Miguel się nie pokazywał. Kiedy dołączył do niej w pobliżu kurnika, jej dobrze przygotowane przemówienie już dawno zostało zapomniane. Nie powiedziała nic, skupiając się na swoich codziennych obowiązkach.

Miguel również nie odczuwał potrzeby mówienia. Sprawiało mu przyjemność samo patrzeć na nią. Wyglądało na to, że Patrycja prowadzi negocjacje z kogutem, który spoglądał na nią podejrzliwie, gdy wyjmowała jajka z gniazda.

— Masz na razie za dużo dzieci, Caruso — powiedziała.

— Mademoiselle, czy wszystkie pani kurczaki mają imiona?

— Tak — odrzekła, uśmiechając się zmieszana.

— Ale jak je pani rozróżnia? Dla mnie wszystkie wyglądają jednakowo.

— Och, to proste. Ich grzebienie mają różne ząbki i oczywiście wszystkie mają odmienne osobowości.

— Mademoiselle — odezwał się Miguel chichocząc — przypomina mi pani pewnego pasterza, którego spotkałem, jeżdżąc konno po krainie Arrábida.

— Pasterza?

— Poprosił mnie, żebym zabrał ranną owcę do weterynarza w pobliskim miasteczku. Oczywiście zgodziłem się. I wtedy zdarzyło się coś najbardziej zdumiewającego.

— Nic mnie nie dziwi, jeśli chodzi o zwierzęta.

— Pasterz coś wykrzyknął, a wówczas jego pies wskoczył w kłębowisko białych owiec i idąc po ich grzbietach dotarł do tej właściwej. — Miguel pokręcił głową, jak gdyby wciąż jeszcze dziwił się na to wspomnienie. — Po prostu wybrał ją spośród pozostałych. Byłem zdumiony. „Skąd ten pies wiedział, o którą owcę panu chodzi?” — zapytałem pasterza. Popatrzył na mnie tak, jak gdybym był głupcem i wie pani, co odpowiedział? „Czy widział pan kiedykolwiek dwie owce, które wyglądają identycznie?”

Patrycja wybuchnęła śmiechem.

— Pani jest zupełnie jak ten pasterz.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Przyjmuję to jako komplement, panie Cardiga.

Kontynuowali przejażdżkę do chwili, kiedy znaleźli się na ścieżce prowadzącej do gęstego lasu. Wjechali na pewną odległość w gąszcz, nagle Patrycja ściągnęła konia i położyła sobie palec na ustach, nakazując ciszę. Po chwili szepnęła:

— Obserwują nas tysiące oczu.

Spojrzał na nią pytająco.

— Ależ tak, my nie możemy ich zobaczyć, ale one nas widzą... wszystkie są gdzieś wokoło.

— Kto?

— Wiewiórki, lisy, króliki, jelenie, węże, ptaki, małe owady...

— Tak, tak, wierzę pani, wierzę — przerwał jej z uśmiechem.

— I nigdy nie wolno nam ich skrzywdzić, ponieważ one mają większe prawo do bycia tutaj niż my.

Miguel rozejrzał się wokoło, jak gdyby dostrzegał to, co go otacza, po raz pierwszy w życiu, czując przy tym zwierzęce oczy obserwujące go z każdej strony. Tak, ludzie byli tu intruzami, nigdy wcześniej o tym nie pomyślał.

Jechali dalej w milczeniu, robiąc pętlę i napotkali przypadkowo ulubione miejsce Patrycji — płaczącą wierzbę, która rosła cichutko i spokojnie

na końskim cmentarzu. Dziewczyna zsiadła z konia i przywiązała go do pnia drzewa. Miguel zrobił to samo z Ultimatem.

Konie natychmiast zaczęły skubać źdźbła dzikiego owsa, Taxi zaś rozciągnął się na mchu.

— Proszę spojrzeć — odezwała się Patrycja, wskazując ręką.

Jego oczy podażyły do miejsca, gdzie kilka płaskich głazów znaczyło lekką pochyłość terenu. Na każdym kamieniu był wyryty napis: Black, Velvet, Knight, Sir Lancelot — imiona koni.

— Więc to jest miejsce, gdzie pani grzebie stare konie?

Skinęła głową i usiadła na trawie, spoglądając z zadumą w przestrzeń. Miguel stał obok.

— Dlaczego ludzie uważają, że cmentarze to ponure miejsca? Według mnie tutaj jest tak spokojnie. Nie sądzi pan?

Nie odpowiedział, przyglądając się spokojnie scenerii. Patrycja wysunęła wskazującą rękę.

— To miejsce tam, pomiędzy Velvetem i Dancerem, jest dla mnie.

Miguela przeszył dreszcz — czy żartowała?

— Kiedy kupiłam tę farmę, postanowiłam zaprzyjaźnić się ze śmiercią. Dlatego właśnie przywiozłam tu te wszystkie stare konie. Chcę, żeby spokojnie dożywały swojego końca. Konie leżące pod tymi kopczykami zdają się mówić do mnie: „Wszystko dobrze, nie ma się czego bać”. To mi bardzo pomaga... ale ciągle się boję.

Miguel był zupełnie zbity z tropu tą rozmową. Cóż za ponure myśli rodziły się w jej głowie.

— Mademoiselle, pani jest za młoda, żeby się bać śmierci.

— Nie. Ja nie boję się o siebie, panie Cardiga. Jestem przerażona, że śmierć zabierze tych, którzy żyją wokół mnie i zostaną zupełnie sama. Pewien szczególnie ważny dla mnie człowiek pracuje w bardzo niebezpiecznej części świata i świadomość, że mogłabym go utracić, paraliżuje mnie i przeszywa strachem.

Miguel zdjął kapelusz i przeciągnął dłonią po swoich gęstych, czarnych włosach.

— Mademoiselle — odezwał się z kwaśnym uśmiechem — jako pogromca byków patrzyłem śmierci w twarz wiele razy. I wie pani czego się nauczyłem? — Przerwał na moment. — Mniej obawiałem się byka niż publiczności...

Popatrzyła na niego dziecięcymi oczami.

— Tak, nie obawiałem się śmierci, lecz porażki. Bałem się zszargać imię mojego ojca. Aż wreszcie zrozumiałem: śmierć nie jest moim wrogiem, jest nim strach.

Patrycja nie wiedziała, co odpowiedzieć. Miguel odwiązał Ultimata i wskoczył na siodło.

— Chyba już będę wracał — odezwał się.

Chciała go zatrzymać, chciała usłyszeć coś więcej.

Znalazłszy się z powrotem w domu, Miguel nalał sobie szklankę wina i postawił ją na nocnym stoliku. Rozciągnął się na łóżku, wciąż myśląc o odbytej dopiero co przejażdżce. Cóż za dziwna dziewczyna, otoczona śmiercią, a miała w sobie przecież wyjątkową pasję życia. Wyzwalała w nim takie uczucia, z których sam rzadko zdawał sobie sprawę. Nigdy dotąd nie rozmawiał z tego typu kobietą.

Nie mógł spać. Założył proteżę, narzucił na siebie kurtkę i kuśtykając wyszedł w noc.

Popatrzył na dom Patrycji i dostrzegł światło w jednym z górnych okien. Więc ona także nie spała. Oparł się o dąb, wsłuchując w dźwięk wiatru, który poruszał nagimi gałęziami drzewa. Tak, Patrycjo — rzadko kiedy zwracamy uwagę na to, co nas otacza. I często nie słuchamy głosu, który szepcze coś w naszym wnętrzu.

Jeszcze raz popatrzył na dom — światło już zgasło. Dobranoc, Patrycjo...

Rano szklanka wina wciąż jeszcze stała pełna na jego nocnej szafce, on zaś spał, wydając przy tym głośne dźwięki. Pierwsza myśl po przebudzeniu dotyczyła Patrycji. Dziwne emocje, które w nim rozbudziła, sprawiały mu przyjemność. Była taka krucha, delikatna, niezdolna nikogo skrzywdzić. Jak zareagowałaby, gdyby dowiedziała się, że zabił człowieka?



## ROZDZIAŁ 6

### Stone Ridge

Listopadowy deszcz uderzał mocno w przeszklony sufit nad wewnętrzną areną do konnej jazdy, a ciemne chmury nadawały przeblyszającemu światłu ponury odcień. Patrycja stała bez ruchu pośrodku piaszczystej podłogi. Zbliżał się Miguel, ale tym razem nie prowadził Harpala, lecz Ultimata – pierwszy raz.

Starła się nie okazywać zdenerwowania, gdy wsiadała lekko na siodło. Jej długie, silne nogi zwisały swobodnie, wsparte na strzemionach.

Głos Miguela był ledwo słyszalny w rytmicznych dźwiękach ulewy.

– Ten koń ma na imię Ultimato, Ultimato Pierwszy. Zaraz pani zrozumie dlaczego – podszedł bliżej. – Proszę pamiętać, żeby nie napinać żadnego mięśnia – powiedział, kładąc dłoń na jej udzie. – Proszę mu pozwolić się nieść. On chce panią nieść, chce to robić bez używania żadnej siły. Umieścił cugle w jej dłoniach, układając je między palcami. – Nie będzie ich pani prawie wcale potrzebować – powiedział. – Zaczynajmy.

Koń zaczął poruszać się do przodu, jego ruchy były płynne, skoordynowane.

– Proszę sobie wyobrazić, że unosi się pani na wodzie – przemawiał Miguel ze środka areny.

Uśmiechnęła się pozwalając, by ogarnęło ją to uczucie.

– Teraz proszę zwrócić ku mnie ramiona.

Zrobiła to.

– Proszę na mnie spojrzeć.

Jego oczy napotkały jej spojrzenie. Koń również zwrócił się w kierunku Miguela.

Odniosła wrażenie, jak gdyby strumień wody zafalował pod nią i wszystko zaczęło unosić się w jego stronę.

— Tak — powiedział.

Patrycja wykonywała wszystkie jego polecenia: delikatnie odwracała ramiona, przenosząc lekko ciężar ciała w prawo lub w lewo, aby koń zareagował i zmienił kierunek biegu. Zupełnie straciła rachubę czasu. Nie wiedziała, co ją tak zahipnotyzowało, deszcz, koń czy mężczyzna. Było to wrażenie, którego nigdy nie miała zapomnieć. Wiedziała, że od tej pory jeżdżenie na tym i na jakimkolwiek innym koniu nie będzie już takie samo.

## Nowy Jork

Idąc korytarzem biurowca Grupy Stonehama, Patrycja lekko zadrżała. Nie znosiła odwiedzać tego budynku. Był taki zimny, pozbawiony wszelkich ozdób. Stanowił olbrzymią przestrzeń w ciemnoszarych tonacjach, ze ścianami pokrytymi talerzami z nierdzewnej stali. Był to monument doskonale wyrażający cześć dla J.L.

Dwóch strażników stało po obu stronach windy i chociaż powitali ją serdecznie, poruszając jednocześnie wokół jej ciała wykrywaczami metalu, to jednak czuła się, jak gdyby przechodziła kontrolę u wejścia do Pentagonu.

Patrycja miała nadzieję, że dzisiejsze spotkanie z opiekunami nie przeciągnie się zbyt długo — była umówiona z Miguelem na lunch. Chciała zaprowadzić go w jakieś szczególne miejsce, zarezerwowała więc stolik w Le Cirque. Przyjechał z nią do Nowego Jorku, aby odnowić swój paszport w konsulacie portugalskim. Oznajmił jej, z zagadkowym wyrazem twarzy, iż przypuszczał, że wróci do Lizbony, zanim paszport straci ważność.

Gdy otworzyła drzwi prowadzące do sali narad zarządu, postanowiła zebrać wszystkie siły. To z pewnością nie było zbyt przytulne miejsce

spotkania; te wysokie, wąskie szczeliny, które miały udawać okna, i ośmiometrowy szklany stół z dwoma tuzinami wyściełanych krzeseł dookoła. Trójka opiekunów Patrycji zebrała się przy jednym końcu stołu.

Na szczęście tym razem stos papierów nie był zbyt wysoki. W ciągu pół godziny wykonała swoje obowiązki i wstała, żeby odejść, kiedy pytanie Colemana zupełnie ją zamroziło.

— Moja droga, dochodzą nas jakieś niepokojące plotki. Czy to prawda, że masz zamiar poślubić doktora Keegana? — Biały wykrochmalony kołnierzyk wbijał się w jego mięsiste policzki, które zwisały tak nisko, że dotykały węzła jego krawata.

Patrycja z czerwieniejącą twarzą wpatrywała się w całą trójkę. Pani Sperber siedziała wyprostowana, trzymając dłonie na kolanach. Ash wydawał się nerwowo krzywić twarz.

— Wujku Horace... nigdy nie przypuszczałam, że przywiązujesz jakąkolwiek wagę do plotek.

— Zasadniczo nie, ale ty wykazałaś szczególnie żywe zainteresowanie tym młodym człowiekiem.

— No cóż... jeżeli w moim życiu będzie planowany jakiś ślub, ty, wujku, będziesz pierwszą osobą, która dostanie zaproszenie. — Próbowała przykryć śmiechem własne zakłopotanie.

Coleman spojrział na nią ostro, po chwili jednak jego twarz złagodniała w wymuszonym uśmiechu.

— Obawiam się, że będziemy potrzebować bardziej szczegółowych informacji na ten temat... Muszą zostać podjęte pewne kroki.

— Jakie kroki?

Ash odchrząknął i sam dokończył:

— Twój dziadek bardzo martwił się tym, żebyś nie wpadła w szpony jakiegoś niegodnego zaufania łowcy posagów.

Patrycja poczuła, że sztywnieje.

— Doktor Keegan nie jest łowcą posagów, panie Ash.

— Bob! — Coleman rzucił Ashowi twarde spojrzenie. — Zachowujesz się niepoprawnie. — Następnie zwrócił się do Patrycji: — Przepraszam, moja droga. Nie chcemy wtrącać się w twoje prywatne sprawy, ale musimy przestrzegać prawa. Paragraf ósmy, punkt e testamentu J.L. wymaga,

abyśmy ocenili zalety i intencje twojego przyszłego męża.

— Czy to znaczy, że jesteście przeciwni Tomowi?

Pani Sperber uśmiechnęła się życzliwie do Patrycji.

— Osobiście uważam, że doktor Keegan jest bez zarzutu. — Otworzyła jakiś folder. — Ukończył medycynę w Harvardzie, jest najmłodszym człowiekiem, który otrzymał Amerykański Medal Wolności...

— I jest człowiekiem, który został najhojniej obdarowany z zasobów Fundacji Miłosierdzia imienia Stonehama — przerwał Coleman.

— Wujku Horace! Ten szpital to bardzo ważna sprawa.

— Ależ tak, tak... uspokój się Patrycjo — Coleman próbował załagodzić sytuację — po prostu chcemy, żebyś przemyślała wszystko spokojnie i nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

Patrycja podniosła się, wrząc z emocji.

— Nie jestem głupia, znam dyspozycje testamentu równie dobrze jak wy. Spójrzcie na paragraf ósmy, punkt f.

Po wyjściu Patrycji w sali konferencyjnej zaległa głucha cisza.

— O co jej chodziło... paragraf ósmy, punkt f? — zapytał Ash.

— To ta część, w której jest napisane, iż kiedy ona wyjdzie za mąż, może nam powiedzieć, żebyśmy sobie poszli do diabła — wybełkotał Coleman z twarzą czerwoną od gniewu.

— No cóż — odezwała się pogodnie pani Sperber, zamykając folder i wstając z krzesła. — Będziemy wreszcie wolni od tej przerażającej odpowiedzialności. Muszę powiedzieć, że jest dla mnie bardzo trudne wyznaczać jakieś ograniczenia tej ślicznej i myślącej młodej damie. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

— Potrzebujemy teraz do pomocy czegoś więcej niż sentencji Szekspira — uciął cynicznie Coleman.

— Ale co możemy zrobić? — spytał Ash, wyciągając gumową piłeczkę, którą ściskał, wzmacniając swój chwyt do gry w golfa.

Coleman przeszedł się dookoła, kołysząc z boku na bok grubym cieleciem, aż wreszcie uderzył tłustą dłoń w stół.

— Pomagałem zbudować to imperium, a ona dziękuje mi za to, rzucając paragrafem ósmym, punktem f prosto w twarz. Więc tyle dostaję za moją lojalność!

— Wszystkim nam zapłacono adekwatnie do naszych usług — odezwała się pani Sperber. — Gdy Patrycja wyjdzie za mąż, nie będziemy już tu mieli nic do roboty — wygładziła starannie swoją spódnicę i wzięła ze stołu teczkę. — Życzę dobrego dnia, panowie.

Coleman wpatrywał się w zamknięte drzwi.

— No cóż, Horace, ona ma rację. Rzeczywiście dostajemy po pięć milionów po rozwiązaniu rady.

— Bzdury! — Coleman wrzasnął Ashowi prosto w twarz. Rzucił na stół folder i zaczął krzyczeć chrapliwym głosem. — Popatrz na to! Pamiętasz, jak ostro walczyłem, żeby przenieść do Meksyku sekcję środków owadobójczych? Idź i obejrzyj to.

Ash wypuścił z dłoni piłkę i posłusznie otworzył folder, podczas gdy Coleman wciąż jeszcze warczał:

— Dzięki mnie dochody z tej operacji zwiększyły się o siedemdziesiąt procent. — Oparł się o stół. — To przedsięwzięcie jest warte więcej niż dziesięć miliardów, Bob. Dziesięć miliardów to są dopiero pieniądze. I to ja się do tego przyczyniłem.

— Ale co możemy w takim razie zrobić?

— Wiele. Nie mam zamiaru dać się kopnąć w dupę.

Gdy Sirio, właściciel restauracji Le Cirque, prowadził Patrycję do stolika, wciąż jeszcze drżała po swojej utarczce z opiekunami. Ucieszyła się, że Miguela jeszcze nie było. Zamówiła podwójną wódkę z sokiem pomarańczowym. Brwi Siria uniosły się ze zdumienia, ale nie powiedział ani słowa. Do czasu, gdy przyszedł Miguel, trunek zrelaksował ją i było jej wręcz wesoło.

— Mademoiselle — ukłonił się na powitanie — przepraszam za spóźnienie.

— Nie jesteś spóźniony... Miguelu — po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Czy nie uważasz, że forma „panie Cardiga” i tak była używana zbyt długo?

Nieznaczny uśmiech pojawił się na jego wargach, gdy odpowiedział, skinąwszy głową:

— Tak, mademoiselle. — To powiedziawszy, usiadł.

— Nie jestem mademoiselle — mówiła dalej — mam na imię Patrycja.

Uśmiechnął się szerzej.

— Tak, Patrizio — wymówił c jak zet.

Podobało jej się to.

— Tak jest lepiej — roześmiała się. — Jesteś taki szarmancki... ledwo mogę cię poznać.

— *Como?*

— Zazwyczaj jesteś taki oschły... Z wyjątkiem twojego stosunku do koni... Zawsze jesteś delikatny i cierpliwy w obchodzeniu się z końmi.

— Nauczyłem się tego od ojca. On nienawidzi ludzi i kocha konie.

— Ale gdy go poznałam, był bardzo miły.

— Och, jestem pewien, że tak było, ale on potrafi być prawdziwym skurwysynem.

— Aż trudno mi w to uwierzyć.

Miguel oparł się o stół.

— Pozwól, że opowiem ci pewną historię: któregoś dnia, nie zapytawszy wcześniej ojca o pozwolenie, jechałem na jego ulubionym koniu Amante, którego kochał ponad wszystkie inne. Byłem jeszcze dzieckiem, ale rozzłościłem się, że nie umiem zmusić Amante do robienia tego, co potrafił wykrzesać z niej ojciec. Mocno uderzyłem koński łeb batem. Amante, przyzwyczajona do łagodności ojca, stanęła dęba i musiałem kurczowo trzymać lejce, żeby nie stracić równowagi i nie spaść. W tej samej chwili podszedł do nas mój ojciec. „Zsiadaj”, rozkazał. Zeskoczyłem z siodła. Ojciec początkowo w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Gładził nos Amante, szepcząc jej coś do ucha, po czym zawołał jednego ze służących, żeby zabrał konia do stajni. Wtedy obrócił się do mnie. Wyrwał mi z ręki bat i uderzył mnie nim w twarz.

— Uderzył cię batem w twarz?

— Byłem zupełnie bez tchu, kiedy skończył. Po chwili odezwał się: „Człowiek może wybierać, koń nie”.

— I to nauczyło cię łagodnie obchodzić się z końmi?

— To nauczyło mnie nienawidzić własnego ojca. Czuję się jak zwierzę, które nie może oddać. I wtedy po raz pierwszy zastanowiłem się nad tym, co dzieje się w takiej sytuacji z koniem. Od tamtej pory nigdy nie byłem okrutny dla żadnego konia.

Patrycja obserwowała w milczeniu zapatrzonego w przestrzeń Miguela. Po chwili jego ciemne, zadumane oczy spotkały jej szare, niewinne spojrzenie.

— Patrizio, traktuj konia z dobrocią i uczuciem, a będzie ci posłuszny, będzie ci służył, pozwól mu być swoją panią.

Patrycja zdjęła skórkę winogrona z koniuszka języka i położyła na talerzu. Delikatny uśmiešek pojawił się na jej twarzy.

— Uważasz, że to zabawne?

— Uważam, że to wznuszające. Chciałabym, żebyś traktował mnie jak konia.

Miguel wybuchnął szczerym śmiechem.

— Ależ, Patrizio, ja nigdy nie stanę się panem. Ty jesteś właścicielką farmy.

Ukryła zaczerwioną twarz za kieliszkiem wina.

— Kochanie! — Jakiś głośny głos przerwał ich rozmowę. — Obiecałaś, że zadzwonisz do mnie, kiedy następnym razem będziesz w mieście!

Joanna Benson, ze swoją wysoką fryzurą, unoszącą się i opadającą w dół, pogroziła Patrycji upięścienionym palcem.

— Och, Joanna! No... ja...

Ale oczy Joanny były już utkwione w Miguelu.

— Och, pozwól, że ci przedstawię... — zaczęła Patrycja.

Miguel wstał i uklonił się sztywno.

Joanna obrzuciła go szybkim spojrzeniem, jak gdyby oceniała jakiś przedmiot wystawiony na sprzedaż.

— Ależ nie przeszkadzajcie sobie, proszę, w lunchu. À propos, francuska zupa z porów jest tutaj przepyszna — dodała cicho i ruszyła w

kierunku drzwi, aby dołączyć do dwóch innych kobiet, które, podobnie jak ona, były szykownie ubrane, chociaż miały przesadny makijaż. Joanna jednak przyciągała oczy przede wszystkim swoją wyszukaną fryzurą.

— Bliska przyjaciółka? — zapytał Miguel.

— Nie, niezbyt bliska. Ale jest bardzo zabawna, ma ogromne poczucie humoru.

Za plecami Miguela Patrycja dostrzegła, że stojąca przy drzwiach Joanna przywołuje ją ruchem ręki. Przeprosiła i skierowała się w tamtą stronę.

— Kochanie, czy ty hodujesz tych facetów na farmie? — Joanna przyparła Patrycję do ściany w pobliżu szatni. — Ten wygląda nawet lepiej niż doktor.

— Nie, nie... — zaczęła się jąkać Patrycja. — Żle zrozumiałaś. To nie jest tak...

— Chcę jedynie wiedzieć, czy ten przystojny doktor jest już teraz osiągalny?

— Och nie, Miguel jest po prostu moim instruktorem jeździectwa. Tom przyjedzie tu za kilka tygodni...

— Bogacze, biedacy, bankierzy, złodzieje, prawnicy, lekarze... — zachichotała Joanna. — Myślę, że masz rację: nie ma nic lepszego od dobrego lekarza, żeby utrzymywał cię w formie — szturchnęła Patrycję — jeżeli wiesz, o co mi chodzi. — Mrugnawszy porozumiewawczo okiem, Joanna odeszła do swoich przyjaciółek, dodając jeszcze głośnym szepem: — Może ja powinnam zająć się jeździectwem.

Patrycja została sama przy szatni, nie przestając intensywnie myśleć. Joanna wyciągnęła na światło dzienne to, co ona sama ukrywała przed sobą tak długo — wzrastające przywiązanie do Miguela. Przyjaciółka od razu to zauważyła. Nagle ogarnęło ją poczucie winy i skrucha. Doskonale się bawiła, uganiając na koniach, podczas gdy biedny Tom zaharowywał się w dalekim Libanie. Nie była godna jego miłości, była pusta i samolubna. Tom przyjedzie tu już za tydzień. Do tego czasu odwoła wszystkie lekcje konnej jazdy i całkowicie uwolni się od Miguela.



## ROZDZIAŁ 7

### Stone Ridge

Patrycja cwałowała na Sporcie po śniegu, wpatrując się cały czas w nadlatujący helikopter. Załatwiła, że prywatny pilot Stonehama odbierze Toma na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku i przywiezie prosto na farmę. Nie chciała spędzić ani minuty dłużej z dala od niego. Gdy helikopter zaczął zbliżać się ku ziemi, wzbijając pod sobą biały tuman śniegu, Sport nagle przestraszył się i odskoczył gwałtownie w prawo, gotów pędzić z powrotem do stajni.

— Hoa! Sportie, hoa!

Głupotą było zabierać tu ze sobą konia. W końcu jednak jej cichy, łagodny głos zdołał uspokoić przestraszone zwierzę, zanim śmigło maszyny przestało się kręcić. W chwili gdy ukazała się opalona twarz Toma, Sport był już idealnie spokojny, ale teraz Patrycja zaczęła się denerwować. Zeskoczyła z siodła i pobiegła prosto w wyciągnięte ramiona mężczyzny.

— Och! Tom... Tom... wreszcie jesteś.

Przytulił ją mocno.

— Przepraszam, że nie mogłem przyjechać na wakacje.

— To nie ma znaczenia, ważne, że teraz tu jesteś.

— No więc, Wesołych Świąt... — pocałował ją — i Szczęśliwego Nowego Roku... — pocałował ją ponownie.

Śmigło znowu zaczęło się poruszać. Odwrócili się i spostrzegli Sporta pędzącego z powrotem do stajni. Obydwoje wybuchnęli nagle śmiechem. Patrycja wzięła Toma pod rękę i zawołała, przekrzykując warkot silnika:

— Chodź, zaprowadzę cię do domu.

Brnęli w głębokim śniegu kierując się do domu dla gości, który Patrycja ozdobiła dziś rano pękami ostrokrzewu. Nie zapomniała również położyć świeżo pachnącego mydła. Żałowała teraz, że jeden z pokoi na pierwszym piętrze w głównym budynku przekształciła na gabinet. A przecież ten właśnie pokój miał dodatkowe drzwi prowadzące do jej sypialni. Przed domem ściągnęli długie buty, żeby nie nanieść śniegu.

— Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo tęskniłem za śniegiem — mówił Tom, po czym przerwał i spojrzął na dziewczynę. — Jak bardzo tęskniłem za tobą — wyciągnął ręce, żeby strzepnąć z jej włosów płatki śniegu. Jego dłonie gładziły jej policzki. — Jesteś w rzeczywistości znacznie piękniejsza niż w snach, które miałem o tobie w Libanie — ucałował delikatnie jej wargi. Patrycja nie usłyszała szczekania Taxi, jej serce waliło jak młotem.

— Teraz, kochanie, zostaw mnie na kilka minut, żebym mógł się przebrać i zaczął wyglądać jak prawdziwy farmer.

Tom, ubrany w czerwoną kurtkę z kapturem, nie mógł być mniej podobny do farmera. Siedział na ławce przy wewnętrznej arenie obok Dennisa obserwując, jak Patrycja z dumą demonstruje umiejętności Ultimata. Czuli się spokojna i ufna, gdy wykonywała serie piruetów i ósemek. Kątem oka dostrzegła opartego o ścianę Miguela, na którego twarzy igrał jakiś zagadkowy wyraz.

— Jestem pod wrażeniem — powiedział Tom, gdy już skończyła i podjechała w jego kierunku.

Patrycja zaczerwieniła się.

— Dziękuję.

— Robisz to tak, jakby to było takie proste. Myślę, że ja sam mógłbym znowu wskoczyć na konia...

— Dlaczego tego nie zrobisz?

— No cóż...

— Proszę, Tom, ścieżki są takie piękne, gdy pada śnieg.

— Przekonałaś mnie... ale nie mogę siedzieć w żadnym z twoich płaskich siodłał. Potrzebuję jakiegoś wybrzuszenia, żeby się na nim wesprzeć.

Dennis roześmiał się.

— Kowbojskie siodło, to także mój styl.

— Dennis, szybko! Skoro doktor Keegan jest w nastroju, osiodłaj dla niego konia.

— Już się robi! A co z panią, panno Dennison? Będzie pani jeździć na Ultimacie, czy mam osiodłać dla pani Sporta?

— Nie, dziękuję. Wy, dwaj kowboje, wypróbujecie szlaki na własną rękę. A ja zajmę się obiadem.

— Chodźmy — powiedział Tom, przeskakując płot — zanim stracę ochotę.

— Przygotuj dla pana Keegana Petunię — nakazała Patrycja Dennisoni.

— Petunię? — zawołał Tom. — To brzmi jak imię jakiejś starej, siwej maskary, która już dawno nie jest tym, czym była.

— Po tych wszystkich niebezpieczeństwach w Libanie chcemy, żebyś był bezpieczny tu na farmie.

Patrycja obserwowała tych dwu mężczyzn idących w stronę stajni. Pragnęła, aby każda chwila na farmie pozostała Tomowi w pamięci. Drżała na samą myśl o tym, że ukochany postanowił znowu zacząć jeździć konno i że stanie się to kolejną rzeczą, którą będą mogli dzielić.

— Nie zabaw zbyt długo — zawołała za nim. — Concha przygotowuje na dzisiaj coś specjalnego. Obiad za dwie godziny.

Zsiadła z Ultimata i podeszła do Miguela, który wciąż jeszcze stał w tej samej pozycji.

— Miguelu, może przezwycięzysz swoje upodobanie do jedzenia w samotności i przyłączysz się do mnie... do nas... podczas dzisiejszego obiadu?

— Nie, dziękuję — odparł, odwracając się od niej, by wziąć lejce.

— Żałuję, że nie miałam czasu na lekcje w tym tygodniu, ale było tyle przygotowań...

— Rozumiem.

— No cóż, jeżeli zmienisz zdanie co do obiadu, powiedz mi, proszę.

Miguel nie odpowiedział.

Opuszczając wewnętrzną arenę, Patrycja spostrzegła kilku pracowników farmy. Byli zajęci lepieniem bałwana, który w zadziwiający sposób przypominał Edgara. Dziewczyna zachichotała na widok przesadnych rozmiarów krągłutkiego brzuszka. Mężczyźni najwyraźniej doskonale się bawili. Wszyscy byli tacy szczęśliwi.

Znalazłszy się z powrotem w stajni i odprowadziwszy Ultimata do jego kojca, Miguel obserwował Toma i Dennisa, którzy, zanosząc się od śmiechu, jechali w stronę pokrytych śniegiem wzgórz. Więc to jest ten słynny doktor, który poświęcił życie, by pomagać pokrzywdzonym przez los ludziom z dalekich krajów. Cóż za szczytny cel w życiu. Kurewsko szczytny! Czy rzeczywiście tak wygląda Matka Teresa w spodniach?

Miguel postanowił, że zmieni zdanie i przyjmie zaproszenie na obiad.

Patrycja z uwagą rozstawiła meksykańskie tortillas i świeże warzywa wokół miski z pikantnym sosem. Bez wątpienia, dobrze to wszystko razem wyglądało. Umoczyła palec w misce i polizała.

— Concha... *muy caliente!* Za ostre!

— Nie, nie, panno Dennison... *perfecto!*

Widząc Toma i Dennisa, przejeżdżających pod oknami kuchni, Patrycja otworzyła na oścież drzwi.

— I jak było? — zawołała.

Tom uniósł się w górę i zeskoczył z konia, wyciągając nogi w udawanej agonii.

— Potwornie!

— Nie jest taki zardzewiały, jak twierdzi, panno Dennison — odezwał się Dennis, przywiązując Petunię do swojego konia, żeby odprowadzić zwierzęta do stajni.

Tom wszedł do kuchni.

— Dennis był dla mnie bardzo cierpliwy. Udzielił mi kilka doskonałych rad na utrzymywanie się w siodle.

— To świetny jeździec.

— Zaprosiłem go do nas na obiad. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, kochanie.

— Oczywiście, że nie. Będzie także Miguel. I wierz mi, że Concha przygotowała tyle jedzenia, że starczyłoby dla całej armii.

— Mógłbym w czymś pomóc?

— Pewnie, spróbuj tego...

Przysunęła w jego kierunku miskę z sosem.

— Za ostre, nie sądzisz?

Zanurzył łyżkę i wylizał do czysta.

— Ależ nie, doskonały.

Concha aż urosła z zadowolenia, a Patrycja tylko westchnęła cichutko.

— Obydwoje spiskujecie przeciwko mnie — chwyciła stertę talerzy i z filuternym uśmiechem wsadziła je Tomowi w ręce. — Proszę bardzo, może ty też się do czegoś przydasz.

Obiad przebiegał gładko i nie brakowało tematów do rozmowy. Jedyną osobą, która nie odzywała się zbyt wiele, był Miguel. Zamknięty w sobie jak żółw w skorupie, nie wypuszczał z dłoni kieliszka wina. Patrycja szukała gorączkowo jakiegoś tematu, który jego także mógłby wciągnąć do rozmowy.

— Dlaczego zostałeś pogromcą byków? — zapytała w końcu.

— Ponieważ nigdy nie stałbym się takim jeźdźcem, jakim był mój ojciec.

— Skąd ta pewność?

— Widziałaś kiedyś, jak jeździ mój ojciec?

— Tak, ale...

— Więc sama rozumiesz. — On jest najlepszy na świecie.

Siedzący przy drugim końcu stołu, Dennis i Tom rozmawiali przyciszonymi głosami.

Miguel mówił dalej:

— Pamiętam, że jako dziecko słyszałem tysiące okrzyków radości, gdy ojciec pojawiał się konno na arenie. Dla mnie wyglądał jak ktoś, kto zstąpił z nieba. Olbrzymi mężczyzna na olbrzymim rumaku. Gdy dorastałem,

nigdy nie opuszczało mnie marzenie, że pewnego dnia tłum będzie podziwiał moje umiejętności, tak jak podziwiał jego. Prawie mi się to udało.

— Prawie? Ale...

— Patrycja poczuła rękę Toma na swoim ramieniu i nie dokończyła zdania.

— Kochanie! O czym tak fascynującym mówi pan Cardiga?

— Och, opowiadał mi o swoim ojcu... Uważa go za najlepszego jeźdźca na świecie.

— Moim zdaniem pan Cardiga również daje sobie doskonale z tym radę... pomimo swego kalectwa.

Patrycja zauważyła, jak Miguel sztywnieje.

— Przejdźmy na kawę do drugiego pokoju — powiedziała wesoło.

— Tydzień temu, tuż przed moim odlotem z Bejrutu — mówił Tom, podczas gdy Patrycja rozlewała kawę z ekspresu do małych filiżanek — widziałem młodego chłopaka, miał nie więcej niż dziewięć lat — i tu zwrócił się do Miguela — któremu amputowano obydwie nogi i to powyżej kolan...

— Och, jakie to straszne — powiedziała Patrycja, siadając na podłodze przy jego krześle. Wszyscy słuchali z zainteresowaniem.

— To się zdarza codziennie, kochanie — po czym znowu odwrócił się do Miguela. — Umocowaliśmy dwie sztuczne kończyny do jego ud w bardzo prymitywny sposób, ale gdyby pan zobaczył tego dzielnego malca... Ciągle się potykał, upadał, próbując chodzić i nie przestawał się śmiać. Czy mógłby pan w to uwierzyć?

Miguel nic nie odpowiedział, biernie słuchając.

— Dla niego to była zabawa. Nie zdawał sobie sprawy, co to znaczy być kaleką do końca życia. — Tom oparł się na krześle i pogładził Patrycję po włosach. — Ale dzięki tej młodej damie będziemy mogli mu dostarczyć nowoczesne protezy. Wkrótce chłopiec nauczy się chodzić,

skakać, biegać. Zobaczycie... — powiedział, podnosząc się i zbliżając do Miguela. — Czy mogę? — i nie czekając na odpowiedź, podniósł nogawkę, która zasłaniała sztuczną kończynę Miguela.

Patrycja była zaskoczona. Nigdy by na to nie wpadła. Jak Tom się tego domyślił?

— Ta proteza jest starego typu... — Tom wskazał na brzydki zbitek drewna i gumy — za ciężka — dotknął miejsca imitującego kostkę — żadnej ruchliwości, zmienności położenia. Powinien pan zobaczyć się z doktorem Burgessem w Seattle. Wynałazł nowy typ protezy dla sportowców.

— Doskonale daję sobie radę, dziękuję — odparł Miguel, naciągając nogawkę.

— Ale mógłby pan być znacznie bardziej ruchliwy przy mniejszym wysiłku — odrzekł Tom, po czym zwrócił się do Patrycji: — Kochanie, gdzie są te broszury, które przywiozłem ze sobą?

Bez słowa wskazała róg stołu.

Tom sięgnął po nie i zaczął przeglądać papiery.

— Niech pan to przeczyta — wręczył Miguelowi kolorową ulotkę — to pana przekona. Protezy z Seattle naprawdę zdają egzamin.

Miguel wziął broszurę, ale Patrycja widziała, jak mocno zacisnął zęby. Zmarszczyła brwi. — Dlaczego Tom mówi wciąż o tym samym? Jej myśli szukały niespokojnie jakiegoś innego tematu rozmowy.

— Jeszcze kawy, Miguelu? — nie mogła wytrzymać milczenia.

Miguel wstał i uśmiechnął się z przymusem.

— Dziękuję za pańską konsultację, doktorze, to był bardzo kształcący wieczór. A tobie, Patrizio, dziękuję za wspaniały obiad. Dennis, zobaczymy się rano w stajni. — To powiedziawszy, opuścił pokój.

Dennis również się poderwał.

— No, to ja chyba też już pójdę... i naprawdę bardzo dziękuję za zaproszenie.

Tom odprowadził go do drzwi.

– Dziękuję za dzisiejszą przejażdżkę i cenne rady.

Dennis wymamrotał coś w odpowiedzi, ale Patrycja tego nie dosłyszała. Stała przy oknie patrząc na Miguela, który brnąc w śniegu, poruszał się znacznie bardziej niezręcznie niż zwykle. Odwróciła się do Toma.

– Jak mogłeś?

– O co ci chodzi, kochanie?

– Upokorzyłeś go.

– Kogo?

– Miguela.

– Naprawdę?

– Nikt z nas nie wiedział, że ma tylko jedną nogę.

– Ależ kochanie, to było oczywiste. Próbowiałem mu pomóc. Dlatego właśnie dałem mu tę broszurkę. Atleta taki jak on mógłby funkcjonować znacznie lepiej, normalnie...

– Ale on jest bardzo dumny.

Tom potrząsnął głową i westchnął.

– Chyba masz rację. Lecz widzisz, kochanie, przez tyle lat pracując jako lekarz, musiałem wyzbyć się wszelkich skrupułów. Chyba tracę współczucie dla innych – podszedł do drzwi. – Pójdę natychmiast i przeproszę go.

– Nie, nie... najlepiej zostawić go teraz w spokoju.

Zatrzymał się.

– Taak, chyba... – w zamyśleniu nalał sobie kolejną filiżankę kawy.

– Wiem, że nie chciałeś, że to tak wyszło.

– Ale to nie jest usprawiedliwienie. I właśnie to mnie przeraża.

– Zbyt wiele strachu, bólu i nędzy zmienia człowieka. Czyni go obojętnym na cierpienia innych.

Patrzyła na niego współczująco, gdy opadł zmęczony na sofę.

– Jestem wypalony. Czas, żebym to zostawił.

– Zostawił Liban?

– Tak, dopóki jeszcze nie jest za późno.

Wydawał się przygnębiony. Patrycja nie wiedziała, co odpowiedzieć. Po chwili zaczął mówić dalej:



— Oddział dziecięcy zostanie przebudowany do następnego roku. Dzięki tobie Fundacja Keegana mocno się trzyma. Teraz inni, silniejsi i bardziej zapaleni niż ja powinni tym się zająć.

— Och, Tom, tak się cieszę, i tak dokonałeś już znacznie więcej, niż do ciebie należało. Ale co będziesz potem robił?

— Może zostanę wiejskim lekarzem gdzieś w tej okolicy — uśmiechnął się. — Mogłabyś pożyczyć mi małego konika i powozik na obchody, hm?

— Nawet umiem powozić — zaśmiała się cicho.

— Ale poważnie, Patrycyjo, zaproponowano mi bardzo dobrą posadę w Lenox Hill Hospital przy Park Avenue. Postanowiłem przyjąć propozycję. Chcę wrócić do domu... do ciebie.

— Och, Tom — Patrycja objęła go ramionami i pocałowała.

Przytulił ją mocno i posadził obok siebie.

— Chciałbym z tobą porozmawiać.

Jej serce zaczęło bić coraz szybciej. Przewidywała, o czym Tom ma zamiar mówić. Sięgnął do kieszeni swojego rozpinanego swetra i wyciągnął mały pierścionek. Podniósł go w górę. Patrzyła, jak przedmiot połyskuje w świetle lampy. Był zrobiony z małych, połączonych ze sobą srebrnych paciorków.

— Ten muzułmański pierścionek dała mi pewna matka za uratowanie życia jej dziecka. W świecie arabskim koło oznacza doskonałość. Nie ma początku ani końca, trwa wiecznie. Chcę, żeby tak właśnie wyglądało moje życie z tobą. Czy chcesz go założyć? — Podniósł jej dłoń i wsunął pierścionek na szczupły palec dziewczyny. — Spójrz, kochanie, idealnie pasuje.

Łzy zaczynały zbierać się w oczach Patrycji. Położyła głowę na jego ramieniu.

— Tom... Jak mogę wyrazić to, co czuję... tak bardzo cię...

— Nie mów nic. Teraz już zawsze będziemy razem i stworzymy prawdziwą jedność.

— O tak, tak, Tom, bardzo tego pragnę.

Pocałował ją z czułością w czoło.

Miguel zatrzasnął za sobą drzwi i wrzucił broszurę Toma do kosza. Za kogo on mnie, do cholery, uważa, żeby mi mówić, jak zostać lepszym inwalidą! Usiadł na łóżku i zdjął protezę.

Dzisiejszego wieczoru, po raz pierwszy odkąd stracił nogę, poczuł się naprawdę upokorzony. Zazwyczaj ludzie odnosili się do niego z przesadną troskliwością, Tom Keegan jednak chciał być najwyraźniej okrutny. Skurwysyn! Spojrzał na sztuczną kończynę, którą trzymał w dłoni i ze wstrętem rzucił ją w drugi kąt pokoju.

Mamrocząc gniewnie, padł na łóżko. Przez cały czas nie opuszczał go obraz ręki Keegana głaszczącej złociste włosy Patrycji.

Nad ranem temperatura gwałtownie spadła i wszystko zostało mocno zamrożone. Gdy Tom i Dennis ponownie wyruszali na przejażdżkę, Patrycja ostrzegała, żeby nie korzystali z żadnych oblodzonych ścieżek. Teraz obserwowała z niepokojem, jak znikali pośród drzew. Tak bardzo chciała być pewna, że nic nie zakłóci Tomowi radości tej wizyty.

Dźwięk telefonu przerwał te myśli. Podniosła słuchawkę. Kobięcy głos z wyraźnie obcym akcentem odezwał się na linii:

— Bardzo chciałabym rozmawiać z panem Cardigą, jeżeli to możliwe.

— Chwileczkę — odpowiedziała Patrycja i nacisnęła guzik, aby przełączyć rozmowę. Dzwoniła kilka razy, ale nikt nie odpowiadał — Przykro mi... Nikt nie podnosi słuchawki. Czy mam mu przekazać, kto dzwonił?

— Tak. Isabel Veloso. To ważne.

Patrycja zanotowała nazwisko na kawałku papieru. To musi być kobieta, o której Concha mówiła, że wydzwaniała do Miguela już siedem razy. Miała arystokratyczny sposób mówienia — czy była krewną Miguela? Postanowiła przejść się i zostawić wiadomość pod jego drzwiami.

Miguel siedział na ławce pod starą jabłónką rosnącą przed domkiem. Dlaczego wyszedł na zewnątrz, nie było mu zimno? Przygarbił ramiona,

głowę opuścił na piersi. Różnił się wyglądem od tego hardego mężczyzny jeżdżącego na Ultimacie. Był tak zajęty własnymi myślami, że nie zauważył, jak podeszła.

— Miguelu.

Podniósł głowę.

— Przed chwilą ktoś dzwonił do ciebie z Portugalii — wręczyła mu skrawek papieru.

Zaledwie spojrział na kartkę, podnosząc się z miejsca.

— Dziękuję, Patrizio.

— I chciałam ci powiedzieć, że... no... że jestem bardzo szczęśliwa...

— Hm?

— Tom i ja właśnie się zaręczyliśmy.

— Zaręczyliście się? — zapytał, jak gdyby nie rozumiejąc znaczenia tego, co powiedziała.

— Tak, mamy zamiar się pobrać.

— Ach... *noivado*. — Ale wcale nie odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. — Gratuluję... Ale w takim razie obydwójgu nam należy gratulować.

— Obydwójgu?

— Tak... Ja także, tak jak powiedziałaś, jestem zaręczony. — To powiedziawszy, podniósł w górę skrawek papieru.

— No, to w takim razie gratuluję, tobie i pannie Veloso.

— Dziękuję.

— Kiedy zamierzacie się pobrać? — zapytała.

— Jak tylko wrócę do domu.

Coś w jego uporczywym spojrzeniu sprawiło, że Patrycja poczuła się nieswojo, ale w tym samym momencie dostrzegła powracających Toma i Dennisa.

Miguel obserwował, jak poruszała się z wdziękiem, biegnąc im na spotkanie. Zmiał w garści skrawek papieru. Ożenić się z Isabel? Wolałbym umrzeć.

Patrycja za wszelką cenę pragnęła, żeby ostatnia noc Toma na farmie była czymś zupełnie szczególnym. Edgara i Conche wysłała do miasteczka do kina, więc ona i Tom mogli zjeść obiad w samotności. Upiekła

bochenek chleba, zrobiła suflet, używając do tego jajek, które jeszcze tego ranka wybrała z kurzych gniazd. Ze szklarni przyniosła świeże jarzyny, żeby przygotować z nich gulasz — według własnego przepisu. Tom jadł wszystko z apetytem, ona jednak czuła, że nie potrafi być wesoła podczas tego wspólnego obiadu. Ogarnęło ją uczucie głębokiego smutku. Bawiła się łyżką, próbując odepchnąć od siebie powracającą wciąż myśl, że ukochanego już jutro tu nie będzie.

Tom przestał jeść, odłożył łyżkę, pochylił się nad stołem i wziął ją za rękę. Dotknął ofiarowanego pierścionka, po czym popatrzył na jej twarz z uśmiechem.

— No już, Patrycyjo, rozchmurz się. Wkrótce wrócę... żeby zostać na zawsze.

— Zabierz mnie z sobą do Bejrutu.

Ścisnął mocniej jej rękę.

— Nie mogę narażać cię na takie niebezpieczeństwo.

— Nie boję się — odparła cichym głosem małego dziecka — będę przecież przy tobie.

Ukrył jej twarz w swoich dłoniach i odpowiedział łagodnie:

— Gdy wrócę, Patrycyjo, porozmawiamy o spędzeniu reszty życia zawsze razem.

Wciąż czując na ustach jego pocałunek na dobranoc, Patrycja stała przy umywalce myjąc rece. Nie śmiała zdjąć z palca pierścionka ofiarowanego przez Toma, z obawy, że mógłby popłynąć z wodą. Ten pierścionek był dla niej podporą i dawał jej pewność — będzie łączył ich, kiedy Tom wyjedzie daleko stąd.

Wytała ręce i spojrzała na delikatne, srebrne paciorki błyskające przy zapalonym świetle. Pierścionek był taki piękny. Zaczęła obracać go wokół palca, zagubiona w myślach. Czuła się smutna i wyczerpana. Jutro Tom wyjedzie. Ale dlaczego nie chce spędzić z nią tej nocy?

Podeszła do wysokiego lustra i zrzuciła z siebie sukienkę. Popatrzyła na odbicie swego smukłego ciała. Przeciągnęła ręką po sprężystych piersiach, płaskim brzuchu, aż doszła do wilgotnego miejsca między nogami.

Tom nie powinien być sam dzisiejszej nocy, ostatniej na farmie. Pragnęła go i wiedziała, że on także jej pragnie. I tak czekali już zbyt długo.

Podniosła z podłogi sukienkę i bosy zbiegła po schodach. Zawahała się chwilę przy drzwiach, gdy owionęło ją mroźne powietrze, po czym wbiegła na zaśnieżoną ścieżkę prowadzącą do domku dla gości. Chrząszczący lód na ścieżce sprawiał, że podeszwy jej stóp cierpły z zimna, ale całe ciało płonęło. Czuła serce bijące jak oszalałe, gdy zbliżyła się do drzwi.

Już chciała nacisnąć klamkę, kiedy usłyszała dobiegający z wewnątrz głos:

— No chodź, Tom, czekam.

Dennis? Co on tutaj robi?

— Już idę — głos Toma dochodził z łazienki.

Patrycja stała zdumiona przy drzwiach.

— Co robiłeś tam tak długo? — zapytał Dennis.

— A, tam... Potrzebowałem trochę czasu, żeby powiedzieć dobranoc panience, którą mam zamiar poślubić.

Obydwaj się roześmieli.

Patrycja odskoczyła, jak gdyby klamka była rozpalona do czerwoności. Cofając się, dostrzegła przez okno sylwetki obydwu mężczyzn. Tom zbliżał się do Dennisa. Podeszedł do niego i ich ciała splotły się w ciasnym uścisku.

Przerażona, sparaliżowana Patrycja nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Widziała jak usta Toma wpijają się w wargi drugiego mężczyzny w namiętnym i głębokim pocałunku.

— Mój Boże — nie mogła złapać tchu — nie!

Kręciło jej się w głowie i zaczęła w niej wzbierać fala mdłości. Poczowała ostry ból żołądka, zaczynający przybierać na sile. Ledwie poruszając drżącymi nogami, dowlokła się do przyjaznej, wysokiej jodły. Obejmując pień, zwymiotowała na śnieg.

## ROZDZIAŁ 8

### Stone Ridge

Łkając histerycznie, Patrycja chodziła po pokoju w tę i z powrotem. Siedzący no łóżku Taxi wodził za nią oczyma, nie wydając dźwięku. Zatrzymała się przy oknie i spojrzała w niebo, było kruczo czarne, bez jednej gwiazdy.

— Och tatusiu, gdzie jesteś? Pomóż mi, proszę!

Wzięła z nocnego stolika kolejną pastylkę uspokajającą, już trzecią. Ale pigułki wcale jej nie uspokoiły. Ciągle miała zawroty głowy. Czuła się tak, jak gdyby została wbita na obracający się fajerwerk, który kręcił się coraz szybciej i szybciej, aż jej ciało zostanie rozerwane na strzępy. Próbowwała wziąć się w garść, ale nie mogła przestać płakać. Zadzwoiła do Laury.

— Uspokój się kochanie, nie mogę zrozumieć, co mówisz.

— Przyjedź, proszę.

— O czwartej nad ranem?

— Proszę.

— Co się stało?

— Potrzebuję cię, Lauro.

— Oczywiście, oczywiście. Zaraz tam będę.

Placz w końcu wyczerpał Patrycję. Czuła się, jak odrętwiała, gdy pisała kartkę do Toma: *Nie chcę cię więcej widzieć. Widziałam wystarczająco dużo ostatniej nocy.* Wsadziła kartkę do koperty, razem ze srebrnym pierścionkiem. Concha odda mu to, gdy jej już tu nie będzie. Wrzuciła kilka rzeczy do torby i napisała list z instrukcjami dla Edgara — mogła na nim polegać.

Wyczerpana, ze śladami łez na policzkach, wyjrzała przez okno, czekając na Laurę. Miguel trenował Ultimata na pokrytej śniegiem arenie.

Nawet jeżeli było zimno, wybierał tę odkrytą, nie zaś wewnętrzną, ocieplaną. Robiła się spokojniejsza, obserwując jego płynne, zaplanowane ruchy. Jej palec bezwiednie zaczął kreślić na szybie ten sam wzór, który końskie kopyta odciskały na śniegu. Miała ochotę wskoczyć na Harpala i dołączyć do Miguela udając, że wszystko, co się wydarzyło, było tylko złym snem.

W tej samej chwili usłyszała, jak koła samochodu chrzęszczą na lodowym żwirze. To zbliżał się wóz Laury. Po chwili kobieta wysiadła. Jej włosy zwisały w długich strąkach, na sobie miała podarty kombinezon i poplamioną marynarską kurtkę. Spojrzała na twarzyczkę Patrycji, po czym objęła dziewczynę pulchnymi ramionami.

— Kochanie, cokolwiek się stało, wszystko będzie w porządku... Wszystko będzie w porządku.

Ciało Patrycji zaczęło mimowolnie drżeć i dziewczyna znowu się rozplakała.

Laura próbowała ją uspokoić, ale Patrycja była wciąż niepokieszona. Jechały na lotnisko Stewarta, gdzie 727 Stonehama już przyleciał i czekał.

— Powiedz mi przynajmniej, dokąd się wybierasz.

— Do Szwajcarii. — Muszę się zobaczyć z doktorem Solomonem.

— Kochanie — westchnęła Laura — zrobisz, co jest dla ciebie najlepsze.

— O Boże... Mam nadzieję, że farma...

— Nie martw się. Wszystkiego dopilnuję.

Patrycja z wdzięcznością popatrzyła podpuchniętymi oczami na przyjaciółkę.

— Och, dziękuję, Lauro...

Objęła ją szybko i wspięła się na schodki samolotu. Stojąc przy drzwiach, zawołała jeszcze:

— Powiedz Miguelowi, że zatelefonuję i wszystko wyjaśnię.

Samolot zaczął toczyć się po pasie startowym, po czym wzbil się niczym potężny jastrząb nad wzgórzami. Laura, zatykając uszy rękoma, obserwowała, jak zniknął na tle porannego nieba.

Wróciła do swojego poobijanego, wielkiego wozu, spojrzała w lusterko i skrzywiła się. Szybkim ruchem związała kosmyki brudnych włosów w niestaranny kok. Otworzyła schowek, wyciągnęła z niego ćwiartkę szkockiej i pociągnęła duży łyk. — Aach... — westchnęła z zadowoleniem i uruchomiła silnik samochodu.

O czwartej nad ranem Miguel ćwiczył z Ultimatem wszystkie kroki, ale nie szło mu dobrze. Koń nie reagował tak idealnie jak zawsze i Miguel złościł się na samego siebie. Wiedział, że to nie jest wina Ultimata — to była jego wina.

Nagle dostrzegł dochodzące z sypialni Patrycji światło i przez moment wydawało mu się, że widzi przy oknie jej sylwetkę — może go obserwowała... Może przyjdzie z nim porozmawiać.

Wrócił myślą do pierwszej nocy, kiedy jeździł konno wokół areny i kiedy ona zeszła do niego w nocnej koszuli. Pamiętał jej delikatne, wilgotne usta i sprężystość piersi, gdy przywarł do niej swoim ciałem. Nie mógł znieść myśli o tym aroganckim lekarzu, trzymającym ją w swoich ramionach, leżącym obok niej po nocy pełnej miłości. Zeskoczył z konia i uderzył w zmrożoną ziemię z większą siłą niż zamierzał — jego kolano wbiło się w protezę z przeszywającym bólem.

Odprowadzał właśnie Ultimata do stajni, gdy ze zdziwieniem spostrzegł nadjeżdżający drogą potężny wóz Laury Simpson. Co się dzieje, do diabła — wizyty o tej porze? Poglaskał konia i poprowadził dalej, spoglądając od czasu do czasu na dom. Zamykając drzwi stajni zobaczył, jak Patrycja wychodzi z walizką przed dom i po chwili odjeżdża dokąds z Laurą. Gdzie podziewał się doktor? Coś tu było nie tak. Miał nagłe przeczucie, że może ktoś umarł. Patrycję ciągle przecież nawiedzała myśl, że bliscy jej ludzie zaczną odchodzić.

Wrócił do swojego domku i rzucił się na rozesłane łóżko. Próbował się uspokoić, ale nie potrafił. Po jakimś czasie, gdy zaczynało się już rozwidniać, usłyszał warkot przejeżdżającego samochodu. Podniósł się



na łokciach i wyrzał przez okno. Przed drzwiami bungalowu dla gości stała limuzyna. Nagle, dźwigając dużą torbę, wyskoczył z domu doktor Keegan, wsiadł do samochodu i odjechał. Co tu się działo? Patrycja wyjeżdża z Laurą w środku nocy, a teraz opuszcza farmę doktor.

Założył protezę i w poszukiwaniu Edgara skierował się ku stodołę. Znalazł tam zarządcę, opartego o stos beli z sianem i czytającego coś z napiętą uwagą. Gdy spostrzegł Miguela, szybko schował papier do kieszeni.

— Gdzie są wszyscy? — zapytał Miguel, ale Edgar odburknął coś niezrozumiałe w odpowiedzi i wyszedł.

Tego popołudnia zdarzyła się jeszcze jedna niespodzianka. Dennis spakował swoje manatki i także opuścił farmę. Zdezorientowany Miguel znowu przyparł Edgara do muru.

— Co tu się, do cholery, dzieje?

— Wszyscy poszli sobie z Panem Bogiem do diabła, tak bym to określił — zadrwił Edgar.

— Kto zajmie się teraz moimi końmi?

— Ja jestem za wszystko odpowiedzialny, panie Cardiga. I nic się nie zmieni. Niech się pan o to nie martwi.

Ale Miguel był mimo to przygnębiony, i to bardzo. Laura wiedziała, co to wszystko miało znaczyć, ale, niestety, do tego czasu jeszcze nie wróciła. Mimo późnej pory Misty czekał wciąż na swoją marchewkę, wystawiając łeb zza ogrodzenia kopców. Miguel musiał dowiedzieć się prawdy. Szybko przemierzył drogę do dużego domu i zapukał do drzwi. Otworzyła mu Concha, jej oczy były zaczerwienione od płaczu.

— Co się stało, Concha?

— Och, nie wiem, nie wiem.

— Gdzie panna Patrizia?

— W Szwajcarii.

— Co takiego? W Szwajcarii? Ale dlaczego?

— Nie wiem. Cały czas płakała. — Concha odwróciła się, próbując ukryć własne łzy.

— A kiedy wróci?

— Nie wiem... Nie wiem.

Oslupiały Miguel odszedł kulejąc. Proteza podrażniała jego kikut, trzymając się całym ciężarem na kolanie. Pokuśtykał z powrotem do stajni. Poglądził pysk Ultimata i w tej samej chwili poczuł nagły, dotkliwy ból na wspomnienie radości, jaką odczuwał jeżdżąc konno z Patrycją, ramię przy ramieniu.

Z każdym dniem myślał coraz więcej o czasie, który spędzili razem. Ta dziewczyna miała zadziwiający talent — niezwykle wycucie koni. Nie mógł spokojnie znieść patrzenia na jej dom; oczekiwał z niecierpliwością, że Patrycja za chwilę wyjdzie stamtąd ubrana w strój do konnej jazdy i zacznie brnąć w śniegu. Ale ona nigdy nie wychodziła.

Osiadła Ultimata i wolno zaczął jechać wzdłuż posiadłości, mijając stare konie, cmentarz, insektarium i, zrobiwszy w ten sposób całe okръżenie, wrócił od drugiej strony. Jechał po ścieżkach, które tak często przemierzali razem. Ale bez niej wszystko wydawało się takie smutne i opuszczone.

## Nowy Jork

Horace Coleman, w okularach osadzonych na dużym nosie, siedział za biurkiem, podpisując dokumenty. Bob Ash również nie pozostawał bezczynny — ćwiczył bardzo przydatny przy grze w golfa ruch, polegający na wyrzucaniu do przodu lewego biodra.

— Do cholery, Bob, możesz przestać?

— Przepraszam, Horace, ale wczoraj straciłem w klubie pięćdziesiąt doliców. Muszę trenować.

— Stracisz o niebo więcej, jeśli nie znajdziemy jakiegoś sposobu, żeby nie dopuścić do tego małżeństwa.

— Czego dowiedział się Ted?

Coleman spojrzał na zegarek.

— Powinien tu być lada chwila.

— Wiesz, lubię Teda, ale...  
— Ale co? — odszczeknął Coleman. — Jest jednym z naszych graczy.  
— No wiesz... Czy nie pomyślałeś o jego przeszłości... no... Coleman zdjął okulary.

— Mów dalej.

— O Jezu... Pracował parę lat w jakimś urzędzie federalnym.

— Może byś to sprecyzował, Bob.

Ash zaczynał się wić.

— Ted Rosemont był bliskim przyjacielem J.L. Stonehama.

— Wiem.

— I jest ojcem chrzestnym Patrycji.

— Wiem.

— I te dwie okoliczności kwalifikują go do zajęcia miejsca pani Sperber w zarządzie.

— Jestem absolutnie za, Horace. Ja po prostu...

— Po prostu przestań! Ted próbował uratować swoje oszczędności i pożyczkę. Ochraniał posiadaczy swoich akcji i depozytariuszy. To nie jego wina, że te wszystkie zobowiązania nagle się rozpadły.

— W porządku, Horace, w porządku.

— Czy może wolałbyś, żeby pani Sperber kontrolowała każde nasze posunięcie, hm?

— Broń Boże — zdenerwowanie Colemana zawsze przyprawiało Asha o niepokój — ale w jaki sposób chcesz się jej tak prędko pozbyć?

— Była taka zadowolona, że wraca do Londynu zająć się brytyjskimi dzierżawami.

W tym samym momencie wszedł Ted Rosemont. Jego nienaturalnie opalona twarz przybrała dziwny grymas. Przypominające kawałki kredy zęby były zaciśnięte. Opadł na fotel naprzeciwko Colemana. Ash rzucił ciekawe spojrzenie na otylego przyjaciela, który beznamietnym wzrokiem wpatrywał się w przybyłego.

— No więc, mów.

— Niczego nie znalazłem. Mój przyjaciel z CIA twierdzi, że potrzebuje kilku tygodni, żeby go sprawdzić... Ile mamy czasu?

— Możliwe, że ona już uciekła z ukochanym — odpowiedział ponuro Coleman.

— Taak, Ted, może będziesz zwolniony od roboty, zanim się jeszcze do niej weźmiesz. — Ash roześmiał się nerwowo z własnego żartu.

— Daj spokój, Bob — rzucił krótko Coleman — musimy coś wymyślić. Nagle Rosemont aż podskoczył.

— Wiem, brudy!

— Świetny pomysł — skinął głową Ash. Coleman zmarszczył brwi.

— Brudy? O co ci, do cholery, chodzi?

— Taak, Ted, wyjaśnij, co masz na myśli — momentalnie poprawił się Ash.

— Trzeba przesiać brudy, które usuwa się z jej domu.

— Żeby co znaleźć? — Coleman posłał mu mrożące spojrzenie.

Nagle zamieszanie przy drzwiach uchroniło Rosemonta od odpowiedzi. Sekretarka próbowała zagrozić komuś wejście.

— Ale, naprawdę bardzo proszę! Zaraz panią zapowiem.

— Wszystko w porządku, panno Kelly — powiedział Coleman i sekretarka wycofała się.

Szczęka Rosemonta zupełnie opadła na widok rozczochranej kobiety, w kombinezonie i ze zwisającym z kącika ust papierosem, która wparowała do gabinetu. Posłał Ashowi pytające spojrzenie, ten zaś wymamrotał ledwie słyszalnym głosem:

— À propos brudów...

— Miło panią widzieć, panno Simpson — powitał ją Coleman — proszę wejść.

— Już weszłam — odparła Laura.

— Oczywiście zna pani pana Asha, a oto nowy członek naszego zarządu, pan Rosemont. — Coleman skinął na Teda, który wciąż jeszcze

gapił się na przybyłą. — Laura to nasza niańka, robi świetną robotę, opiekując się Patrycją.

— Tak, rzeczywiście, i zasługuje na podwyżkę — wtrąciła Laura.

— Czy to właśnie dlatego wygląda pani jak kloszardka, taka patetyczna manipulacja? — rzucił złośliwie Coleman.

— Nie miałam czasu, żeby się ubrać. — Laura wcale nie była poruszona. — Przyleciałam tutaj z dobrymi wieściami.

— Ślub został odwołany? — zapytał z nadzieją Ash.

— Nie będzie żadnego ślubu. — Laura popatrzyła z satysfakcją na ich zdumione twarze.

— Jest pani tego pewna? — zapytał Coleman.

— Czy myśli pan, że ona poślubiłaby mężczyznę, którego zastała nagiego i ściskającego parobka?

— Co? — zapytali jednocześnie wszyscy.

— No przecież mówię: przyłapała ich dwóch. On jest pedałem.

— O mój Boże! — zawołał Coleman i uśmiech powoli zaczął wykwitać na jego twarzy.

— To musiał być dla niej szok — odezwał się Ash.

— Nie na żarty — odparła Laura pogardliwie. — Teraz jest w drodze do Szwajcarii.

— Z powrotem do sanatorium?

— Tak, panie Ash.

— Jak przykro. Trzecie załamanie nerwowe.

Oczy wszystkich zwróciły się na Colemana, który rozsiadł się wygodnie w fotelu i oparł głowę na złożonych dłoniach.

— No cóż, ten psychiatra znowu doprowadzi ją do dobrej formy, tak jak poprzednio — odezwał się Ash.

— Tak. A wtedy ona wróci, gotowa wyjść za mąż za jakiegoś kolejnego jo-jo — wypalił Coleman.

— Prawda — skinął głową Ash.

Coleman podniósł w górę pulchny palec.

— Nie zapominajmy, panowie, że za cztery lata ona sama może nas stąd wyrzucić. — Z mężem czy bez.

— To byłaby tragedia — zawołał piskliwie Ash.

— To mało powiedziane — wtrącił Rosemont. — Co proponujesz, Horace?

— Musimy pomóc tej dziewczynie, póki nie jest jeszcze za późno. Lauro, musisz...

— Chwileczkę, najpierw potrzebuję pomocy.

— Dostajesz podwyżkę — odparł łaskawie Coleman.

— I potrzebuję urlopu, właśnie teraz. Zaczyna mi się robić płaskostopie od ciągłego targania w kółko tej szkapę.

Coleman potrząsnął przecząco głową.

— Nie możesz teraz wyjechać.

— Właśnie, że mogę!

— Jak to będzie wyglądało, jeżeli ona wróci i zobaczy, że tak zaniebdywałaś swojego ulubieńca?

Laura utkwiała oczy w twarzy Colemana.

— Jak wysoka jest ta podwyżka?

— Podaj swoją cenę.

— Zależy, czego chcesz.

Coleman złożył ręce jak do modlitwy.

— Lauro, jesteś najbliższą osobą dla tej kłopotliwej dziewczyny. Kiedy wróci, będzie prawdopodobnie myśleć, że znowu jest wyleczona. Przyda się jej wówczas szczególnie przyjaciel, który udowodni, że jest w błędzie, da jej do zrozumienia, jak bardzo jest jeszcze chora.

— A jak bardzo ma być chora?

Zwężone oczy Colemana przeszły Laure.

— Chora umysłowo — odparł cicho.

## ROZDZIAŁ 9

### Nad Atlantykiem

Patrycja spoglądała przez okno samolotu na rozciągający się w dole ocean. Jej podpuchnięte oczy były już suche. Zabrakło jej łez, ale zapadnięcie w sen również wydawało się niemożliwością. Przez głowę przelatywały jej obrazy i dźwięki: gra na fortepianie, leżące na klawiaturze szczupłe, męskie palce, „dzień i noc, ty jesteś jedyna”, nagie, zespolone kształty... Kilka minut wcześniej trzymał ją w ramionach. Jak mógł?

Była taka zaślepiona, naiwna, widząc jedynie białego rycerza przeskakującego fosę i zdążającego do zamku jej marzeń. Ogarnęła ją fala współczucia dla samej siebie, i gniewu. Czowała się jak dryfujący po morzu mały kawałek drewna. Znowu była zagubiona gdzieś w świecie. Wstała i zaczęła spacerować po kabinie, zmuszając się do myślenia o czymś innym. Dzięki Bogu, że ma Laurę. Może na niej polegać, ona zajmie się wszystkim podczas jej nieobecności.

Spojrzała na monitor — mały, czerwony punkcik poruszał się nad mapą Atlantyku, zmierzając ku Europie, zegar cyfrowy wybijał minuty. Jeszcze dwie godziny do lądowania.

Był to osobisty samolot Patrycji. Znacznie lepiej wyposażony niż inne pojazdy należące do korporacji, miał być, według testamentu J.L., użytkowany wyłącznie przez Patrycję. Ona jednak bez oporów pożyczała go opiekunom — w rzeczywistości Bob Ash traktował samolot jako swój prywatny wehikuł do przenoszenia go na wszelkie rozgrywki golfowe w kraju. Patrycja nigdy z niego nie korzystała — częściowo dlatego, że raczej nigdzie nie wyjeżdżała, ale również dlatego, że pojazd ten zbyt

wyraźnie przypominał jej o pułapkach bogactwa i o murze, który J.L. próbował zbudować między nią a ojcem. Do śmierci rodziców nie zdawała sobie sprawy z tego, jak umiejętnie J.L. nią manipulował, i jak wiele szczęścia i czasu, spędzonego z ojcem, jej odebrał. Pragnęła jego śmierci — i powiedziała mu o tym — a życzenie to zostało spełnione aż za szybko. Pytania, jedno za drugim, przebiegały przez głowę dziewczyny. Czy była odpowiedzialna za jego śmierć? Czy Tom był karą za to, co zrobiła? Jak bardzo będzie jeszcze musiała cierpieć? Czy spoczywające na niej brzemie pieniędzy J.L. nie było wystarczającą karą? Wykrzywiła ironicznie twarz.

— Z pieniędzmi życie jest przerażająco proste — powiedziała do niej kiedyś Joanna Benson — ale bez nich jest po prostu przerażające. Cóż, ona sama, Patrycja, jest dowodem na to, że życie z pieniędzmi może być również po prostu przerażające. Była taka samotna, taka zagubiona ze wszystkimi swoimi miliardami — dopóki nie spotkała Toma. A teraz marzenie o rozpoczęciu z nim wspólnego życia, o robieniu czegoś wartościowego, rozprysnęło się na zawsze. Patrycja znowu spojrzała na monitor: punkcik mijał właśnie Irlandię, lądowanie za czterdzieści minut. Lepiej się przygotować. Zadzwoiła na stewardesę.

— Gdzie postawiła pani moje rzeczy?

— W sypialni, proszę pani.

— Och... — wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi prowadzące do apartamentów J.L. Przez ostatnie dwa lata jej noga nigdy tu nie stała. Spojrzała na łóżko, gdzie J.L. dostał fatalnego w skutkach ataku serca. Z wahaniem skierowała się do garderoby.

Z marmurowej półki nad umywalką wydawała się wpatrywać w dziewczynę duża, kryształowa butelka z żółtawym płynem. Woda kolońska J.L. Podeszła bliżej. Nie mogła się powstrzymać — ostrożnie uniosła w górę korek. W jej nozdrza uderzył ostry zapach, który znała tak dobrze. Zapach śmierci. Zakorkowała szybko butelkę i wybiegła.



## Stone Ridge

Wszyscy na farmie wykonywali swoje codzienne obowiązki, jak gdyby nic się nie stało, ale mimo to panowało ogólne przygnębienie. Miguel poruszał się jak w letargu. Rodziło się tyle pytań i nigdzie nie można było znaleźć odpowiedzi. Gdzie jest teraz Patrycja? Dlaczego Laura już drugi dzień nie wraca, by zająć się swoim koniem? Misty wyglądał bardzo osowiale — wydawało się, że on także wyczuwa ogólne przygnębienie. Miguel pogłaskał łeb konia i podsunął mu pod pysk marchewkę. Nagle usłyszał głos Conchy:

— *Señor Miguel... señor Miguel...* telefon — krzyczała z kuchni.

To musiała być Patrycja.

— Odbiorę u siebie.

Był rozdrażniony, że nie może poruszać się szybciej, ale na kikucie zrobił mu się pęcherz i sprawiał dotkliwy ból przy chodzeniu. Kuśtykał tak szybko, jak tylko mógł, każdy krok okupiając przeszywającym skurczem.

— Halo?

Kobięcy głos odpowiedział:

— Pan Cardiga?

— Tak, kto...

— Doktor zaraz będzie z panem rozmawiał...

— Doktor?! — ale kobiety już nie było przy telefonie.

Do cholery, w jakiej sprawie telefonuje do niego Keegan?

— Tu doktor Burgess — odezwał się przyjemny, poważny głos.

— Burgess?

— Czy doktor Keegan nie wspominał panu o mnie?

— Przykro mi, ale sobie nie przypominam...

W tej samej chwili jego oczy natknęły się na broszurę, wystającą z kosza na śmieci.

— Ach tak! Rzeczywiście, pamiętam!

— Chciałem tylko panu powiedzieć, panie Cardiga, że pański przypadek bardzo mnie interesuje.

— Doprawdy?

— Tak, dopasowywałem sztuczne stopy bokserom, himalaistom, zawodnikom baseballu... ale chciałbym mieć również w mojej kolekcji pogromcę byków — jego gardłowy śmiech odbił się w uszach Miguela.

Stojąc tak, ze słuchawką w jednej ręce, Miguel wyciągnął z kosza zmiętą broszurę. „NATURALNA SPREŻYSTOŚĆ... PŁYNNNE RUCHY...” wykrzykiwała okładka.

— Halo! Halo! Jest pan tam, panie Cardiga?

— Tak, tak... proszę dać mi trochę czasu do namysłu.

— No cóż, jeżeli się pan zdecyduje, miło mi się będzie z panem spotkać. Z tego, co opisywał mi doktor Keegan, wynika, że nie potrzeba zbyt dużo czasu, by zrównoważyć pański krok.

## Lozanna

Silny wiatr wiał w dolinie i doktor Solomon naciągnął głębiej na głowę wełnianą czapkę, ale mimo to kosmyki jasnorudych włosów wciąż wystawały mu po bokach.

— Nie jestem przekonany, czy musiałaś odbywać tę podróż, Patrycjjo, lecz muszę przyznać, że bardzo tęskniłem za tobą — powiedział, pomagając dziewczynie wysiąść z samochodu.

— Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć po tak niespodziewanym zawiadomieniu.

Zmrużył oczy, patrząc na nią przez grube szkła okularów.

— Postanowiłem nie umieszczać cię w głównym budynku. Będzie ci znacznie wygodniej w jednym z naszych bungalowów.

Poprowadził ją w stronę małego domku o kształcie litery A, z niedużym salonikiem wychodzącym na pokryte śniegiem górskie szczyty, które lśniły teraz w zachodzącym słońcu. Na stole stał termos z gorącą czekoladą.

— Usiądź i opowiedz mi o wszystkim — zachęcił doktor.

Starła się opisywać całą historię, zachowując zupełny spokój, czasami jednak głos odmawiał jej posłuszeństwa.

Doktor Solomon zdjął okulary i wytarł soczewki krawatem.

— Utrata pierwszej miłości to zawsze ciężkie przeżycie.

- Mówi pan to w taki sposób, jakby to było zupełnie normalne. Doktor tylko się uśmiechnął.
- A ja zostałam wewnętrznie zniszczona.
- Wcale nie, Patrycjjo. Jesteś na to zbyt silna, znacznie silniejsza niż ci się wydaje.
- Gdy zobaczyłam Toma z... o mój Boże... nie mogłam tego znieść.
- Patrycjjo... – przerwał i szarpnął swoją zmierzwioną brodę – jesteś pewna, że go kochałaś?
- Oczywiście, że tak.
- A czy nie mogło być tak, że wykorzystywałam Toma?
- Wykorzystywałam? Ależ skąd!
- To znaczy... próbowałaś go wykorzystać, by uwolnić cię od obciążenia, jakim jest majątek dziadka...
- Ale właśnie dlatego go kochałam, obydwójce chcieliśmy zrobić coś dobrego przy użyciu tych pieniędzy.
- I czułaś, że on mógłby ukierunkować twoje życie i nadać mu sens?
- Tak. Chciałam nawet pojechać z nim do Libanu.
- I uciec od odpowiedzialności za firmę?
- Patrycja zawahała się.
- No... może nawet częściowo tak było... W mojej podświadomości. Doktor uśmiechnął się.
- Teraz zaczynasz mówić zupełnie jak psychiatra.
- Spuściła głowę.
- Patrycjjo, przypuśćmy, że zobaczyłabyś go w ramionach kobiety?
- Do czego pan zmierza?
- Czy poczułaś się gorzej dlatego, że to był mężczyzna?
- To był zupełny szok.
- Ale dlaczego?
- No, zakochać się w homoseksualiście, poczułam się strasznie głupio.
- Głupio? To jeszcze nie taka tragedia – doktor Solomon położył rękę na jej dłoni. – Tylko pomyśl, Patrycjjo, zapytaj samą siebie, czy to

przypadkiem nie ty sama wymyśliłaś sobie tę miłość do Toma?

— O co panu chodzi?

— Chciałaś być w nim zakochana, ale czy naprawdę byłaś?

— Och, doktorze, jestem taka zdezorientowana.

Podniósł się z miejsca.

— Odpocznij trochę. Porozmawiamy o tym jeszcze jutro.

— Ale ja potrzebuję pana właśnie teraz — zawołała z rozpaczą. —

Dlaczego pan odchodzi?

— Czeka na mnie jeszcze kilku pacjentów z bardzo poważnymi problemami.

— Myślałam, że mi pan pomoże... Teraz żałuję, że przyjechałam.

— Z tym również sobie poradzisz. No to do jutra, dobrze?

— Dobrze — odpowiedziała słabym głosem.

Obserwowała przez okno, jak idzie w stronę głównego budynku, jak jego śniegowce brną w śniegu. Czuli się bardziej głupio niż kiedykolwiek.

## Seattle

— A tutaj mamy himalaistę, i proszę zauważyć, że miał wcześniej amputowane obydwie nogi.

Miguel spojrzał niepewnie na wyświetlony na ekranie slajd: uśmiechnięty mężczyzna wspinał się po prostopadłej ścianie na dwóch sztucznych kończynach.

Doktor Burgess, niski, rumiany mężczyzna, zachichotał.

— Poprosił, żebym zrobił jego nogi o pięć centymetrów dłuższe. To pomaga w zawodach.

Następny slajd pokazywał czarnego sportowca, wyskakującego wysoko w górę z piłką do koszykówki.

— To Bill Demby — powiedział doktor. — Wpadł tu nawet wczoraj. Świetny facet. Stracił obydwie nogi w Wietnamie. Przeszedł piekło. Zaczął nałogowo pić myśląc, że już nigdy nie będzie znowu sportowcem. A teraz, proszę na niego spojrzeć... Na sprężystość jego ruchów. Ten dynamizm można uzyskać właśnie przez zainstalowanie tego typu stopy, a

wygląda ona jak prawdziwe ciało z żyłami i paznokciami. — Wyłączył projektor i usiadł obok Miguela. — Ale cud nie polega na wyglądzie zewnętrznym, jest nim umieszczony w pięcie specjalnego rodzaju plastik, który przy nacisku gromadzi energię, po czym uwalnia ją, powodując sprężystość każdego kroku.

Pod koniec popołudnia, spędzonego z doktorem Burgessem, Miguel odczuwał śmiertelne znużenie. Przeszedł wszelkie badania, jakie tylko można sobie wyobrazić — próby mięśni, testy psychologiczne, pomiary... Doktor Burgess zrobił model niedużej kończyny, dopasowanej do lewego kolana Miguela.

— Jest pan najłatwiejszym przypadkiem, jaki kiedykolwiek miałem. Ten dziesięciocentymetrowy kawałek mięśni i kości umożliwi panu również skręty na boki. — Przymocowawszy model, cofnął się o kilka kroków. — Z pańską masywną budową nigdy już nie będzie pan potrzebował tych pasków wokół uda. Pokażę panu protezy, jakich używano podczas wojny secesyjnej. Niewiele się różnią od tej przestarzałej rzeczy, którą pan dotychczas nosił.

Gdy Miguel się ubrał, doktor Burgess odprowadził go do czekającej taksówki.

— Moje laboratorium jutro popracuje nad pańską protezą, będzie gotowa pod koniec tygodnia. Nie można być szybciej obsłużonym nawet w supermarkecie.

— Bardzo jestem panu wdzięczny.

— Aha, à propos — dodał jeszcze doktor przez okno taksówki. — Jest pan wolny dziś wieczorem?

— Wszystko, co mam tu do roboty to czekać na moją nową nogę.

— Lubi pan boks?

— Tak.

— To spotkajmy się tutaj o ósmej. Pojedziemy do Kingdome. Mój przyjaciel będzie występował w głównej walce.

Atmosfera bokserskiego ringu przypominała Miguelowi arenę walk byków. W powietrzu unosiły się kłęby papierowego dymu i ochryple głosy

zgrupowanych. Doktor Burgess trącił Miguela.

— O, jest tam: Craig Bodzianowski.

Miguel spojrział na potężnego, ciężkiego olbrzyma, który właśnie wchodził na ring, ubranego w szlafrok i z rękawiczkami na szyi.

— Niech pan spojrzy na jego prawą stopę. Wysoko naciągnięta skarpetka zasłania połączenie między ciałem a protezą, którą dla niego zrobiłem.

Oto przed nimi stał jednonogi mężczyzna, który za chwilę miał spotkać się twarzą w twarz z przeciwnikiem — równie potężnym olbrzymem — nie odczuwając żadnej fizycznej ułomności.

Gdy rozległ się gong i rozpoczęto walkę, Miguel nie odrywał oczu od prawej nogi przyjaciela doktora. Poruszała się swobodnie po ringu, bez sztywności i utykania, kiedy bokser prowadził walkę, runda za rundą, odbierając ciosy i oddając znacznie silniejsze.

Nagle skandujący tłum oszalał. Miguel nie zauważył ciosu, którym Craig rzucił przeciwnika na barierkę. Widział tylko prawą nogę boksera, gdy ten podskakiwał z radości. Po powrocie do hotelu Miguel zupełnie nie mógł zasnąć. Pod powiekami przesuwały mu się wciąż obrazy z całego dnia: pozbawieni nóg ludzie, którzy dokonywali cudów, człowiek z jedną stopą, pokonujący siłacza z dwiema. Spojrzął na zegar. Nie obchodziło go, która godzina jest teraz w Portugalii. Musiał porozmawiać z przyjacielem.

— Dopiero świta — ziewnął Emilio — właśnie wróciłem i zdążyłem położyć się do łóżka... sam, niech to licho.

— Jestem w Seattle... i...

— W Seattle? Co ty tam robisz?

— Będę miał nową nogę.

— Co takiego? Ty też jesteś pijany?

— Ani trochę. Przekonasz się, jak wrócę.

— Świetnie! Wracaj do domu, a ja się już postaram dla ciebie o jakąś ładną panienkę.

— Emilio, jak na razie nie interesuję się kobietami. Załatw mi lepiej jakiegoś ładnego byczka.

## Lozanna

Był jasny, słoneczny poranek i, jak to było jej zwyczajem od trzech tygodni, Patrycja wybrała się na długi spacer po starannie odśnieżonych ścieżkach wokół sanatorium. Obserwowała pacjentów kręcących się po ogrodzonych dziedzińcach, zależnie od stopnia izolacji. Niektórzy z nich poruszali się tylko w towarzystwie ubranych na biało pielęgniarzy, inni chodzili swobodnie. Patrycja przeszła obok jakiejś młodej kobiety stojącej po kolana w śniegu i rozgarniającej biały puch nieokrytymi dłońmi. Czego ta dziewczyna szuka? Co zgubiła?

Patrycja pomyślała o Tomie — bolesne poczucie straty, które nie opuszczało jej na początku, już minęło; ból wydawał się uśmierzony. Ale tęskniła za porannymi objazdami farmy, za cichutkim rzeniem Sporta, za Taxi, który jazgotał, biegnąc obok konia, za wszystkimi zwierzętami, które odwracały głowy, by spojrzeć, jak przejeżdża. Potrzebowały jej, a ona ich. Tęskniła za spacerami po gęstym lesie, gdzie zatrzymywała się, by słuchać odgłosów natury, siadywała pod płaczącą wierzbą na cmentarzu, czuła wiatr, owiewający jej twarz, gdy ściagała się z Miguelem w drodze powrotnej, przeskakując pnie drzew i kamienne mury. Nie rozmawiała z nim od dnia wyjazdu — była na to zbyt rozstrojona. Oczywiście nie miała wątpliwości, że Laura dostarczyła mu wiadomość, o której przekazanie prosiła tuż przed odlotem. Teraz jednak czuła się już przygotowana na przeprosiny i bardziej szczegółowe wyjaśnienia.

Na farmie jest teraz dziesiąta rano,. Podniosła słuchawkę.

— Concha? — *¿Mi niña? ¿Cómo está?*

— Czuję się świetnie, naprawdę.

— Kiedy pani wraca?

— Już niedługo, Concha.

— *Me gusta... me gusta.*

— Co nowego na farmie?

— Wszystko dobrze, doktor Keegan dzwonił wiele razy...

— Nie chcę z nim rozmawiać.

- Nie?
- Ale powiedz mi lepiej o Taxi.
- Strasznie tłusty.
- A Phoebe?
- Coraz bardziej leniwa.

Patrycja zachichotała.

- Concha... Przełącz rozmowę do bungalowu i poproś pana Cardigę.
- Nie ma go tutaj.
- Co?
- Wyjechał.
- Dokąd?
- Nie mówił.

Ktoś zapukał do drzwi, ale Patrycja nie zwróciła na to uwagi.

- Kiedy wróci?
- Za tydzień... może dwa.

Dokąd mógł pojechać? — myślała Patrycja, gdy pukanie rozległo się po raz drugi.

- Zadzwoń jeszcze... za jakiś czas.

Otworzyła drzwi, w których stał rozczochrany doktor Solomon.

- Czy zechciałabyś wypić ze mną herbatę?
- Oczywiście, doktorze.

Szpitalna jadalnia, miłe, przestronne miejsce, pełne zwisających roślin, była po południu prawie pusta. Patrycja i doktor zamówili to, co zwykle — miętową herbatę i strućle.

- Jak się dziś czujesz, Patrycjo?

— Jestem trochę odrętwiała.

— To zrozumiałe. Ale teraz, gdy miałaś już wystarczająco dużo czasu, żeby spojrzeć na wszystko z dystansu, czy w dalszym ciągu wydaje ci się to taką tragedią?

— No cóż, jeszcze ciągle trochę boli. Ale miał pan rację, oczekiwałam od Toma zbyt wiele — wzięła głęboki oddech — ale to był mój pierwszy poważny związek z mężczyzną. Czy jeszcze kiedykolwiek będę mogła zaufać uczuciu, jakim kogoś obdarzę?



— Jedyne znany mi sposób to sprawdzać, jak odnosisz się do mężczyzn, których spotykasz. Wiemy, że zakorzenione jeszcze w dzieciństwie wzorce zachowań często powtarzamy jako dorośli. Twój stosunek do Toma został wymodelowany na bazie tego, który łączył cię z dziadkiem.

— To niemożliwe! Tom był jego zupełnym przeciwieństwem.

— Doprawdy? — doktor Solomon odgryzł potężny kawałek strucli, nie zwracając uwagi na okruchy, które rozsypały się po jego brodzie. — Dziadek kierował twoim życiem, kontrolował je. Podświadomie oczekiwałaś, że Tom przejmie tę rolę. Czyż nie powiedziałaś mi sama, że Tom ukierunkował twoje życie?

— Ale ja nienawidziłam dziadka.

— Tak, lecz nigdy też mu się nie sprzeciwiałaś. Był twoim oparciem. I chciałaś, żeby Tom także stał się dla ciebie oparciem.

Patrycja siedziała w milczeniu, zaabsorbowana tym, co mówił doktor.

— Zdrowszym typem mężczyzny w twoim życiu był twój ojciec, ale ta relacja wciąż jest jeszcze w świadomości niedopowiedziana.

— Tak, dręczy mnie, że nigdy się już nie dowiem, co takiego chciał mi powiedzieć przed śmiercią.

Doktor siorbnął głośno łyk herbaty.

— Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?

Ale Patrycja mówiła dalej, jak gdyby nie dosłyszała tego pytania.

— Ciągłe jeszcze słyszę jego głos, sposób, w jaki podkreślił słowo „muszę”: „Muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego”. Była w tym taka niecierpliwość. Gdybym tylko mogła znaleźć tę kobietę, Lubę, do której napisał przed samą śmiercią...

— I co wtedy?

Spojrzała na niego zmieszana.

— Może ona wie, co takiego ojciec chciał mi powiedzieć.

— Ale może też nie wiedzieć albo może nie zechce ci o tym powiedzieć.

- Czuję, że muszę mimo to spróbować.
- Myślisz, że za pośrednictwem tej kobiety mogłabyś prowadzić rozmowę z ojcem, jak gdyby jeszcze żył?
- Skonsternowana, nic nie odpowiedziała.
- Patrycjjo, podróż przez życie przechodzenie z pokoju do pokoju. Ale kiedy opuszczamy jeden z pokoi, musimy zamknąć za sobą drzwi. To, czego nauczyliśmy się tam, pozostanie, ale nie możemy wciąż oglądać się za siebie. Tylko wtedy, gdy zamkniesz za sobą poprzednie drzwi, możesz przejść do następnego pokoju.
- Ale ja nie mogę.
- Dlaczego nie?
- Patrycja nie mówiła nic przez chwilę, bawiąc się leżącymi na talerzu okruciami. W końcu uśmiechnęła się smutno.
- Może sama sobie na to nie pozwalałam.
- No, wreszcie do czegoś dochodzimy — zbeształ ją delikatnie.
- Myślę, że naprawdę próbowałam zamknąć za sobą te drzwi, kiedy kupiłam farmę... Przestałam wtedy szukać tej kobiety — nagle przerwała.
- Co sprawiło, że zrezygnowałaś?
- No, chyba byłam wtedy po prostu bardzo zajęta, szczęśliwa...
- Ale teraz jesteś nieszczęśliwa i wydaje ci się, że informacje o ojcu wypełnią tę pustkę.
- Po prostu czuję, że muszę spróbować jeszcze raz.
- Ale przypuśćmy, że jednak nie znajdziesz odpowiedzi, której szukasz, przypuśćmy, że dowiesz się czegoś, co cię przygnębi?
- Jestem na to przygotowana. Wydaje mi się, że jednym z powodów, dla którego przestałam wówczas szukać, było... — przygryzła wargi.
- Doktor Solomon wytarł okulary i czekał.
- No, nie podobała mi się myśl o ojcu i jakiejś tam dziewczynie.
- To nie tak źle. Prawdę mówiąc, myślę, że to zdrowo, że rozpoznawałaś słabość.

— W sobie?

— Może w was obojgu.

— Ale mój ojciec nie był słabym człowiekiem. Doktor Solomon zmarszczył brwi.

— Wiesz, słuchając tego, co mówisz, widzę potężny piedestał, a na nim stłoczonych wszystkich mężczyzn, którzy wywarli wpływ na twoje życie: dziadka, ojca, Toma...

Patrycja zaryzykowała nieśmiały żart:

— W każdym razie dziadek i Tom już z niego spadli.

Doktor szeroko się uśmiechnął.

— Powiedz mi, czy spotkałaś kiedykolwiek mężczyznę, którego nie stawiałabyś na piedestale, człowieka, na którego mogłabyś się złościć, którego mogłabyś uwielbiać, widzieć jego siłę i słabości?

Patrycja spojrzała smutno przed siebie.

— No, może...

— Mów dalej...

— W Miguelu jest coś takiego.

— I byłaś nim zainteresowana?

— O Boże, nie! Był zbyt arogancki, nieprzystępny. Tolerowałam go tylko dlatego, że był dobrym jeźdźcem... Ma szczególne wyczucie koni... Zawsze traktuje je z zadziwiającą delikatnością. I był takim cudownym nauczycielem, ale... ale...

Doktor Solomon zaczął się śmiać i dziewczyna przerwała.

— Co w tym śmiesznego?

— Gdy mówisz o Tomie, opisujesz go jak mężczyznę stojącego na piedestale. A kiedy opowiadasz o Miguelu, wydaje się, że są to słowa głęboko zakochanej kobiety.

— Co takiego? Chyba źle mnie pan zrozumiał.

— Doprawdy? Czy on interesował się tobą seksualnie?

— Och nie... on.... jest zaręczony.

Nagle przypomniała sobie pocałunek, jaki Miguel złożył na jej ustach, w stajni. Poczwała, że robi się jej gorąco.

## ROZDZIAŁ 10

### Stone Ridge

Harpalo i Ultimato rżały i potrząsały grzywami, gdy Miguel sprężystym krokiem zbliżał się w ich kierunku. Dla zwykłej zabawy przeskakiwał lekko kałuże, które kiedyś omijał kuśtykając. Dwa tygodnie spędzone w Seattle — tydzień, żeby dopasować nową kończynę i tydzień fizycznej terapii — były właśnie tym, czego potrzebował. Doktor Burgess nie ukrywał dumy z rezultatów operacji. Jego ostatnie słowa brzmiały: „A teraz niech pan idzie zmierzyć się z bykami!”

Miguel szybko obejrzał obydwu konie. Były w bardzo dobrym stanie. Edgar zrobił kawał dobrej roboty, utrzymując je zadbane i odpowiednio odżywione. Gdy skończył, natychmiast pośpieszył w kierunku domu. Przechodząc przez podwórko, nie rozstawał się z nadzieją, że może ona będzie właśnie w tej chwili stała przy oknie.

Zapukał do drzwi kuchennych i usłyszał, jak ochryply głos odpowiada głośno:

— Wejść!

Przy stole Laura Simpson siedziała z butelką szkockiej.

W kuchni panował straszliwy bałagan — w zlewie piętrzyły się brudne naczynia, wszędzie pełno było pustych puszek i filizanek z niedopitą kawą.

Zanim Miguel zdążył cokolwiek powiedzieć, Laura mruknęła:

— Aaa... ten obcokrajowiec — po czym podniosła butelkę do ust.

— Chciałbym zobaczyć się z panną Dennison.

— Też bym chciała — parsknęła pogardliwie Laura — ale jej tutaj nie ma.

— Kiedy wróci?

— Bóg jeden wie...

Ta stara wrona nie miała najwyraźniej o niczym pojęcia. Dalsze zadawanie pytań było pozbawione najmniejszego sensu, zaczął więc wycofywać się do wyjścia.

— Och, panie Cardiga...

Zatrzymał się przy drzwiach.

— Pańskie usługi nie są już dłużej pożądane. Może pan wracać do Hiszpanii... czy tam do Portugalii... czy skądkolwiek pan pochodzi.

Zaskoczony Miguel wpatrywał się w siedzącą przy stole kobietę, na której twarzy igrał drwiący uśmiech.

— Słucham?

— Takie są polecenia.

— Czyje polecenia?

Spojrzała na niego znad szklanki i uśmiechnęła się szeroko.

— Zalecenia pani tego domu.

— Panny Dennison?

— Taak.

Zdezorientowany Miguel stał wciąż w tym samym miejscu. Po chwili jednak ocknął się.

— I co jest tego powodem?

Głowa Laury pochyliła się na ramiona, po czym kobieta splunęła.

— Już wystarczająco dużo panu zapłaciła, jakiegokolwiek wyjaśnienia nie są wliczone w cenę.

— Ach tak, rozumiem. — Obrócił się na pięcie i wyszedł.

— Ej ty, poczekaj chwilę! — krzyknęła za nim Laura, trzymając w ręce kawałek papieru. — Twoja dziewczyna dzwoniła z Lizbony. Ale Miguel nie zwrócił uwagi na to, co mówiła.

— No, to spieprzaj — Laura zmięła w dłoni papier i dokończyła drinka.

Miguel jakby nagle zupełnie stracił sprężystość kroku, gdy wolno wracał przez podwórze do stajni. Dlaczego Patrycja zwolniła go tak nagle? Co się wydarzyło?

## Lozanna

Patrycja miała męczącą noc. Dziwne obrazy wciąż pojawiały się w jej snach. Śniła, że jedzie na Harpalu przez przeogromne pole róż. Odwróciła głowę i wydawało jej się, że za sobą widzi jadącego na Ultimacie Miguela, nagle jednak cały ten obraz zasnęła mgła. Miguel! krzyknęła, ale nie było żadnej odpowiedzi.

Obudziła się z nagłą potrzebą rozmowy z nim. Zanim jeszcze zdążyła się podnieść z łóżka, zadzwoniła na farmę.

— Concha?

— Dobry Boże, czy ja mam może meksykański akcent?

— Laura! Jak to miło cię słyszeć. Tak bardzo potrzebuję teraz przyjaznej duszy.

— No cóż, znajdziesz tu taką, jeżeli tylko wrócisz.

— Tak, wybieram się już do domu. Co słyhać?

— Wszystko dobrze, tylko Concha musiała pojechać do Meksyku.

— Dlaczego?

— Jej siostra zachorowała.

— O Boże. Czy to coś poważnego?

— Chyba nie. Dałam jej kilka dolarów ekstra na powrót. Dobrze zrobiłam?

— Oczywiście, Lauro. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. A co z innymi? Co z...

— Nie martw się. Mam na wszystko oko. Wprowadziłam się do twojego gabinetu, sofa jest bardzo wygodna i czasami pozwalam nawet spać ze sobą Taxi.

— Jesteś taką dobrą przyjaciółką.

— Taak, nie mogłabym postępować inaczej — pośpieszyła z odpowiedzią Laura. — Trochę się nawet o dom robali.

— Och, dziękuję, ale nie ma tam zbyt wiele do zrobienia. Biedronki nie wyklują się przed kwietniem. Potem trzeba je szybko umieścić na krzewach różanych.

— Hmm, będę musiała ich dotykać...

Patrycja roześmiała się.

— Wrócę znacznie wcześniej.

— I chwała Bogu!

— Mogłabyś mi wyświadczyć jedną małą przysługę: przypomnij Edgarowi, żeby sprowadził automatyczny zegar wodny dla alfafy.

— Alfafa to to, co jedzą szkodniki?

— Tak, doskonale wszystko pamiętasz.

— Hmm, nie trzeba być do tego geniuszem. Tyle razy już mi o tym wszystkim opowiadałaś. Te złe są czarne, a te dobre to śliczne, małe czerwone robaczki.

Patrycja znowu się roześmiała.

— Jak się mają konie? — zapytała, próbując naprowadzić rozmowę na Miguela.

— Przybierają na wadze.

— Cóż, już wkrótce sama się tym zajmę. — Miała nadzieję, że następne zdanie zabrzmii nonszalancko. — A co u Miguela?

— Wrócił do domu.

— Co takiego?

— Ulotnił się jak złodziej, w środku nocy, zabierając ze sobą szarego konia.

Patrycja o mało nie wypuściła z ręki słuchawki.

— Halo... jesteś tam jeszcze, kochanie?

— Tak, tak... ach... czy chcesz powiedzieć, że zabrał Ultimata?

— Tak.

— I wrócił do Lizbony?

— Tak powiedział Edgar.

Patrycja nie mogła uwierzyć własnym uszom. Laura nie przestawała paplać — coś o Misty — ale Patrycja nie słuchała już przyjaciółki. Czula ból. Dlaczego Miguel wyjechał tak nagle? To prawda, ona sama też wyjechała bez słowa wyjaśnienia. Więc czy miała prawo go obwiniać? Czego oczekiwała? Chciał po prostu zacząć żyć swoim własnym życiem... zobaczyć narzeczoną... ożenić się... Potrafi to wszystko zrozumieć, próbowała sama siebie przekonać, lecz dlaczego zabrał Ultimata? To nieuczciwe!

Dobrze radziła sobie z tym koniem i Miguel sam to przyznał. Wytrzymała wszystko, wypełniając postanowienia kontraktu, zniosła jego arogancję, upokarzające metody uczenia. Wypełniła swoje obowiązki bez zarzutu, a on w taki sposób chciał się pożegnać? Powinien jeszcze raz spojrzeć na kontrakt. Nie miała zamiaru tak tego zostawić.

## Lizbona

Emilio obserwował, jak Miguel sprowadza Ultimata po pochylni samolotu. Szedł bez żadnego utykania — co za cud miał miejsce w Seattle? Ale przyjaciel wydawał się przygnębiony.

— Hej, Miguelinho, co się z tobą, do diabła, dzieje? Znowu jesteś w Lizbonie, odzyskałeś Ultimata i poruszasz się jak zawodowy tancerz. A ponury jesteś jak noc. Co się stało?

— To długa historia.

— I wyczuwam w niej kobietę — w oczach Emilia zabłysło rozbawienie, gdy trącił Miguela w bok i szepnął: — przewidziałem połowę tej historii, gdy powiedziałaś mi, że spadkobierczyni nie jest ani gruba, ani brzydka. Drugiej połowy wysłucham przy szklaneczce wina.

Miguel nie odpowiedział. Ze zmarszczonymi brwiami obserwował, jak odprowadzano Ultimata do ciężarówki ze znakiem Centro Equestre da Cardiga. Po chwili razem z Emiliem skierowali się w stronę ferrari.

Emilio pozwolił maszynie szybko mknąć do przodu.

— Więc kiedy przyjedziesz do Castelo da Arrábida?

— Jak tylko będę mógł.

— Nie zabaw tam zbyt długo, bo nie mogę się już doczekać twojego przyjazdu. — To powiedziawszy, zaczął mówić, akcentując wyraźnie każde słowo: — drobna... mała... krągła... kształtna... seksowna... — przerwał, po czym nie odrywając oczu od ciągnącej się przed nimi drogi, zbliżył usta do ucha Miguela i szepnął: — ...Młoda klaczka.



Miguel roześmiał się. Emilio nigdy nie pudłował, próbując wprowadzić go w dobry nastrój.

— Przyjadę, jak tylko Ultimato otrząśnie się z odrętwienia po locie samolotem. Poza tym muszę teraz pogadać ze starym.

Odbyło się to ostrzej, niż oczekiwał. Twarde, niebieskie oczy Paula powitały go z lodowatym gniewem.

— Miguelu, czy nie możesz zrozumieć, że nie wolno ci zabrać z powrotem Ultimata?

— Przestań mówić do mnie tak, jak gdybym w dalszym ciągu był jeszcze dzieckiem.

— Oceń to, co sam powiedziałeś. Przyznałeś, że ona jest doskonałym jeźdźcem. Wobec tego jak uzasadnisz teraz to, co zrobiłeś?

— Mam swoje racje.

— Nie dbam o twoje racje. Ja honoruję umowy, na których widnieje mój podpis.

— Ale to ona zerwała umowę. Wyjechała nagle bez słowa wytłumaczenia i zwolniła mnie.

— Zwolniła cię? Dlaczego?

— Nie wiem. Pracowałem z nią codziennie, robiła szybkie postępy, dopóki nie przyjechał jej narzeczony... — przerwał nagle. — Jest nieodpowiedzialna.

— To dlaczego zostawiłeś Harpala?

Miguel nie miał na to pytanie gotowej odpowiedzi.

— No cóż... Ma dobrych pracowników, ale nie w takim stopniu dobrych, żeby zajmowali się Ultimatem... To mój koń. Chcę wystąpić z nim na arenie.

— Och! Doprawdy? W takim razie wypisz mi czek na sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— A niech to diabli! Czy do tej pory nie spłaciłem jeszcze swoich długów? Dałeś mi konia, z którym nikt nie mógł sobie poradzić, to ja sprawiłem, że jest teraz wart tyle pieniędzy.

— I dlatego masz prawo marnować go na arenie?

— Mam trzydzieści lat. Pozwól mi chociaż raz zrobić to, czego sam chcę.

- Chcesz jedynie być obiektem zachwyków publiczności.
- Ja chcę być obiektem zachwyków? To ty jesteś człowiekiem, który pragnie tylko skupiać na sobie uwagę innych. Wielki Paulo Cardiga. Nikt nie jest tak dobry, w tym co robi, jak ty. Żaden Austriak...
- Miguel!
- ...żaden Niemiec...
- Miguelu, wystarczy! Moja kariera opiera się na miłości, jaką żywię do koni.
- Więc jak możesz nie rozumieć, że kocham Ultimata tak, jak ty kochałeś Amante.
- Paulo milczał. Przez otwarte okno dochodził ich głos Filipe wydającego polecenia uczniom. W końcu Paulo odezwał się:
- W porządku... Sprzedam ci Ultimata... za pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
- Wiesz, że nie mam żadnych pieniędzy — odpowiedział Miguel przez zaciśnięte zęby.
- To zapracuj na to, co tak kochasz — uciał Paulo.
- Jak?
- Zaczynaj znowu uczyć w Centro. Pomóż mi przygotować następną wystawę koni. Wreszcie dosiądz ze mną konia.
- Konia?
- Tak. Jeden raz w moim życiu chciałbym wystąpić z synem. Jedy-  
nym człowiekiem, który potrafi naśladować każdy mój ruch.

## Lozanna

Zręcznie pokonując ostre zakręty, doktor Solomon odwoził Patrycję na lotnisko długą, krętą drogą. Dziewczyna, zajęta własnymi myślami, prawie nie zauważała krokusów, które już zaczynały wystawać spod śniegu.

– Oczywiście zaskoczyłaś mnie swoją nagłą decyzją powrotu do domu — doktor przerwał jej rozmyślanie.

– Doktorze, spędziłam tu całe dwa miesiące, to wystarczająco długo. Pan powinien zajmować się ludźmi, którzy rzeczywiście potrzebują

pańskiej pomocy — powiedziała tonem ostrzejszym, niż zamierzała.

Posłał jej szybkie spojrzenie przez grube szkła okularów.

— Jesteś zła?

— Tak, ale nie na pana.

— No cóż, miło mi to słyszeć.

— Czy może pan w to uwierzyć: on nagle wyjechał i zabrał se sobą jednego z moich koni...

— O czym ty mówisz?

— ...a ja zapłaciłam jego ojcu za tego konia sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Miguel tak postąpił? To jakieś nieporozumienie.

— Cały czas czułam, że on nie chce, abym miała tego konia na własność.

— Czasami niezbyt słusznie przypisujemy ludziom motywy pewnych postępowań...

— Ale nie ulega wątpliwości, że on postąpił niesłusznie.

— Czy nie powinnaś najpierw z nim porozmawiać, zanim wydasz taki sąd?

— Nie... Już nigdy więcej nie chcę z nim rozmawiać. W moim imieniu będą teraz występować w tej sprawie moi prawnicy.

Doktor Solomon zamilkł na chwilę, by po pewnym czasie znowu się odezwać.

— Patrycyjo, pozwól, że udzielę ci ostatniej rady.

— Tak, słucham?

— Nie wracaj prosto do domu.

— Ale ja bardzo tęsknię za farmą.

— Nie wykorzystuj farmy jako jeszcze jednej drogi ucieczki.

— To dokąd mam pojechać?

— Do Lizbony.

— Czy pan zwariował?

— Możliwe — roześmiał się cicho — prawie wszyscy psychiatry są trochę stuknięci.

Patrycja nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— Nie to miałam na myśli. Ale co miałabym robić w Lizbonie?

— Powinnaś rozwikłać całą tę sprawę. Z tego, co mi opowiadałaś, wynikało, że Miguel może jest i arogancki i nieuprzejmy, lecz pobudką jego zachowań bywa zasadniczo miłość do koni. A jeśli koń zachorował... Potrzebował specjalnej opieki...

— Doktorze, w całym stanie jest wielu doskonałych weterynarzy.

— No cóż, może masz rację, ale prawdziwą przyczynę poznasz tylko wtedy, kiedy o nią zapytasz.

Patrycja poparzyła prosto przed siebie.

— Używając pańskich słów, doktorze: te drzwi są już zamknięte.

— Oto mamy przykład tego, czego nie znosi żaden psychiatra: prze-mądrzały pacjent. — Na jego twarzy jednak widoczny był smutek, gdy otwierał drzwi samochodu.

Załoga już na nią czekała, stojąc na stopniach samolotu Stonehama. Patrycja objęła doktora ramionami i mocno do niego przylgnęła.

— Postaram się już nigdy więcej nie zwracać panu głowy — powiedziała drżącym głosem.

— Będzie mi przykro, jeżeli nie zadzwonisz do mnie od czasu do czasu.

Ucałował ją w obydwie policzki i Patrycja zniknęła po chwili we wnętrzu kabiny.

Podczas lotu, gdy szef kuchni przygotowywał lekką przekąskę, Patrycja powiodła wzrokiem po monitorze, na którym malutki punkcik przesuwiał się po mapie Europy. Dostrzegła punkt z napisem Lizbona.

Jedno pytanie wciąż nie dawało jej spokoju. Dlaczego wyjechał tak nagle? Przypominała sobie słowa doktora: „Prawdziwą przyczynę znajdziesz tylko wtedy, kiedy o nią zapytasz”. Czy dziewczyny znów spoczęły na Lizbonie. To miasto wydawało się takie bliskie.

Nacisnęła guzik, łącząc się z kabiną pilota.

— Kapitanie, czy możemy zmienić plany i skierować się do Lizbony?

— To pani samolot, panno Dennison — odpowiedział pilot z cichym śmiechem.

— Dziękuję. — Szybko chwyciła za telefon. — Centrala międzynarodowa? Chcę zamówić rozmowę z Portugalią.

— Jaki numer?

— Chwileczkę...

— Nerwowo przerzucała kartki notesu, po czym podyktowała rząd cyfr, którego właśnie szukała. Krótkie, urywane dźwięki dały się słyszeć na międzynarodowej linii telefonicznej, aż wreszcie rozległo się jednostajne dzwonienie telefonu. Nagle ogarnęła ją panika. Co powie? Jak on zareaguje? Odłożyła słuchawkę. Wzięła głęboki oddech i jeszcze raz nacisnęła guzik łączący z kabiną pilota.

— Kapitanie... czy moglibyśmy wylądować?

— Teraz?

— Tak, właśnie teraz. Po prostu lądujemy.

— Gdzie?

— Wszystko jedno.

— No cóż... znajdujemy się w brytyjskiej strefie powietrznej. Poproszę o pozwolenie lądowania na Heathrow, jeżeli to pani odpowiada.

— Tak, proszę.

— To pani samolot, panno Dennison. — Tym razem się nie roześmiał.

## Lizbona

Ogrody pałacu Queluz — małego Wersalu pośród Migdałowej Doliny — były wspaniale oświetlone. Na tarasie znajdowało się pełno gości ubranych w staranne wieczorowe stroje — naszywane paciorkami długie suknie, jedwab i szyfon, mężczyźni mieli na sobie czarne fraki — wszyscy kręcili się wokół prezydenta Soaresa, gospodarza przyjęcia. Nagle szum rozgadanego tłumu ucichł na dźwięk trąbek. Uwaga wszystkich skupiła się na wysypanej piaskiem powierzchni, wydzielonej atlasowymi szarfami, dokładnie u podnóża schodów z kamiennymi statuami lwów po bokach.

Trąby ucichły i rozległy się dźwięki poloneza Szopena.

Paulo i Miguel Cardiga pojawili się, jadąc konno jeden przy drugim. Ich wierzchowce nie miały na sobie żadnej uprzęży. Jedynie delikatne, jedwabne szarfy łączyły dłonie jeźdźców z końskimi pyskami. Słychać było jak publiczność na galerii wstrzymuje oddech.

Kątem oka Miguel obserwował pochylone wiekiem plecy ojca, wyprostowane teraz, gdy zbliżali się do środka areny. Tłum i muzyka zawsze fascynowały starca. Muzyka umilkła na krótko, gdy obydwaj konie ukloniły się jednocześnie, zginając kolana. Ojciec i syn zdjęli z głów płaskie kapelusze, witając prezydenta.

Nagle znowu rozległy się dźwięki muzyki. Jeźdźcy rozdzielili się i konie zaczęły jak gdyby płynąć w poprzek areny. Było to niemające sobie równych *pas de deux*— każdy z jeźdźców wykonywał te same ruchy z precyzją lustrzanego odbicia.

Miguel zauważył wyraz zadowolenia na twarzy ojca.

W tej samej chwili na arenie pojawiło się dziesięciu kolejnych jeźdźców. Pięciu ustawiło się w rzędzie za ojcem, pozostałych pięciu za synem. Byli to najbardziej obiecujący uczniowie Centro Equestre da Cardiga. Wszyscy podążyli za swoimi dwoma przewodnikami, konie pełnymi gracji ruchami obracały się w rytm muzyki.

Co chwilę rozlegały się gwałtowne brawa. W końcu dodatkowi jeźdźcy opuścili arenę. Paulo i Miguel zeskoczyli wówczas ze swoich koni i pozwolili zwierzętom ścigać się luzem wokół areny. Poczuvszy wolność, Ultimato położył się na ziemi i zaczął tarzać się w piasku, wyrzucając w górę nogi. Przez głośnik dał się słyszeć głos Paula:

— W ten właśnie sposób powinien żyć człowiek i koń — zawsze wolni.

Prezydent wstał, a publiczność podążyła za tą spontaniczną owacją, wyrażając głośno swój zachwyt. Tylko jedna osoba wśród prezydenckich gości stała w ustawicznym milczeniu. Isabel Veloso wpatrywała się uważnie w obydwaj konie, lekko wybiegające z areny, prosto w ręce ojca i syna.

Przyjęcie, wydane w bogato przystrojonej sali lustrzanej, było niebywałym wydarzeniem. Wszystkich gości ogarnął świąteczny nastrój, sączo szampana, jedzono przekąski. Miguel z trudem próbował unikać przeszywającego spojrzenia Isabel, gdy razem z Paulem odbierali z wdzięcznością komplementy prezydenta.

Gdy tylko nastał odpowiedni moment, Paulo zaprowadził syna do ogrodu i usiadł ciężko na zrębie fontanny.

— Siadaj, Miguelu, jesteś zmęczony.

— Ależ wcale nie jestem zmęczony. — W tym samym momencie dostrzegł słaby błysk w oczach ojca.

— Chciałbyś, żebym uznał, iż to tylko ja jestem zmęczony? Zapamiętaj to sobie: Paulo Cardiga nigdy nie jest zmęczony.

Miguel stał bez ruchu, zdumiony. Jeszcze nigdy nie widział, żeby ojciec był tak znudzony — zazwyczaj Paula nie opuszczał wrodzony wigor, szczególnie gdy występował przed publicznością.

— Miguelu, jestem z ciebie dumny... Jechałeś dziś bardzo dobrze.

— Nie za bardzo brutalnie ze zwierzęciem? — Miguel nie potrafił ukryć własnego sarkazmu.

Paulo uśmiechnął się.

— Nie byłeś nigdy brutalny dla koni od dnia, w którym zostałeś ukarany. Pamiętasz?

— Jak mógłbym zapomnieć? — odpowiedział cicho Miguel. Pochylił się i zanurzył dłoń w fontannie, próbując zwabić parę łabędzi, która pływała nie opodal.

Paulo położył dłoń na ramieniu syna i wstał.

— Wracam teraz do domu, ale ty zostań. Ktoś musi nas reprezentować — powiedział, biorąc gwałtowny wdech.

— Dobrze się czujesz? — Miguel podniósł się z miejsca.

— Tak, tak — odparł. — Jutro rano opowiesz mi dokładnie o całej uroczystości.

Miguel obserwował ojca odchodzącego wolnym krokiem — po raz pierwszy dostrzegł, że Paulo jest starym, zmęczonym człowiekiem.

Nagle łabędzie krzyknęły alarmująco. Za bukszpanowym żywopłótem ukazała się sylwetka kobiety w zarzuconym na ramiona i spływającym swobodnie szalu ze złotej lamy.

— Znalazłam cię wreszcie — szybkim krokiem podeszła do niego Isabel. — Co za wspaniałe widowisko!

— To zasługa mojego ojca — Miguel zaczął się cofać, pragnąc usilnie uniknąć tej rozmowy, ale jej silna dłoń przyciągnęła go z powrotem.

— Chcę z tobą pomówić — powiedziała cicho.

— Oczywiście... Może spotkamy się w przyszłym tygodniu.

— Nie, Miguelu, teraz.

Spojrzał na nią. Musiała spędzić wiele czasu przed lustrem, przygotowując się na tę okazję. Jej czarne włosy były gładko upięte do tyłu i przepasane złotą wstążką. Brylantowe kolczyki zwisały pod doskonale symetrycznym owalem twarzy, która wcale nie potrzebowała aż tak intensywnego makijażu. Niechętnie usiadł przy niej.

— Dobrze bawiłeś się w Ameryce? — zapytała uprzejmie.

— Tak.

— Nie wątpię. Nie miałeś nawet czasu, żeby odpowiadać na moje telefony i listy.

— Wybacz.

— Nie, nie wybaczam. To boli, Miguelu, po prostu boli.

— Przepraszam.

— To nie wystarczy.

Wstał z miejsca.

— A co by wystarczyło? — zapytał z cynicznym uśmiechem.

— Przyjdź do mnie dziś wieczorem — odparła — znasz drogę.

— Nie mogę.

— Ale musisz.

— Muszę?

— Jesteś mi to winien.

— Isabel, nie jesteśmy sobie niczego winni. Moje długi zostały spłacone.

Kobieta popatrzyła w kierunku tarasu, na którym goście śmieli się i rozmawiali z ożywieniem. Nikt nie byłby w stanie dostrzec ich dwojga,



stojących w cieniu wysokiej fontanny. Twarz Isabel zbliżyła się do Miguela, gdy syknęła:

— Wykorzystałeś mnie.

— Nie, Isabel — potrząsnął głową. — Wykorzystywaliśmy się nawzajem.

— Ale ja cię kocham, Miguelu.

— Nie, to nie jest tak.

— Naprawdę.

— Powiem ci, jaka jest prawda. Obydwoje chcieliśmy się trochę popieprzyć. Każde z nas dostało to, czego mu było trzeba. I ja słono za to zapłaciłem — poklepał swoją sztuczną nogę.

— Zabiłeś mojego męża... na moich oczach. Co będzie, jeśli zacznę o tym mówić?

Chwyił ją mocno za ramię.

— Dlaczego tego nie zrobisz? Ale czy oni nie chcieliby się za wszelką cenę dowiedzieć, czemu milczałaś tak długo?

— Wszyscy wiedzą, że bardzo kochałam męża.

Miguel zwolnił uścisk i odchylił się do tyłu.

— Wszyscy wiedzą, że wyszłaś za Velosa dla jego pieniędzy — jego dłoń dotknęła brylantowych kolczyków.

Isabel zaczęła się trząść, podczas gdy łzy spływały jej po policzkach.

— Błagam, potrzebuję cię.

— Masz wszystko, czego ci potrzeba. — Wstał i nie mówiąc nic więcej, odszedł.

## ROZDZIAŁ 11

### Londyn

Patrycja czuła się mała i bezradna, zagubiona w olbrzymim łożu, które jak gdyby samo również czuło się niepewnie w przestronnym apartamencie Stonehama w Hotelu Claridge. Gdy tylko tu przyjechała, przeżyła bolesne rozczarowanie słysząc, że pani Sperber opuściła właśnie miasto — sprawiło to, że poczuła się jeszcze bardziej samotna, bo jedyna przyjazna jej dusza w całym tym molochu nagle zniknęła. Co właściwie tutaj robi? Dlaczego nie pojechała prosto do domu, tak jak początkowo planowała?

Z całej siły próbowała przywołać jakąś myśl, która mogłaby ją przynajmniej częściowo uspokoić. Przypomniała sobie szarzejące niebo — sylwetkę ojca na szczycie drabiny, z gwiazdą w ręce. Wyobraziła sobie, że sama jest skulona gdzieś w rogu tej gwiazdy — ojciec unosił ją tak wysoko, z dala od leżących poniżej problemów. Poczuła się lepiej, była spokojniejsza i wolno zaczęła zapadać w sen.

Ale ta piękna wizja przekształciła się w pewnej chwili w senny koszmar. Wciąż było tam to samo niebo... drabina... i sylwetka człowieka... ale, gdy jednak odwrócił głowę, spostrzegła z przerażeniem, że to nie był tatuś, lecz J.L. Ze złośliwym uśmiechem zaczął strącać z nieba gwiazdy, jedną za drugą.

Obudziła się zlna potem. Wskoczyła z łóżka, wzięła prysznic i zamówiła kawę. Chciała rozjaśnić nieco swój umysł przed przystąpieniem do tego, co zamierzała zrobić. Z determinacją usiadła przy biurku i wzięła do ręki pióro. Rozłożyła przed sobą arkusz hotelowej papeterii.

*Drogi Miguela* zaczęła, ale skreśliła natychmiast to, co napisała. *Drogi panie Cardiga*. Nie, żadnego „drogi” przy zwracaniu się do tego człowieka. *Panie Cardiga!*

Na arkuszu widniał już powyższy nagłówek, czekając na to, co miało nastąpić, ale Patrycja nie była w stanie sformułować zdania. Zamiast niego na papierze pojawiły się dziecinne bazgroły koni. Wzdychając odłożyła pióro i wstała.

Zaczęła chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Znowu ogarniało ją to samo poczucie bezradności — dlaczego nie potrafiła napisać prostego listu? Usiadła za biurkiem, żeby jeszcze raz spróbować, gdy nagle rozległ się ostry dźwięk telefonu.

— Pani Sperber! Myślałam, że pani wyjechała.

— Wróciłam wczoraj w nocy, znalazłam na biurku wiadomość od ciebie — nuta szczerego zadowolenia zdawała się przebijać przez powściągliwe zazwyczaj, brytyjskie maniery pani Sperber — nie mogę się doczekać, kiedy cię wreszcie zobaczę, kochanie.

— Nie ma pani pojęcia, jak bardzo za panią tęskniłam, droga pani Sperber. Zastąpili panią takim okropnym człowiekiem. I przez to wszystkie ich decyzje są takie nieprzyjemne, zawsze przeciwko mnie.

— Biedne dziecko. Mam nadzieję, że już wkrótce twoje planowane małżeństwo zwolni radę ze wszystkich obowiązków.

— Och... ja zerwałam zaręczyny... Mam pani tyle do opowiedzenia.

— W porze lunchu? O pierwszej?

— Cudownie. Gdzie się spotkamy?

— W mojej ulubionej restauracji: Harrys Bar.

— W pubie? — zachichotała Patrycja.

— Nie, to bardzo eleganckie miejsce ukryte pod tak pospolitą nazwą. Odkładając słuchawkę, Patrycja czuła się już znacznie lepiej. Pani Sperber zawsze była jak na zawołanie. Dziewczyna nie mogła doczekać się lunchu.

Zanim jeszcze zaczęła się przebierać, ponownie usiadła przy biurku, wzięła głęboki oddech i tym razem pióro gładko przesuwano się po

papierze: *Panie Cardiga. Przykro mi, że okoliczności zmusiły mnie do opuszczenia farmy tak nagle, ale jestem zawiedziona, że podczas mojej nieobecności poczuł się pan uprawniony do rozwiązywania naszej umowy i zabrania ze sobą mojego konia. Spodziewałam się po panu czegoś więcej.*

Przed wyjściem poprosiła konsjerżkę o wysłanie listu.

Siedząc przy narożnym stoliku w Harrys Bar, Patrycja wcale nie zwracała uwagi na stojące przed nią potrawy, ale zaczęła wylewać swoje żale na temat Toma. Pani Sperber z niewzruszonymi angielskimi manierami nie wypytywała sama Patrycji, ani nie napierała na dalsze zwierzenia, słuchała jedynie z uwagą tego, co opowiadała dziewczyna.

— Nie ma pani pojęcia, jak bardzo chciałam zrobić w życiu coś dobrego. Byłam pewna, że uda mi się to z jego pomocą.

— Nie potrzebujesz mężczyzny, który będzie ci ułatwiał dokonywanie w życiu czegoś pozytywnego — odparła kwaśno pani Sperber — ale rozumiesz, jak się teraz czujesz. Gdy odszedł mój mąż, także czułam się zupełnie bezradna.

— I co pani wtedy zrobiła?

— Zrozumiałam, że inni ludzie mają znacznie poważniejsze problemy niż ja. Znudzilo mi się uzalanie nad sobą i wzięłam się do roboty.

— Tak, ale pani uwielbia zajmować się interesami, a ja tego nie cierpię.

— Skąd ta pewność?

— Och... zawsze czuję się w biurach źle i niezręcznie... Oczy Patrycji zaczęły mimo woli błdzić po wiszących na ścianach obrazach Paula Arna. Dokładnie naprzeciwko siebie miała wizerunek małego, smutnego chłopczyka w kombinezonie, który spoglądał na pająka, siedzącego spokojnie na betonowym chodniku. Napis głosił: „Wiosna w wielkim mieście”.

— Z natury jestem po prostu wiejską dziewczyną... — mówiła dalej Patrycja — ale naprawdę chciałam zrobić coś, co odmieniłoby znacznie życie innych.

Pani Sperber pokręciła wolno głową.

— Kochanie, odmieniasz znacznie życie innych za każdym razem, gdy stawiasz swój podpis.

— O czym pani mówi?

— Od czasu do czasu mogłabyś czytać dokumenty, które podpisujesz tak szybko, mogłabyś też wziąć udział w zebraniu akcjonariuszy. Może dowiedziałabyś się wtedy kilku rzeczy, o których opiekunowie nie raczą cię informować.

— Na przykład czego?

— Na przykład tego, że twój podpis zalegalizował przeniesienie fabryki środków owadobójczych do Nogales w Meksyku.

— Więc mamy także fabrykę środków owadobójczych?

— Tak, mamy. To jedno z najbardziej dochodowych przedsięwzięć Grupy Stonehama... i najbardziej zenujące.

— Żenujące?

— Tak, meksykańscy robotnicy dostają pięćdziesiąt pięć centów za godzinę pracy, żadnych premii. Nie są w żaden sposób zaznajamiani z obchodzeniem się z niebezpiecznymi chemikaliami, nie mają żadnej odzieży ochronnej... Kierownictwo przedsiębiorstwa nie chce ponosić kosztów drogich urządzeń do neutralizacji szkodliwych substancji — po prostu odprowadzają toksyczne odpady bezpośrednio do rzeki Santa Cruz.

— W jaki sposób uchodzi to im bezkarnie?

— Władze meksykańskie patrzą na to z innej strony, to przedsięwzięcie bowiem przynosi ich krajowi miliony.

— To potworne.

— Ale Horace Coleman jest tak żądny coraz większych zysków, że zamierza przenieść wszystkie nasze zakłady produkcyjne do Nogales.

— I może to zrobić?

— Jeżeli podpiszesz dokumenty, będzie miał do tego pełne prawo. — Pani Sperber pociągnęła łyk kawy.

— Sugeruje pani, że powinnam odmówić złożenia podpisu?

— Kochanie — cierpki ton znowu pojawił się w jej głosie — ty jesteś właścicielką przedsiębiorstwa.

Patrycja przygryzła wargi, spuściwszy głowę. Odezwała się po chwili cichym głosem:

— Pani Sperber, ja wcale nie chcę tego przedsięwzięcia. Czy może sobie pani wyobrazić, że sprzeciwiam się w czymkolwiek wujowi Horac'e'owi?

— Tak, wyobrażam to sobie. Uważam, że pod twoją niepewnością i bezradnością kryje się więcej sił, niż myślisz.

— Zamierzałam już wkrótce oddać po prostu wszystkie te pieniądze. Tom miał mi pokazać, w jaki sposób się do tego zabrać. Ale teraz to już przeszłość.

— Rozważ przez chwilę to, co powiedziałam: masz w sobie prawdziwą siłę, dobrze o tym wiesz.

Patrycja nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ze wszystkich stron dobiegał szmer radosnych rozmów, ale ona była bliska płaczu.

Pani Sperber poklepała jej dłoń wstając.

— Porozmawiamy jeszcze o tym innym razem. A teraz pozwól, że zabiorę cię na zakupy.

— Nie, dziękuję, pani Sperber. Nie chcę niczego kupować.

Wyszły z restauracji, ale gdy tylko kierowca otworzył drzwi samochodu, Patrycja zawahała się.

— Co się stało? — zapytała pani Sperber.

— Czy nie mogłybyśmy wrócić do hotelu na piechotę?

— Ależ oczywiście, doskonały pomysł. Wzdłuż Mount Street jest mnóstwo uroczych sklepików.

Patrycja zaczęła od razu iść szybkim krokiem, mając nadzieję, że nie będą musiały wchodzić do żadnego z owych „uroczych sklepików”. Nie znośiła robienia zakupów.

Nagle stanęła i wstrzymała oddech.

Przed nią na wystawie wisiał olejny obraz przedstawiający pięknego szarego ogiera z głową i torsem mężczyzny — mężczyzny o twarzy jej ojca!

— Co się stało, kochanie?

Patrycja była zupełnie rozedrgana, gdy podeszła jeszcze bliżej do wystawy. Jakby z oddali dotarło do niej pytanie pani Sperber:

— Dobrze się czujesz?

— Tak, tak... — wymamrotała, patrząc prosto w oczy ojca — chciała-  
bym mieć ten obraz.

— Dobrze, wejdziemy do środka i zaraz go kupimy.

Wnętrze galerii było pełne wspaniałych płócien. Do Patrycji i pani  
Sperber podeszła wyniosła, dojrzała kobieta.

— Czym mogę paniom służyć? — zapytała z uprzejmym zaintereso-  
waniem.

— Ten obraz na wystawie... — zaczęła Patrycja.

— Ach tak, to „Satyr”.

— Chciałabym go kupić.

— Przykro mi, ale nie jest na sprzedaż.

— Wisi przecież na wystawie — przerwała pani Sperber.

— Tak... ale należy do lady McFadden.

— Lady McFadden?

— Właścicielki galerii i malarki.

— I nie życzy sobie ona, aby sprzedawano jej obrazy? — napierała  
pani Sperber.

— Ależ tak... te wszystkie... — i kobieta wskazała dłonią na wiszące na  
ścianach płótna — z wyjątkiem tego jednego z wystawy.

— Może do tej pory — odezwała się pani Sperber — nikt nie złożył  
odpowiedniej oferty.

— Lady McFadden odrzuciła już bardzo wiele ofert.

— To w takim razie dlaczego obraz wisi wciąż na wystawie?

Kobieta spojrzała na nie porozumiewawczo.

— Wygląda na to, że przyciąga do galerii klientów.

— Proszę pani — zaczęła nieśmiało Patrycja — czy nie byłoby możli-  
we...

— Czy jakiś problem, panno Tindly? — odezwał się z tyłu jakiś głos.

Odwróciły się i ujrzały młodą kobietę w czarnym szytym na miarę  
kostiumie i dopasowanym toczku z piórami. Trudno było określić jej  
wiek — wyglądała jak dziewczynka z okrągłymi policzkami i zaróżowioną  
cerą, ale jej ogromne, bardzo ciemne oczy były dojrzałe, poważne, lekko  
onieśmielające.

— Nie, nic się nie stało, proszę pani... Po prostu znowu ktoś chce kupić „Satyra”.

— To mi pochlebia, ale dlaczego nie pokażesz gościom moich innych prac. — Wymawiała „r” z dziwną szorstkością, wskazującą na obce pochodzenie.

— Nie, nic pani nie rozumie — wybuchnęła Patrycja — to mój ojciec. Oczy lady McFadden wydawały się przenikać dziewczynę na wylot.

— Więc pani jest Patrycją Dennison?

— Tak... to ja, ale skąd...

— Wiedziałam, że pani przyjdzie któregoś dnia.

— Wiedziała pani? — wyjąkała Patrycja. Lady McFadden wyciągnęła rękę.

— Mam na imię Luba.

## Lizbona

Miguel trzasnął batem o ziemię tak mocno, że aż tumany kurzu podniosły się za tłustą Francuzką, która jeżdżąc wokół niego, z trudem utrzymywała równowagę w siodle. Po drugiej stronie areny jego ojciec jeździł ramię przy ramieniu z jedną z bardziej zaawansowanych uczennic. Ten wstrętny stary skurwiol pozwolił mu tylko w niedziele przygotowywać Ultimata do corridy. Koń szybko przyzwyczał się do mechanicznego byka, ale teraz Miguel chciał, aby zetknął się z prawdziwym „seksownym małym byczkiem”, jak mawiał Emilio. A niech to diabli! Czuł się tu jak w więzieniu.

— Jeszcze raz! — krzyknął do zalanej łzami dziewczyny.

Wiedział, że jest okrutny, ale nie potrafił się opanować. Syczał z gniewem na wszystko i wszystkich. Krótki list, który dostał tego ranka od Patrycji, był jak sypana na ranę sól. Jak mógł się tak co do niej mylić, a wydawała się słodka, wrażliwa, współczująca. Jakim był głupcem, marząc o tej dziewczynie i do niej tęskniąc. Zwolniła go jak nieznośnego parobka. Teraz pisze do niego lakoniczny liścik i praktycznie nazywa koniokradem!



— Jeszcze raz! — wrzasnął.

Nagle usłyszał za sobą przeraźliwy krzyk. Jeżdżąca z jego ojcem uczennica wypuściła lejce i zakryła dłońmi usta, wpatrując się rozpaczliwie w Paula, który, zgięty w pół, osuwał się z siodła.

Miguel rzucił się biegiem w jego kierunku i zdążył chwycić ciało ojca dokładnie w chwili, gdy spadało ze zdenerwowanego konia.

— Filipe! — krzyknął do pracownika. — Dzwon po doktora Bragę!

Zaniósł bezwładne ciało Paula na werandę i ułożył na ławce. Starzec szybko i płytko chwycił ustami powietrze.

— Miguel... — szepnął, odzyskując przytomność.

— Leż bez ruchu, odpoczywaj — nakazał Miguel.

Z bladym uśmiechem Paulo ponownie zamknął oczy. Ale do czasu, gdy przybył doktor, wciąż upierał się, że wszystko jest w najzupełniejszym porządku. Protestując głośno, pozwolił w końcu doktorowi zmierzyć puls i osłuchać serce.

— No więc, *mestre* — doktor odłożył stetoskop — pańska krew krąży i serce bije.

— W takim razie wracam do zajęć.

— Nie tak prędko, nie tak prędko — doktor podniósł ostrzegawczo dłoń. — Powinien pan pójść do łóżka i odpoczywać przez resztę dnia.

Miguel spojrział na zmęczoną, zszarzałą twarz ojca. Jego brawura i hardość gdzieś zniknęły, gdy bez słowa sprzeciwu pozwolił, by syn ściągnął mu długie jezdzieckie buty. Zgodził się także pójść do łóżka, pod warunkiem, że system pracy w Centro nie zostanie przez to zakłócony. Wlokąc się do swojej garderoby, ruchem ręki nakazał wszystkim odejść.

Jaki wydajesz się teraz słaby, pomyślał Miguel. Czy był to ten sam człowiek, który uderzył go kiedyś batem? Czy był to ten właśnie człowiek, który odnosił się z cyniczną dezaprobatą do całego życia Miguela? Jego siła zastraszania gdzieś się nagle ulotniła. Miguel pośpieszył za lekarzem.

— Doktorze Braga... co pan o tym sądzi?

— Pański ojciec miał prawdopodobnie atak niestrawności... lub może

to być jakiś wrzód... Ale spodziewam się komplikacji.

— To znaczy?

— Zanim odpowiem na to pytanie, muszę przeprowadzić dokładniejsze badania. Z pewnością pański ojciec powinien odpoczywać przez kilka najbliższych dni, po czym weźmiemy go do szpitala, aby móc postawić trafną diagnozę.

## Londyn

— Ach tak, panna Dennison... Moja pani oczekuje panienki — pucułowała pokojówka Irlandka zaprowadziła Patrycję do przeciążonego antykami salonu lorda i lady McFaddenów w ich eleganckim domu, wychodzącym na ogrody przy Sloan Square.

Ściany były pełne obrazów, bez wątpienia pędzła Luby. Patrycja rozejrzała się wokoło, przyglądając się im z ciekawością. Nagle przymrużyła oczy. Znała tę postać znad kominka. Była taka sama jak sylwetka mężczyzny zawieszającego gwiazdę na jej ulubionym obrazie. To był tata! Podeszła bliżej. Na oświetlonej księżycem plaży mężczyzna trzymał w ramionach kobietę. Mosiężna tabliczka na dolnej poprzecznej ramie głosiła: „Kochankowie w Troi”. Troja? Tata chciał ją tam kiedyś zabrać — mówił, że to czarodziejskie miejsce...

Jej rozmyślenia przerwał głos Luby.

— Tak się cieszę, że przyszedł. Usiądź, proszę.

Pokojówka postawiła na stole srebrną tacę z herbatą i bezszelestnie wyszła.

— Była pani w Troi? — spytała Patrycja.

— Tak... to bardzo piękne miejsce.

— Mój ojciec także kochał Portugalię... Kręcił tam kiedyś film.

— Tak, wiem — w głosie Luby zabrzmiała jakaś niewyraźna, rozmazana nuta, gdy nalewała dla siebie i gościa herbatę.

Zapanowało niezręczne milczenie. Patrycja spojrzała znowu na obraz. To oczywiście, że siedząca teraz przed nią kobieta była tam razem z tatusiem, jej ramiona oplatają ściśle jego ciało. Czy naprawdę chciał mnie zabrać do Portugalii, bym mogła odwiedzić szkołę jeździecką Cardigi, czy może chciał mnie zabrać na swoje romantyczne łowy?

— Kochałam twojego ojca — Luba jak gdyby czytała w jej myślach.

Zdumiona Patrycja nie wiedziała, co odpowiedzieć. W milczeniu sączyły herbatę z eleganckich filiżanek w stylu Staffordshire. Patrycja próbowała nie patrzeć na obraz.

— Twój ojciec był najważniejszym człowiekiem w moim życiu. Tak często o tobie wspominał, że wydaje mi się, jak gdybym znała cię bardzo dobrze.

— Co mówił?

— No... hmm... ciągle wspominał, jak bardzo za tobą tęskni... Mówił o twojej wielkiej miłości do koni... Nie mógł się doczekać dnia, gdy znowu będzie przy tobie...

— Tata pisał do pani... z Triestu... zanim przesiadł się na samolot do Szwajcarii.

Oczy Luby rozszerzyły się ze zdumieniem.

— Jak udało ci się o tym dowiedzieć?

— Wiem to od hostessy, która wysłała ten list na lotnisku w Trieście.

— Cóż — Luba łyknęła trochę herbaty — to bardzo sprytnie z twojej strony.

— Widzi pani, ojciec dzwonił do mnie stamtąd. Wydawał się taki spięty, powiedział, że musi wyznać mi coś ważnego. Chcę wiedzieć, co to było.

Znowu nastąpiło długie milczenie, podczas gdy ciemne oczy Luby wpatrywały się uważnie w Patrycję. W końcu kobieta wzięła głęboki oddech.

— To był bardzo osobisty list — powiedziała.

— Dwie kokoszki ciągle na plotkach? — przerwał silny, energiczny głos. Należał do wysokiego, potężnego Anglika z różowymi policzkami i łysejącym czołem, niezbyt zręcznie ukrytym przez ułożone na nim długie kosmyki włosów.

— Mój mąż — powiedziała Luba, gdy mężczyzna podszedł bliżej.

Ujął dłoń Patrycji i kontynentalnym zwyczajem pocałował, po czym usiadł obok żony. Luba przytuliła się do niego.

— Jest także moim sponsorem.

Jego Lordowska Mość wybuchnął głośnym śmiechem.

— Naprawdę?

— Oczywiście, że tak, kochanie — odparła Luba. Wskazała na „Kochanków w Troi” — to pierwszy obraz, który sprzedałam... jemu.

— Byłem zrozpaczony — odpowiedział Jego Lordowska Mość — zrobiłbym wszystko, żeby zaciągnąć ją do łóżka — i jego śmiech stał się jeszcze głośniejszy.

Rozbawiona Luba rzuciła w niego poduszką.

— Idź się przebrać, znowu się spóźnimy.

— A co mam założyć?

Z udawanym rozdrażnieniem Luba wypchnęła go z pokoju, odwracając głowę i mówiąc sponad ramienia:

— Jest zupełnie jak dziecko.

Patrycja wzięła torebkę ze stolika.

— Wiem, że jest pani zajęta i nie chcę zajmować więcej czasu.

Luba odprowadziła ją do foyer.

— Patrycjo... Chcę, żebyś wiedziała, że myślałam o tobie wiele razy. I jestem szczęśliwa, że wreszcie udało mi się ciebie spotkać.

— Dziękuję — dłoń Patrycji spoczęła na klamce.

— Przykro mi, że nie okazałam się zbyt pomocna.

— Doceniam, że poświęciła mi pani tyle czasu... ale... zastanawiam się... Wiem, że... to sprawa osobista, ale to była... ostatnia rzecz, którą napisał mój ojciec, jego ostatnie słowa... Czy nie mogłabym zobaczyć tego listu?

Luba zawahała się.

— No cóż... Nie pamiętam dokładnie, gdzie go schowałam... Kiedy wychodzi się za mąż, nie trzyma się starych listów miłosnych w nocnej szafce...

Patrycja patrzyła na nią wyczekująco.

— Oczywiście nie mogę odszukać go teraz... Jestem już spóźniona...  
— Rozumiem — odezwała się z rezygnacją Patrycja — lepiej już pój-  
dę.

— Patrycjo, jesteś taka młoda i piękna, masz przed sobą jeszcze wiele  
szczęśliwych dni. Życzę ci wszystkiego dobrego.

Drzwi rezydencji zamknęły się za dziewczyną. Łzy zamazywały Patry-  
cji obraz, jaki miała przed sobą. Potknęła się o krawężnik i omal nie  
upadła, gdy na oślep biegła przez ulicę w stronę parku. Tam, ukryta za  
wysokim żywopłotem z bukszpanu, gorzko zapłakała.

Już po wszystkim. Ostatnia z możliwych dróg, która łączyła ją z oj-  
cem, okazała się ślepym zaułkiem. To złamało jej serce — już nigdy się  
nie dowie, co takiego ojciec chciał jej powiedzieć.

## ROZDZIAŁ 12

### Londyn

— Byłoby najlepiej, gdyby zarząd nie znał celu twojej wizyty w Nogales. Weź sobie meksykańskiego przewodnika. — Pani Sperber stała na stopniach samolotu Stonehama, dając ostatnie instrukcje swoim spokojnym, perswazyjnym tonem, jak gdyby teraz także załatwiała interesy.

— Pani Sperber, nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi pani pomogła. — Pod wpływem nagłego impulsu Patrycja pocałowała ją w policzek.

Pani Sperber nagle zabrakło słów. Bawiła się mimowolnie paskiem torebki.

— Czuję się tak, jakby moja córka odjeżdżała po raz pierwszy do szkoły.

— Jadę do szkoły... i mam nadzieję, że czegoś się tam nauczę — po czym dodała cicho — i naprawdę czuję się tak, jak gdyby pani stała się moją drugą matką.

— No dobrze... już dobrze... — jąkała się pani Sperber, patrząc na zegarek — powinnaś być już w drodze... i... pamiętaj, że jestem z ciebie, Patrycjo, bardzo dumna.

### Nogales, Meksyk

Gdy samolot tracił szybkość, sunąc wzdłuż pustego pasa startowego po amerykańskiej stronie granicy, Patrycja dostrzegła w dali samotną, poobijaną taksówkę. Śniady Meksykanin, odsłaniający w uśmiechu krzywe zęby, stał przytrzymując otwarte drzwi samochodu z taką dumą,

jak gdyby to była szykowna limuzyna.

— *Buenos días, señora.*

— *Buenos días.* Mówi pan po angielsku?

— Pewnie, jak Jankes.

— Świetnie — uśmiechnęła się Patrycja — proszę mnie zabrać do fabryki Stonehama po meksykańskiej stronie.

Patrycja była oczarowana pięknem krajobrazu Arizony podziwianej z okna samochodu. Wzgórza i rozciągające się na nich zielone pastwiska były tu i ówdzie poznaczone liściastymi drzewami. Po niebie żeglowały białe, puszyste obłoczki. Przejechali przez połyskującą w słońcu rzekę Santa Cruz. Czy wody te, płynące z Meksyku na północ, mogły być tak zatrute toksycznymi odpadami? Pani Sperber pewnie trochę przesadziła.

Przejścia graniczne przecinały w poprzek autostradę numer 19, łączącą Nogales w Arizonie z Nogales w Meksyku. Natychmiast po przekroczeniu granicy wjechali na pełną wyboi drogę, co spowodowało, że samochodem zaczęło bardzo trząść. Nagle jednak kierowca zrobił nieoczekiwany zakręt w prawo i Patrycja spostrzegła, że przejeżdżają przez kutą żelazną bramę wiodącą do Kolonii Kennedy'ego, która stanowiła prawdziwe Beverly Hills meksykańskiego Nogales. Piękne domy ukryte za wysokimi kamiennymi murami i idealnie utrzymane trawniki świadczyły o zamożności mieszkańców.

— Czy to droga do fabryki Stonehama — spytała Patrycja.

— *Oh sí* — odparł kierowca — ale zazwyczaj turyści chętnie odwiedzają to przyjemne miejsce. Mieszkają tu grube ryby.

W końcu taksówka wjechała na szeroką jezdnię prowadzącą przez dzielnicę przemysłową z dwu- i trójkondygnacyjnymi budowlami po obu stronach.

— *Maquiladores* — powiedział kierowca. — Amerykańskie fabryki.

Wszystkie wyglądały na niedawno wybudowane. Były to mocne konstrukcje z betonowych bloków, schludnie pomalowane na pastelowe kolory. Taksówka skierowała się ku skupisku dużych niebieskich budynków,

z których każdy zwieńczony był znakiem Stonehama: kula ziemską z oplatającą ją jak wąż literą „S”. Cały kompleks skupił się na równinie, przechodzącej w dali w zielone łagodne wzgórza, i był otoczony wysokim ceglanym murem. Robiło to wrażenie. Teraz, gdy się już tu znalazła, Patrycja zdała sobie sprawę, że nie ustaliła jak dotąd żadnego planu działania. Nie mogła wejść do środka i zacząć przechadzać się po terenie bez podania swojego nazwiska.

— Myśli pan, że udałoby się porozmawiać z kimś z pracowników, bez wchodzenia do fabryki?

Kierowca spojrział na nią ze zdziwieniem, zastanawiał się przez chwilę i w końcu powiedział:

— *No problema...* Zabiorę panią do Raphaela... On to załatwi.

— Dziękuję.

— Pójdziemy pieszo — dobrze?

Skinęła głową.

Wysiedli z taksówki i Meksykanin oprowadził ją wokół kompleksu, wzdłuż ceglanego muru. Gdy okrążali budynki, Patrycja zauważyła niedużą, białą, ozdobioną sztukaterią budowlę wciśniętą w niszę między dwoma magazynami.

— Co to takiego?

— Kaplica świętego Ramona, bardzo pobożnego człowieka. Jest strażnikiem... no... jak to powiedzieć... *conciencia*.

— Sumienia?

— *Si* — skinął głową — ludzie Stonehama próbują zburzyć kaplicę, ale przewrócono maszynę... buldożer. Zginęło dwóch robotników — przeżegnał się — więc dali spokój.

Gdy znaleźli się już za fabryką, na samym skraju równiny, gdzie ziemia opadała płatami w dół, mężczyzna wskazał poniżej.

— Oto Kolonia Zapaty. Tam mieszkają robotnicy.

Patrycja spojrzała w dół na pełne gruzów zbocze pagórka.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie są to wcale żadne gruzy. Nie — było to zbiorowisko setek chat, labirynt pokrytych koleinami zaśmieconych ścieżek wił się pomiędzy chałupami, stare opony podtrzymywały przesuwające się, grząskie błoto.



Skierowała się w stronę osiedla, potykając o leżące kamienie przyciągnięte do tej nędzy, jak gdyby stanowiła dla nich magnes. Kierowca podążył za nią.

Teraz mogła już lepiej przyjrzeć się chatom. Były zrobione z tektury! Kawały kartonu przymocowano do drewnianych słupków gwoździami przekłutymi przez kapsle od butelek. Dachy stanowiły kawały sklejki lub falistej cienkiej blachy, przywalone dla ochrony przed wiatrem starymi, samochodowymi bateriami.

Rozwrzeszczane dzieciaki biegały w górę i w dół po stromych zakurzonych ścieżkach; matki zawieszały mokrą bieliznę na umieszczonych nad ziemią drutach, podczas gdy inne rozkopywały grudy brudnej ziemi. Miał powstać z tego ogród? Nie potrafiła wyobrazić sobie, że cokolwiek mogłoby tutaj wyrosnąć. Minęła młodą dziewczynę pijącą wodę z puszki, którą zanurzyła wcześniej w dużej stalowej beczce. Na beczce widniał symbol Stonehama.

Patrycja podeszła bliżej i odczytała etykietkę. **UWAGA: WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU PRZEMYSŁOWEGO. OPRÓŻNIONEGO POJEMNIKA NIE WYKORZYSTYWAĆ PONOWNIE POD ŻADNYM POZOREM. NIE DOPUSZCZAĆ DO KONTAKTU RESZTEK SUBSTANCJI ZE SKÓRĄ. SPOŻYCIE SUBSTANCJI GROZI ŚMIERCIĄ.**

Była wstrząśnięta.

- Dlaczego to jest tutaj?
- Dali z fabryki. To tani sposób na pozbycie się pustych beczek.
- Ale niech pan spojrzy na to ostrzeżenie!
- Oni nie czytają po angielsku.

Przez dłuższą chwilę Patrycja nie mówiła ani słowa, idąc wciąż przed siebie. Zatrzymała się przy tekturowym domku, przykrytym papą. Na zewnątrz stara kobieta podlewała pieczolowicie mały różany krzew, chroniony przed nieuważnymi przechodniami okrągłym płotkiem z powyrzywianych gałęzi. Patrycja zamknęła oczy, żeby zatrzeć obraz mimowolnie przychodzący jej na myśl — wspaniałe pole białych róż, które pielęgnowała na farmie.

— O, jest przywódca kolonii — powiedział kierowca, wskazując w kierunku rozmawiających mężczyzn. — Raphael! — krzyknął. Łysy, krępy mężczyzna z ciemnym zarostem ruszył w ich kierunku. Kierowca wyrzucił z siebie długi potok hiszpańskich słów, wskazując na Patrycję.

— Aaa... Jest pewna różnica między tym miejscem a Kolonią Kennedy'ego. — Jego ciężko akcentowany angielski był zadziwiająco dobry. — Bogacze nazwali swoje osiedle imieniem Amerykanina, my swoje od nazwiska meksykańskiego rewolucjonisty, Emiliana Zapaty — wskazał na swoją koszulkę z wyhaftowanymi słowami *Libertad y Tierra*. — Rozumie pani?

— Tak — odparła. — „Ziemia i wolność”.

Jego białe zęby zabłysły na tle ciemnego zarostu.

— To właśnie to, czego mamy tu w bród. Potrzebujemy zaś wody, elektryczności, kanalizacji... i trochę cegieł, żeby pobudować normalne domy.

— Dlaczego ludzie mieszkają tu w takich warunkach? — spytała Patrycja.

— Dobre pytanie. — Amerykańskie fabryki przyciągnęły ich tu wszystkich z prowincji... Pięćdziesiąt pięć centów za godzinę brzmi jak fortuna w południowym Meksyku. Ale zapomnieli im powiedzieć, że żywność na północy kosztuje tyle samo, co po drugiej stronie granicy. Tam, w Stanach, minimalna stawka wynosi pięć dolarów za godzinę. Tutaj można za zarobione pieniądze ledwie się wyżywić, nawet nie ma mowy o płaceniu czynszu, a wybudowanie domu jest nieziszczalnym marzeniem. Każdy pracuje na dwóch etatach, a ile przynosi do domu pod koniec każdego tygodnia? Czterdzieści sześć dolarów.

— Jak można za to przeżyć?

Znowu się uśmiechnął, jak gdyby to pytanie rozbawiło go.

— Chętnie pani pokażę. — To powiedziawszy, ujął ją za ramię i poprowadził w stronę jednej z chat.

Gdy znaleźli się w środku, powiedział coś po hiszpańsku do kobiety gotującej fasolę na kuchence elektrycznej.

Patrycja rozejrzała się — nie było tu żadnych mebli, po prostu kilka starych materacy opartych o tekturową ścianę ozdobioną religijnymi

obrazkami. W rogu młody mężczyzna o smutnych oczach siedział na betonowym klocu, jego lewa ręka była grubo zabandażowana.

— Mieszka tu osiem osób — powiedział Raphael. — Ten młody człowiek stracił wczoraj w fabryce dwa palce.

Patrycja prawie bała się zadawać pytania.

— W której fabryce?

— Stonehama. Ta jest najgorsza.

Dziewczyna aż skurczyła się z przerażenia. Szybko sięgnęła po portfel i wyłożyła na stół całą jego zawartość.

— Niech pan, proszę, dopilnuje, żeby miał należytą opiekę medyczną — zwróciła się do Raphaela.

Czuła guł w gardle, gdy wychodzili z chaty. Na zewnątrz Raphael znowu się rozpogodził.

— Chciałaby pani jeszcze coś zobaczyć?

Pokręciła przecząco głową.

Mężczyzna z szacunkiem ucałował jej rękę.

— Dziękuję, że pani przyszła. Większość turystów jedzie do Acapulco... Cancun... Cuernavaca... — ale to dopiero... — wskazał ręką dookoła — jest prawdziwy Meksyk — powiedział z buntowniczą dumą.

Poruszona Patrycja wspięła się z powrotem na wzgórze i wróciła do taksówki. Gdy kierowca wykręcał samochodem przed kompleksem Stonehama, znowu minęli kaplicę. Zauważyła liczne świece płonące w ciemności za żelazną kratą; były to małe światełka nadziei tych, którzy umieścili je tutaj, błagając gorączkowo świętego Ramona, by odmienił serca właścicieli fabryki.

## Lizbona

Drzwi sali operacyjnej otworzyły się i wyszedł z niej doktor Braga. Zdjął maskę chirurgiczną, odsłaniając zatroskaną twarz. Miguel czekał niecierpliwie na to, co powie.

— Gastroskop wskazuje, że musimy się dostać do środka.

— Co to znaczy?

- Przykro mi, ale trzeba zrobić biopsję.
- Biopsję?
- Należy sprawdzić, czy nowotwór w żołądku jest złośliwy.

Zanim Miguel zdążył odpowiedzieć, doktor Braga już zniknął w drzwiach sali operacyjnej.

Oszołomiony Miguel zupełnie nie wiedział, co robić. Czy powinien zostać? Czy odejść? Jak długo to będzie trwało? Opadł na krzesło i rozejrzał się dookoła. W rogu cichutko łkała siwowłosa kobieta; młoda dziewczyna, zapewne jej córka, szeptała słowa pociechy. Czy był to ten sam pokój, w którym Paulo oczekiwał, gdy synowi odejmowali nogę? Co się dzieje z kawałkami ramion i nóg, które odcina się w szpitalach? Wyrzucił z siebie te makabryczne myśli. Postępował kiedyś okrutnie w stosunku do Paula, bo pełno w nim było wściekłości; teraz chciał mu to wszystko wynagrodzić. Czy nie było jeszcze za późno? Może to, co stało się z Patrycją, było dla niego karą boską? Uśmiechnął się z goryczą — minęło już wiele czasu od chwili, kiedy ostatni raz myślał o Bogu.

— Miguelinho, jak się sprawy mają? — poczuł na swoich barkach ramię Emilia.

- Jeszcze nie wiem. Kroją go.
- O mój Boże!
- Ma guza.
- Rak? — szepnął Emilio.
- Właśnie czekam na wyrok.
- Poczekam z tobą. Chodź, napijemy się kawy.

Ale Miguel wciąż wpatrywał się w drzwi sali operacyjnej, jak gdyby wcale nie słuchał przyjaciela. Emilio usiadł przy nim bez słowa.

## Nowy Jork

Patrycja była zdziwiona, widząc za biurkiem samego Horace'a Colemana, gdy sekretarka wprowadziła ją do gabinetu opiekuna. Zrobił wysiłek, by podnieść tłuste cielsko, dojechał do połowy, po czym znowu opadł na fotel.

— Miło cię widzieć, Patrycjjo — uśmiechnął się życzliwie.

— Gdzie panowie Rosemont i Ash?

— No cóż... zadzwoniłaś z samolotu zaledwie kilka godzin temu a oni załatwiają właśnie jakieś interesy. Ted jest w Waszyngtonie, a Bob w Las Vegas. — W tym momencie zachichotał. — Jest pewnie zawiedziony, że używasz samolotu J.L. i musi korzystać z odrzutowca spółki Lear. W dalszym ciągu mówiono samolot J.L., jak gdyby właściciel wcale nie umarł. — Ja sam byłem w drodze do Dallas — kontynuował — ale wydałaś się tak żądna spotkania. Co się stało?

— Spędziłam ostatnie dwa dni w Nogales.

Dolna warga Colemana opadła na podbródek, a jego brwi podniosły się jak łuki w symbolu McDonalda.

— I cóż, moje drogie dziecko — odezwał się protekcyjnie — i czego nauczyłaś się o produkcji środków owadobójczych?

— To brudny biznes, wykorzystuje biednych ludzi i zatruwa środowisko.

Brwi Colemana opadły.

— Więc momentalnie stałaś się ekspertem w tej dziedzinie? — w tonie jego głosu brzmiał cynizm, który zaniepokoił Patrycję.

— Nie miałam tego na myśli. Ale, wujku Horace, powinieneś sam zobaczyć, co się tam dzieje. I Grupa Stonehama jest za to wszystko odpowiedzialna.

— To znaczy, ja jestem za to wszystko odpowiedzialny, tak?

— Nie, wujku Horace — wiedziała, że zaczyna tracić grunt pod nogami. Chciała rzucić spółce wyzwanie za sposób, w jaki prowadzono interesy w Nogales, ale nagle znalazła się na pozycji obronnej — ja... no...

Coleman pracowicie podniósł się z wypychanego fotela; poduszki jak gdyby odetchnęły z ulgą. Górował nad dziewczyną, podczas gdy jego głos podnosił się z oburzeniem:

— Pomagałem twojemu dziadkowi w stworzeniu tego imperium i zarządzałem nim w twoim imieniu przez ostatnie trzy lata. A teraz ty odbywasz jedną podróż do Meksyku i twierdzisz, że znalazłaś niedopatrze-  
nia w mojej pracy?

— Nie, nie... — zacisnęła mocno usta, postanawiając przeprowadzić swój plan do końca — ale znajduję niedopatrze-  
nia w działalności firmy, która wykorzystuje ludzi, zatrzuwa wodę pitną, zmusza do mieszkania w tekturowych pudłach... — Sama była zdziwiona determinacją, jaka brzmiała w jej głosie.

Z drżeniem podbródków, co było u niego zwykłą oznaką podenerwowania, Coleman usiadł z powrotem na fotelu. Po chwili życzliwy uśmiech znowu powrócił na jego twarz.

— Powiniennem był to przewidzieć. Jesteś taką wrażliwą, ulegającą wpływom dziewczyną i nie miałaś nigdy wiele kontaktu ze światem... — przerwał na moment. — Zobaczyłaś rozwijający się kraj, próbujący wejść na drogę intensywnej industrializacji. Przeludniony, brzydki. Tak go może odbierać ktoś przyzwyczajony do luksusowego otoczenia, ale ten wygląd jest oznaką ekspansji, postępu. Za kilka lat wszystko się zmieni, na miejscu slumsów powstaną wysokiej klasy mieszkania. Zobaczysz.

— Ale teraz też nie możemy pozwolić ludziom żyć w takich warunkach. To nieludzkie.

— Patrycjo, Grupa Stonehama postępuje zgodnie z meksykańskim prawem i ciągnie korzyści z milionów, które zainwestowała w ich gospodar-  
dar-kę. Nie ma w tym nic nieludzkiego. Gdyby nas, a także innych ame-  
rykańskich korporacji tam nie było, tym ludziom wiodłoby się znacznie gorzej, wierz mi.

— Ale zawsze mówiłeś, że ta fabryka przynosi miliardowe zyski. Czy nie moglibyśmy po prostu poświęcić części tych pieniędzy na poprawę życia ludzi w Nogales?

Coleman z trudem trzymał na wodzy swoje rozdrażnienie.

— Umniejszać cenne dochody, żeby budować ścieki dla Meksyka-  
nów?

— Nie wiem, co należy umniejszać... po prostu — zawahała się — skoro to moje przedsiębiorstwo, nie mogę tak tego zostawić.

— Moja droga, wiem, że pragniesz być wielkim dobroczyńcą ludzkości i to naprawdę wspaniały cel w życiu. Ale jeśli rzeczywiście chcesz poświęcić się zwalczaniu ludzkich nieszczęść, zapisz się na jakies kursy ekonomii, ducz się o inwestycjach międzynarodowych i wtedy poruszmy tą sprawę raz jeszcze.

Patrycja przygryzła wargi. Gdyby tylko była tu pani Sperber i doradziła jej, co ma odpowiedzieć. Zaryzykowała ostatnią próbę.

— Wujku Horace, nie muszę zapisywać się na kursy ekonomii, żeby stwierdzić, że ludzie cierpią nędzę.

Coleman westchnął. Oparł czoło na złożonych dłoniach tak, że nie mogła dostrzec jego twarzy.

— Patrycjo, za wszystkich sił próbowałem wypełnić moje obowiązki w firmie i zadowolić cię.

— Wiem... i jestem wdzięczna. — Nagle uświadomiła sobie, że w pokoju jest bardzo zimno.

Nic nie odpowiedział i Patrycja czekała, obserwując małą wstążeczkę tańczącą przy wywietrzniku i wsłuchując się w odgłos pracującej klimatyzacji, przypominający syk ukrytego węża.

W końcu Coleman podniósł głowę. Zdumiały ją łzy, jakie dostrzegła w jego oczach.

— Patrycjo, znam cię od dziecka... hmm, tak często słuchałem, jak twój dziadek opowiadał o tobie: jaka jesteś śliczna, jaka mądra, o koniu, którego ci podarował, o biżuterii — potarł dłonią oczy i uporczywie się w nią wpatrywał. — Byłem z nim wtedy w samolocie, kiedy wracał od ciebie ze Szwajcarii — jego powieki nie drgnęły. — Był przygnębiony, bardzo przygnębiony z powodu tego, co mu powiedziałaś.

Patrycja zadrzała. — Więc wiedział, wiedział, że życzyła J.L. śmierci.

— Przelatywaliśmy nad Atlantykiem — Coleman zapatrzył się w jakiś punkt, jak gdyby jeszcze raz widział całą tą scenę — J.L. wezwał mnie

do siebie. Wszedłem do jego sypialni — głośno przełknął ślinę — trzymałem go za rękę. Jego ostatnie słowa do mnie brzmiały: „Zaopiekuj się tą kłopotliwą dziewczyną, jak gdyby była twoją wnuczką”. — Coleman pokręcił wolno głową. — Czuję teraz, że go zawiodłem... i zawiodłem ciebie.

Patrycja podniosła się wolno z miejsca. W zamroczeniu podeszła do okna.

— Nigdy nie chciałam jego pieniędzy — powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

- Moje drogie dziecko — Coleman poszedł za nią i objął dziewczynę ramieniem — ciąży na tobie straszliwa odpowiedzialność.

— Nigdy nie chciałam żadnej części jego imperium... I po tym co zobaczyłam w Nogales...

— Patrycjo, proszę, jesteś w błędzie. Nie robimy nic złego. Dajemy bodziec gospodarce rozwijającego się kraju, a nasi akcjonariusze są bardzo zadowoleni z siedemdziesięcioprocentowego wzrostu dochodów. Czy zdajesz sobie sprawę, ile jest z tego pieniędzy dla ciebie?

— Nie dbam o pieniądze — wyrwała się z jego uścisku — po prostu nie chcę mieć Nogales na swoim sumieniu.

— Ale Nogales to integralna część Grupy Stonehama.

— To w takim razie nie chcę należeć do tej grupy — w jej głosie brzmiała desperacja.

Coleman przyglądał się jej przez dłuższy czas, jak gdyby próbując przetrwać to, co powiedziała.

— W takim razie istnieje tylko jedno wyjście — ton jego głosu stał się nagle bardzo rzeczowy. — Usiądź, Patrycjo, i posłuchaj.



## ROZDZIAŁ 13

### Stone Ridge

Wciśnięta w tylne siedzenie samochodu, Patrycja opłotła kolana ramionami, nie zwracając uwagi, że jej mokasyny, umazane jeszcze brązowym błotem z Nogales, brudzą spodnie. Płakała cicho prawie całą drogę do domu. Kierowca popatrywał ciągle w lusterko, aż w końcu zapytał:

— Czy mogę w czymś pani pomóc, panno Dennison?

Ona jednak pokręciła tylko przecząco głową, znowu zalewając się łzami. Pani Sperber zapewniała ją, że jest silna, ale sama wiedziała lepiej — to, co przed chwilą zrobiła, było oznaką całkowitej słabości i nienawidziła tej słabości, nienawidziła samej siebie.

Zapuchniętymi, pełnymi łez oczyma dostrzegła wreszcie farmę. Drzewa były pokryte młodymi pączkami, gotowymi lada chwila pęknąć. Pierwsze, delikatne źdźbła trawy stwarzały złudzenie, jak gdyby pastwiska były szmaragdowym morzem. Zobaczyła stare konie skubiące łakomie świeżą trawę. Odetchnęła z ulgą. Była wreszcie w domu.

Taxi obracał się szaleńczo wokół własnej osi, podskakiwał w górę i w dół, gdy samochód wjechał na dziedziniec. Kiedy dziewczyna wysiadła, pies skoczył na nią, przewrócił i zaczął lizać po twarzy. Podniosła się roześmiana i pobięła razem z nim w kierunku domu, podczas gdy kierowca wyładowywał bagaże.

Otworzyła kuchenne drzwi krzycząc: „Lauro!” i stanęła zdumiona. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia, na parapecie wały puste butelki po likierze i niedopałki papierosów. Na stole leżała niedojedzona kanapka, na której teraz harcowały muchy. Mój Boże, Laura znowu pije.

Pragnąc jak najszybciej objechać farmę, pobiegła na górę, żeby zmienić ubranie; delikatnie podniosła z fotela śpiącą Phoebe i okryła pocałunkami. Na zakręcie schodów stanęła przed obrazem „Ten, który zawsze gwiazdę”. Teraz wiedziała już, że namalowała go kochanka ojca. Odczuwała zazdrość — właściwie dlaczego? Każdy pragnie być kochany. Musiało być ci bardzo ciężko, tatusiu, po śmierci mamy i ze świadomością, że ja jestem całkowicie w szponach J.L. Tak żałuję, że nie mogliśmy być bliżej siebie. Uśmiechnęła się smutno, patrząc na obraz. Ale zawsze będziesz tutaj obecny, nigdy nie oglądając się za siebie, zawsze patrząc w górę, gdy zawieszasz dla mnie gwiazdę.

Usłyszała, że ktoś się porusza niepewnym krokiem po gabinecie. Drzwi otworzyły się na oścież i ukazała się w nich rozczochrana Laura, ubrana jeszcze w nocną koszulę.

— Och, Lauro! — Patrycja objęła przyjaciółkę. — Tak się cieszę, że znowu jesteście razem.

— Ja też tęskniłam za tobą, kochanie — powiedziała Laura. Jej oddech zionął alkoholem.

Patrycja cofnęła się i spojrzała na przyjaciółkę.

— Obiecałaś, że nie będziesz już więcej pić.

— Ale byłam tu bez ciebie taka samotna — Laura chwyciła się kurczowo za głowę. — O, jak boli... muszę się napić kawy.

Wsparta na ramieniu Patrycji, schodziła chwiejnie po schodach.

— Co ty tu robisz? Myślałam, że jesteś w Nowym Jorku.

— Byłam tam. Rozmawiałam z Horace'em Colemanem. To było okropne.

— Co się stało?

— O Boże... — głos Patrycji załamał się na to wspomnienie. — Wszłam, żeby porozmawiać o pomocy dla ludzi z Nogales, a w rezultacie umyłam ręce.

— Kochanie, to właśnie cała ty, zawsze chcesz robić dobrze. Myślę, że to nieszczęście z doktorem musiało fatalnie wpłynąć na twoje nerwy.

— Lauro... proszę... przestań... Czuję się wystarczająco źle, myśląc o tym. Tak bardzo pragnęłam zrobić coś dobrego. Chciałam być silna, ale

nic mi z tego nie wyszło.

— Weź się w garść, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Pozwól opiekunom prowadzić cały ten teatr, a sama trzymaj się od tego z daleka.

— Wujek Horace myśli, że najlepszym dla mnie rozwiązaniem jest sprzedaż firmy... pozbycie się tego ciężaru raz na zawsze... Chyba ma rację... Wie znacznie więcej o tych sprawach, niż ja kiedykolwiek mogłabym się nauczyć. Po prostu się do tego nie nadaję.

— No to chyba powinnaś posłuchać jego rady.

— Wiem, ale ciągle jeszcze... Lauro, dlaczego nie mogłabym jednak obstawać przy czymś, co z całą pewnością jest słuszne? Wszystko pogmatwałam. O Boże, psuję wszystko, za co się tylko wezmę.

— To nieprawda — Laura objęła dziewczynę ramieniem — robisz kawał wspaniałej roboty na tej farmie. Doskonale opiekujesz się moim Mistym. Uratowałaś mi życie, zabierając go tutaj. Przestań się obwiniać i umniejszać swoje zasługi.

Patrycja przytuliła się do niej z wdzięcznością.

— Zawsze sprawiasz, że od razu czuję się lepiej, Lauro, gdyby nie ta farma... no, nie wiem... chyba bym zwariowała — uśmiechnęła się blado.

— No, ale znowu jesteś w domu. To właśnie miejsce, do którego należysz. Dlaczego nie każesz osiedlać Sporta... Nie wybierzesz się na przejażdżkę. To by ci dobrze zrobiło, a ja w tym czasie — Laura roześmiała się — spróbuję doprowadzić się do porządku. — Podeszła do zlewu, oplukwała filizankę i napełniła ją gęstą, mocną ciecżą, która już dłuższy czas stała w ekspresie. Upiła potężny łyk — aach, tego mi było trzeba — po czym, chwytając spojrzenie Patrycji, które omiotło kuchnię, dodała: — taak, straszny tu bałagan, ale trudno poradzić sobie bez Conchy.

— Tak, wiem. Były od niej jakieś wiadomości?

— Taak... Telefonowała. Mówiła, że musi iść pieszo pięć mil do najbliższego telefonu. U jej siostry nie ma żadnej poprawy.

— To niedobrze — odezwała się Patrycja, sprzątając ze stołu kilka brudnych naczyń.

— Nie, nie... nie waż się tego robić. Ja nabrudziłam i ja to wszystko posprzątam. Ty idź, przywitaj się ze swoimi dziećmiakami.

Patrycja z wdzięcznością pocałowała przyjaciółkę w policzek.

— Jesteś cudowna.

Chwyliła kilka marchewek z pojemnika na warzywa i pobiegła do stajni. Harpalo obojętnie je obwąchał, patrząc ze smutkiem na pusty kojec, który kiedyś zamieszkiwał Ultimato. Patrycja nakarmiła marchewkami Sporta i w przyływie uczuć objęła go mocno za szyję.

— Sportie, chodźmy na przejażdżkę.

Założyła mu strzemiona i wskoczyła na jego nieosiodłany grzbiet. Nie zwracała uwagi, że wciąż ma na sobie podróżne ubranie. Taxi poszcze kiwał radośnie — życie znowu zaczęło się toczyć normalnym trybem.

Kłusowała przez pola, napełniając płuca rześkim zapachem wiosny. Tak dobrze być znowu w domu. Objechała cmentarz i prowadziła właśnie Sporta po paśmie wzgórz, z których rozciągał się widok na całą farmę, gdy dostrzegła zmierzającego drogą jeepa listonosza. Poczowała, jak ściska się jej żołądek. Jakże często oczekiwała przybycia tego samochodu — z listem od Toma. Teraz wzdrygnęła się na myśl o wyciąganiu ze skrzynki korespondencji, ale w tej samej chwili listonosz zauważył ją i zamachał dłonią z plikiem listów. Był pewien, że dziewczyna zjedzie do niego na dół, więc nie ruszał się z miejsca. Wolno zaczęła zmierzać w jego kierunku.

— Cieszę się, że pani wróciła, panno Dennison! — krzyknął mężczyzna.

— Jak się pan miewa, panie Koloski?

— Świetnie, świetnie, ale wszyscy tęskniliśmy za panią, szczególnie mój mały Jimmy. Uwielbiał kolekcjonować te dziwne libańskie znaczki.

— No cóż, może uda się zdobyć dla niego jakieś inne.

— Mogę wziąć dla niego te?

Wyciągnął jedną z kopert.

Patrycja zawahała się. Nie chciała już dostawać żadnych listów od Toma. Spojrzała w dół — trudno było nie rozpoznać portugalskich znaczków. Oderwała je szybko. Serce waliło dziewczynie jak oszalałe.

— Och, dziękuję, panno Dennison. Jimmy oszaleje ze szczęścia, jak je zobaczy.

Z kopertą w dłoni wsiadła z powrotem na Sporta, obserwując, jak je-ep listonosza znika na horyzoncie. Po chwili ostrożnie rozłożyła list. Słowa krzyczały do niej z kartki:

*Nie jestem koniokrądem! Zwolniłaś mnie i nie pofatygowałaś się nawet, żeby to zrobić osobiście, wykorzystując do tego pannę Simpson. Ponieważ postanowienia naszej umowy nie zostały wypełnione, miałem prawo zabrać obydwa konie z powrotem do Portugalii. Zostawiłem ci Harpala.*

Podpis był prawie nieczytelny — nakreślony zapewne w wielkim gniewie.

Patrycja pognąła Sporta szosą, docierając do miejsca, gdzie normalnie wyglądająca już Laura karmiła Misty'ego marchewkami.

— Strasznie jesteś rozgorączkowana, kochanie.

— Lauro, czy to ty zwolniłaś Miguela?

— Tak.

— Naprawdę? Ale dlaczego?

— Sama mnie o to prosiłaś.

— O czym ty mówisz?

— Nie pamiętasz? Kazałaś mi poinformować Miguela, że jego usługi nie są już dłużej pożądane.

— Tak powiedziałam?

— Tak, na chwilę przed swoim odlotem do Szwajcarii.

— Musiałaś mnie źle zrozumieć. Zupełnie nie pamiętam, żebym mówiła coś podobnego.

— Ależ zapewniam cię, że tak było.

Patrycja spojrzała na nią bezmyślnie.

— Kochanie, czy jesteś pewna, że nie opuściłaś sanatorium zbyt wcześnie?

— Nie, nie, świetnie się czuję — odpowiedziała dziewczyna z roztar-  
nieniem i popędziła Sporta w stronę domu.

## Lizbona

Idąc ciężkim krokiem w kierunku wybiegu dla koni, Miguel zastana-  
wiał się, jak bardzo zmieniło się jego życie w ciągu ostatnich kilku tygo-  
dni. Paulo wciąż jeszcze leżał w szpitalu, już jutro jednak lekarze zamie-  
rzali odesłać go do domu, gdzie miał w spokoju spędzić ostatnie miesią-  
ce życia. Rak żołądka okazał się w bardzo zaawansowanym stadium —  
nawet rozpoczęcie chemoterapii nie przyniosłoby żadnego ratunku.  
Ojciec wciąż miał w sobie mnóstwo energii i wyrwał się ze szpitalnego  
łóżka twierdząc, że musi wreszcie wrócić do swoich zajęć w Centro. Le-  
karze jednak nakazali Miguelowi, by trzymał ojca z dala od koni.

Ten wspomniał człowiek, który przekazał Miguelowi wszystko, co sam  
wiedział o koniach, już nigdy nie będzie mógł jeździć. W porównaniu z  
tym utrata nogi wydawała się tak drobną niedogodnością.

Jakże wielu ludzi wprowadził Paulo Cardiga w tajemniczy świat tań-  
czących koni. Zasługiwał na swoją pozycję — jego nazwisko było znane w  
każdym zakątku Portugalii i czczone przez miłośników koni na całym  
świecie. Paulo spełnił marzenie swojego życia. — Czy Miguel kiedykol-  
wiek spełni swoje?

Ale nie było czasu na rozmyślenia — oczekiwała go grupa początkują-  
cych uczniów. Miguel wskoczył na Ultimata i strzelił z długiego bata.

— *Sentido!* — krzyknął tak głośno, że mała Francuzka omal nie spa-  
dła z konia. Skrzywił się — ten dzieciak jest beznadziejny — żaden in-  
struktor nie był w stanie niczego jej nauczyć, nawet cierpliwy Filipe,  
który z każdego antytalentu potrafił coś wyrzesać.

Miguel wziął na siebie całą odpowiedzialność za prowadzenie szkoły  
— czuł się winny z powodu swojej agresji i niechęci. Starał się nie myśleć

o tym, jak bardzo nowe obowiązki ograniczały jego czas, który mógłby poświęcić na przygotowanie Ultimata do występu na arenie; koń robił teraz takie szybkie postępy.

W zeszłą niedzielę pojechali z Emiliem na wieś, żeby wreszcie zmierzyć Ultimata z jakimś małym byczkiem.

Adrenalina kipiała w ciele Miguela, gdy Ultimato, odpowiadając na podniecenie jeźdźca, pogardliwie harcował wokół wojowniczego buchając i z łatwością wymijał jego rogi.

Wspominając ten dzień, Miguel przestał w pewnej chwili zwracać uwagę na uczniów i ocknął się, gdy jeden z pracowników dotknął jego ramienia.

— Telefon do pana, *senhor* Cardiga.

— Nie teraz — uciął Miguel.

— Ta pani powiedziała, że to ważne.

Znowu Isabel. Dzwoniła bez przerwy, odkąd dowiedziała się o chorobie ojca, pragnąc Miguela pocieszyć. Próbował dać jej do zrozumienia, że chce, aby zostawiła go w spokoju, ona jednak nie przestawała go ścigać, używając do tego celu każdego pretekstu.

— Mówiłem, żeby nigdy nie przerywać mi zajęć! — wrzasnęła na pracownika Miguel.

— Przepraszam, *senhor*, ale ta pani powiedziała, że dzwoni z Ameryki.

— Kto?

— *Senhora* Dennison.

Miguel natychmiast puścił Ultimata cwałem, po czym w kilku susach dobiegł do telefonu, który wisiał na ścianie, tuż przy arenie.

— Halo!

Patrycja poczuła nagłe onieśmielenie.

— Miguel?

— Tak! — jego głos brzmiał przez telefon ochryple.

— Telefonuję w niedobrym momencie?

— Właśnie prowadzę lekcje.

— Och, przepraszam... Odezwę się później.

— Możesz mówić.

Patrycja odczuła ulgę, że Miguel nie może zobaczyć rumieńca, który pojawił się na jej twarzy.

— Właśnie dostałam twój list...

— Świetnie.

— To... no... to było oczywiście jakieś nieporozumienie.

Nic nie odpowiedział.

— Ja... no... chciałam cię właśnie przeprosić za tę nieprawdziwą informację, którą przekazała ci Laura Simpson.

— Nieprawdziwą? Co to znaczy?

— O Boże... źle to wszystko wyjaśniłam. No... po prostu zamierzałam powiedzieć, że wcale nie chciałam, abyś opuszczał farmę.

— Ale zwolniłaś mnie.

— Nie, nie... wcale nie. Panna Simpson źle mnie zrozumiała. Przypuszczam, że mówiłam wtedy dużo niejasnych rzeczy... no...

— To ty pogmatwałam pannie Simpson?

Patrycja nie mogła się nie roześmiać.

— Tak, to ja pogmatwałam pannie Simpson. Widzisz, byłam wtedy zupełnie rozbita, bo tamtej nocy zerwałam swoje zaręczyny.

— To musi być zaraźliwe. Czy to odpowiednie słowo?

— Co masz na myśli?

— Ja też zerwałam swoje.

— O Boże!

Patrycja powiedziała to z takim współczuciem, na jakie tylko była w stanie się zdobyć. Cieszyło ją, że Miguel nie wydawał się zbyt przygnębiony.

— A teraz chciałabym ci przypomnieć, że ciągle jeszcze jesteś mi winny dwa miesiące lekcji.

— To prawda, zwrócimy ci koszty.

— Nie, nie... Ja chcę tych lekcji.

— Nie mogę teraz wrócić do Stanów, ojciec jest chory i muszę zajmować się szkołą.

— To może ja będę mogła przyjechać?

— Tak, przyjedź do Lizbony, tutaj będziesz mogła odbyć swoje lekcje.



Patrycja miała nadzieję, że rozmówca nie słyszał, jak odetchnęła z ulgą.

— No tak — zawahała się — ale będę mogła przyjechać tylko na krótko.

— Kiedy mam się ciebie spodziewać?

— Pojutrze?

— Świetnie.

Miguel odłożył słuchawkę, po czym dosiadł Ultimata i uczniowie ze zdumieniem obserwowali, jak ich ponury nauczyciel skacze z lekkością po arenie na swoim ogierze, za każdym razem zmieniając stronę.

## Nowy Jork

Ash i Rosemont zdążyli zaledwie zająć miejsca, gdy Horace Coleman zakomunikował im z zadowoloną twarzą:

— Wiecie, panowie, Patrycja to naprawdę miłe dziecko, wcale nie będziemy musieli przechodzić przez procedurę uznania jej za ubezwłasnowolnioną.

Ash rzucił mu uważne spojrzenie, mówiąc:

— Nie wierzę własnym uszom.

Rosemont był nie mniej zaskoczony.

— Ależ, Horace, wszyscy zgodziliśmy się, że to jedyny sposób, abyśmy mogli przejąć całkowitą kontrolę. Dlaczego mamy z tego zrezygnować?

— Ted, nie powiedziałem, że mamy z czegokolwiek zrezygnować. Stwierdziłem, że nie musimy używać tego sposobu. Jest inna metoda.

— A mianowicie?

— Plan B. — Coleman wyglądał jak śmiejący się Budda, gdy przesuwał oczy z jednego rozmówcy na drugiego. — Wykupienie pakietu kontrolnego w firmie.

Obydwaj spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

— Czy ty też zwariowałeś, Horace? — spytał Ash.

— Uważam, że dziewczyna jest gotowa sprzedać swoje akcje.

— Masz na myśli wszystkie jej udziały? — głos Rosemonta obniżył się o oktawę. — Pięćdziesiąt dwa procent całego przedsiębiorstwa?

Coleman skinął potakująco głową.

— I poda nam całą firmę na srebrnym półmisku?

— Dokładnie.

Ash zachichotał.

— Masz rację, miłe z niej dziecko.

Rosemont zaczął bazgrać na kartce — wyszły z tego symbole dolara.

— Ale w jaki sposób zdobędziemy gotówkę? To, o czym mówisz, Horace, radykalnie zmienia sytuację.

— Panowie, z łatwością odzyskamy te pieniądze z uwagi na przyszłe zyski. Umowa musi zostać podpisana, opieczętowana i dostarczona w terminie nie dłuższym niż sześć miesięcy.

— O cholera! — krzyknął Ash.

— Ile jej zaproponowałeś, Horace? — spytał Rosemont.

— Przeciętną cenę. Sześćdziesiąt trzy dolary za akcję.

— Jezu, to jest warte znacznie więcej — powiedział z przerażeniem Ash.

— Ona sprzeda za mniej — stwierdził Coleman.

— W takim razie kupimy za mniej.

Coleman rzucił Ashowi złe spojrzenie.

— To ty będziesz musiał wyjaśnić wszystko Departamentowi Bezpieczeństwa. Transakcja na taką skalę zostanie na pewno dokładnie przeanalizowana.

— Dlaczego ona chce to zrobić? — zapał znowu Ash.

Coleman uczynił koło wskazującym palcem i dotknął swojej czaszki.

— Ponieważ chce stać się wielką dobrodziejką ludzkości, a ja jej w tym pomagam. Niech wybuduje tyle szpitali, ile chce, niech kupuje trumny dla zdechłych koni... Co tylko chce.

— Masz rację, Horace — Ash miał uszczęśliwioną minę — uczynimy dziewczynę szczęśliwą.

Coleman rozsiadł się wygodniej w fotelu.

— Od tej chwili nie będę musiał znosić kapryków jakiejś zwariowanej pannicy, która potrafi obudzić mnie w środku nocy.

— Jesteś wspaniały, Horace — powiedział Rosemont, podnosząc się i wyciągając z barku butelkę szampana. — Myślę, że powinniśmy wypić za twój geniusz — napełnił trzy kieliszki, ale zanim zdążyli spełnić toast, głos sekretarki przerwał tę uroczystość:

— Panie Coleman, przyszła panna Simpson.

Rosemont skrzywił się.

— No, a teraz możemy pozbyć się tej zapijacznej sukki.

— No już, Horace — wtórował radośnie Ash — chcę zobaczyć, jak da-  
jesz jej kopniaka w dupę.

— Spokojnie, spokojnie, nie tak szybko — powiedział Coleman — potrzebujemy jej dla pewności. Nie mam zamiaru niszczyć żadnej części planu A, dopóki akcje nie znajdą się w mojej kieszeni. — Nacisnął guzik — proszę wpuścić.

Weszła Laura i skierowała się prosto do barku.

— Jak to niegrzecznie z waszej strony, chłopcy, że pijecie beze mnie — i nałala sobie potężną porcję szkockiej.

Horace Coleman przyglądał się jej z niesmakiem.

— Co ma pani dla nas, panno Simpson?

— Właśnie chciałam powiedzieć, że panna Biedronka wyleciała z klatki — odezwała się po potężnym łyku.

— Upiłaś się? O co tu, do diabła, chodzi? — zawarczał wściekle Coleman.

— W tej chwili samolot firmy wiezie ją w kierunku Lizbony.

— O cholera! — krzyknął Ash — chciałem lecieć jutro do Palm Springs na turniej golfowy!

Coleman rzucił mu wściekle spojrzenie.

— Do Lizbony? Dlaczego?

— Do tej akademii jeździeckiej.

— Oto czego ona potrzebuje: kolejnego konia — powiedział pogardliwie Ash.

— Ona nie zamierza zdobywać tam konia, ma zamiar zdobyć tam mężczyznę — parsknęła śmiechem Laura, posyłając strumień szkockiej na błyszczący, szklany blat stołu.

Ted Rosemont skrzywił się i podniósł wzrok znad swoich bazgrołów.

— Mężczyznę? Kogo?

— Tego obcokrajowca... — Laura czknęła — bez nogi.

— Co takiego?! — krzyknęli jednocześnie Rosemont i Ash.

— Taak. Postanowiła się z kimś związać i uwolnić od was, chłopcy.

— W porządku, wystarczy już tych twoich złośliwości — Coleman podniósł się z miejsca i zabrał jej z dłoni szklanke. — Sprzedaż akcji wszystko radykalnie zmieni.

— No, nie jestem tego taka pewna.

— Czego nie jesteś pewna?

— No, tej sprzedaży akcji. Sprawiliś, Horace, że poczuła się fatalnie. Biedna dziewczyna przyjechała do domu z płaczem. A teraz może po prostu wyjdzie za mąż i zmieni zdanie.

— To ty musisz sprawić, żeby to się nie stało.

— Ciekawe, jak mam temu zapobiec? Wskoczyć z nimi do łóżka?

— Sama musisz sobie poradzić.

## ROZDZIAŁ 14

### Lizbona

Taxi wtulił się w Patrycję, leżąc przy niej na siedzeniu pędzącej po autostradzie taksówki. Kotka Phoebe mruczała na jej brzuchu, podczas gdy samochód jechał w stronę wzgórz, pomiędzy którymi leżała Migdłowa Dolina.

— Jak daleko jeszcze do Centro Equestre da Cardiga? — Miała nadzieję, że nie słyhać zniecierpliwienia w jej głosie.

No... jakieś czternaście kilometrów, osiem mil — odpowiedział kierowca.

Okolica, którą uznała za ponurą i niegościnną, gdy była tu ostatnim razem, teraz wydała jej się niezwykle romantyczna — mauretańskie wpływy w architekturze tworzyły bajkową scenerię, z „Księgi tysiąca i jednej nocy”.

Czuła, jak serce wali jej pod cienką jedwabną bluzką, gdy jechali drogą wysadzaną drzewami, po obu stronach. Taxi zaczął szczekać na dwóch młodych jeźdźców, którzy ubrani w kolorowe, renesansowe stroje, dosiadali pięknych koni rasy Lusitano, tworząc komitet powitalny. Wolnym klusem poprowadzili samochód obok porośłego bluszczem dworu w stronę budynku, który stanowił wewnętrzną arenę dla jeźdźców. Jeden ze służących zajął się kotem i psem, podczas gdy Patrycję poprowadzono przez boczne drzwi ku pełnej pustych ławek galerii. Usiadła cicho w tylnym rzędzie i spojrzała na arenę. Ręce trzymała mocno splecione, przemagając się, żeby nie zacząć obgryzać paznokci.

Miguel, ubrany jak zwykle w dopasowany czarny strój do konnej jazdy, stał na środku areny, instruując grupę klusujących po kole uczniów. Każdy z jeźdźców trzymał w obydwu dłoniach szklankę, z której na ich

białe bryczesy wylewała się czerwona ciecz. Patrycja zakryła dłonią usta, żeby powstrzymać śmiech, ale nagle zrobiło jej się żal nieszczęśników — szczególnie dziewcząt — którzy ze wszystkich sił próbowali powstrzymać łzy. Gdy wyglądało na to, że szklanki są już puste, Miguel zawołał: *Termo!* i zachłapani uczniowie, ze zwieszonymi głowami, zostali wyprowadzeni z areny przez pracowników. Miguel stał przez jakiś czas bez ruchu; nagle, jak gdyby czując jej obecność, odwrócił się i z radosnym uśmiechem zaczął iść w jej kierunku. Patrycja przerwała milczenie.

— Musisz zużywać strasznie dużo wina.

— To tanie wino — odparł. — Dla ciebie zawsze brałem najlepsze ga-tunki z piwnic Fonseci.

Roześmiała się.

— Jestem gotowa do pierwszej lekcji.

— Nie dzisiaj. Zajęcia już się skończyły.

Dotknął jej dłoni, która spoczywała na balustradzie.

— Cieszę się, że tu jesteś, Patrizio. Gdzie twoje bagaże?

— Zabrał je jeden z twoich chłopców.

— Świetnie, pozwól, że zaprowadzę cię do pokoi gościnnych.

Bez słowa poprowadził ją przez kamienny most, którego mury ozdabiały wspaniałe ceramiczne mozaiki w jasnoniebieskich odcieniach, dalej przez kutą żelazną furtkę prowadzącą na brukowany kamieniami dziedziniec dworu. Było tam bardzo cicho i spokojnie — dwa potężne drzewa ocieniały dziedziniec, a na środku pluskała wypływająca z fontanny woda. Dom był szarym, ozdobionym sztukaterią budynkiem z wewnętrznym dziedzińcem i wychodzącymi na podwórze licznymi przeszklonymi drzwiami.

— Tutaj będzie twoja siedziba — powiedział Miguel, prowadząc ją do wschodniego skrzydła budynku. W jednym z pokoi, na zabytkowym łożu z baldachimem drzemał już Taxi, a obok niego spała Phoebe.

— Szsz — Patrycja położyła palec na ustach, rozsunała suwak jednej z toreb, po czym wręczyła Miguelowi małą paczuszkę.

— To tylko taka książeczka, która ma ci przypomnieć nasze rozmowy o naturze, gdy byłeś jeszcze na farmie.

— Jak mógłbym zapomnieć — odpowiedział z uśmiechem, po czym wskazał na leżący na nocnym stoliku opasły tom. — Ja też mam dla ciebie coś do czytania.

Podniosła książkę.

— *Méthode d'Equitation* ? Hm... mój francuski jest trochę zardzewiała, ale zrobię, co w mojej mocy.

— Autor stracił obydwie nogi i musiał od początku uczyć się jeździć konno. Ojciec zmusił mnie do przeczytania tej książki, gdy leżałem w szpitalu.

— Och, a jak się czuje twój ojciec?

— Tak jak można się było spodziewać. Jest teraz przykuty do łóżka, ale bardzo chciałby się z tobą zobaczyć. Chcesz się z nim przywitać?

Poszła za Miguelem, mijając różne pomieszczenia, po czym przeszli przez wąski korytarz w stronę niskiego kamiennego portalu, który zwieńczał masywne, uchylone drzwi.

Paulo nie leżał w łóżku. Siedział za dużym rzeźbionym stołem. Miał na sobie białą, mauretański kaftan, przepasany czerwoną szarfą.

— Ojczy, pamiętasz pannę Dennison?

Paulo wstał z miejsca. Jego oczy błyszczały nienaturalnie.

— Ależ tak... oczywiście, że pamiętam — pochylił się do przodu i pogroził jej dwoma palcami — to pani tak mnie zauroczyła, że oddałem jej dwa konie z mojej stadniny. Syn był na mnie za to bardzo zły.

Rzuciła pytające spojrzenie na twarz Miguela.

— Dlaczego?

Miguel mrugnął porozumiewawczo.

— Byłem przekonany, że nasze dwa konie pojedą do jakiejś grubej amerykańskiej spadkobierczyni.

Patrycja roześmiała się.

— No cóż, teraz masz przynajmniej z powrotem Ultimata. — Czują się tak swobodnie w towarzystwie tych dwu mężczyzn.

— Proszę usiąść — powiedział Paulo, wskazując obiema rękami na stojące przed nim krzesła. — Ufam, że Miguel zadbał o pani wygodę.

— Ależ tak... zadbał o nas wszystkich.

— O was wszystkich?

— Także o mojego psa i kota.

— Aaa... o psa i o kota. To da pani doskonałą równowagę. Pies, aby panią adorować, kot, aby ignorować.

— Obawiam się, że jestem pozbawiona tej równowagi, kot także mnie adoruje.

Śmiech Paula zamienił się w kaszel.

— Ojczy, powinienes leżeć w łóżku.

Paulo odkasznął.

— Nigdy nie przyjmuję młodej damy, leżąc w łóżku.

— Chyba że ona zechce się do pana przyłączyć — syknął Miguel.

Paulo zwrócił błyszczące oczy ku Patrycji.

— Nie pozwalają mi wsiadać na konia, nie pozwalają mi siadać na krzesła, ciągle chcą, żebym leżał i przygotowywał się do odpoczynku w grobie.

Patrycja chwyciła uważne spojrzenie Miguela, skierowane w stronę ojca.

— Będziesz jeszcze długo żył — powiedział syn.

— Mam nadzieję, bo jest jeszcze wiele rzeczy do zrobienia — zaśmiał się cicho Paulo. — Podczas gdy ja tu leżę plackiem, hrabia von Steinbrecht zwodzi wszystkich i każe im myśleć, że jego wojskowe marsze to prawdziwa sztuka jeździecka. — Potem dodał pogardliwie: — Wiedeńska Akademia Jeździecka to oszuści!

Patrycja uniosła brwi ze zdziwieniem.

— Czy to nie jest skupisko najlepszych jeźdźców?

— Patrizio — powiedział cicho, wymawiając jej imię w taki sam sposób jak Miguel — klasyczna sztuka jeździecka to nauczanie konia tańca z lekkością, wdziękiem i pięknem — jego głos stwardniał — Prusacy natomiast zabiegają o siłę, karność i żelazną precyzję: *eins, zwei, drei*. Dla nich to sport, a nie sztuka. Mam nadzieję, że Miguelinho pokazał ci, w czym tkwi różnica.



— O tak, kosztowało mnie to wiele par białych bryczesów.  
Paulo serdecznie się roześmiał.  
Wydaje się silny i męski — a nie chory, pomyślała Patrycja.  
— Mój ojciec nie robi pieniędzy na koniach czy lekcjach jeździectwa  
— powiedział Miguel z udawaną powagą — ale na pralni.  
— Nie żartuj, Miguelu, moim celem jest zachowanie tradycji, którą ty  
zaprzepaściłeś, występując na arenie.  
Patrycja spostrzegła, że uśmiech Miguela gdzieś zniknął.  
— Jest pan przeciwnikiem walk byków, panie Cardiga? — zapytała.  
— Tak i nie. Walki z bykami zachowały w Portugalii czystość sztuki  
jeździeckiej, ale wciąż jeszcze jest to tylko krwawy sport.  
— Ojczy, proszę, nie zaczynaj znowu.  
Paulo nie zwrócił uwagi na Miguela i mówił dalej do Patrycji.  
— A ty co o tym myślisz, Patrizio?  
— Nigdy jeszcze nie widziałam walki byków i chyba raczej nie chcia-  
łabym tego zobaczyć.  
— No! Więc ty także jesteś przeciw! Powiedz to, proszę, mojemu sy-  
nowi!  
— Przystań! — Nie ulegało wątpliwości, że Miguel wpadł w złość.  
Paulo, niezniechęcony, mówił dalej:  
— Widzisz, jak on się do mnie odzywa, Patrizio, nie ma żadnego sza-  
cunku dla ojca. Jestem pewien, że ty traktujesz lepiej swojego ojca.  
— Mój ojciec nie żyje — odpowiedziała z prostotą Patrycja.  
— Ach, przykro mi to słyszeć. Musisz za nim tęsknić.  
— Tak, bardzo.  
— Kochałaś go — to było stwierdzenie, nie pytanie.  
Skinęła głową.  
Paulo zamilkł i jego wzrok spoczął na ścianie za Patrycją.

— To smutne stracić kogoś, kogo się kocha — powiedział w zamyśleniu.

Patrycja odwróciła się oczekując, że zobaczy portret jego żony i ze zdumieniem stwierdziła, że mężczyzna patrzy na wypchaną głowę konia.

— O Boże — szepnęła mimo woli.

— To Amante — odezwał się Miguel — jedyna miłość mojego ojca.

— Tak — westchnął Paulo — kochałem tego konia — wyraz uwielbienia rozświetlił jego twarz — a Amante kochała mnie. Nie mógłbym znieść rozstania z nią. Jej nogi podtrzymują ten stół...

Patrycja była zdumiona widząc, jak mężczyzna głaszcze jedną z końskich nóg, na której spoczywał blat stołu. Po chwili wskazał na rozciągniętą przy łóżku ciemną skórę.

— Gdy tylko budzę się rano, moje bose stopy dotykają jej skóry.

Patrycja nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

— Oczywiście — mówił dalej Paulo — jest wiele pięknych samic na świecie. Ale dlaczego tak się dzieje, że tylko jedna jest w stanie poruszyć serce? — Patrzył teraz na Miguela. — Amante była białym obłokiem... — jego głos znowu przybrał na sile — jeżdżąc na niej, czułem się jak bóg.

Wszystko to było dla Patrycji zdumiewające, jeszcze nigdy nie słyszała, żeby człowiek mówił o koniu z taką czcią.

Twarz Paula stała się nagle bezbarwna; leżąc na stole koścista ręka zaczęła drżeć.

— Ojczy — powiedział z naciskiem Miguel — powinieneś teraz odpocząć i pomarzyć o Amante, a Patrizia odświeży się po podróży.

— Tak, tak — wymamrotał Paulo, podczas gdy Miguel pomógł mu wstać z krzesła i poprowadził do łóżka.

W chwili gdy Patrycja wychodziła z pokoju, ten wielki człowiek siedział na łóżku i pocierał delikatnie gołymi stopami skórę ukochanej Amante.

## Stone Ridge

— Pieprzony Horace Coleman — mruzczała Laura, napełniając szklankę. Miała już dobrze w czubie. — Co ja jestem, jakaś pieprzona wróżka? Przewróciła szklankę, ciecz rozlała się po stole. Kobieta ukryła twarz w dłoniach. Sfrustrowana zaczęła gwałtownie drapać się po głowie pragnąc, aby wpadł do niej jakiś wspaniały pomysł.

— O cholera! A jednak jestem!

Chwyciła torebkę i zaczęła w niej grzebać. Ze wzrastającym zniecierpliwieniem wyrzuciła zawartość na podłogę. Wypadły z niej pogniecione paczki papierosów, szminki, puderniczki, brudny grzebień, portfel, niedojedzone paczki chipsów. Grzebała w tym rumowisku, dopóki nie znalazła tego, czego szukała — pomiętej kartki papieru. Wygładziła ją z uśmiechem na twarzy. Podeszła do telefonu.

— Centrala międzynarodowa? Proszę o połączenie z Lizboną w Portugalii, numer cztery-jeden-osiem-zero-pięć-pięć-dwa, osobiście, panną Isabel Veloso.

## Lizbona

Patrycja ubrała się starannie, włożyła jedną z przywiezionych ze sobą sukien matki — delikatny, morowy jedwab białej barwy opływał jej sylwetkę. Taxi i Phoebe obserwowały ją uważnie z łóżka.

— Co o tym sądzicie, dzieciaki? Spodoba mu się?

Taxi zamerdał ogonem.

— Dziękuję — odpowiedziała.

Przez okno dostrzegła, jak Miguel przechodzi dziedzińcem. Tak, była pewna, że się nie myli. Już wcale nie kulał i gdy mijal fontannę, w jego kroku była normalna sprężystość. Co się stało? Otworzyła drzwi w chwili, kiedy podnosił dłoń, żeby zastukać.

— Nie bij mnie, proszę — zaśmiała się cicho.

— Nigdy, i z pewnością nie w sposób, jaki widzisz dzisiaj — jego palce

rozprostowały się i dotknęły ostrożnie jej policzka.

To było takie delikatne, pełne uczucia.

— Gdzie będziemy jeść kolację? — wyjąkała, nie wiedząc, co powiedzieć.

— No cóż, mam nadzieję że nie sprawi ci to różnicy, wymyśliłem bowiem, że zjemy w kuchni.

— Och, oczywiście, że mi to nie sprawi różnicy. W domu zawsze jem w kuchni... — To powiedziawszy, uśmiechnęła się nieśmiało, skubiąc nerwowo paski sukni. — Ale jestem chyba za bardzo wystrojona.

— Wcale nie — odparł, biorąc ją pod ramię i prowadząc przez główną bramę w stronę ferrari Emilia.

— Mój przyjaciel przysłał mi swój samochódzik, żeby zrobić na tobie wrażenie — powiedział, otwierając przed nią drzwi. — Nie miałem serca mówić mu, że na lotnisku czeka na ciebie twój prywatny samolot.

— Czy musimy jechać do kuchni samochodem?

— Zaufaj mi.

Gdy wyjeżdżał z bocznej drogi, żeby zrobić obrót na autostradzie, zauważył błądzący po jezdni biały samochód. Wyglądał jak wóz Isabel, ale z tej odległości Miguel nie mógł dostrzec kierowcy.

Przyśpieszył, patrząc w lusterko. Biały samochód jechał za nim. Czy mogła to być Isabel, czy może miał już na tym punkcie obsesję? Cholera, spotkanie Isabel z Patrycją, to ostatnia rzecz, jaka była mu teraz potrzebna.

Dodał gazu, zbliżając się w kierunku miasta, po czym nagle, gdy znalazł się już między budynkami, wziął ostry zakręt i pognął boczną ulicą.

— Bardzo szybko jedziesz!

— Nic nie poradzę, ten silnik ma strasznie dużo mocy — spojrzał znowu w lusterko: biały samochód zniknął.

— Gdzie jesteśmy? — spytała Patrycja.

— W Queluz. To znaczy „drzewo migdałowe” po arabsku. I tutaj jest nasza kuchnia — wskazał na ogromny różowy pałac, zadziwiająco rokokową imitację Wersalu, który rozciągał się przed nimi.

Patrycja chciała poznać istotę żartu, ale jego usta ułożyły się tylko w radosnym uśmiechu. Zaparkował samochód przy najdalszym końcu budynku i poprowadził dziewczynę przez szklane drzwi.

— To stara kuchnia pałacowa, a teraz świetna restauracja, Conzinha Velha. Romantyczna, nie sądzisz?

Nie zdążyła odpowiedzieć na to pytanie, gdyż wyrósł przed nimi szef restauracji.

— *Senhor* Cardiga! Miło znowu pana tutaj widzieć — mówił wylewnie mężczyzna, prowadząc ich do wnętrza sali słabo oświetlonej wiszącymi lampkami zabudowanymi czarnym szkłem. Minęli długi na piętnaście stóp marmurowy stół, przy którym kiedyś pracowali królewscy kucharze, i wielki, otwarty komin stojący na marmurowych kolumnach. Znajdujący się pod nim stalowy rożen tylko czekał, by nabić nań zwałistego dzika.

— Tutaj, *senhor* — szef restauracji wyciągnął krzesła spod stojącego w rogu stolika, tuż obok kamiennego blatu do patroszenia ryb, po którym spływała woda.

— Och, jakie to niezwykle, nie ma żadnych ryb? — zażartowała Patrycja.

— Prawdę mówiąc, miejscowy potok przepływa właśnie tędy, dlatego kucharz mógł złapać królewski obiad, zmywając jednocześnie naczynia — odpowiedział Miguel.

— To bardzo praktyczne.

Kelner podał im z namaszczeniem listę win.

— Czego chciałabyś się napić? — spytał Miguel.

— A mogę zażyczyć sobie periquitę? — powiedziała, patrząc błyszczącymi oczami.

— Chyba nie, jutro i tak będziesz miała jej dosyć.

— To groźba?

— Patrizio — powiedział cicho, opierając się na łokciach i patrząc jej prosto w oczy — czy wyglądam na człowieka, który mógłby grozić kobiecie?

Kelner chrząknął.

— Weźmiemy butelkę branco seco — zdecydował Miguel, odkładając kartę — to białe wino, również z winnic Emilia.

— Chciałabym poznać Emilia.

— Przyjedzie za kilka dni. Obydwaj staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi, odkąd ojciec Emilia wygonił go za uwiedzenie jednej z pokojówek, a mój ojciec wyrzucił mnie z domu za nieochłodzenie konia po skończonej jeździe.

— Wyrzucił cię za to z domu?

— W każdym razie nigdy by tego nie zrobił, gdybym uwiódł pokojówkę.

Obydwoje się roześmieli.

Patrycja spróbowała wina; nieczęsto zdarzało jej się pić alkohol i przyparowało ją to o mrowienie w całym ciele.

Miguel zamówił dla nich na kolację gaspacho i ser zwany *Azeitão*.

— Nie ośmieliłbym się zamówić mięsa, wiedząc jaki masz do tego stosunek. To jest owczy ser z Arrábidy. Pamiętasz jeszcze moją opowieść o pasterzu?

— Ależ tak, oczywiście, że pamiętam — spróbowała sera — doskonały.

— Niektórzy uważają, że ma lecznicze właściwości... — zamilkł na chwilę — ...gdyby tylko mógł wyleczyć raka.

— Czy lekarze w niczym już nie mogą pomóc twojemu ojcu?

— Powiedzieli mi, że ma najwyżej sześć miesięcy życia.

— Och, jakie to straszne, jakie straszne... A przecież wydaje się taki pełen życia. Rozmowa z nim naprawdę sprawiła mi wielką przyjemność. Jego miłość do tego konia jest po prostu niewiarygodna.

— Tak. Amante była jedna na milion — rozświetlił się Miguel. Czarna chmura z jego oblicza zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

— Amante. Co za romantyczne imię.

— Po portugalsku znaczy kochanka — powiedział Miguel z błyszczącymi oczami. — Tylko mój ojciec mógł nazwać w ten sposób konia.

Roześmiała się.

— On jest naprawdę kimś wyjątkowym.

— Tak, nazywano go artystą, geniuszem i szaleńcem. Sama rozumiesz dlaczego.

— Masz w sobie wiele z ojca, ty też jesteś trochę szalony.  
— Ale ja nigdy nie powiesiłbym na ścianie głowy mojej kochanki, ani nie położył przy łóżku jej skóry.

Patrycja skrzywiła się.

— Moje wisielcze poczucie humoru także odziedziczyłem po ojcu. Widzisz, matka umarła przy moim urodzeniu i on musiał zajmować się mną od samego początku. Och, klóciliśmy się bez przerwy; nigdy nie mogłem sprostać jego oczekiwaniom. Ciągłe jeszcze działały sobie na nerwy, ale ja naprawdę kocham starego *mestre*.

— Tak, rozumiem. Ja też bardzo kochałam mojego ojca. — Patrycja czuła nieprzewartą chęć mówienia dalej. — Wiesz, on zginął w straszliwy sposób.

Miguel pociągnął łyk wina, wpatrując się uważnie w jej twarz.

— Leciał właśnie na spotkanie ze mną... ale wtedy samolot porwali terroryści palestyńscy. Zabili Żydów, którzy byli na pokładzie, i mojego ojca. Przez pomyłkę został wzięty za Żyda.

— To potworne... — Miguel potrząsnął głową. — Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego większość ludzi tak bardzo nienawidzi Żydów.

— Ja też nie... ale mój dziadek zwykł nazywać ich zgrają hultajów, mówił, że nie można im ufać w sprawach finansowych.

— A jakie jest twoje zdanie?

— Znam tylko jednego Żyda, doktora Solomona i bardzo go kocham.

— No cóż, to teraz znasz następnego.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

— Moi przodkowie byli Marranos.

— Marranos?

— Tak, Żydami zmuszonymi przez Inkwizycję do przyjęcia katolicyzmu. Jutro pokażę ci Rossio, miejsce gdzie tysiące Żydów spłonęło w tamtych czasach na stosie.,

— To straszne.

— To głupie. Większość ludzi na świecie ma w sobie trochę żydowskiej krwi. Myślę, że papież zapomina, iż Chrystus też był Żydem.

Słuchała z uwagą tego, co mówił — ten człowiek nie przestawał jej zadziwiać. Miguel w dalszym ciągu wygłaszał swoje poglądy.

— Nie uznaję religii, bo ona nakazuje ludziom nienawidzić i zabijać innych. Patrizio, świat byłby znacznie lepszy, gdyby ludzie poświęcili większą uwagę Bogu, a mniejszą religii.

— Mówisz, jakby to było takie proste.

Miguel wysączył resztkę wina.

— Większość rzeczy w życiu jest prosta, jeśli człowiek naprawdę wie, czego chce — to powiedziawszy, ukrył jej rękę w swoich dłoniach — a czy ty wiesz, czego chcesz?

— Czasami nie jestem pewna.

Jego wzrok był utkwiony w oczach dziewczyny.

— Ja wiem. Chcę ciebie.

Nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia, Patrycja spuściła wzrok na dwie silne dłonie, które ścisnęły jej delikatne palce. Bojąc się nawet głośniej odetchnąć, podniosła oczy ku jego twarzy.

Drzwi łazienki zamknęły się za Patrycją. Miguel zgasił lampkę, potarł zapalną i przyłożył jej płomień do grubej świecy stojącej na nocnym stoliku. Zdjął ubranie, usiadł na łóżku i odpiął pojedynczy pasek, który opinał jego udo powyżej kolana. Było to znacznie prostsze niż ściągnięcie całego systemu szelek, które trzymały starą protezę. Zdjęta proteza upadła na podłogę.

Obserwował pasemko światła, przedostające się pod drzwiami łazienki, zakłócanie co jakiś czas ruchami dziewczyny. Nagle światło zgasło i serce Miguela zaczęła bić jak oszalałe. Drzwi łazienki otworzyły się.

Patrycja chciała przebiec w kilku susach przez pokój i ukryć się w jego ramionach, ale nagle ogarnęło ją onieśmienie. Mężczyzna siedział na łóżku zupełnie nagi. Jego ciało było jak idealna rzeźba o harmonijnie



rysujących się mięśniach, oliwkowa skóra miała w blasku świecy kolor czystego miodu. Nie mogła wyraźnie dostrzec wyrazu jego twarzy. Wzięła głęboki oddech i szlafrok zsunął się z jej ramion.

Miguel oparł się na łokciach, jego oczy śledziły każdą część jej ciała.

— Jesteś piękna — powiedział, przełamując milczenie.

— Ty też — szepnęła.

— Spójrz na mnie — nakazał stanowczo cichym głosem.

— Patrzę.

— Na całe moje ciało.

Dziewczyna wolno zbliżyła się w jego stronę i uklękła przy łóżku. Delikatnie dotknęła uda jego kalekiej nogi. Nie poruszył się.

— Pragnę cię, Miguelu — po czym dotknęła dłonią jego wzwiedzonego członka.

Zanurzył palce w jej włosach, przyciągnął dziewczynę do siebie i wściekle pocałował w otwarte usta.

Prąd przeszył jej ciało. Było to to samo uczucie, jakiego doznała, gdy po raz pierwszy pocałował ją w stajni. Wtedy przestraszyła się; teraz nie odczuwała już strachu.

— Och, Miguelu — wyszeptała — przepraszam, że odepchnęłam cię tamtej nocy.

Jego śmiech miał głębokie, gardłowe brzmienie.

— Nie odepchnij mnie znowu — i położył ją na łóżku.

— Nigdy, nigdy.

Pieścił jej szyję, jej piersi. Delikatnie dotykał jej sutek i poczuł wreszcie jak twardnieją. Jego dłoń przesuwała się po jej płaskim brzuchu i dosięgła linii bioder, po czym palce mężczyzny wsunęły się w wilgotne miejsce między udami. Patrycja jęczała cicho, gdy położył się na niej, rozchylając jej nogi.

## ROZDZIAŁ 15

### Lizbona

Dzwonek rozległ się przy głównej bramie. Miguel, zaniepokojony, by hałas nie zakłócił spokoju ojcu, który dopiero co po ciężkim dniu zapadł w sen, szybko zaczął iść w poprzek dziedzińca. Cóż za dziwna pora na odwiedzin w chwili, gdy oczekiwał spokojnego wieczoru sam na sam z Patrycją.

Otworzył drzwi. Wpatrywały się w niego ciemne oczy Isabel.

— Isabel? Ja... właśnie wychodzę.

— Nie przyszedłam do ciebie... Chciałabym zobaczyć się z twoim ojcem — wyciągnęła duży bukiet lilii i uczyniła ruch, żeby wejść do środka, ale Miguel stał w drzwiach, zagradzając jej przejście.

— Sam dam mu te kwiaty — powiedział, biorąc bukiet. — Ojciec nie może przyjmować wizyt, jest ciężko chory.

— Och... przykro mi to słyszeć.

— Dziękuję za współczucie — spróbował zamknąć bramę, ale kobieta wyciągnęła rękę i przytrzymała ją.

— Miguelu, nie zamykaj mi drzwi przed nosem — prawie czuł na twarzy jej oddech — ja też jestem chora.

— To idź do lekarza.

— Mówię poważnie. Jestem śmiertelnie chora, gdyż cię nie widuję.

— Isabel, proszę... nie chcę o tym więcej mówić. Mam teraz inne problemy. Opiekuję się ojcem.

Jej wargi wygięły się w cynicznym uśmiechu.

— Naprawdę? Myślałam, że zajmujesz się głównie tą obłąkaną Amerykanką.

Miguel był kompletnie zdumiony,

— Tak — mówiła dalej — nie powiedziała ci, że dopiero co wypuścili ją z domu wariatów?

Uderzył ją w twarz. Powoli podniosła dłoń okrytą rękawiczką do swojego policzka. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dobiegł ich z ciemności głos Patrycji.

— Miguelu, jesteś tu?

— Tak, już idę — odpowiedział szybko.

Oczy Isabel stwardniały jak czarne kawałki węgla.

— Śpiesz się, Miguelu — syknęła ironicznie — nie pozwól jej zbyt długo czekać.

Obróciła się i Miguel, drżąc z gniewu, zatrzasnął za nią drzwi.

— Jakiś gość? — spytała Patrycja, podchodząc bliżej.

— Nie... Ktoś po prostu przysłał kwiaty dla ojca — podniósł bukiet. — Dam pokojówce, żeby wstawiła do wody — potrzebował kilku minut, żeby się uspokoić. Oczywiście, Patrycja powiedziała mu już wcześniej o swoim pobycie w sanatorium w Lozannie, ale skąd wiedziała o tym Isabel?

— Panie Cardiga... — usłyszał za sobą głos Patrycji — pan jest bardzo spięty, panie Cardiga. Pan jest spięty — ramiona dziewczyny objęły go za szyję, a uśmiech na jej twarzy odpędził wszystkie myśli o Isabel.

Uczestnicząc całymi dniami w lekcjach jeździectwa, Patrycja czuła się jak ulubienica nauczyciela. Twardy rozkaz czy ostra reprimenda w stosunku do kogoś innego przekształcała się dla niej w łagodną sugestię lub z uśmiechem wypowiedziany komplement. Szepty innych uczniów zastanawiały ją, czy domyślano się już wszystkiego. Ale gdy Miguel posadził ją na Ultimata — na konia, którego nikt nigdy nie mógł dosiadać — szepty przeszły w porozumiewawcze uśmiechy.

Po kilku dniach stała się kimś więcej niż tylko ulubienicą nauczyciela, była teraz jego asystentką. Miguel poprosił ją, by zaczęła pracować z płacziwą Francuzką, która zniechęciła wszystkich innych nauczycieli i

została uznana za przypadek beznadziejny, za bogatą, zepsutą pannicę. Patrycji zrobiło się żal dziewczynki, która wyglądała tak patetycznie, ciągnąc swego opornego Palomina, jej bryczesy były całkowicie poplamione winem, a po pulchnych policzkach spływały łzy.

— *Quel est ton nom?* — spytała Patrycja, obejmując ramieniem kłopotliwą uczennicę i prowadząc ją w najdalszy kąt areny.

— Mam na imię Lise — odparła dziewczynka.

— O, mówisz po angielsku?

— *Oui*, mówię po angielski. Ale mam kłopot z moim *cheval*.

Patrycja uśmiechnęła się.

— Początki zawsze są trudne, Lise, lecz musisz być cierpliwa.

— Ale *monsieur* Miguel nie jest cierpliwy. To potwór... Nie cierpię go — wyrzuciła z siebie.

Patrycja zacisnęła usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

— No, tak. *Monsieur* Miguel potrafi być niekiedy trochę nieprzyjemny. Pamiętaj jednak, że ten koń jest twoim przyjacielem.

— *Non*. To smok. Chce mnie zrzucić z grzbietu i stratować kopytami.

— O Boże, to nieprawda. Podejdź tu, spójrz, popatrz w jego oczy.

Dziewczynka ze strachem podniosła głowę.

— Widzisz, sam jest po prostu przestraszony. Myśli, że to ty chcesz go skrzywdzić...

Lise popatrzyła w duże oczy Palomina.

— Tak pani myśli?... On też się boi?

— Tak. Po prostu bądź dla niego miła i wszystko pójdzie znacznie lepiej. Obiecuję.

— Obiecuje pani?

— Tak. Przede wszystkim idź i zmień spodnie — powiedziała Patrycja, biorąc cugle, a kiedy wrócisz, pomogę ci.

— *Merci, merci*, jest pani bardzo miła — powiedziała dziewczynka i szybko wybiegła.

Patrycja usłyszała za sobą męski głos.

— *Senhora*, chciałbym wziąć u pani kilka lekcji.

Odwróciła się i dostrzegła zbliżającego się w jej kierunku wysokiego szczupłego młodzieńca.

— Proponuję, aby porozmawiał pan z *senhorem* Cardigą — odparła, wskazując na Miguela, który był zajęty pracą z uczniami w drugim końcu areny.

— Nie. Nie. NIE! — krzyknął młody człowiek. — Nigdy nie wezmę u niego lekcji.

Patrycja próbowała go uspokoić, gdyż jego głos przybierał na sile.

— Ależ proszę, nie ma potrzeby...

— To potwór! Słyszała pani, co mówiła ta Francuzka. — Wszyscy o tym wiedzą!

Patrycja, szukając ratunku, odwróciła się w stronę Miguela i spostrzegła, że ukochany zbliża się do nich z uśmiechem na twarzy.

— Emilio — odezwał się — czy znowu będę musiał cię stąd wyrzucić?

Mężczyzna roześmiał się.

— Patrizio, ten człowiek był kiedyś moim najlepszym przyjacielem — powiedział Miguel.

Emilio pocałował jej rękę z wyszukaną elegancją.

— Aach! Nie ma pani pojęcia, jaki jestem szczęśliwy, że w końcu udało mi się panią poznać. Bardzo dużo o pani słyszałem, ale Miguel tak często kłamie. — Mrugnął porozumiewawczo. — Cieszę się, że tym razem powiedział prawdę.

Tego samego popołudnia, w kilka godzin później, Emilio nalegał, że zostanie przewodnikiem Patrycji podczas jej wycieczki do Lizbony. Gdy wszyscy troje usadowili się w jego sportowym samochodzie, Emilio zaczął się przechwalać:

— Z Miguelem będziesz mogła zobaczyć mnóstwo stajni i końskich gówień... ale przy mnie poznasz zmysłową wystawność Lizbony.

Patrycja zdążyła już zauważyć, co sprawiło, że ci dwaj mężczyźni zostali przyjaciółmi — wszystko, co powiedział Emilio, doprowadzało Miguela do śmiechu.

Emilio zawiózł ich do Alfamy, dzielnicy mauretańskiej, gdzie zostawili samochód. Spacerowali po wąskich, brukowanych uliczkach, w których na wiosennym wietrze suszyło się pranie. Wysokie, kolorowo stiukowane budynki po drugiej stronie wydawały się skłaniać ku pozostałym, jak gdyby pragnęły spotkać się u szczytu. Niektóre ulice były pełne stołów, krzeseł, mężczyzn, kobiet i dzieci, jedzących, pijących, grających na instrumentach. Powietrze było przesycone zapachem pieczonych ryb. Był to czas fiesty.

— Czy Miguel kiedykolwiek opowiadał ci, Patrizio, o czasach, kiedy nasi ojcowie wyrzucili nas obydwu z domu? — spytał Emilio, biorąc ją pod ramię.

— Tak, wspominał o tym.

— Przez jakiś czas mieszkaliśmy właśnie w tej okolicy. To były szalone dni. Pamiętasz, Miguelinho?

— Jak mógłbym zapomnieć? Chcieliśmy pojechać do Paryża i założyć koński cyrk — roześmiał się Miguel. — Mieliśmy wtedy tyle szalonych pomysłów.

— Nie tak bardzo szalonych. Zingaro tego dokonał i zyskał sławę. — Ludzie nie mogą się napatrzeć magii jego końskich widowisk.

— Zingaro był jednym z najbardziej obiecujących i najtrudniejszych uczniów mojego ojca — wyjaśnił Miguel. — Teraz jest w Paryżu, kreuje się na artystę-cygana i hipnotyzuje ludzi pokazami, w których występują konie. Kiedyś zabiorę cię, żebyś zobaczyła jego sztukę.

— Bardzo bym chciała.

— Ale nie możecie się spóźnić — wtrącił Emilio. — Przed przedstawieniem kelnerzy stojący na koniach podają publiczności wino, zupełnie dobry rocznik trzeba przyznać.

— Fonseca? — zachichotała Patrycja.

Nagle Emilio zatrzymał się.

— To tutaj! — i wyciągnął wskazująco rękę.

— Co? — zapytała Patrycja.

— Tam wyżej było nasze mieszkanie. Ach — westchnął, najwyraźniej przypominając sobie przeszłość — był wtedy wieczór taki jak dziś, czas fiesty. Stałem tu na dole, na ulicy, próbując wymyślić jakiś sposób, by złović na noc atrakcyjną towarzyszkę, podczas gdy on ubierał się tam na górze... — Emilio znowu wskazał ręką.

Miguel uciał nagle wszystko jednym zdaniem.

— Patrizia nie ma ochoty słuchać tej historii.

— Ależ oczywiście, że ma ochotę — Emilio mówił dalej, nie wzięwszy nawet oddechu. — Wyszedł spod prysznic...

Miguel chwycił przyjaciela za ramię.

— Kopnę cię w dupę, jeżeli powiesz coś jeszcze.

— To nie fair, Miguelu — drażniła się z nim Patrycja. — Emilio zaczął już opowieść i chciałabym jej wysłuchać do końca.

Miguel odszedł kilka kroków z udawanym niesmakiem.

— Ja w każdym razie nie chcę tego słuchać.

— To nie słuchaj! — krzyknął za nim Emilio. I cichym głosem, z ustami tuż przy uchu Patrycji mówił dalej: — wycierał się właśnie ręcznikiem, gdy w oknie po drugiej stronie ulicy zobaczył córkę barmana, prawdziwą piękność, zupełnie nagą i wpatrzoną w jego postać.

— Wystarczy! — krzyknął Miguel.

— Ty tchórze — odpowiedział Emilio.

— I co się stało? — domagała się dalszego ciągu Patrycja.

— Stałem tutaj na dole, cztery piętra niżej, próbując znaleźć dziewczynę, która pozwoli mi się wziąć za rękę, i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Nagle Miguel wdrapał się na okno tuż nad moją głową i przekroczył ulicę po sznurach do bielizny!

Patrycja wybuchnęła śmiechem.

— To wcale nie takie śmieszne. On był zupełnie nagi. Każdy mógł go tam dostrzec, ale Miguel wcale nie zwracał na to uwagi. — Emilio spojrział na przyjaciela, który wciąż przyglądał mu się spode łba. — Okay, okay, nie wiem, co się stało tam na górze, ale tu w dole oberwałem wielkie sine limo. Jej ojciec zaczął właśnie wchodzić po schodach i jedynym sposobem, żeby zatrzymać go na dole, było rozpoczęcie kłótni. W końcu

po piętnastu minutach drugim okiem spostrzegłem, że Miguel po sznurach do bielizny wraca z powrotem do naszego mieszkania.

— Och, jestem pewna, że nic się nie stało w tak krótkim czasie — Patrycja mrugnęła porozumiewawczo do Miguela.

— Może masz rację — Emilio podniósł ramiona, poddając się — w każdym razie dodam jeszcze, że gdy zszedł na dół, nie miał już ochoty nikogo łapać za rękę.

Miguel szturchnął go żartobliwie w ramię. Emilio udał, że umiera.

— To w taki sposób traktujesz człowieka, który ci uratował życie? Gdyby ten barman przyłapał cię wtedy ze swoją córką, już dawno byś nie żył.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Tej nocy, gdy leżeli obok siebie w łóżku, nagle w ciemnej ciszy pokoju Patrycja wybuchnęła śmiechem.

— Co cię tak rozbawiło? — spytał Miguel.

— Czy tym, co cię najbardziej podnieca, są nagie dziewczyny po drugiej stronie ulicy?

— Nie, sznury do bielizny.

Patrycja znowu zachichotała.

— Ale kiedy się tam dostałeś, próbowała cię powstrzymywać?

— Oczywiście, że nie. Udawała, że jest zupełnie bezradna. Cokolwiek się stało, nie było jej winą.

— Tak, potrafię to zrozumieć — mruknęła Patrycja, po czym dodała cicho: — ja też chciałabym być bezradna.

— Co takiego?

— Wtedy mógłbyś zrobić ze mną wszystko, na co miałbyś ochotę — przysunęła się do niego bliżej.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Intensywny zapach wiosennych kwiatów, bzu i wistarii, przenikał z dziedzińca do pokoju.

— Więc chciałabyś się czuć bezradna?

Jej odpowiedzią był delikatny pocałunek w usta.

— Podejdz do okna — powiedział grubym głosem.



— Dlaczego?

— Zaufaj mi.

Zrobiła, o co prosił.

— Co teraz?

Miguel patrzył na jej sylwetkę oświetloną smugami księżyca, sączącymi się przez rozchylone częściowo zasłony.

— Ściągnij szarfę ze stor.

Zdjęła atlasową wstęgę i spojrzała na Miguela.

— Drugą też — powiedział bardzo wyraźnie.

Patrycja podeszła do niego z wyciągniętymi ramionami, w każdej dłoni trzymała szarfę.

Nie spuszczał z niej oczu, biorąc wstęgi.

Bez słowa położyła się przy nim na łóżku. Zaczęła ciężko dyszeć na samą myśl o tym, co ma nastąpić.

Miguel wziął jej nadgarstek, zamotał wokół niego szarfę i przywiązał ją do słupka przy łóżku. Przeczolgał się przez jej ciało, wziął drugie ramię dziewczyny i zrobił to samo. Potem usiadł spokojnie, obserwując jej nagą sylwetkę, rozciągniętą, wyczekującą. Jego usta zaczęły błędzić po jej ciele. Lizał ją jak zwierzę myjące swoje małe, jego wargi zatrzymały się na jej sutkach.

Wiła się spazmatycznie pod jego ciałem — więzy wzmagały jej podniecenie i czyniły przyjemność czymś zupełnie dotychczas niespotykanym. Teraz jego palce poruszały się między jej udami, rozchylając je wolno, delikatnie.

— Uwielbiam być bezradna — jęknęła, gdy jego usta dotknęły wilgotnego miejsca.

Obudził ją jakiś odległy dźwięk, ale wciąż trzymała twarz ukrytą głęboko w poduszce. Obok słyszała rytmiczny oddech Miguela, przy jej włosach mruczała Phoebe, u jej stóp chrapał cichutko Taxi.

Bezszelestnie wstała z łóżka. Z uśmiechem podniosła dwie atlasowe szarfy leżące na podłodze i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony i przywiązała je do uchwyty z obydwu stron.

Z oddali dochodził ten sam dźwięk, który ją obudził — głośnie i czyste

bicie dzwonów. „Złote lane dzwony”. Pamiętała, jak tata czytał kiedyś na głos ten wiersz:

„...co za świat szczęśliwości  
harmonijny przepowiada ich dźwięk...”

Wzdychając podeszła do łóżka. Miguel patrzył się w sufit.

— Miguelu, posłuchaj.

— Te przekłete kościelne dzwony.

Zacząła się śmiać.

— Co w tym śmiesznego? — zapytał.

— Ty! — I szybko wskoczyła do łóżka, położyła się na nim i gwałtownie pocałowała w usta.

Gdy się już od niego oderwała, powiedział ciężko dysząc:

— Zrób to jeszcze raz, taka gorąca dziś niedziela. Biedny Ultimato już mnie dziś nie zobaczy.

— Chciałabym, żebyś nie szedł.

— Choć ze mną.

— Nie, raczej nie... za bardzo bym się denerwowała.

— Wiem — bardziej niepokoiłabyś się o byka niż o mnie.

— Cóż... może przecież zostać zraniony, prawda?

— Patrizio, kiedy ćwiczymy, byk zawsze ma na sobie kamizelkę ochronną i nawet na prawdziwej arenie nigdy ich nie zabijamy. W Portugalii nie wygląda to tak, jak w Hiszpanii. Chciałabym, żebyś kiedyś przyszła i jeden jedyny raz zobaczyła mnie na arenie.

— Zrobię to na pewno, ale nie dzisiaj.

— Dobrze. — No, mam jeszcze dużo roboty — odrzucił prześcieradła w przypiływie naglego zdecydowania, a zwierzaki zeskoczyły na podłogę. Usiadł na brzegu łóżka, podniósł protezę i umocował na właściwym miejscu.

— Mam wielki dług u twojego byłego narzeczonego — powiedział przez ramię.

— Naprawdę?

— Tak, za to — i dotknął swojej sztucznej kończyny.

— Och, pamiętam, dał ci wtedy tę broszurę.

— Wiesz, zniechędziłem go od pierwszej chwili, gdy go spotkałem. Myślałem, że to sfalszowana Matka Teresa. Ale byłem wtedy po prostu

zazdrosny, bo on miał ciebie. — Miguel pochylił się i pocałował ją w policzek. — Teraz uważam, że to doskonały lekarz. Wiesz, że on zadzwonił wtedy do Seattle i wszystko załatwił. Któregoś dnia będę mu musiał za to podziękować... — wszedł do łazienki, ale po chwili wystawił głowę — i za to, że zerwał z tobą zaręczyny.

Patrycja wyciągnęła się na łóżku, czując w całym ciele słodkie zadowolenie. Jest tu, w Lizbonie, z mężczyzną, którego kocha. Miguel miał rację, jeśli chodzi o Toma. Nigdy nie zapomni tego, co powiedział o „zwykłym akcie brania odpowiedzialności”. Wstała, owinęła się w szlafrok i stanęła oparta o drzwi łazienki patrząc, jak Miguel się goli.

— Wiesz, Tom mnie naprawdę zranił, ale teraz nie ma to już znaczenia. Ja też podziękuję mu za ciebie.

— Naprawdę?

— Tak... zrobię jakiś zapis na rzecz jego fundacji. Będę miała wystarczająco dużo pieniędzy, gdy sprzedam firmę.

— Co? — Miguel zamarł na chwilę w bezruchu.

— Sprzedaję wszystkie swoje udziały w Grupie Stonehama.

— Dlaczego chcesz to zrobić?

— Och, Miguelu, mamy jeden z oddziałów w Nogales — po prostu się tego wstydzę — i opisała mu to, co tam zobaczyła.

Miguel słuchał jej z uwagą.

— Nie mogę w tym uczestniczyć — zakończyła swoją opowieść.

— Ale czy sprzedaż firmy rozwiąże ten problem?

— Nie potrafię sama tego zrobić i nie mam innego wyboru.

Patrycja nie mogła dostrzec wyrazu twarzy Miguela, gdy mężczyzna wycierał się w ręcznik. Po chwili wrócił do pokoju i zaczął się ubierać.

— Potrafisz znaleźć jakiś sposób — jestem pewien, znam cię, Patrizio.

— Nie ma nic innego, co mogłabym zrobić — upierała się.

— Nic innego? No cóż — może masz rację — nie przestawał się ubierać.

Patrycja przygryzła wargi. Wcale jej nie zrozumiał, ale musiała znaleźć odpowiednie słowa, żeby mu to wytłumaczyć. Obserwowała, jak podchodzi do drzwi. Otworzył je, po czym odwrócił się z przebiegłym uśmiechem.

— Hej, Patrizio — ludzie są prawie tak samo ważni jak zwierzęta.

Po tych słowach upomnienia rozległ się dźwięk zamykanych drzwi. Nie mogła otrząsnąć się z uczucia wstydu, jakie zaczynało ją ogarniać, gdy wkładała strój do konnej jazdy. Miguel zapalił jakieś światełko po ciemnej stronie jej duszy, gdzie ukryła swoją słabość, w tej części, której najbardziej nienawdziła.

Chwyliła kurtkę i praktycznie wybiegła z pokoju, pragnąc znaleźć ukojenie tam, gdzie zawsze je odnajdywała: w stajni. Twarde podeszwy jej długich butów uderzały o kafelki posadzki.

— Kto tu chodzi?

O Boże, obudziła Paula.

— Przepraszam, że panu przeszkodziłam — powiedziała głośniej — nie chciałam robić tyle hałasu.

— Wejź! — to był rozkaz, nie prośba.

Otworzyła drzwi jego pokoju i znalazła starca siedzącego na łóżku.

— Idziesz jeździć?

— Tak... przepraszam, że pana obudziłam.

— Nie obudziłaś mnie — zrobił to ten przekłety dzwon. Ale dlaczego jesteś taka podekseytowana?

— O nie, nie jestem... naprawdę.

Twardy wyraz jego ostro zarysowanej twarzy zmiękł.

— To dobrze. Chodź, usiądź tu — i dotknął łóżka tuż przy miejscu, na którym siedział.

Posłuchała.

— Nie jedziesz zobaczyć wielkiego torreadora na arenie?

— Nie, postanowiłam zostać w domu.

— Aa... denerwuje cię to, potrafisz to zrozumieć. Ja też tego nie aprobuję, uważam, że mój syn marnuje swój ogromny talent na coś tak prostackiego.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Walki byków rozdzieliły na długo mnie i mojego syna. Wypowiedzieliśmy na ten temat wiele wściekłych zdań. Niech to nie stanie się przeszkodą między wami. Naucz się akceptować nawet to, czego nie aprobujesz, Patrizio.

— Mam nadzieję, że Miguel potrafi nauczyć się zaakceptować to, czego nie aprobuje we mnie — odpowiedziała cicho.

— Nauczy się — to jeden z elementów miłości.

Była wdzięczna Paulowi za te słowa, słowa upewnienia, tak wdzięczna, że omal go nie pocałowała.

Czując jej ciepłe uczucia, starzec wziął ją za rękę i delikatnie uściśnął.

— Wiesz, Patrizio, mój syn to nieprzeciętny człowiek.

— Tak, wiem.

— Czy wiesz, że teraz uznaje swoje kalectwo za podarunek.

— Podarunek? On to panu powiedział.

— Och nie, on nigdy o niczym mi nie mówi. Większość tego, co wiem, pochodzi od Emilia, ale Emilio nie mówi wszystkiego. Opowiada mi tylko o tym, o czym, jego zdaniem powinienem wiedzieć — uśmiechnął się — i, jak sądzi, chciałbym usłyszeć. Nie jest moim synem, więc możemy zawsze szczerze porozmawiać. Czy ojcowie mogą się kiedykolwiek naprawdę porozumieć z synami?

Dotyk jego guzowatej, kościstej dłoni był dziwnie uspokajający i Patrycja słuchała starca, nie przerywając.

— Emilio opowiada, iż Miguel uważa, że kalectwo zmieniło go, zrobiło z niego lepszego człowieka i doprowadziło do tylu innych rzeczy, ponieważ z powodu kalectwa trenował Ultimata... ponieważ dzięki temu poznał ciebie...

Patrycję dziwnie poruszył ten arystokratyczny, twardy mężczyzna, który mówił o synu z taką czcią.

Popatrzył na nią łagodnymi, niebieskimi oczami.

— Jesteś dla niego wszystkim, Patrizio.

— Dziękuję, że pan mi to powiedział — właśnie teraz było mi to potrzebne.

— Cóż, do czego nadaje się stary człowiek, jeżeli nie do kilku plotezek — wybuchnął śmiechem, który nagle zamienił się w kaszel.

Chwyła z nocnej szafki szklanę wody i podtrzymując ramieniem jego głowę, podniosła naczynie do warg starca.

Zmęczony mówieniem, położył się znowu na poduszce i uśmiechnął blado.

— To źle, że nigdy nie miałem córki... ale może jeszcze będę miał któregoś dnia. Patrycja pocałowała go w policzek.

— Teraz musi pan odpocząć. Przyjdę później sprawdzić, czy czegoś panu nie potrzeba.

Gdy zbliżała się do drzwi, Paulo zawołał:

— Na jakim koniu jeździsz?

— Na Corsariu.

— Ach tak, to wspaniały koń, ujeżdżał go Miguel, ale podobnie jak on potrafi być czasem hardy. Uważaj na siebie, Patrizio — i mrugnął do niej porozumiewawczo.

Trudno było skoncentrować się na jeździe. Wciąż myślała o zagadkowym uśmiechu Miguela i jego słowach: „Ludzie są prawie tak samo ważni jak zwierzęta”. I znowu wracało do niej poczucie wstydu.

Jak gdyby chciała je z siebie zmyć, wróciła do pokoju i weszła do wanny. Przyjechała wtedy z Nogales z mocnym postanowieniem, że pomoże tym opuszczonym ludziom. Weszła do biura Colemana pełna pomysłów na rozwiązanie tej sytuacji i wtedy on dotknął takiego tematu, że znowu wyzwolił w niej poczucie winy. Czuli się odpowiedzialni za śmierć J.L. i Coleman doskonale o tym wiedział. Przypomnił jej o okrutnych słowach, którymi zwróciła się do dziadka i nagle wszystkie jej pomysły gdzieś umknęły. Odepchnęła od siebie to, co widziała w Nogales, pragnąc wszystkiego się pozbyć, wszystko sprzedać.

Ale Miguel znowu naprowadził jej myśli na właściwy tor. A potem Paulo.

Miguel pokonał swoje kalectwo — a czy majątek dziadka nie był jej kalectwem? Miguel znalazł w sobie tyle mocy, żeby je zaakceptować, pokonać ograniczenia, myśleć o nim jak o podarunku. Czyż nie mogła zrobić tego samego? Miguel zdawał się nie mieć wątpliwości, że jej się to uda. Wierzył w nią. W jego ramionach czuła się silna, nie do pokonania, wierzyła, że może zrobić wszystko, nawet zaatakować Horace'a Colemana.

Wyszła z wanny i wytarła się mocno ręcznikiem. Nigdy nie poświęci tego, w co wierzy i o czym wie, że jest słuszne.

## ROZDZIAŁ 16

### Lizbona

Miguel z wielką ostrożnością prowadził Ultimata. Przed chwilą przestał trenować. Emilio obserwował go z rozbawionym wyrazem twarzy.

— Ten byczek to nie partner dla twojego konia.

Miguel poklepał zad Ultimata z czułością.

— Niech to licha! — mówił dalej Emilio. — Pamiętasz ten sposób, w jaki latał po całej arenie z ogonem między rogami...

— To właśnie ma robić.

— Uważam, że Ultimato jest już gotowy na corridę.

— Nie wiem — powiedział Miguel, prowadząc konia po pochylni do wnętrza przyczepy — nie chcę go poganiać.

— Poganiać? Przestań, Miguelu. — Ten koń nie może się doczekać starcia z potężnym bykiem. Zanudzają go takie krówki jak ta.

— Nie. Potrzebuje lepszego wyszkolenia, a ja nie mogę zajmować się nim częściej niż raz w tygodniu.

— Nie możesz się częściej wrywać?

— Nie teraz. Martwię się o Paula. Przychodzi do szkoły co jakiś czas, ale sam nie może już uczyć. Chciałbym sprawić, żeby czuł, iż wciąż jeszcze w tym uczestniczy. Codziennie wieczorem składam mu raport z przebiegu całego dnia.

— Co za smutna sytuacja dla Paula... dla ciebie... dla Ultimata... Ten koń zasługuje na publiczność. Szkoda, że Patrycja nie może go teraz zobaczyć.

— Ona nie lubi walk byków, nie może patrzeć na zranione zwierzę.



– Przyzwyczaj się.

– Nie jestem tego taki pewien.

– Czy między wami wszystko w porządku?

Miguel podniósł pochylnię, zablokował zasuwy i stanął bez ruchu, patrząc w przestrzeń.

– Wydaje mi się, że jestem zakochany.

– Święta Engrasio! – Emilio uderzył się w czoło i podniósł rece udając, że prosi o zmiłowanie boskie. – Miłość to fatalna choroba.

Miguel roześmiał się.

– Nigdy nie byłeś zakochany?

– Taak... w jedenastej klasie... W rudowłosej dziewczynie, która siedziała przede mną, dałem jej nawet srebrną sprzączkę od paska.

– Przypuszczam, że nie trwało to zbyt długo, bo wciąż masz tę sprzączkę.

– Tak, ona dała ją gościowi, który siedział przed nią i musiałem się z nim pobić, żeby sprzączkę odzyskać.

– Pewnego dnia ty też się zakochasz, Emilio.

– Nie ja. Mój romans musi być za każdym razem słodki i krótki. Taniec na dyskotecę, butelka wina, kilka godzin w łóżku, a rankiem chcę już obudzić się sam.

– Dawniej też tak myślałem, ale właściwa kobieta odmieniła moje poglądy.

Emilio chrząknął, uruchomił silnik swojego ferrari, wolno pociągając przyczepę w kierunku drogi.

## Stone Ridge

Laura z drinkiem w ręce obserwowała, jak pracownicy farmy hałaśliwie oddalali się drogą, w przyczepie otwartej ciężarówce. Był piątkowy wieczór i Edgar zabierał wszystkich do pobliskiego baru na piwo.

Wspaniałe słońce wisiało nad ziemią. Laura, potykając się, wyszła kuchennym wejściem na zewnątrz, znalazła taczki oparte o ścianę stodoły i popchnęła je w kierunku insektarium. Gdy wchodziła do cieplarni,

wzdrygnęła się. Ale nie było tam żadnych rojących się i bzykających owadów. Wszędzie panowała cisza. Przed nią na ceglanej podłodze ciągnęły się długie rzędy doniczek z kępkami alfafy w każdej z nich. Tym właśnie żywiono szkodniki, jak opowiadała jej kiedyś Patrycja. I wtedy dostrzegła je — wyglądały jak wzory ułożone z małych czarnych kropek na łodygach roślin. Szybko podnosiła jedną doniczkę za drugą i potrząsała nią dopóty, dopóki insekty nie spadły do taczki niczym deszcz. Cały czas mamrotała pod nosem przekleństwa.

— Nie zapłacono mi wystarczająco za coś takiego. Ciężko dysząc, dopchała taczki do miejsca, gdzie pole białych róż, właśnie pączkujących, wyglądało jak biały dywan w świetle zachodzącego słońca.

## Lizbona

Emilio i ja mamy dla ciebie coś specjalnego na dzisiejszy wieczór — oznajmił Miguel, gdy po skończonych lekcjach wprowadzali konie do przegród.

— O Boże, co takiego?

— Emilio przyjedzie tu po nas o ósmej.

— Będziemy we trójkę?

— Oczywiście.

— Czy on nie ma dziewczyny?

Miguel szczerze się roześmiał.

— Znajdzie sobie jedną czy dwie jeszcze przed końcem wieczoru.

Patrycja z roztargnieniem gładziła Ultimata.

— Ty też taki byłeś?

— Jaki?

— Jak Emilio.

Zawiesił na kołku uprząż i podszedł do niej. Objął dziewczynę ramionami i pochylił, by pocałować, ale ona cofnęła głowę.

— Czy może zawsze potrzebowałaś sznura do bielizny...  
Jego wargi zamknęły jej usta, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej.

Usadowieni w ferrari podjechali pod Bairro Alto, najlepszą dyskotekę Lizbony.

— W Ameryce mamy mnóstwo dyskotek. Czy pojedziemy wreszcie do jakiegoś spokojnego klubu, żeby posłuchać nastrojowych piosenek? — spytała Patrycja.

— Wtedy, kiedy wybieriecie się beze mnie — parsknął Emilio. — Odkąd Miguel przestał pić, zrobił się strasznie staroświecki. Poproś go, żeby ci zaśpiewał kilka starych kawałków. — To powiedziawszy, zanucił: *I am mad with despair because you are so fair...*

— Miguel śpiewał mi to już wczoraj — zażartowała Patrycja i wszyscy troje się roześmieli.

Gdy weszli do wnętrza dyskoteki — starego młyna urządzonego w dziwny, ale intrygujący sposób, stanowił bowiem pomieszanie rzymskich ruin i nowoczesnej techniki, Patrycji wydawało się, że nagle znalazła się w Stanach: w głośnikach pulsował rytm piosenki Janet Jackson *Rhythm Nation*. Stoliki i parkiet znajdowały się na dwóch kondygnacjach połączonych ze sobą ażurowymi, metalowymi schodami. Na obydwu poziomach roilo się od dziewczyn w kusych sukienkach i ich partnerów w pumpiastych spodniach, które poruszały się w rytm muzyki. Wszędzie było bardzo głośno.

— Miguelinho! Co za zaszczyt witać cię tu dziś wieczorem. — Jorge, właściciel klubu, przekrzykiwał muzykę, prowadząc ich obok rzeźby Wenus w stronę słabo oświetlonej niszy na niższym poziomie dyskoteki.

— Patrizio, przychodzę tu dwa razy w tygodniu — skarżył się Emilio — a Miguel prawie wcale tu nie zagląda, ale sama zobacz, jakie z nim robią ceremonie.

— Bo ty jesteś taki spokojny i nieśmiały, że widocznie ledwie cię tu zauważają — dokuczała Patrycja.

Emilio wciąż stał.

— Ja dziś płacę, więc mi się należy pierwszy taniec — pociągnął Patrycję na parkiet — z tobą wszyscy mnie zauważą.

Dziewczyna zaczerwieniła się, ale zdawała sobie sprawę, że dobrze się prezentuje i że inni mężczyźni odwracają głowy w jej kierunku. Wysoka i smukła, z kręconymi, krótko obciętymi, jasnymi włosami, wyglądała jak seksowny podłotek w swojej obcisłej, czarnej sukience mini, która eksponowała jej nagie ramiona.

Styl, w jakim tańczył Emilio, był skrzyżowaniem charlestona i lam-bady. Ciągnął dziewczynę we wszystkie strony i obracał szaleńczo dookoła.

Gdy muzyka stała się trochę wolniejsza, Patrycja zauważyła, że Miguel rozmawia z jakąś atrakcyjną, ciemnowłosą kobietą w fioletowej sukience z rozcięciem z jednej strony. Jej postać zasłaniała twarz Miguela. Gestykulowała gwałtownie jedną ręką, podczas gdy w drugiej trzymała kieliszek wina. Nagle chlusnęła winem w Miguela, który odchylił głowę w samą porę.

— Co się tam dzieje? — zawołała Patrycja.

Ale w odpowiedzi Emilio tylko jeszcze gwałtowniej ją obrócił.

— To musi być jakaś uczennica, której bryczesy wchłonęły zbyt dużo wina i teraz chce się odwdziżyć za przysługę.

Kiedy wrócili do stolika, kobiety już tam nie było, a Miguel niczego nie wyjaśniał. Patrycja spostrzegła, że nieznajoma wchodzi z powrotem po ażurowych schodach i siada na samym skraju drugiej kondygnacji.

Emilio przywołał głośno kelnera.

— Butelkę garrafeiry, rocznik 1955 — po czym mruknął porozumiewawczo do Patrycji: — to z moich własnych winnic.

— Jestem osobiście dobrze zaznajomiona z twoją peroquita.

Emilio chciał już odpowiedzieć, ale nagle wtrącił się Miguel.

— Czy mogę prosić cię do tańca? — i ujął Patrycję za ramię.

Nastrój muzyki się zmienił i dyskotekę wypełniał teraz natchniony głos Billy Joela. Patrycję zadziwiła zręczność Miguela, gdy w tańcu prowadził ją z wdziękiem po parkiecie.

— Bardzo dobrze tańczysz — powiedziała.

— Czemu nie, taniec to jak jazda konna. Musisz swobodnie posługiwać się lejcami, biodrami wyczuwać swojego partnera. — Przyciągnął ją bliżej do siebie — po chwili już nie wiesz, kto prowadzi, ale obydwójce chcecie iść naprzód. — Pocałował ją w kark i dziewczyna jak gdyby zmiękała pod wpływem tej pieśnyczoty.

Ukryta w jego ramionach zauważyła spojrzenie ciemnowłosej kobiety, która przyglądała się im z góry. Szybko jednak o niej zapomniała, wsłuchując się w dźwięki muzyki.

— Ach, kocham tę piosenkę — szepnęła. Zaczęła cicho nucić:

*I know that everybody has a dream*

*And this is my dream, my own*

*Just to be at home*

*And to be all alone... with you...\**

\* „Wiem, że każdy ma jakieś marzenie.

A oto moje marzenie, właśnie moje.

Po prostu być w domu.

Być w zupełnej samotności... z tobą”...

Popatrzyli na siebie.

— Chodźmy stąd — powiedział Miguel — Emilio to zrozumie.

— Co zatrzymywało cię długo?

Przytulił ją mocno.

Przy stoliku Miguel mrugnął porozumiewawczo do Emilia.

— Stało się coś ważnego i musimy już iść. *Comprende-me?*

— O, pewnie, pewnie. Nie zdajecie sobie sprawy, jak się cieszę, że zostawiacie mnie samego — i wskazał na trunek — z butelką wina wartą pięćdziesiąt dolarów, i to z mojej własnej winnicy — zrobił stosowną minę.

— Ach, nie będziesz zbyt długo sam — powiedział Miguel. Odwrócił się, żeby odejść, ale ciemnowłosa kobieta zagroziła mu drogę. Wyrzuciła

z siebie potok portugalskich słów, ciskając wściekle spojrzenia na Patrycję.

Głowy ludzi przy sąsiednich stolikach zaczęły odwracać się w ich stronę. Miguel próbował spokojnie odpowiedzieć, ale jej głos przybierał na sile.

— Isabel! — krzyknął Emilio, wstając i obejmując ją, żeby załagodzić jej wybuch. — Ty jedna użaliłaś się nad mą samotnością!

Kobieta próbowała się wyrwać, ale on przekrzykiwał jej słowa protestu.

— Chodź, napij się ze mną wina! Zatańcz ze mną! — Obrócił ją dookoła i rzucił Miguelowi kluczyki od samochodu.

Miguel gwałtownie pociągnął za sobą Patrycję, przeciskając się przez zatłoczony parkiet w kierunku wyjścia. Billy Joel śpiewał kolejną piosenkę:

*Well, we all fall in love but we disregard the danger  
Though we share so many secrets there are some we never tell  
Why were you so surprised that you never saw the stranger  
Did you ever let your lover see the stranger in yourself?\**

„Tak wszyscy zaczynamy kochać, lekceważąc niebezpieczeństwo  
Choć dzielimy tak wiele sekretów, są takie, których nigdy  
nie wyznajemy

Dlaczego tak cię zdziwiło, że nigdy nie spostrzegłeś tego obcego  
człowieka

Czy kiedykolwiek pozwoliłeś, by ten, którego kochasz, zobaczył tego  
obcego w tobie samym?”

## ROZDZIAŁ 17

### Lizbona

Zaczynało właśnie padać, gdy wyszli z dyskoteki. Bez słowa Miguel usadowił Patrycję w samochodzie, sam usiadł za kierownicą i odjechali.

Obserwowała jego napiętą twarz czekając, aż się odezwie, ale on wpatrywał się tylko w zmieniającą się przed nim drogę. Duże krople deszczu uderzały o przednią szybę i Miguel włączył wycieraczki, w dalszym ciągu nie mówiąc ani słowa. W końcu zapytała:

— O co w tym wszystkim chodzi?

— Och, jakaś kobieta, którą poznałem dawno temu.

— Isabel?

— Tak.

— Pamiętam, dzwoniła ciągle na farmę.

— To prawda.

— Byłeś z nią zaręczony.

— To nieprawda. Ale ona bardzo chciała zaciągnąć mnie do ołtarza po tym, jak zmarł niespodziewanie jej mąż... — Po chwili dodał cicho: — zabił go byk.

— Och, więc był pogromcą?

— Nie, był hodowcą byków. — Miguel wrzucił szybszy bieg i samochód zaczął się ślizgać po jezdni — Demonstrował właśnie umiejętności jednego ze swoich nagrodzonych okazów, kiedy zwierzę go przebodło.

Patrycja nie mogła oderwać oczu od Miguela. Wydawało się jej, że ten wypadek go prześladowuje.

— Byłem tam, gdy się to stało — powiedział.

— To musiało być straszne.

— Tak. — Zawahał się, po czym nagle wyrzucił z siebie: — To ja go zabiłem.

Patrycja przestała na moment oddychać, jedynym dźwiękiem był odgłos wycieraczek pocierających o przednią szybę.

— Ty go zabiłeś? — powtórzyła prawie niedosłyszalnie.

— Tak.

Objęła swoje nagie ramiona, aby powstrzymać drżenie.

— Ale dlaczego?

— Próbował mnie zabić. Dwukrotnie. — Miguel wydawał się teraz spokojniejszy, jechał wolniej, ale mięśnie na jego twarzy wciąż pulsowały. Odezwał się cichym głosem: — Widzisz Patrizio, jego żona jest bardzo piękna... — przerwał.

— I miałeś z nią romans? — domagała się odpowiedzi.

— Nie chciałem nic złego, ale...

— Dowiedział się?

— Tak.

— I co się stało?

— To była moja ostatnia walka, podstawił mi złego byka.

— Złego byka?

— Widzisz, po jednej walce byk się uczy, jak omijać konia i jeźdźca, dlatego nie jest nigdy wystawiany do walki dwa razy, bo wtedy staje się zabójcą.

— I dlatego miałeś ten wypadek?

Miguel skinął potakująco głową.

— Na początku byłem rozgoryczony, ale potem zrozumiałem: najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć mężczyźnie to zostać rogiaczem. Ale doprowadzenie mnie do kalectwa nie zaspokoilo Velosa.

— Co zrobił?

— Gdy wróciłem do Lizbony, zaprosił mnie do swojego domu na obiad. Zachowałem się jak idiota i poszedłem.

— Dlaczego?

— Patrizio, wiele razy zadawałem sobie to pytanie. — Jego głos zachrypł i Miguel odchrząknął. Wbił wzrok w lejące się z nieba potoki wody, jak gdyby widział w nich to, co się wydarzyło. — Przy stole w jadalni siedzieliśmy tylko we troje. Gdy patrzyłem na nią, zupełnie niczego nie



czulem. Nie mogłem przestać myśleć o cenie, jaką przyszło mi zapłacić.

Samochód zatrzymał się przed Centro Equestre da Cardiga i Miguel wyłączył silnik. Żadne z nich się nie poruszyło.

Tym samym tonem, w dalszym ciągu nie patrząc na dziewczynę, Miguel mówił dalej:

– Posiadłość była zupełnie wyludniona, wszystkich wysłał w pole. Po obiedzie nalegał, że pokaże mi swojego nagrodzonego ostatnio byka. Kusił mnie, żebym się z nim zmierzył. Byłem pijany, przyjąłem wyzwanie. Gdy wypuścił zwierzę, zobaczyłem szramy na karku bestii, to mnie otrzeźwiło. Veloso znowu podstawił mi złego byka – głos Miguela stężał – zrobił ze mnie kalekę, a teraz chciał mnie wykończyć... Musiałem go zabić.

Patrycja przełknęła ślinę.

– Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem, nawet Emiliowi.

– A dlaczego mi o tym powiedziałaś? – szepnęła.

Po raz pierwszy, od momentu gdy zaczął mówić, spojrzął na dziewczynę.

– Musiałem ci o tym opowiedzieć, zanim powiem, że cię kocham.

Nagle gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wyszedł z samochodu, nie zwracając uwagi na deszcz. Patrycja bez słowa podążyła za nim przez dziedziniec. Zabił człowieka. Była zdziwiona, że wcale jej to nie szokuje i nie wzbudza lęku. Czyż ona nie zrobiła tego samego z J. L., czy nie zabiła go własnymi słowami?

Gdy dotarli do jej pokoju, byli przemoczeni do nitki.

– Przepraszam, Patrizio... Śpij dobrze.

Wzięła go za ramię i delikatnie wciągnęła do środka. Uważnie przyglądała się jego twarzy.

– Kocham cię, Miguelu. I nic nie może już tego zmienić.

Wziął jej mokrą twarz w swoje dłonie i okrył pocałunkami.

Po chwili przyciągnął do siebie bliżej jej ciało, wręcz brutalnie. Jego pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne, pożądliwe. Zbliżyli się do łóżka i nagle stanęli bez ruchu. Na kocu, merdając z zadowolenia ogonem,

leżał rozciągnięty Taxi. Phoebe wymościła sobie gniazdko pomiędzy dwoma poduszkami.

Tej nocy kochali się na podłodze.

Miguel czuł ulgę. Wreszcie wyznał swoją zbrodnię. Tak bardzo ciążyła mu na sumieniu. Był wdzięczny, że Patrycja nigdy do tego nie wracała, nie zasypywała pytaniami. Wiedziała najgorsze i wciąż go kochała.

Było mu teraz tak lekko na sercu, a dusza jak gdyby wzbijała się w powietrze. Kłusował właśnie, gdy przyjechał Emilio. Nawet z tej odległości Miguel dostrzegł zadrapania na twarzy przyjaciela.

— Co się stało? — zawołał Miguel. — Wpadłeś pod prasę do wina?

Emilio zbliżył się do niego z żalonym wyrazem twarzy.

— Sam spróbuj tańczyć z Isabel, kiedy ona akurat nie ma na to ochoty.

Miguel nie mógł powstrzymać śmiechu, zeskakując z konia.

— Miguelinho, to wcale nie jest śmieszne. Ta kobieta jest szalona.

— Przestań, była wtedy po prostu pijana.

— Hej, dobrze wiem, kiedy kobiety są pijane. A ona jest szalona. Trzymaj się lepiej od niej z daleka...

— Taki mam właśnie zamiar.

— Bo nie zawsze będę w pobliżu, żeby porwać ją do tańca.

Dla Patrycji czas jak gdyby się zatrzymał. Straszliwa tajemnica, którą odkrył przed nią Miguel, zbliżyła ich jeszcze bardziej do siebie. Teraz liczyła się jedynie miłość; to, że on kochał ją, a ona jego.

Farma wydawała się taka odległa. Za każdym razem, gdy dzwoniła do domu, Laura przynaglała ją do powrotu. Edgar narzekał na jakość siana, a ona sama czuła się winna wobec Sporta i Harpala, ale mimo to nie mogła oderwać się od Miguela. Tamtego niedzielnego ranka, gdy były

kościelne dzwony, Miguel poruszył jej sumieniem — miał rację co do Nogales i sprzedaży akcji, lecz nie była pewna, jak zawrócić bieg wypadków, bieg, który zapoczątkowała. Próbowwała skontaktować się z panią Sperber i poprosić ją o radę, ale pani mecenas spędzała gdzieś urlop. Patrycja wiedziała zresztą, że ma jeszcze mnóstwo czasu — tak olbrzymia transakcja nie mogła się dokonać z dnia na dzień. Porozmawia z panią Sperber, kiedy ta wróci do Londynu. W każdym razie Patrycja odczuła wielką ulgę i teraz wszystko było znacznie prostsze, na razie nie musiała stawać twarzą w twarz z Colemanem. Po prostu cieszyła się życiem z Miguelem.

Wciąż otwierał drzwi do tajemniczych rozkoszy — niektóre z nich były ciemne, inne jasno oświetlone — odkrywał przed nią cały świat seksualnych doznań. Przy nim umiała być wszystkim, czym chciała — dominującą i uległą, kobietą i dziewczynką. Ale najważniejsze były chwile, gdy leżała uspokojona i ukołyszana w ramionach Miguela, gdy jego dłoń łagodnie gładziła ją po włosach sprawiając, że czuła się absolutnie bezpieczna i pewna jego miłości.

Nigdy nie chciała opuszczać tego świata niebiańskich rozkoszy, ale nieubłagane zbliżał się do niej moment podjęcia tej decyzji.

Była właśnie w swoim pokoju i czyściła irchę buty do konnej jazdy. Jej bryczesy leżały na łóżku. Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Znała ten dźwięk.

— Wejdz, Miguelu — krzyknęła radośnie.

Wszedł ubrany jak zwykle w swój czarny, obcisły strój do konnej jazdy. Mój Boże, był taki przystojny.

— To nadeszło z dzisiejszą pocztą — rzucił jej dużą kopertę.

„NADAWCA: Horace Coleman... DO RĄK WŁASNYCH”...

Wzięła głęboki oddech i otworzyła przesyłkę. Coleman nie tracił ani chwili. Była pewna, że zajmie to co najmniej sześć miesięcy, może więcej. Ale oto przed nią leżały dokumenty umożliwiające rozpoczęcie sprzedaży udziałów.

— Punkt bez wyjścia — powiedziała cicho.

— Co?

— Nie zamierzam tego podpisywać, nie sprzedam firmy.

Jego twarz rozświetlił szeroki uśmiech.

— Wiedziałem, że przyjmiesz to wyzwanie — podszedł i pocałował ją delikatnie w czoło — i możesz oczekiwać ode mnie tego samego.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

— Ja też muszę rzucić wyzwanie, będę próbował nauczyć czegoś tę Francuzkę.

— Znowu chcesz się nią zająć?

— Tak, zaczyna mi się coraz bardziej podobać, zrobiła ostatnio znaczne postępy.

Patrycja obserwowała, jak wychodzi wolno z pokoju, po czym znowu spojrzała na przesyłkę. Jej ręce się trzęsły, gdy przerzucała papiery. Dlaczego tak się denerwowała, przecież podjęła już decyzję? Nie mogła pozwolić, aby ta transakcja doszła do skutku. Ale gdy popatrzyła na gruby stos papierów z iksami wskazującymi miejsce na jej podpis i z fiskami oznaczającymi strony, poczuła niepokój.

Nagle uderzyła ją pewna myśl — może było już za późno, może wszystkie operacje zostały już zrobione, a ona będzie musiała zgodzić się na sprzedaż. Co najlepszego uczyniła?!

Chwyciła za telefon i drżącym głosem, mówiąc łamanym portugalskim, poprosiła o połączenie międzynarodowe. Po odbyciu kilku rozmów wytropiła w końcu panią Sperber w Północnej Kornwalii.

— Mówi Sperber.

Patrycja odetchnęła z ulgą na dźwięk jej szybkiej mowy.

— Och, pani Sperber, tak się cieszę, że słyszę pani głos.

— Ja również. Ciągle jeszcze jesteś w Portugalii?

— Tak... i mam kłopot.

— Lekcje konnej jazdy nie idą zbyt dobrze?

— Och nie, nie to... Chodzi o Horace'a Colemana.

— Najlepiej opowiedz mi od razu o wszystkim.

Gdy Patrycja skończyła swoją opowieść, pani Sperber ponownie się odezwała.

— Przede wszystkim pozwól, że cię upewnię, iż nie jest jeszcze za późno. Nie ma znaczenia, ile dokumentów przysłał ci Horace. Żadna transakcja nie może zostać zawarta bez twojego podpisu.

— Ale co powinnam teraz zrobić?

— To bardzo proste. Zawiadom Colemana, że nie będziesz podejmować dalszych kroków.

— To znaczy, że mam po prostu do niego zadzwonić?

— Byłoby lepiej zrobić to osobiście. Powiedz mu bez ogródek, że zmieniłaś zdanie, że po prostu przemawia przez ciebie kobieca zmienność. — Pani Sperber wydała z siebie dziwny dźwięk, brzmiało to jak parsknięcie, ale chyba nie mogło to być nic takiego, przecież zawsze zachowywała się tak poprawnie.

## Paryż

Patrycja wiedziała, że powinna pożegnać się z Miguelem jak dojrzała, dorosła osoba, i być już w drodze do Nowego Jorku, żeby zająć się interesami. Wróci przecież do Lizbony, gdy tylko ułoży swoje sprawy z opiekunami. „Więc nie jestem ani dojrzała ani dorosła”, powiedziała do siebie, nie mając zamiaru przeżywać poczucia winy tylko dlatego, że wykrała kilka dodatkowych godzin, aby dłużej pobyc z Miguelem.

Pomysł odbycia drogi powrotnej przez Paryż zrodził się, gdy usłyszała, jak Miguel polecił Filipe przygotować jakiegoś młodego żrebaka do wysłania Bartabasowi Zingarowi. Zaproponowała, że zajmie się przesyłką w drodze powrotnej do domu.

— Ależ, Patrizio — Miguel popatrzył na nią z niedowierzaniem — nie mówimy o kocie czy psie. To koń. Czy wiesz jakich rozmiarów jest kontener, w którym musimy go umieścić?

— A czy wiesz jakich rozmiarów jest mój samolot? — odparła.

— Koń nie zmieści się w ładowni prywatnego samolotu.

— Zmieści się, jeżeli to będzie boeing 727.

Oczywiście przekonała go i Miguel zgodził się odbyć z nią tę podróż. Zamierzali obejrzeć magiczny pokaz Zingara, po czym wreszcie pożegnać się na jakiś czas.

Zingaro był zadziwiającym człowiekiem. Cicho mówiący i zazwyczaj niezwykle delikatnie obchodzący się z końmi, na scenie stawał się diabolicznym czarnoksiężnikiem. Na oświetlonej świecami arenie pojawił się w powiewającej wokół niego pelerynie, jadąc na nieosiodłanym fryzyskim ogierze czarnej maści. Koń zatrzymał się na dużym drewnianym bębnie w centrum areny. Nagle końskie kopyta zaczęły wybijać dziwny rytm.

— Uważasz, że on jeździ lepiej ode mnie? — szepnął Miguel.

— Prawie — odparła Patrycja. Zakończeniem pokazu był *pièce de resistance*.

— Ukradł ten pomysł mojemu ojcu, ale trzeba przyznać, że go ulepszył — Miguel powiedział jej do ucha, gdy dwa konie wbiegły galopem na arenę. Patrycja patrzyła zdumiona. Biała klacz była wyraźnie podeksycytowana; czarny ogier miał członek twardy i uniesiony, bliski wytrysku. Publiczność wstrzymała oddech, gdy ogier wspiął się na klacz, która rozsunęła tylne nogi, aby go przyjąć, po czym zaczęła odbierać swoim ciałem jego głębokie pchnięcia.

Chociaż wiele razy widziała spółkujące konie, ten jeden akt w teatrze Zingara dziwnie wstrząsnął Patrycją. Był tak pełen erotyzmu, a ją pochłaniała smutna myśl o konieczności pożegnania się z Miguelem, zbyt smutna, by mogła poddać się takiemu nastrojowi.

Gdy samochód wiózł ich na lotnisko, siedziała w milczeniu, wyglądając przez okno.

— Patrizio, co się stało? Nie podobało ci się przedstawienie?

— Ależ tak... bardzo.

— Co sądzisz o zakończeniu?

— Pomyślałam sobie, że znacznie łatwiej być klaczą niż kobietą, przynajmniej wiadomo, gdzie stanąć z ogierem.

Miguel się roześmiał.

— Ależ, Patrizio, jestem pewien, że wiesz gdzie stanąć ze mną i nie chciałabyś, żebym cię traktował jak mój odpowiednik?

— Ależ chcę, lecz wiesz, co się mówi o współczesnej kobiecie: jest zdezorientowana, pragnie być traktowana na równi, lecz lubi czasami być zdominowana seksualnie.

— Więc muszę cię przywiązywać za każdym razem?

— Cóż... — odezwała się z zagadkowym uśmiechem — jeśli będę mogła dostać to samo, co klacz, to nie.

Znowu się roześmiał, podczas gdy samochód podjechał do samolotu oczekującego na pasie startowym.

— Miguelu, — zaczęła nieśmiało — Miguelu, pozwól, że zabiorę cię z powrotem do Lizbony...

— Ależ, Patrizio, czy nie powinnaś być już w drodze do Ameryki?

— To będzie tylko dwie godziny dłużej... — przygryzła wargi spodziewając się, że odmówi.

— Dwie godziny? Wezmę wszystko, co będę mógł dostać — powiedział, idąc za nią po schodkach samolotu.

Gdy tylko maszyna się uniosła, Patrycja odesłała wszystkich stewardów. Chciała spędzić ten czas z Miguelem tak intymnie, jak tylko było to możliwe, ukryć się w jego ramionach, słyszeć, jak szepcze słowa zapewnienia. Ale on najwyraźniej miał inny pomysł.

Otworzył drzwi do sypialni.

— Nie, Miguelu... nie tam...

— Dlaczego nie? — zapytał i wziął ją na ręce.

— Nigdy tam nie wchodzę.

— Ależ, łóżko wygląda na bardzo wygodne.

— Nie rozumiesz... To był pokój mojego dziadka... Umarł na tym łóżku.

— Nie widzę tu żadnych duchów — zaśmiał się, kładąc ją delikatnie.

Otworzył butelkę wina, jedną ze skrzynki, którą przysłał w podarunku pożegnalnym Emilio, i napełnił dwa kieliszki. Ale Patrycja nie mogła się uspokoić. Wino wydawało się nie wywoływać w tym pokoju żadnego skutku.

Pozwoliła się rozebrać, pragnąc go zadowolić, ale wciąż jeszcze czuła się spięta. Jego pocałunki, jego dłonie zawsze potrafiły przyprawić ją o

drżenie, lecz tym razem dotykały innego ciała, nie jej skóry. Leżąc nago na łóżku J. L., była tylko w stanie wpatrywać się tępo w butelkę jego wody kolońskiej, która stała nietknięta na marmurowej półce nad umywalką, widoczna przez uchylone drzwi łazienki.

— Patrizio — szepnął ochryple Miguel — czego ty chcesz?

„Chcę po prostu, żebyś mnie zostawił i żebyśmy mogła wreszcie wyjść z tego pokoju”, pomyślała, ale głośno nie powiedziała ani słowa, nie wiedząc, jak to wyrazić, by nie zranić jego uczuć.

— Kocham cię — usłyszała jego szept, podczas gdy język mężczyzny robił małe kółka na jej brzuchu, posuwając się w dół. I nagle poczuła znajome gorąco, które zaczynało opływać jej ciało. Wyczuwając reakcję, usta Miguela schodziły coraz niżej.

Po chwili Miguel przewrócił ją z ręcznikiem na brzuch, ramionami opasując w tali. Rozchylił jej nogi i zgiął w kolanach.

— Więc zazdrościsz klaczom, tak?

W odpowiedzi usłyszał tylko jej przyspieszony oddech.

Drżała na myśl o doznaniu czegoś zupełnie nowego. I wtedy wszedł w nią wolno, dłońmi chwytając jej piersi, by utrzymać ciało dziewczyny bez ruchu.

— Nie sprawiam ci bólu?

— Nie — odpowiedziała.

— Jest ci dobrze?

Dziewczyna wymamrotała tylko:

— Jeszcze... Jeszcze... Proszę, jeszcze... — i jego ruchy stały się nieprzerwane, głębsze, szybsze.

Doznała rozkoszy wcześniej niż on i mężczyzna przytulił do siebie mocniej jej drżące ciało, odbierające bezsilnie jego wzrastające podniecenie, dopóki dla niego również nie nastąpił koniec.

Przez kilka minut leżeli w milczeniu, nie mogąc złapać tchu. Po chwili Patrycja wolno podniosła się z łóżka.

Celowo weszła do łazienki i popatrzyła na wypełnioną żółtą cieczą butelkę. Zdjęła korek — zapach, który uderzył w jej nozdrza, był nieprzyjemny, ale nic poza tym. Wylała zawartość do klozetu i spuściła



wodę, po czym butelkę wrzuciła do kosza na śmieci. Spadając na dno, butelka wydała głośny dźwięk.

— Co robisz? — zapytał Miguel.

— Wypędzam duchy — odparła.

## Nowy Jork

Bob Ash wszedł do biura.

— Jezu, Horace, właśnie miałem doskonałą rundę golfa... Pobitem ich pięcioma strzałami, a ty mi przerywasz...

— Zamknij się, Bob, i siadaj.

Ash, ciągle jeszcze zdenerwowany, usiadł obok Rosemonta.

— Panowie — wzrok Colemana przesunął się z jednego mężczyzny na drugiego — jesteśmy w głównej po szyję. Ona jest w drodze.

— Kto? — spytał Ash.

— Szef — powiedział sarkastycznie Coleman — panna Dennison.

— Wydawało mi się, że chcesz, aby wróciła — Ash przybrał bezmyślny wyraz twarzy.

Coleman pochylił się do przodu i wyciągnął jakiś papier. Przez swoje grube okulary w rogowej oprawie, podkreślając każde słowo z emfazą, odczytał fax, który Patrycja przesłała z Lizbony, prosząc o spotkanie. Kończył się słowami:

*...i w ten sposób, panie Coleman, od chwili kiedy porzuciłam myśl sprzedaży akcji, postanowiłam, że zajmę się bardziej aktywnie firmą — wspólnie będziemy mogli, zgodnie z naszym sumieniem, rozwinąć ją.*

Ash wypuścił z ręki gumową piłkę, która potoczyła się cicho po dywanie.

Rosemont podniósł głowę znad swoich obsesyjnych bazgrołów.

— Ma zamiar poprowadzić firmę?

— Cieszę się, że wreszcie zrozumiałeś — powiedział Coleman, opadając znowu na fotel.

— Ale to wariatka — odezwał się Ash.

— Owszem — rzucił ponuro Coleman.  
— I co my na to? Jak ją unieszkodliwić? — prawie wyjąkał Rosemont.  
— To właśnie jest celem dzisiejszego spotkania i musimy pamiętać, że nie mamy zbyt wiele czasu.

Ash wolno zaczął otrząsać się z szoku.

— Proponuję, żebyśmy spotkali się z nią twarzą w twarz, to przecież tylko dziecko, zabierze swoje laleczki i gdzie indziej pójdzie się wypłakać.

Rosemont skinął głową.

— Potrafimy przecież ją zastraszyć.

— Nie jestem tego taki pewien — Coleman powiedział to jakby do siebie. — To, co mówi, brzmi teraz zupełnie inaczej, ktoś jej w tym wszystkim pomaga.

Rosemont i Ash popatrzyli na siebie.

— Sperber? — spytał Ash.

— Nie mogę mieć co do tego pewności, ale dopóki nie dowiemy się prawdy, proponuję zadowolić panienkę, robić wszystko, co powie, a dopiero później wyciągniemy nabitą broń.

— Ależ, Horace, w jaki sposób... — przerwał mu bzyk wewnętrznego połączenia.

— Panie Coleman — odezwał się głos sekretarki — czeka tu panna Simpson.

— Jeśli chodzi o czas — Coleman spojrział na zegarek — spóźniona jak zwykle.

Laura weszła bez słowa powitania, skierowała się prosto w stronę stałego miejsca przy barku i nałała sobie potężną porcję alkoholu.

— Źle trafiłaś, nie jesteś w knajpie — syknął Coleman.

— To cholernie niemile z twojej strony, Horace — Laura wypila duszkiem likier i znowu napełniła nim szklaneczkę — szczególnie, że przypędziłam tu z krótkim sprawozdaniem.

— Co masz nam do zakomunikowania?

— Cóż, puściłam w ruch wiele piłek. Teraz czekam właśnie na efekty.

— I to wszystko, co robisz? Czekasz?

— Co jeszcze mogłabym zrobić? Dziewczyna jest ciągle w Lizbonie.  
— Błąd, panno Simpson. Jest właśnie w drodze powrotnej i chce się z nami spotkać. I to ty powinnaś wiedzieć, co się za tym kryje.

Laura popatrzyła na ich ponure twarze.

— Spodziewacie się, że kim ja jestem, jakąś cholerną jasnowidzącą? Może ona zamierza wyjść za tego faceta bez nogi i dać wam wszystkim kopa w dupę.

Coleman podniósł się z zaskakującą szybkością i wytrącił jej z ręki szklankę. Laura popatrzyła z osłupieniem na jego fioletową twarz; likier rozlał się ciemną plamą na nieskazitelnie czystym dywanie. Coleman brutalnie posadził kobietę na fotelu.

— A teraz posłuchaj mnie, ty kurwo...

Rosemont i Ash patrzyli na tę scenę z otwartymi ustami.

— Ta wariatka wbiła sobie do głowy, że zrezygnuje ze sprzedaży akcji i sama poprowadzi firmę.

— Nie wiedziałam o tym — wymamrotała Laura.

— A dlaczego nie? Myślisz, że płacimy ci za to, że spacerujesz sobie z jakąś starą chabetą? Zapracuj na swoje pieniądze albo wynoś się do diabła.

Laura opadła na fotel jak przekłuty balon i wyjąkała:

— Robię, co tylko mogę.

Coleman zbliżył do niej swą tłustą twarz i syknął wściekle:

— To wszystko mało.

— No... to czego chcesz?

— Informacji! Jakichś incydentów! Dowodów świadczących o jej umysłowym niezrównoważeniu.

— Sama już ją przekonałam, że traci pamięć — powiedziała nieśmiało Laura.

— Świetnie — zachęcił Coleman.

— A kiedy wróci na farmę, będzie naprawdę zrozpaczona: uschły jej wszystkie róże.

— Trafiałaś w dziesiątkę — Coleman poklepał ją po plecach i podszedł do barku. Nalał coś orzeźwiającego i podał Laurze szklanczkę.

— Im lepiej będziesz pracować, tym więcej dostaniesz pieniędzy.  
Ash w milczeniu podniósł z podłogi gumową piłkę.

Patrycja nienawidziła tego olbrzymiego miasta. Chciała natychmiast wracać na farmę, ale pani Sperber miała jednak rację. Musiała osobiście rozmówić się z opiekunami, oznajmić im, że tym razem działa już bardzo poważnie i z pełną odpowiedzialnością. To nie mogło zostać załatwione kilkoma kartkami papieru i maszyną do faksowania, podczas gdy ona ukrywałaby się w ramionach Miguela i udawała, że nie istnieje świat zewnętrzny.

Wysiadła z samochodu i spojrzała w górę na przeszklony budynek z literami z nierdzewnej stali nad głównym wejściem: GRUPA STONE-HAMA. Jak przyjmą ją opiekunowie? Czuła w sobie drżenie niepewności. Ale czyż Miguel nie powtarzał: „twoim najgorszym wrogiem jest twój własny strach”. Wzięła głęboki oddech.

— Patrycjjo!

Zobaczyła, jak ulicą zbliża się ku niej kobieta z wysoko utapirowaną fryzurą.

— Joanna!

Patrycję owiał zapach perfum Chanel Numer 5, a gdy Joanna objęła ją, dał się słyszeć głośny brzęk objijających się o siebie bransolet.

— Joanno, jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałabym się tutaj spotkać.

— Cóż, miałam właśnie spotkanie z prawnikami, którzy zajmują się majątkiem mojego męża — to powiedziawszy, schyliła się i szepnęła prosto w ucho Patrycji: — jeden z nich jest mi tak oddany, że chyba jutro będę musiała tu wrócić i przejrzeć wszystko jeszcze raz.

— Och, Joanno, widzę, że nic się nie zmieniłaś.

— Ty też nie, kochanie. Słyszałam, że doktor Keegan opuścił już kolorowych i pracuje teraz w Lenox Hill Hospital na Park Avenue.

— Nie wiedziałam o tym.

— Nie wiedziałaś? Byłam pewna, że to ty go do tego skłoniłaś.

— Nie widziałam się z nim przez jakiś czas. Nie wyszło nam razem — powiedziała cicho Patrycja.

— Ooch! — Joanna przeciągnęła ten okrzyk, wpatrując się w Patrycję. Po chwili się roześmiała. — Zaufaj mi, lepiej, że się to skończyło. Mówię to z własnego doświadczenia. Miałam ich wszystkich, kochanie, bogaczy, biedaków, bankierów, złodziei (to był mój ostatni mąż), ale lekarze są do niczego, za dużo nocnych wezwań.

Patrycja nie mogła się nie roześmiać.

— Więc co się z tobą działo, robiłaś zakupy *en Patee*?

— Nie, właśnie wracam z Lizbony.

— Ach, więc miałam rację, gdy widziałam was dwoje w Le Cirque, koniarze w modzie w tym sezonie?

— Tak, Joanno, właśnie koniarze.

— Nigdy nie byłam zbyt dobra w uprawianiu sportu. Ate myślę, że w końcu znalazłam swój typ.

— I co to takiego?

— Nie potrafisz zgadnąć? Ależ prawnicy. Mężczyźni *jurisprudence*... Właśnie nauczyłam się tego słowa... Czy nie wiesz, że bez prawników nic się nie dzieje w świecie?

Patrycja znowu się roześmiała. Była taka szczęśliwa, że spotkała Joannę. Zabawny sposób bycia aktorki zupełnie ją zrelaksował.

Gdy Patrycja i Joanna paplały zajęte same sobą, nie zauważyły potężnej kobiety z tłustymi włosami, która ostrożnie skradała się przy ścianie, dopóki nie doszła do bezpiecznej kryjówki za stoiskiem z gazetami. Po chwili skręciła za rogiem i pobiegnęła wzdłuż ulicy.

## ROZDZIAŁ 18

### Stone Ridge

— Opowiedz mi wszystko! — Patrycja wyskoczyła z samochodu i krzyknęła do Edgara, który właśnie wyszedł ze stodoły, by ją powitać.

— Jak Harpalo? Jak Sport? Co z resztą koni? — Nie mogła prawie złapać tchu. — Gdzie Laura?

Edgar podrapał się w głowę.

— To na które pytanie mam najpierw odpowiedzieć.

Roześmiała się.

— Panna Simpson pojechała do miasta, konie czują się świetnie, ale róże nie mają się zbyt dobrze.

— Odżyj teraz, gdy wróciłam. Może potrzebują trochę nawozu. Sama się im przyjrzy. Osiodłaj dla mnie Sporta — i pobiegła szybko do domu, by zmienić ubranie.

Dom był zupełnie pusty i sprawiał wrażenie osamotnionego. Patrycja zostawiła Taxi i Phoebe z Miguelem, gdyż nie chciała bez przewy narażać zwierząt na stresy związane z podróżą. Przecież wkrótce i tak wróci do Lizbony.

Kuchnia z piętrzącymi się w zlewie brudnymi naczyniami wydawała się bez Conchy szczególnie ponura. Jej siostra musi być naprawdę bardzo chora, skoro Concha wyjechała na tak długo. I nie przysłała żadnej wiadomości. Oczywiście rodzina Conchy nie ma telefonu, ale zawsze można przecież napisać list. Patrycja przerzuciła stertę korespondencji piętrzącą się na parapecie kuchennym. Nic.

Dobry nastrój, w którym zawitała na farmę, zaczynał ją opuszczać. Nie może sobie teraz pozwolić na to, by popaść w depresję. Spotkanie z opiekunami przebiegło bardzo pomyślnie. Po raz pierwszy od lat wydawali

się przyjmować wreszcie poważnie to, co miała do powiedzenia. Słuchali jej z uwagą i obiecali rozważyć szczegółowo plany, które im przedstawiła. I powinna być im za to wdzięczna.

Zmieniła ubranie i w dżinsach i koszulce polo pobiegła do stajni.

Sport zarzął cicho, gdy się zbliżała; Edgar zdążył go już osiodłać. Wyjeżdżając ze stajni, pochyliła się i podrapała wystającą z kojca głowę Harpala.

— Świetnie się nim opiekowałeś, Edgarze! — krzyknęła, wyruszając w drogę.

Cała farma wyglądała na zadbaną. Nigdzie nie doszukała się żadnych niedopatrzeń. Konie na pastwiskach wydawały się ją poznawać, gdy przejeżdżała obok nich. Zwolniła w miejscu, gdzie Misty wystawiał łeb nad płotem, czekając na swoją zwyczajową marchewkę. Dziewczyna podsunęła mu ją pod pysk.

Po chwili wzięła zakręt i zamarła bez tchu.

Spodziewała się ujrzeć morze kwitnących róż. Zamiast tego miała przed sobą pole badyli pokrytych czymś, co wyglądało jak czarny popiół.

Popędziła Sporta bliżej w stronę pola i zeskoczyła z konia.

To, co stanowiło kiedyś jej przepiękny ogród różany, było teraz cmentarzyskiem wyschniętych kwiatów, kompletnie obsypanych czarnymi mszycami. Jak to się mogło stać? A była taka dumna z insektarium. Pożyteczne biedronki chroniły jej róże przed szkodnikami, ale dlaczego teraz gdzieś zniknęły? Tak kochała te białe róże. Tak uwielbiała ich zapach. Były dla niej symbolem łagodności, piękna, delikatności, wszystkiego, co się jej kojarzyło z matką.

Podeszła do tego miejsca w ogrodzie, gdzie wyjaśniała kiedyś Miguelowi, jak biedronki rozprawiają się ze szkodliwymi mszycami. Spojrzała w dół i zauważyła malutką białą różę, tak wyraźnie odcinającą się od tła szaroczarnych krzaków. Oderwała ją od delikatnej łodygi i powąchała.

Gdy wróciła do domu, wsadziła kwiat do szklanki z wodą i postawiła na nocnym stoliku, po czym rzuciła się na łóżko.

Bardziej niż kiedykolwiek pragnęła, by Miguel był u jej boku, by mogła ukryć się w jego ramionach i wyobrazić sobie, że wszystkie róże wspaniale kwitną. Ale nie było go teraz przy niej, a uczucie osamotnienia stało się wszechogarniające — jak głębokie, palące miejsce gdzieś w środku.

Nie umiała sobie z tym poradzić. Była samotna przez całe życie — z własnego wyboru. Jako nastolatka uwielbiała znikać ludziom z oczu i wyjeżdżać konno na długie samotne wyprawy. Nawet po śmierci rodziców, chociaż tak bardzo za nimi tęskniła, samotność nie sprawiała jej przykrości — była przecież z dala od nich przez większość swojego życia. Tutaj na farmie odnalazła spokój odosobnienia. Doktor Solomon powiedział kiedyś, że jej siła pochodzi ze zdolności cieszenia się własnym towarzystwem. Ale teraz, będąc zakochana w Miguelu, czuła się taka samotna, niedopełniona.

Każdego dnia odkąd byli razem, odkrywała coś nowego o sobie, o nim, o tym jak bardzo do siebie pasują. Gdy słabła, on był jej podporą. Kiedy czasami jemu zdarzało się okazywać słabość, ona go podtrzymywała. Ale najcudowniejsze ze wszystkiego było wzajemne uczucie przynależenia do siebie. Nagle wszystko zaczęło się toczyć tak, jak gdyby obydwójce byli dwoma rozłupanymi kawałkami, które cudem odnalazły się i zostały połączone w jedną, nieskazitelną całość, i nigdy już nie miały się rozdzielić.

Teraz jednak byli z dala od siebie i dziewczyna nie miała nawet Taxi i Phoebe, żeby przytulić któreś z nich i uspokoić roztrzęsione nerwy. Ze wszystkiego, co tak wiele znaczyło, pozostała jej maleńka biała róża.

Oczywiście Miguel powiedziałby, że użala się nad sobą, zamiast się zastanowić, w czym tkwi problem i spróbować go rozwiązać. Tak właśnie mówił, ganiąc ją za sposób postępowania w sprawie Nogales.

Nogales! Nie mogła zapomnieć tej starej Meksykanki podlewającej pieczolowicie krzak róży, patetyczny, umierający krzak, który ochraniały ułożone dookoła gałązki. Poczula ogarniający ją wstyd. Mogłaby zabrać



się za porządkowanie ogrodu; róże w końcu przecież odrosną. Istniały większe problemy, którymi należało się zająć. Zadzwoił telefon.

— Miguel! Właśnie o tobie myślałam.

— Tylko teraz? Ja myślę o tobie cały czas. Przede wszystkim tak długo już cię przy mnie nie ma.

— Tak, prawie dwadzieścia cztery godziny.

— Patrizio, chciałbym ci coś powiedzieć.

— Tak?

— Masz teraz czas?

— Dla ciebie zawsze. i

— Posłuchaj, przerwał na moment.

Czekała.

Nagle usłyszała jego szept:

— Kocham cię.

## Lizbona

Odkładając słuchawkę, Miguel westchnął. Chciało mu się krzyżeć: — Wracaj, Patrizio, straszliwie za tobą tęsknię. Potrzebuję cię.

Tęsknota za nią była nie do zniesienia, ale pocieszał się, że ona w ten sam sposób myśli o nim.

Cały dzień był bardzo zajęty lekcjami, a wieczorem spędził jakiś czas z ojcem, rozmawiając o szkole, o Patrycji, dopóki Paulo nie poczuł zmęczenia.

Spojrzał na zegar — była północ. Bardzo często, odkąd ojciec był taki słaby, Miguel odczuwał gwałtowną potrzebę zagłądania do niego kilka razy w ciągu nocy, pomimo że zatrudnił na stałe pielęgniarkę. Narzucił szlafrok i cicho zaczął posuwać się w głąb korytarza.

W tonącym w półmroku pokoju spoczywał śpiący Paulo. Na jego zmięzowanej twarzy pojawił się wyraz odprężenia, naciągnięta na kościach policzkowych skóra wyglądała jak pergamin. Gdy Miguel dał pielęgniarsce znak, by odeszła, oczy starca z wolna się otworzyły.

— Miguel... cieszę się, że tu jesteś.  
— Nie chciałem cię obudzić.  
— Usiądź, chcę z tobą porozmawiać.  
— Nie powinienes się przemęczać.  
— Dlaczego nie? Co takiego mam jutro do roboty? — powiedział ze słabym śmiechem.

— Nie...

— Posłuchaj... mam ci coś do powiedzenia...

Miguel usiadł przy nim na łóżku.

— Nie byłem dobrym ojcem — zaczął Paulo — chyba jak wszyscy ojcowie. Ale to za mało. Zrobiłem wiele złych rzeczy. Chciałem cię ukształtować na własny obraz... — jego spieczone wargi lekko się skrzywiły — ale to boska domena. Zawsze delikatnie obchodziłem się z moimi końmi, ciebie zaś strofowałem zbyt często.

Miguel słuchał, nie śmiać przerwać.

— Chcę, żebyś jeździł konno tak, jak cię nauczyłem, z dumą i lekkością — wziął głęboki oddech i lśniącymi oczyma popatrzył na syna — nawet, jeśli to będzie na arenie.

Głos Miguela uwiązał w gardle, gdy spróbował odpowiedzieć.

— Ale *pai*... — złapał się na tym, że nie nazywał nigdy ojca *pai*, odkąd przestał być dzieckiem. — *Pai* — głos mu się załamywał — często bywałem na ciebie zły, wybac mi. Działo się tak tylko dlatego, że zdawałem sobie sprawę, iż nie jestem taki dobry jak ty. Gniewało mnie to, co ludzie o tobie mówili, chciałem tych pochwał tylko dla siebie. Teraz wiem, że gdy ludzie mówią: „On jest prawie tak dobry jak jego ojciec”, to zdobyłem szczyty.

Paulo delikatnie przesunął głowę z boku na bok, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Prześcignąłeś własnego ojca, a kto zna lepszego jeźdźca niż *mestre*?— przymknął oczy i mówił dalej ledwo słyszalnym szeptem. — Ale ważniejsze jest, byś robił w życiu to, co chcesz robić. A kiedy będziesz miał syna, nie popełnij tego samego błędu: prowadź go na bardzo popuszczonych cuglach.

Miguel spojrział na poszarzałą twarz ojca. Paulo znowu zapadł w sen i oddychał miarowo z lekkim uśmiechem na twarzy.

Miguel pozwolił, by wstrzymywane długo łyzy pociekły po jego policzkach. Nachylił się i pocałował swojego *pai* delikatnie w czoło.

## Stone Ridge

Patrycja siedziała wygodnie na łóżku, próbując napisać do Miguela list. Przy niej na nocnym stoliku stała szklanka z rozpuszczoną w wodzie sodą. Laura uparła się, że przygotuje tego wieczora kolację: „Moje słynne, wegetariańskie chili”, jak nazywała to danie. Patrycja zrobiła wszystko, by nie zostawić na talerzu — nie chciała urazić uczuć przyjaciółki.

Oczywiście Laura potrafiła być irytująca: za dużo piła, nie wyjmowała papierosa z ust, nawet podczas posiłków. Patrycja starała się nie zauważać brzydkich plam od nikotyny na jej palcach. Ale gdy miało się jej już po prostu dosyć, Laura robiła wszystko, by zmusić człowieka do pokochania jej.

Poprzedniego dnia Laura przyszła do domu, chowając za plecami zrolowany kawałek papieru.

— Co tam masz? — zapytała z ciekawością Patrycja, widząc tajemniczy błysk w oczach przyjaciółki.

— To tylko mały prezent jako zadośćuczynienie za to, co zrobiłam.

— A co takiego zrobiłaś?

— Dziecinko, przebacz mi, chciałam powiedzieć ci o tych różach, ale tak dobrze się bawiłaś.

— Ale nie obwiniaj się za to.

— Cóż — zaczęła w zagadkowy sposób.

— Przecież to nie twoja wina.

— Powinna być coś zrobić, ale po prostu nie wiedziałam co. W każdym razie powiedz, że mi wybaczasz.

Patrycja się roześmiała. — No już dobrze, dobrze, wybaczam ci.

I wtedy Laura wyciągnęła zza siebie zrolowany papier. Była to reprodukcja obrazu van Gogha „Wazon z różami”.

— Och, jakie to piękne. — Patrycja miała łzy w oczach, gdy obserwowała Laurę. — Jest tu nawet mała różyczka leżąca na stole, zupełnie jak ten kwiat, który uratowałam wczoraj z ogrodu. Powieszę to nad łóżkiem.

Teraz popatrzyła na reprodukcję, wypijając słonawą ciecz i próbując pozbyć się posmaku chili. Bardzo chciała powiedzieć Miguelowi o różach, ale wydawało się to tak głupim, mało ważnym problemem w porównaniu z tym, co on przechodził, opiekując się chorym ojcem. Znowu wzięła do ręki pióro i uczniowskim starannym piśmem skreśliła zdanie: *Kocham cię* tyle razy, ile zmieściło się na kartce. Wsadziła list do koperty i zakleiła ją.

Ziewnęła, przeciągnęła się i wsunęła pod kołdrę. Mocno objęła ramionami poduszkę. Dobranoc mój kochany, pomyślała, chciałabym, żebyś był teraz przy mnie.

Patrycja ocknęła się. Co ją obudziło? Z oddali dochodziły krzyki. Wyskoczyła z łóżka i odsunęła zasłony.

Ludzie biegali, bez przerwy krzycząc. I wtedy zauważyła. To płomienie strzelały w górę z dachu stodoły, w której trzymała siano.

Gdy tam dobiegła, Edgar próbował rozpaczliwie uratować choć kilka bel siana, podczas gdy inni mężczyźni podawali sobie wiadra z wodą. Laura trzymała w dłoniach szlauch.

Wóz strażacki z włączoną syreną pędził drogą. Gdy Patrycja obserwowała bezradnie pożar siejący spustoszenie, dostrzegła strzelające na tle nocnego nieba żarzące się iskry, które upadały w pobliżu stajni. Słychać było rzenie oszalałych z przerażenia koni.

— O Boże! Trzeba je stamtąd zabrać. Pomóż mi Lauro! Wbiegły razem do stajni.

— Ja wezmę Harpała — krzyknęła Laura, podczas gdy Patrycja otworzyła drzwi przegrody Sporta i chwyciła go za uzdę.

Nerwowo koń kręcił się ze strachu wokół własnej osi; o mało nie przewrócił dziewczyny, gdy biegła z nim w stronę areny jeździeckiej. Kiedy wróciła, kłęby dymu zaczęły przedostawać się do stajni. Laura wciąż jeszcze była w środku, ciągnąc z całej siły postronek, ale drżący Harpało stał w jednym miejscu jak wrośnięty w ziemię.

— On nie chce wyjść — krzyknęła Laura.

Patrycja pobiegła do pomieszczenia, w którym trzymano paszę i wyciągnęła stamtąd koc. Gdy wybiegała, koc zaczepił się o klamkę i musiała pociągnąć mocniej, żeby się oderwał. Zarzuciła koc na łeb Harpała, by zasłonić mu widok płomieni.

— Teraz, teraz... spokojnie, spokojnie... wszystko będzie dobrze.

Uspokojony słowami Patrycji, koń powoli zaczął wychodzić z kojca. Wyprowadziła go w to samo miejsce, w którym zostawiła Sporta.

Gdy wszystkie konie były już bezpieczne, Patrycja pobiegła z powrotem w stronę płonącej stodoły, ale dowódca strażaków zastąpił jej drogę.

— Panno Dennison, cały budynek zajął się ogniem. Nie możemy już nic zrobić, dopóki się nie dopali.

Spojrzała bezradnie przed siebie i dostrzegła, że Edgar wciąż jeszcze próbuje przesunąć bele siana, spiętrzone zbyt blisko ognia. Nagle w jednej chwili dach stodoły zawalił się całkowicie, zakrywając mężczyznę morzem ognia i czerwieniejących krokwi.

— Wyciągnijcie go stamtąd — krzyknęła przeraźliwie Patrycja.

Dwóch młodych strażaków zanurkowało w płomienie. Po chwili wyciągnęli bezwładne ciało Edgara.

## ROZDZIAŁ 19

### Nowy Jork

Horace Coleman stał u szczytu stołu, wokół którego zgromadzili się przedstawiciele różnych firm składających się na Grupę Stonehama. Zatrzymał wzrok na każdym z dwudziestu trzech mężczyzn — pani Sperber była jedyną obecną na spotkaniu kobietą — podczas gdy odczytywał listę obecności. Po chwili serdeczny uśmiech zajaśniał na jego twarzy.

— Z radością mogę stwierdzić, że prawie wszystkie przedsiębiorstwa skupione w Grupie Stonehama wykazały znaczne osiągnięcia w ostatnim roku. Ogólna wartość akcji Stonehama wzrosła o dwadzieścia punktów, ale pierwsze miejsce przysługuje Pete'owi McCratchenowi, który zawiaduje przedsiębiorstwem w Meksyku. On jedyny spośród wszystkich obecnych może poszczycić się siedemdziesięcioprocentowym wzrostem dochodów.

Na sali rozległy się uprzejme brawa, gdy McCratchen, muskularny mężczyzna w garniturze w szkocką kratkę, wstał niezgrabnie i złożył ukłon.

Gdy na sali znowu zaległa cisza, Coleman zdjął swoje grube okulary; przybrał teraz minę pogrążonego w smutku człowieka, który podczas pogrzebu kroczy za trumną.

— Ale poza tymi dobrymi wieściami są także i złe. Mamy pewien problem z głównym właścicielem akcji, panną Patrycją Dennison.

— Jej opiekunowie — wskazał na swoją lewą stronę, gdzie Bob Ash nie przestawał gnieść gumowej piłki, a Ted Rosemont, jak zwykle, bągrał na kartce papieru — łącznie ze mną, mają podwójne zadanie. Muszą nie tylko zajmować się ustaleniem kierunków działalności Grupy

Stonehama, lecz również strzec osobiście pozycji panny Dennison. Objawia się tu naturalny konflikt interesów, chociaż, jak do tej pory, nie mieliśmy z tym żadnych problemów. Ale teraz panna Dennison podjęła kroki, które mogą zniszczyć firmę — przerwał w celu wywołania bardziej dramatycznego efektu — przyszłość nas wszystkich jest bardzo zagrożona.

Wśród zgromadzonych odezwały się pomruki. Coleman odczekał, dopóki wszyscy znowu nie zaczęli słuchać go z uwagą.

— Panna Dennison próbuje ingerować w operacje naszego wielkiego koncernu. Bob, Ted i ja borykaliśmy się z tym przez jakiś czas. Początkowo myśleliśmy, że problem uda się rozwiązać dzięki spełnieniu pragnienia panny Dennison, która zdecydowała się sprzedać swoje akcje.

Coleman zwrócił się ponownie do Asha i Rosemonta.

— W istocie, czyż jej słowa nie brzmiały dokładnie: „uwolnić się od całej tej firmy”? Czy nie tak było, Bob?

Ash, ściskając nerwowo piłkę, skinął potakująco głową.

— Ale nagle panna Dennison zmieniła taktykę, podejmując kroki, które, trzeba to wreszcie powiedzieć, są błędne. W środku załatwiania operacji sprzedaży zmieniła zdanie i teraz domaga się tego, by osobiście poprowadzić firmę. — Rozejrzał się po pokoju, szukając wsparcia. — Proszę tylko pomyśleć: dwudziestojednoletnia dziewczyna mająca problemy z sobą i prowadząca dla kaprysu tego typu korporację. Sprawy najwyraźniej zaszły zbyt daleko, abyśmy mogli w dalszym ciągu je kontrolować. — To powiedziawszy, odchrząknął.

Pani Sperber pochyliła się nieco do przodu na swoim krześle, gdy Coleman bez zmruczenia oka ciągnął dalej:

— Proszę zrozumieć dylemat, jaki mam do rozwiązania. Uwierciecie mi... — głos Colemana drżał teraz z emocji — przeszedłem już swoją drogę krzyżową. Mój bardzo drogi przyjaciel, J. L. Stoneham, na łożu śmierci prosił mnie, abym zajął się tą trudną dziewczyną. Teraz jednak, w zaistniałej sytuacji, nie widzę innego wyjścia.

Nikt ze zgromadzonych się nie odezwał.

Coleman podniósł głowę i zamiast trzech fałd tłuszczu na jego podbródku widniały teraz dwie.

— Musimy podjąć kroki w celu ustanowienia kurateli. To jedyny sposób, by w przyszłości odebrać jej moc przegłosowywania naszych decyzji.

Coleman stał teraz bardzo wyprostowany, jego wydatny brzuch falował pod zapiętą marynarką.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, niektórzy odwracali głowy, gdy nagle podniosła się z miejsca pani Sperber.

— Panie Coleman... Jako prawnik chciałabym zadać panu jedno pytanie.

— Bardzo proszę — Coleman wepchnął obydwie pulchne pięści do kieszeni.

— Aby ustanowić tego typu kuratelę, czyż nie będzie pan musiał udowodnić przed sądem, że panna Dennison jest umyślowo chora?

Wszystkie głowy uniosły się.

— To prawda — odparł Coleman spokojnie.

Ash przełożył piłkę do prawej dłoni i wciąż nerwowo ją ścisnął. Ted Rosemont zwiesił nisko głowę nad swoimi bazgrołami.

— To poważne posunięcie — zareagowała pani Sperber.

— Jesteśmy tego w pełni świadomi — odpowiedział szybko Coleman, nie potrafiąc dłużej ukrywać zniecierpliwienia.

Wszyscy zgromadzeni wokół stołu obserwowali, jak ta wysoka, szczupła kobieta przeciwstawia się potędze całego imperium.

— Czy pan potrafi podać fakty w celu udowodnienia tych zarzutów?

— Ponad wszelką wątpliwość.

## Stone Ridge

Patrycja i Laura spędziły resztę nocy i większość następnego dnia w szpitalu, czuwając przy łóżku Edgara. Trudno było znieść widok tego silnego mężczyzny walczącego o życie. Na szczęście lekarze nie mieli



wątpliwości co do jego całkowitego wyzdrowienia. Biedny Edgar. Wszystko czego pragnął, to uratować kilka bel siana.

Gdy Patrycja wróciła z Laurą ze szpitala, było już prawie ciemno. Z daleka, w przymglonym świetle farma wyglądała bardzo spokojnie, kiedy jednak podjechały bliżej, zauważyły robotników wciąż jeszcze uprzątających pogorzelisko. Patrycja zadrżała.

Wysiadła z samochodu. Jej odzież była przesiąknięta dymem i sadzą, na policzku miała duży siniec w miejscu, gdzie uderzył ją w panice Harpalo.

Pogodziła się już z tym, co się stało, ale nagle, widząc wyraźnie rozmiary zniszczenia, nie wytrzymała. Gorące łyzy pocięły po jej brudnych policzkach. Osunęła się na ziemię.

— Jakie to straszne... — powiedziała Laura, obejmując dziewczynę ramieniem. — Co za pech... Najpierw ogród różany, teraz to... jakby ciążyła na tobie jakaś klątwa... — przerwała nagle i zaczęła się jękać: — och nie... ja... ja nie to miałam na myśli. No... chciałam po prostu powiedzieć, że tyle już w życiu przecierpiałas.

Patrycja miała wciąż wzrok wbity w ziemię.

— Za dużo — powiedziała cicho. — Więcej niż jeden człowiek może znieść.

Dziewczyna siedziała bez ruchu.

— Dziecinko — cmoknęła Laura — nie zdajesz sobie sprawy, przez co przesłaś. Najlepiej zrobiłby ci natychmiastowy wyjazd do tego ośrodka wypoczynkowego, w którym już byłaś kilka razy.

## Lizbona

Miguela obudziło niedzielne bicie dzwonów.

— Przekłete dzwony — mruknął, przekręcając się na drugi bok.

Do niedawna wstawał w niedzielę bardzo wcześnie, by pracować z Ultimatem, teraz jednak nie mógł zostawiać Paula samego nawet na

jeden dzień. Przykrył sobie głowę poduszką. Nagle doszło go ostre pukanie do drzwi. Rozdrażniony podniósł się na łokciach i wrzasnął:

— Proszę!

Drzwi się otworzyły. Stał w nich całkowicie ubrany ojciec.

— *Pai!* Co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś w łóżku?

— A dlaczego ty jeszcze wciąż jesteś w łóżku? Czy to nie jest dzień przeznaczony na pracę z Ultimatem?

— Nie, nie dzisiaj.

— A dlaczego nie?

— Zostanę z tobą.

— Och, to bardzo źle, bo ja zamierzam spędzić to popołudnie z Emiliem.

— Co takiego?

— To także mój przyjaciel.

— Tak, wiem, ale...

— Chciałbym zobaczyć ciebie i Ultimata na arenie — na twarzy Paula pojawił się ciepły uśmiech.

Miguel nie mógł uwierzyć własnym uszom. Paulo chciał zobaczyć coś, czego był nieugiętym przeciwnikiem. Popatrzył na ojca — jego policzki były zaróżowione, głos stał się silniejszy; może zaczynał przezwycięzać chorobę. Miguel już dawno nie widział go w tak dobrym nastroju.

— Dobrze, *pai* — wyskoczył z łóżka — przygotowanie Ultimata nie zajmie mi dużo czasu.

Paulo mrugnął porozumiewawczo.

— Poczekam na ciebie na zewnątrz.

Gdy Miguel wyszedł przed dom, spostrzegł ze zdumieniem, że Ultimato został już załadowany na przyczepę umocowaną do ferrari Emilia. Jego przyjaciel miał na twarzy ten sam, co zwykle, szeroki, głupi uśmiech, gdy spoglądał na Miguela zza kierownicy. Obok niego siedział Paulo.

— O, więc jedziesz z nami? — Emilio udał zdziwienie. — Myślałem, że poszedłeś już na emeryturę.

Ultimato stąpał lekko po arenie Castelo da Arrábida, zerkając podejrzliwie na młodego byka, który tylko czekał, aż go wypuszczą z za przepierzenia. Nieco wyżej Miguel mógł dostrzec ojca siedzącego na

szezlongu i okrytego kocem, który miał go chronić przed chłodnym wiatrem. Emilio z kieliszkiem szampana w dłoni mówił coś z ożywieniem, siedząc u boku starca.

Miguel wziął głęboki oddech i podjechał konno na środek areny. Znalazłszy się tam, zatrzymał konia i zmusił go do ukłonu na jednym ugiętym kolanie. Sam zdjął przed ojcem czapkę, ten zaś uśmiechnął się do niego z góry.

W tej samej chwili byk — ubrany w korkowy kołnierz dla ochrony przed ukłuciami stalowego ostrza *farpy* — wypadł na arenę.

Miguel obrócił Ultimata we wdzięcznym piruecie i zamachnął niedużą płachtą, by przyciągnąć uwagę bestii. Byk bez wahania zaatakował, koń i jeździec jednak z łatwością uskoczyli w bok.

Uwaga Miguela była skupiona wyłącznie na sposobie, w jaki poruszał się na koniu. Zależało mu najbardziej na tym, by dorównać najwyższym umiejętnościom Paula. Koń bezbłędnie, z nonszalancją, wykonywał wszystkie wyuczone ruchy.

— Bravo! — krzyczał Emilio udając, że jest tłumem tysięcy widzów.

Gdy Miguel spojrział w górę, dostrzegł, że Paulo z błyszczącymi oczami również wyraża swój zachwyt.

Pełen ufności, Miguel wypuścił z rąk lejce i podniósł ramiona nad głowę, trzymając w obydwu dłoniach włócznie. Rzucił się z Ultimatem do galopu tak, aby ponownie zetknąć się z bykiem. Gdy rogi prawie już stykały się z ciałem konia, jeździec jednocześnie wbił w bestię obydwie ostrza i oddalił się z lekkością.

W końcu zmordowanego byka zabrano z areny. Miguel zbliżył się do loggi hiszpańskim krokiem. Ultimato przesadnie podrzucał nogi, jak gdyby maszerował w defiladzie po zasłużonym zwycięstwie.

Z uczuciem satysfakcji Miguel złożył ukłon. Wiedział, że dał z siebie wszystko. Wiedział, że ojciec jest z niego dumny. Podniósł oczy.

Emilio stał pochylony nad balustradą i z entuzjazmem oklaskiwał widowisko. Miguel mrugnął do przyjaciela, po czym obrócił głowę, by zobaczyć reakcję starego *mestre*.

Ojciec jednak nawet nie patrzył. Jego głowa zawisła bez życia na ramieniu.

— *Pai!* — krzyknął Miguel, zeskakując z konia i biegnąc w kierunku loggi.

Gdy znalazł się przy ojcu, Emilio już tam był, próbując jak oszalały ocucić starca. Miguel chwycił dłoń Paula. Nie dało się wyczuć pulsu.

— On nie żyje, Emilio — powiedział cicho.

Pochylił się nad bezwładnym ciałem i delikatnie zamknął wpatrzone w przestrzeń oczy starca. Na twarzy Paula zaległ spokój. Jego cierpienie było już przeszłością. Miguela ogarnęło uczucie dziwnego odrętwienia, gdy nagle usłyszał za sobą szloch.

Emilio, zgarbiony nad balustradą, przytrzymał się jednej z kolumniek. Cały drżał. Ten człowiek, który niezależnie od sytuacji zawsze zachowywał dobry humor, wydawał się teraz zupełnie rozbity. Miguel podszedł do przyjaciela i otoczył ramieniem jego drżące barki.

— Emilio, już wszystko dobrze. On odzyskał wreszcie zupełny spokój.

— A co ze mną? — Emilio szlochając wybełkotał: — Nie masz pojęcia, ile on dla mnie znaczył.

— Wiem — odparł uspokajająco Miguel.

— Nie, nie wiesz! — krzyknął Emilio, wyrywając się.

— Emilio, proszę cię, uspokój się. Spójrz na mnie.

Emilio podniósł głowę i Miguel zobaczył wreszcie twarz przyjaciela. Łzy spływające po policzkach, siąkający nos.

— Kiedy uciekleś, przeklinając go, rozmawialiśmy razem pewnego dnia. Powiedział: „Dbaj o Miguelinha, dopóki do mnie nie wróci”. Kochał cię — szloch Emilia stopniowo przycichał. — Pewnego razu powiedział: „Jesteś jak mój drugi syn, Emilio”. Nigdy się nie dowiesz, ile to dla mnie znaczyło. To była jedyna rzecz, której ci zazdrościłem: ko chający ojciec.

## Stone Ridge

Patrycja wrzucała ubrania do walizki. Biedny Paulo! Ale nie żałowała starego *mestre*, żal jej było jego syna. Ból Paula już się skończył. Cierpienie Miguela dopiero się rozpoczęło. Na razie, zaraz po śmierci, był bardziej skoncentrowany na reakcji Patrycji. Gdy zadzwonił, nie szukał u niej współczucia, to on się starał ją pocieszyć.

— Nie płacz, Patrizio. Już dobrze. Paulo umarł szczęśliwy. — Miguel opowiedział jej o wszystkim, o rozmowie, jaką odbył z ojcem, o tym, jak bardzo Paulo chciał zobaczyć syna na arenie. — Zanim umarł, dał mi wszystko, czego potrzebowałem: swoją aprobatę i pochwałę.

Łzy spływały po policzkach Patrycji, gdy słuchała tych słów.

— Patrizio, chcę, żebyś była przy mnie w czasie pogrzebu. Jedyna rzecz, jakiej nie jestem w stanie sam sprostać, to cały ten cyrk, jaki zamierzają urządzić w katedrze. Będzie prezydent, arcybiskup, główny rabin, główny guru... Wszystkie religie, w które mój ojciec ani trochę nie wierzył, będą oplakiwać jego odejście. A ja pragnę, żebyś była wtedy blisko mnie i pomogła mi przeżyć ten dzień.

— Przyjadę tak szybko, jak tylko będę mogła.

— Hej, Patrizio — powiedział trochę lżejszym tonem — będziesz miała dużo radości: wszystkie przeklęte dzwony w całej Lizbonie będą biły tego dnia. Przecież to uwielbiasz.

Dziewczyna roześmiała się przez łzy.

Nie była w stanie szybko się spakować. Zawróciła swój samolot z drogi do Palm Springs, skąd miał odebrać Asha, i zażądała, by pojazd czekał na nią za godzinę na lotnisku Stewarda.

Zapinała właśnie suwak torby, gdy z klatki schodowej doszedł ją zachrypnięty głos Laury.

— Ktoś do ciebie!

— Teraz nie mogę, zajmij się tym, proszę.

— To policja!

— Co takiego?

Schodząc szybko ze schodów, spostrzegła Laurę w towarzystwie wysokiego mężczyzny w mundurze szeryfa. Przybysz odezwał się pierwszy.

— Czy pani jest Patrycją Dennison?

— Tak.

Wręczył jej grubą kopertę.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytała wyraźnie zdumiona.

— Jestem pewien, że wszystkie informacje znajdzie pani w środku. Czy mogłaby się pani tutaj podpisać? — podał jej pióro, trzymając przed nią kwit.

Gdy Laura odprowadzała mężczyznę do drzwi, Patrycja spojrzała na kopertę z dziwnym przeczuciem. SĄD SPADKOWY, DZIELNICA MANHATTAN, OKRĘG NOWY JORK głosił napis w lewym górnym rogu.

— Co to jest, dziecinko?

— Nie wiem — mruknęła Patrycja, przeglądając zawartość koperty. — O mój Boże! — zawołała nagle — to wezwanie do sądu.

— Wezwanie do sądu?

— Oni myślą, że jestem wariatką.

— Kto?

— Opiekunowie. Złożyli petycję do sądu. Twierdzą, że jestem chora umysłowo i nie nadaję się do prowadzenia firmy.

— A starasz się kierować firmą?

— Staram się wprowadzić kilka zmian.

— I dlatego twierdzą, że zwariowałaś?

Patrycja skinęła głową.

— To skurwysyny! — Laura objęła dziewczynę ramieniem i posadziła na kanapie. — Posłuchaj, nie musisz przechodzić przez cały ten koszmar. Jeśli sprzedaż swój udział w spółce, pozbędziesz się ich wszystkich raz na zawsze.

— Nie. — Patrycja potrząsnęła głową. — To pozwoliłoby im na przejęcie kontroli nad całym przedsiębiorstwem.

— To o co ci chodzi? Chcesz się od tego uwolnić, czy nie?

- Nie, nie teraz.
- Nie rozumiem cię, dziecko. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co oznacza to wezwanie? Oni chcą ci zafundować jedno wielkie piekło.
- Nie zrobiłam nic złego — odparła spokojnie Patrycja.
- To co zamierzasz uczynić? — spytała Laura.
- Dziewczyna wolno podniosła się z miejsca.
- Na razie wiem jedno, że natychmiast muszę lecieć do Lizbony.
- Nie możesz tego zrobić, właśnie dostałaś wezwanie do sądu.
- Nic mnie to nie obchodzi, muszę lecieć.
- Posłuchaj mnie! — Laura zatrzymała ją u wejścia na schody. — Jeżeli wyjedziesz z kraju, zostaniesz uznana za zbiega!
- To nieprawda. — Patrycja zaczęła wchodzić po schodach.
- Laura złapała dziewczynę za ramię.
- Dobrze wiem, że tak jest. Takie jest prawo. Każdy ci to powie.
- Jesteś pewna?
- Absolutnie. Nie możesz tego zignorować, bo wpakujesz się w jeszcze większe tarapaty.
- O mój Boże! — Dławiąc się łzami, Patrycja wspinała się wolno po schodach.
- Na zakręcie zatrzymała się przed obrazem „Ten, który zawiesza gwiazdę”.
- Och, tatusiu, co powinnam zrobić? — wyszeptwała. Jej dłoń delikatnie dotknęła sylwetki mężczyzny. Ale on wciąż wspinał się bez słowa, odwrócony do niej tyłem.
- Gdy drzwi do sypialni Patrycji się zamknęły, Laura szybko poszła do kuchni, wzięła telefon i wykręciła numer.
- Tak? — odezwał się głos Colemana.
- Wszystko zgodnie z planem.
- Jak zareagowała?
- Jest zdezorientowana. Odwiodłam ją od wyjazdu do Lizbony.

- Świetnie. Co o udziałach?
  - Namawiałam ją do sprzedaży.
  - I co?
  - Nie chce tego zrobić.
  - Przekonaj ją.
  - Jak? — syknęła Laura.
- Ale Coleman zdążył już odłożyć słuchawkę.

## Lizbona

Sé Cathedral w Lizbonie, masywna, romańska konstrukcja z ponurymi wieżami odcinającymi się na tle czarnych, skłębionych obłoków, była najbardziej odpowiednim miejscem do odprawienia tej tragicznej uroczystości: pogrzebu wielkiego człowieka. Kościół był przepełniony, tłum wylewał się zabytkowymi schodami na ulicę, gdzie zainstalowano głośniki, aby każdy mógł wysłuchać *requiem* ku czci słynnego Paula Cardigi.

Miguel siedział sztywno w pierwszej ławce obok Emilia. Wydawało się, że dzwiczące pochwały pod adresem zmarłego nigdy się nie skończą. Starał się obojętnie patrzeć na teatralny wystrój całej uroczystości, wystrój, którego ojciec nigdy by nie pochwalił, gdyby żył. Nagle jego rozmyślenia przerwał ostry dźwięk trąb, a po chwili zabrzmiały potężne organy, których tony odbiły się od kamiennych ścian świątyni.

W tym momencie tłumy zgromadzonych zaczęły przechodzić obok trumny, oddając zmarłemu ostatnie wyrazy szacunku. Arcybiskup poruszał dymiącą kadzielnicą, a unoszący się ostry zapach wypełnił powietrze.

Miguel nie mógł już dłużej wytrzymać całej tej pompy i gdy jeden ze starszych *condessas* stracił przytomność, skorzystał z zamieszania i wy dostał się ze swej ławki.

Szedł wzdłuż bocznej nawy, gdzie zmarli bohaterowie Portugalii spoczywali w wykutych w murze niszach. Ich posągi zostały wyrzeźbione w kamieniu i leżały na pokrywach trumien. Na jednym z sarkofagów spoczywał znany wojownik, u jego stóp warował wyciosany z kamienia mały



pies, patrząc dzikimi oczami, jak gdyby szykował się do skoku. Miguel przypomniał sobie chwilę, kiedy przyprowadził tu Patrycję, by obejrzała słynną świątynię. Dziewczyna pogłaskała psa po głowie. „O patrz! — powiedziała wtedy — wszyscy kochają tego psa”. Zrozumiał nagle, co miała na myśli — kamienna figura rycerza była matowa i ciemnoszara, natomiast głowa psa lśniła gładką białością. Wszyscy zwiedzający — podobnie jak Patrycja — nie mogli się powstrzymać, by nie pogłaskać przyjaźnie głowy zwierzęcia.

Cieszył się, że poprzedniego dnia zwrócił jej Taxi i Phoebe. Biedna dziewczyna była pewna, że wróci wkrótce do Lizbony, ale teraz te potworne rzeczy — wezwanie do sądu, proces — tak gwałtownie zwały się na jej głowę. Serce krwawiło mu, gdy usłyszał przez telefon jej łkanie, kiedy oznajmiła mu, że nie przyjedzie na pogrzeb. Potrzebowała go. Uporządkuje wszystkie sprawy związane ze szkołą i za kilka dni poleci do Stanów.

Doszedł już do końca klasztornej muru i postanowił, że wróci na swoje miejsce, nagle spostrzegł zbliżającą się do niego kobietę w czerni. Jej twarz zakrywała woalka.

— Miguelinho — powiedziała cicho — bardzo boleję nad twoją stratą.

Podniosła woalkę. Stała przed nim Isabel. Jej ciemne oczy były lekko przymknięte, usta odbijały się na bladej twarzy jak szkarłatny akcent.

— Dziękuję, Isabel.

Próbował odejść, ale ona mówiła dalej:

— Chciałabym złożyć kondolencje... i prosić o przebaczenie — jej twarz wyrażała spokój i głęboki smutek — ...za moje zachowanie wtedy w klubie.

— Rozumiem, Isabel, zapomnij o tym.

— Tak, nie wracajmy już więcej do przeszłości.

Skinął głową i znowu spróbował ją wyminąć, ale kobieta przytrzymała go za ramię.

— W przyszłym tygodniu wydaję przyjęcie, by uczcić pamięć twojego ojca. Zaprosiłam wszystkich jego przyjaciół. Mam nadzieję, że ty także się dołączysz.

— To bardzo miło z twojej strony, ale nie będzie mnie w tym czasie w Lizbonie.

— Och, a dokąd się wybierasz?

— Muszę lecieć do Stanów.

— Ach tak, rozumiem — przez moment przyglądała mu się uważnie, po czym opuściła woalkę na twarz — każdy z nas musi robić to, co uważa za słuszne. Życzę ci wszystkiego najlepszego. Obróciła się na pięcie i omal nie wpadła na Emilia, który uklonił się z przesadną grzecznością, gdy przechodziła.

— Przepraszam, Miguelinho. Widziałem, jak ona zmierza w twoim kierunku, ale nie mogłem poprosić jej do tańca w nawie katedry.

— Och, zachowywała się tym razem bardzo poprawnie. Wydawała się opanowana i zmieniona. Nawet życzyła mi wszystkiego najlepszego.

Emilio skrzywił się.

— Najlepszego, ale czego?

## ROZDZIAŁ 20

### Stone Ridge

Taxi i Phoebe tuliły się do Patrycji, jak gdyby chciały jej powiedzieć, jak bardzo za nią tęskniły. To dobrze, że Miguel odesłał jej zwierzęta właśnie teraz, gdy się okazało, że Patrycja nie może wrócić do Lizbony, tak jak zamierzała. Do obroży Taxi Miguel doczepił kartkę: *Będę przy Tobie już za tydzień. A tymczasem ci dwaj posłańcy przekażą ci wyrazy mojej miłości.* Przysłał także kasetę z piosenką, którą tańczyli razem w dyskotecce. Teraz właśnie rozbrzmiewały jej dźwięki i oczy Patrycji zasnuły się łzami, gdy wsłuchiwała się w słowa:

*I know that everybody has a dream  
And this is my dream, my own  
Just to be at home  
And to be all alone... with you.*

Laura, jak zawsze pełna opiekuńczości, weszła do pokoju z filiżanką kawy.

— To dla ciebie, dopiero co parzona... — spojrzała na zaczerwienione oczy Patrycji. — Dziecinko, co się stało?

— Och nic... coś mi po prostu wpadło do oka.

— Może ci zapuścić krople?

— Nie, nie trzeba, wszystko w porządku.

Sączyły kawę, gdy z magnetofonu dochodziły słowa piosenki:

*So let me lie and let me go on sleeping  
And I will lose myself in palaces of sand*

*And all the fantasies that  
I have been keeping  
Will make the empty hours easier to stand* \*.

\* „Więc pozwól mi wciąż leżeć i nie przerywać snu  
A ja pogubię się pośród zamków z piasku  
I wszystkie marzenia, jakie w sobie zgromadziłem,  
Sprawia, że te puste godziny będzie łatwiej znieść”.

— Dlaczego przyjeżdża tu pani Sperber? — Laura starała się przekrzywić muzykę.

— Słucham? — Patrycja ściszyła magnetofon.

— Spytałam, dlaczego przyjeżdża tu pani Sperber? — powtórzyła Laura.

— Jest moją przyjaciółką.

Usta Laury wykrzywiły się w dzieciennym dąsie.

— Och, Lauro, nie tak bliską jak ty... ale ona chce mi pomóc rozwiązać tę zagmatwaną sprawę.

Laura klapnęła ciężko obok Patrycji.

— Dziecinko, powiem to ostatni raz. Zabieraj pieniądze i uciekaj. Sprzedaj te przekłete akcje.

Patrycja westchnęła.

— Hmm, może masz i rację.

W tej samej chwili dał się słyszeć szum jadącego po zwirowej drodze samochodu. Patrycja pośpieszyła, by powitać panią Sperber ubraną w nieskazitelnym szarym kostiumie w drobne prążki. Zdumiała się, widząc wysiadającego za Angielką niskiego mężczyznę w pogniecionym brązowym garniturze.

— Patrycjo, pozwól, że ci przedstawię pana Howarda Bindera.

— Mów mi po prostu Howie, dobrze?

Howie miał białą, ziemistą cerę, jak gdyby jego twarz nigdy nie była wystawiona na słońce. Patrzył na dziewczynę przez grube szkła okularów w rogowej oprawie. Skudłacone, czarne miękkie włosy rosły wokół jego dużych uszu. Stojąc obok wysokiej, wysportowanej pani Sperber, wyglądał jak mały elf.

Gdy skierowali się w stronę domu, Laura obserwowała ich uważnie, stojąc w drzwiach.

— Och, przepraszam — powiedziała Patrycja — to moja najlepsza przyjaciółka, Laura Simpson, Lauro, to pani Sperber i pan Binder.

— Miło mi państwa poznać. Zaraz zaparzę kawy.

Po kilku minutach sączenia ciemnego trunku i uprzejmej wymianie zdań Howie wstał nagle z miejsca.

— Wiesz, Patrycjo — powiedział z uśmiechem — mówi się, że nie należy obgadywać ludzi za ich plecami. To głupie, nie sądzisz? I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: — to jedyny sposób, aby móc szczerze rozmawiać. Przejdę się trochę wokół farmy.

— Och... och... — jękała się Patrycja — Lauro, czy nie mogłabyś oprowadzić pana Bindera...

— Howiego.

— ...oprowadzić Howiego po farmie?

— Oczywiście — odpowiedziała Laura bez zbytniego entuzjazmu.

Gdy wyszli, pani Sperber zaczęła mówić:

— Niech cię nie zmyli przypadkiem wygląd zewnętrzny Howiego. To jeden z najlepszych adwokatów, jakiego udało mi się kiedykolwiek spotkać. Potrzebujesz go.

— Och, pani Sperber... Prawnicy, sprawy sądowe... Zawsze pragnęłam ulepszać rzeczy, które nie są jeszcze wystarczająco dobre... Czy to znaczy, że zwariowałam?

— Oczywiście, że nie.

— Czasami wcale nie jestem tego taka pewna... Może po prostu powinnam sprzedać akcje.

— To dokładnie to, do czego oni dążą.

Patrycja podeszła do okna. Na zewnątrz Laura z małym elfem u boku zmierzała ciężkim krokiem w stronę insektarium.

— I myśli pani, że pan Binder może mi pomóc?

— Howie jest najlepszy. Zna całą sprawę i bardzo pragnie wziąć w niej udział.

— Ale wygląda tak...

— Wiem... wiem — pani Sperber skinęła głową — ale uwierz mi: to

Dawid, który zawsze pokonuje swojego Goliata. I nie może się doczekać, kiedy znowu wystąpi przeciwko Grupie Stonehama. Trzy lata temu wygrał proces antytrustowy, który kosztował nas piętnaście milionów dolarów.

Howie był najwyraźniej bardzo wprawnym piechurem, Laura natomiast sapała ciężko, gdy wrócili ze spaceru.

— Bardzo podoba mi się twoje insektarium — powiedział, wieszając na krześle marynarkę. Pod nią nosił zabawne czerwone szelki, nadzwyczaj odpowiednie do podtrzymywania spodni na jego chudych nogach.

— Hm, ale nie bardzo zdaje egzamin. W tym roku zmarniały mi wszystkie róże.

— Mylisz się. Zajrzałem do środka i zauważyłem, że w insektarium aż roi się od czerwonych żuczków, a populacja mszyc jest bardzo przerzedzona. Jesteś pewna, że twoi ludzie nie wypuścili złych owadów?

Pani Sperber się uśmiechnęła.

— Howie, czy w dziedzinie etymologii także jesteś ekspertem?

Oburzony Howie wypiął zapadniętą pierś i wydawało się, jakby urósł do wysokości metra sześćdziesięciu pięciu.

— W zeszłym roku reprezentowałem hodowców cytrusów z Santa Clarita Valley w ich batalii o publiczny pokaz żuków z rodziny *Cryptolaemus* doskonale nadających się do zwalczania mączaka długoszczeciniastego żerującego na owocach cytrusowych. Producenci środków owadobójczych byli temu przeciwni. Nie muszę chyba nadmieniać, która strona odniosła zwycięstwo.

Wszyscy się roześmieli, z wyjątkiem Laury.

Chłopiec stajenny skończył właśnie szczotkować Harpia, ale Patrycja chwyciła zgrzebło i zaczęła wszystko od początku. Chłopak popatrzył na nią zdumiony, wzruszył ramionami i odszedł. Jak miała mu wyjaśnić, że pragnie, aby Miguel pozostał pod wrażeniem staranności, z jaką opiekowała się tym pięknym lusitano?

Jutro już tu będzie. W jakiś magiczny sposób jego obecność odpędzi

czarne chmury, które zgromadziły się nad nią w ostatnim czasie. Zrobiła już codzienny objazd farmy, ale postanowiła teraz, że robi to raz jeszcze, by się upewnić, że wszystko jest rzeczywiście w zupełnym porządku.

Gdy ściągnęła cugle, by zatrzymać się przy nowo wybudowanym pomieszczeniu do składowania siana, Edgar krzyknął:

— Widzi pani, panno Dennison?

Ludzie montowali właśnie na ścianach gaśnice. Patrycja się uśmiechnęła.

— Doskonały pomysł — pochwaliła.

Edgar, mimo iż jego lewe ramię wciąż jeszcze spoczywało na temblaku, uparł się, że wróci do pracy. Wydał krzykiem instrukcje mężczyznom, którzy rozładowywali właśnie ciężarówkę z sianem, po czym nagle odwrócił się do Patrycji i powiedział swoim chrapliwym głosem:

— Cieszę się, że znowu zobaczę pana Cardigę. Ten człowiek to sztukmistrz w obchodzeniu się z końmi.

— Tak, to prawda — odpowiedziała z dumą Patrycja i ruszyła dalej.

Mijając dom spostrzegła, że nowa gospodyni, którą Laura znalazła w sąsiedniej wsi, myje okna. Kobieta była dość miła, ale w żaden sposób nie mogła zastąpić Conchy. Patrycja wciąż miała wrażenie, jak gdyby zabrakło jakiegoś członka rodziny. Dlaczego nie było od niej żadnych wiadomości? Laura twierdziła, że pewnie Concha jest zbyt zajęta pielęgnowaniem chorej siostry, by podróżować. Bóg wie jak daleko do najbliższej poczty. Ale minęło już tyle czasu — siostra Conchy musi być chyba śmiertelnie chora. Dziewczyna czuła, że powinna coś zrobić. Tak, wyśle do niej jutro paczkę.

Patrycja zdążyła tylko dojechać do stajni, gdy służący wręczył jej przenośny telefon.

— Telefon do pani, panno Dennison, Lizbona.

Dziewczyna szybko zeskoczyła ze Sporta i zabrała aparat do składziku z narzędziami, by móc swobodnie rozmawiać.

— Miguel! — powiedziała bez tchu do słuchawki.

— Nie, Patrycjo, Emilio.

— Och! — miała nadzieję, że nie usłyszał w jej głosie rozczarowania.  
— Miguel uwikłał się w pewne sprawy i prosił mnie, bym zadzwonił.  
Dziewczyna wyrzuciła z siebie nagle to, czego obawiała się najbardziej.

— Nie przyjedzie.

— Przyjedzie, ale nie jutro.

— Dlaczego sam nie mógł do mnie zadzwonić?

Emilio nie odpowiadał.

— Co się stało?

— Nic, nic, to tylko kwestia czasu.

— Emilio, coś przede mną ukrywasz. Powiedz mi, proszę, co się stało.

— On już wkrótce z tego wyjdzie.

— O Boże, jest ranny, leży w szpitalu.

— Nie, nie, nie.

— Proszę, błagam, powiedz mi prawdę.

Emilio mruczał coś przez chwilę po portugalsku, po czym wziął głęboki oddech.

— Dobrze się składa, że raczej nie jestem pobożny. Przysięgłem na grób mojej matki, że ci nie powiem.

— Czego mi nie powiesz?

Emilio znowu głośno wciągnął powietrze.

— Miguel jest w więzieniu.

— W więzieniu?

— Isabel go oskarżyła.

— O co? — zadała to pytanie, chociaż doskonale знаła odpowiedź.

— O morderstwo.

## Lizbona

Była prawie północ, gdy odrzutowiec Stonehama wylądował w Lizbonie. Błady Emilio czekał tam, aby spotkać Patrycję i dokonwojować do hotelu Les Méridien Lisboa, eleganckiej, nowoczesnej budowli ze szkła,



skąd widać było średniowieczne mury więzienia zwanego *Estabelecimento Prisional*.

— Czy nie mogę teraz się z nim zobaczyć? — spytała Patrycja.

— To niemożliwe. Ale z pewnością zaprowadzę cię do niego jutro rano.

Westchnęła z rezygnacją.

— Prześpij się teraz trochę. Jutro czeka cię ciężki dzień.

Ale Patrycja nie mogła zasnąć. Wyszła z hotelu na ulicę i skierowała się w stronę Parku Edwarda Siódmego, zmierzając w kierunku więzienia. Ukochany był tak blisko, po prostu za tym murem. Nie mogła go dotknąć, nie mogła z nim rozmawiać, ale przynajmniej była w pobliżu. Laura pomieszała jej w głowie z tym wezwaniem do sądu. Howie zażartował, że musiała naogładać się za dużo seriali kryminalnych i zapewnił Patrycję, że może swobodnie wyjeżdżać, dokąd tylko sobie życzy, byle stawiała się na wezwanie w poniedziałek rano. Ale i tak nic nie mogłoby dziewczyny powstrzymać — przyjechałaby tutaj, nawet gdyby to było sprzeczne z prawem. Nic jej to nie obchodziło. Chętnie oddałaby wszystko opiekunom, jeśli miałyby pewność, że to pomoże Miguelowi.

Dotarła do samego końca parku. Dalej rozciągały się jasno oświetlone, żółte mury więzienia, pomalowane na biało średniowieczne wieże i wyłaniające się z tyłu pióropusze palm.

Dziwnie to wyglądało — jak obrazek z Disneylandu, a nie złowróźbna budowla.

Ale tam, w środku, jej ukochany leżał samotny w celi. Być może on ją usłyszy, możliwe, że jej miłość zdołała przeniknąć mury, by dać mu trochę bezpieczeństwa i ciepła tej nocy.

Patrycja była już ubrana i czekała na Emilia, który przyszedł po nią do hotelu następnego ranka. W więzieniu musieli jeszcze jakiś czas odczekać. Chociaż Emilio wypełnił wszystkie niezbędne druki, kazano im siedzieć w przedsionku, gdzie matki, żony i narzeczone czekały, aż otworzą się stalowe drzwi i ich nazwiska zostaną wywołane.

W końcu jeden ze strażników poprowadził Patrycję i Emilia przez przypominający tunel korytarz do pokoju wizyt. Wewnątrz stał długi, sześciometrowy stół, po jednej stronie, ramię przy ramieniu, siedzieli więźniowie, po drugiej odwiedzający. Ale Miguela tam nie było.

— Poczekaj tu i bądź cicho — nakazał Patrycji Emilio i gdzieś zniknął.

Kilka minut później wrócił z innym strażnikiem, rozmawiając z nim gwałtownie po portugalsku. Zrobił ruch ręką, przywołując Patrycję.

Gdy strażnik odszedł, Emilio szepnął dziewczynie do ucha:

— Załatwiła to skrzynka najlepszego z moich win. Nie odzywaj się ani słowem. Powiedziałem mu, że jesteś siostrą Miguela.

Po chwili strażnik poprowadził ją po metalowych, spiralnych schodach na sam szczyt jednej z wież. Gdy skończyły się stopnie, wyciągnął duży klucz i otworzył nim drzwi. Znalazła się w małej, okrągłej kaplicy, z kilkoma ławkami stojącymi rzędem przy ścianach. Witraż w kształcie rozety przepuszczał promienie wczesnego porannego słońca, padające na gładką powierzchnię ołtarza.

Usłyszała ponownie chrzęst klucza w zamku i wstrzymała oddech. I nagle się pojawił, idąc wolno w jej kierunku. Drzwi głośno się za nim zamknęły. W jego wilgotnych oczach dostrzegła to, co chciał jej powiedzieć. Okryła twarz Miguela pocałunkami, próbując przelać w siebie całe jego cierpienie.

Miguel nie był w stanie wykrztusić słowa. Zanurzył palce w jej włosach, trzymając w dłoniach delikatną twarz dziewczyny. Po chwili jego ręce gładziły zalane łzami policzki, zaczęły pieścić jej szyję, dotknęły piersi. Przyciągnął ją mocno do siebie — chciał wessać ciało dziewczyny do swojego wnętrza i nigdy już stamtąd nie wypuścić.

Bez tchu upadli na podłogę. Wszystko, co ich otaczało — miasto, kraj, cały świat — wydawało się odpływać gdzieś w dal. Byli sami, oddzieleni od reszty świata, tylko we dwoje, zamknięci razem, łączący się w uścisku przed ołtarzem kaplicy.

Emilio czekał, by wyprowadzić ją z więzienia. Idąc u jej boku, paplał bez przerwy, próbując ją rozweselić, ale dziewczyna prawie nie słuchała tego, co mówił. Gdy jechali już samochodem, nie zapytała dokąd się wybierają i nie dbała o to. Przymknęła oczy, myśląc wciąż o tym, jak kochali się z Miguelem na posadzce więziennej kaplicy.

Emilioni nie zamykały się usta. W końcu Patrycja przerwała jego paplaninę.

— Zawieź mnie do Isabel.

— Co?

— Chcę z nią porozmawiać.

— Nie możesz tego zrobić. Ona jest szalona.

— Jeżeli kiedykolwiek go kochała, będę w stanie jej przekonać, żeby wycofała oskarżenie.

— Ona nie zechce cię wysłuchać.

Patrycja złożyła dłonie jak do modlitwy.

— Emilio, proszę...

— Ależ Patrycjo, nawet jeśli ci się powiedzie, to wszystko wcale nie jest takie proste. Śledztwo w tej sprawie zostało już rozpoczęte. Oskarżenie o morderstwo nie jest banalnym obwinieniem, które można rzucać sobie na wiatr. W takim wypadku Isabel musiałaby odwołać całą swoją historię. A ona nigdy tego nie zrobi!

— Muszę spróbować, muszę się z nią zobaczyć.

Wzruszył ramionami.

— Cóż, sama się przekonasz — sięgnął po zainstalowany w samochodzie telefon.

Rozmowa odbyła się po portugalsku i jedynymi słowami, które rozumiała Patrycja, były: „Isabel” i „panna Dennison”. Po odłożeniu słuchawki Emilio mruknął:

— Trudno mi w to uwierzyć... mamy spotkanie w porze lunchu — po czym obrócił samochód o sto osiemdziesiąt stopni.

W chwili gdy dotarli do posiadłości Veloso, zrobiło się już południe i ostre słońce przesadnie podkreślało żywość barw tropikalnego pnącza, które oplatało fasadę domu. W drzwiach, otoczona płomiennymi barwami, stała Isabel, ubrana w fioletowy kombinezon i sandały na wysokich

obcasach. Czerwone paznokcie u nóg były dopasowane do koloru ust i zakończeń smukłych palców.

— *Bem-vindos* — powitała ich po portugalsku. Jej duże oczy były pełne życzliwości.

Uprzejmie zaprosiła gości do jadalni, w której pokojówka stawiała duże srebrne półmiski z potrawami na stole nakrytym na trzy osoby. Isabel usiadła na krześle i obydwoma rękami, rozłożonymi po królewsku, wskazała gościom miejsca po drugiej stronie stołu.

Uwagę Patrycji przyciągnął, wiszący na ścianie duży portret, który wydawał się lustrem przeglądającej się w nim gospodyni.

— Podoba się pani ten obraz? — Isabel zwróciła się do Patrycji. — Mój mąż kazał go namalować na krótko... przed śmiercią.

Dwóch kelnerów krążyło wokół stołu, trzymając półmiski z rybą i warzywami, trzeci zaś wszedł do pokoju, pchając przed sobą wózek z dymiącym kawałkiem wołowiny.

Jadąc tu, Patrycja nie miała pojęcia, czego może oczekiwać, nie przygotowała też tego, co powinna powiedzieć, ale teraz cała wizyta zaczynała się robić absurdalna — olbrzymie ilości jedzenia, łaskawe, protekcyjne maniery...

— Nic pani nie je, panno Dennison — słowa Isabel zabrzmiały jak oskarżenie.

— Nie jestem głodna — wyjąkała dziewczyna.

— Ale przyjechała pani na lunch!

— Nie, przyjechałam, aby z panią porozmawiać.

— O czym?

— O Miguelu.

— Proszę nie zaczynać tego tematu — powiedziała Isabel, zaczynając kroić mięso — to mnie przygnębia.

— Mnie to także przygnębia, pani Veloso. On siedzi w więzieniu... i to pani wniosła przeciwko niemu oskarżenie.

— Hm, a co pani zrobiłaby na moim miejscu? — Ton jej głosu był wręcz lekceważący. — Zamordował mojego męża.

Patrycja spojrzała na Emilia, ale on obserwował Isabel, zahipnotyzowany całą tą przedziwną sceną.

— Pani Veloso, cokolwiek się stało, było to prawie rok temu. Dlaczego wnosi pani oskarżenie dopiero teraz?

Isabel wolno odłożyła nóż i spojrzała w twarz Patrycji.

— Nie było innego sposobu. Zamierzał wyjechać z kraju. Inna kobieta próbowała go wykraść.

— Ma pani na myśli mnie...

— Tak, panią! — Oczy Isabel zapłonęły nienawiścią. — Kochał mnie, dopóki pani nie pojawiła się w jego życiu... Zrobiłby wtedy dla mnie wszystko. Nawet byłby zdolny dla mnie zabić, a ja to samo mogłabym zrobić dla niego. Żadna kobieta nie potrafiłaby kochać go bardziej.

— W takim razie dlaczego robi pani mu teraz coś takiego?

— Muszę zatrzymać go w Portugalii.

— Za kratkami?

Isabel uderzyła pięścią w stół.

— To nie ma znaczenia tak długo, jak długo ja tu jestem. W więzieniu nie spotka go żadna krzywda. W tym kraju nie uznaje się kary śmierci. Będzie dobrze odżywiony, zadbany. Sama tego dopilnuję. — Pochyliła się ku Patrycji. — Jesteśmy cywilizowanym państwem... Spotkania małżeństw w odosobnieniu są bardzo popierane. — Krzywy uśmiech przebiegł po jej twarzy. — Co tydzień będę tam do jego dyspozycji.

Dłoń Patrycji zaczęła drżeć. Głos odmawiał jej posłuszeństwa, ale wyrzuciła w końcu z siebie:

— Myśli pani, że Miguel mógłby się z panią jeszcze kiedykolwiek kochać?

Isabel poderwała się na równe nogi.

— Tak, tak... Kochał mnie kiedyś, zanim pani mi go ukradła.

Patrycja czuła, że grunt się jej usuwa spod nóg. Jak mogła spierać się z tą szaloną kobietą?

— Pani Veloso, miłości nie można ukraść — broniła się — to podarunek jednego człowieka dla drugiego. W głębi duszy doskonale pani o tym wie, nawet jeśli się pani do tego nie przyznaje, głos Patrycji stał się teraz stanowczy. — Kocham Miguela, a on kocha mnie.

— Nie! — krzyknęła przeraźliwie Isabel. Chwyciła ostry jak brzytwa nóż i rzuciła się z nim na Patrycję.

Emilio, roztrącając we wszystkie strony naczynia i potrawy, całym ciałem runął na stół, by pochwycić ramię Isabel. Przewrócił ją na podłogę i wyszarpnął z dłoni nóż.

— Ty suko! — krzyczał. — Miguel nigdy cię nie kochał. Sam mi to mówił. Pożądał cię. Zauważył, że ty też tak na niego reagujesz. Nie tknie cię nawet, gdybyś przychodziła mcodziennie przez tysiąc lat!

Przerażona Patrycja stała, obserwując tę scenę, dopóki Emilio nie chwycił jej za ramię i nie wyprowadził szybko z domu.

Isabel wciąż leżała na podłodze, krzycząc niczym zranione zwierzę.

## Nowy Jork

— Wysoki Sądzie, oto mamy jeszcze jeden dowód. To po prostu nieodpowiedzialne dziecko. — Creighton Smith, adwokat opiekunów, podniósł swoje chude ciało na całą okazałą długość i pochylił się do przodu, opierając dłonie o stół. Mankiety jego wykrochmalonej koszuli z wyhaftowanymi nań monogramami wystawały spod rękawów nieskazitelnego szarego garnituru.

— Stwierdzenie to jest przedwczesne — zaproponował Howie. — Moja klientka ma jeszcze dziesięć minut na przybycie.

— Osiem minut — wypalił Smith, sprawdzając czas na swoim szwajcarskim zegarku.

Howie przewrócił oczami.

— Doceniam pańską dokładność, panie Smith, ale rozprawa została wyznaczona na dziesiątą. Zachowajmy nieco cierpliwości.

— Moi klienci... — Smith wskazał na Colemana, Asha i Rosemonta, którzy siedzieli obok niego — byli przez całe lata wyjątkowo cierpliwi w stosunku do panny Dennison. Zajmowali się skrupulatnie jej majątkiem,

wybacząc nieodpowiedzialnej dziewczynie jej niewłaściwe zachowanie. I są w stanie siedzieć tu cierpliwie nie tylko dziesięć minut, ale nawet godzinę — długimi krokami zbliżył się do stołu sędziego — jednakże, Wysoki Sądzie, pan Coleman rozmawiał właśnie z pilotem odrzutowca Stonehama, który w tym momencie stoi spokojnie na lotnisku w Lizbonie — posłał Howiemu złośliwy uśmiezek. — Wiemy z wiarygodnego źródła, że dziewczyna ma w tym mieście kochanka. Nawet jeśli w tej chwili znalazła się na pokładzie samolotu, nie będzie tu wcześniej niż za osiem godzin.

— Panie Binder — odezwał się sędzia — jaka jest pańska odpowiedź? Howie szarpnął nerwowo szelki.

— Wysoki Sądzie, nie mam żadnych informacji dotyczących kwestii poruszanych przez powodów.

— Dobrze, panie Binder. — Sędzia spojrzał na wiszący nad drzwiami ścienny zegar. — Za trzy minuty podejmujemy kroki prawne, dotyczące tej sprawy.

Coleman, Ash i Rosemont wydawali się uspokojeni, rozpierając się wygodnie na krzesłach i przybierając miny aniołów cierpliwości.

Pani Sperber, siedząca obok Howiego, poklepała go po ramieniu, jak gdyby dodając mu pewności.

— Dziesiąta raz, dziesiąta dwa, dziesiąta trzy — zabrał głos urzędnik sądowy. — Sąd Spadkowy Okręgu Nowy Jork rozpoczyna sesję. Przewodniczy: sędzia Arthur Mason.

Sędzia uderzył młotkiem.

— Wywołuję sprawę Grupa Stonehama przeciwko Dennison — spojrział na koniec sali rozpraw — i gdy tylko panna Dennison zajmie miejsce, rozpoczniemy.

Horace Coleman obrócił swoje potężne cielsko tak gwałtownie, że prawie przewrócił krzesło.

Patrycja zbliżała się przejściem pomiędzy ławkami.

— Proszę wezwać pańskiego pierwszego świadka, panie Smith — powiedział sędzia.

Howie uśmiechnął się do Patrycji od ucha do ucha i omal że nie pociągnął jej na miejsce obok siebie.

— Twój samolot jest w Europie, ale ty sama przyleciałaś tutaj — szepnęła. — Musisz być aniołem.

— Concord jest szybszy od anioła — powiedziała cicho w odpowiedzi.

Patrycja próbowała skierować swoje myśli na to, co działo się na sali sądowej, a tym samym oderwać się od wspomnień o tym, co wydarzyło się w Lizbonie.

— Wysoki Sądzie, w całym moim życiu to najtrudniejsza rzecz, jaką muszę zrobić — zza barierek dla świadków odezwał się nienaturalnie zatroskany głos Colemana i odbił się echem w wysokiej sali rozpraw, którą niezbyt jasno oświetlały kryształowe żyrandole. Wszystko było tu bardzo wytworne: mahoniowe boazerie, brązowe aksamitne zasłony, fotele pokryte dopasowaną kolorystycznie skórą.

— Znam Patrycję od czasu, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Znałem jej matkę — po czym dodał cichym głosem — która popełniła samobójstwo. Znałem jej ojca, zamordowanego podczas porwania samolotu. Obserwowałem ze smutkiem wszystkie tragedie i problemy, które musiała przejść. Przyczyniły się one do licznych załamań nerwowych tej dziewczyny oraz... — zawahał się i znowu ściszył głos — oraz do próby samobójczej. To krucha dziewczyna. Jej dziadek J. L. Stoneham, założyciel korporacji, był tego w pełni świadomy. Rozmawialiśmy o tym wiele razy. Przed śmiercią... — Coleman odchrząknął i jego głos stał się silniejszy — wymógł na mnie obietnicę, że będę się nią opiekował i ją chronił. Znalazłem się tu dzisiaj po to, aby spełnić tę obietnicę.

Patrycja zadrzała, chociaż był to ciepły czerwcowy dzień. Coleman mówił dalej monotonnym głosem. Nie mogła znieść tego nadmiaru szlachetności. Zamiast słuchać, zaczęła przyglądać się uważnie wyrytym w boazerii pozłaczanym płaskorzeźbom — były tam męzne dziewczęce dzierżące tarcze i oręż, symbole wojny. Nad głową sędziego widniał wizerunek dwóch bogiń w hełmach. Jedna trzymała miecz, a druga topór: każda z nich ciągnęła w swoją stronę jedno z ramion nagiego dziecka.



Patrycja poczuła się zupełnie jak to dziecko.

— Teraz pan może przesłuchać świadka, panie Binder — Smith był najwyraźniej zadowolony z wystąpienia swojego klienta.

Jakiż ostry kontrast jest między tymi dwoma przeciwnikami, pomyślała Patrycja: Smith w swoim nieskazitelnym, dwurzędowym szarym garniturze, na którym nawet najbardziej spostrzegawczy obserwator nie doszukałby się ani jednej plamki, i Howie w tym samym co zwykle, wygniecionym brązowym ubraniu. Może miał pełną szafę identycznych, wymiętoszonych brązowych garniturów.

— Panie Coleman... — Howie spacerował wokół barierek dla świadków — czy ma pan dzieci?

— Nie, bardzo mi przykro o tym mówić, ale moja żona i ja nie zostaliśmy pobłogosławieni potomstwem.

— Jestem bardzo poruszony pańskim wystąpieniem. Pański stosunek do mojej klientki... — wskazał na Patrycję — ...jest zupełnie taki jak uczucia ojca do córki.

— Tak, w rzeczy samej.

— I oczywiście chciałby pan dla swojej córki jak najlepiej?

— Tak dokładnie jest, panie Binder.

Howie energicznie skinął głową na znak zgody, jego zmierzwione włosy poruszyły się w górę i w dół.

— Doradził pan swojej córce... — znowu wskazał na Patrycję — ...by sprzedała swoje udziały.

— To nie zupełnie tak.

— O? — Howie zamrugał oczami — to proszę mnie poprawić.

— Patrycja rozpoczęła przygotowania do uwolnienia się od korporacji.

— I pan się na to zgodził?

— Tak było.

Howie podszedł do niego bliżej.

— Dlaczego, panie Coleman?

— Po śmierci dziadka na Patrycji spoczęła straszliwa odpowiedzialność: konieczność umiejętnego kontrolowania megakonglomeratem. To za dużo dla Patrycji. Ogarnęła ją obsesja, aby za wszelką cenę wydać swoje pieniądze. Bez przerwy wysuwała irracjonalne propozycje. Ostatnia z nich wiązała się z doktorem homoseksualistą, którego dziewczyna zamierzała poślubić.

Patrycja siedziała sztywno, ręce trzymała złożone na kolanach, powieki miała mocno zaciśnięte.

— Ma pan na myśli doktora Thomasa Keegana, odznaczonego Medalem Wolności, pod którego kierownictwem Patrycja Dennison wybudowała w Bejrucie szpital dla kalekich dzieci?

— Tak.

— Czy zachęcał pan Patrycję do tych altruistycznych posunięć?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Filantropijna fundacja Stonehama przekroczyła już swoje zasoby finansowe, działając w celach ełemozynarystycznych.

Stenografista sądowy podniósł rękę.

— Ele... co?

Howie potrząsnął głową z dezaprobatą.

— Pan Coleman utrudnia pracę stenografisty. Miał na myśli przymiotnik „dobroczyńny”.

Na twarzy sędziego pojawił się nieznaczny uśmiech.

— W takim razie jako opiekun — mówił dalej Howie — ograniczał pan jej filantropijne zamierzenia?

— Robiłem to, co uważałem za słuszne.

— I nie zastanawiał się pan nad tym, że jeżeli Patrycja Dennison sprzeda wszystkie swoje udziały, skala jej darowizn na cele dobroczynne może się powiększyć?

— Zdawałem sobie z tego sprawę, ale uznałem, że to będzie mniejsze zło. A przynajmniej zdjęłoby to z niej ciężar, który stanowi zbyt duże obciążenie jej delikatnej psychiki.

Howie się uśmiechnął, ponownie skinął głową i zaczął spacerować.

— I kto zakupiłby te akcje?

— Panie Binder, nie byłoby trudno znaleźć odpowiednią grupę ludzi.  
— A czy miałbym rację, gdybym podsumował, że to pan i pańska banda...

— Sprzeciw — podniósł się Smith — to uwłaczanie świadkowi.

— Sprzeciw podtrzymany.

— Że pan i pańscy koledzy przewodzą tej grupie?

— To prawda.

Howie zatrzymał się i zmrużonymi oczami uważnie się przyglądał Colemanowi.

— I to dają wam pełną kontrolę nad korporacją wartą dziesięć miliardów dolarów?

— Nic by się nie zmieniło. Wykonywalibyśmy wciąż te same obowiązki, mając na celu ochronę wszystkich naszych akcjonariuszy.

— Ale wtedy to wy posiadalibyście pakiet kontrolny. Nie byłoby już nikogo, kto mógłby negocjować wasze decyzje... powiedzmy podwyżki wazszych poborów, samolot firmy pozostający do waszego wyłącznego użytku...

— Sprzeciw — Smith ponownie wstał z miejsca. — Bezpodstawne spekulacje.

— Sprzeciw utrzymany.

Nie przestając spacerować, Howie wyciągnął plik papierów z leżącej na stole sterty.

— Mam tu pewien dokument zatytułowany „Oferta wstępna”. Wygląda na to, że został podpisany przez pana, panie Coleman, pana Asha i pana Rosemonta. Czy mógłby pan z łaski swojej potwierdzić autentyczność tych podpisów? — Położył papier przed Colemanem.

— Tak, to propozycja, którą złożyliśmy pannie Dennison.

— Oferując wykup wszystkich jej akcji?

— Tak.

— Po cenie dziesięć centów za dolara?

— To pytanie mnie obraża. Oferta, którą złożyliśmy, była uczciwa: proponowaliśmy aktualną cenę rynkową akcji Stonehama.

Howie obrócił się na pięcie i wyciągnął gruby skoroszyt w skórzanej oprawie.

Mam tutaj analizę dotyczącą akcji Grupy Stonehama, analizę, którą zlecił pan, panie Coleman, firmie Price i Waterhouse. Zaznajamiał się pan z treścią tego dokumentu, prawda?

— No... tak... hm...

— Analiza ta stanowi, iż aktualna cena rynkowa jest niższa od realnej wartości akcji Stonehama o dość znaczną sumę.

— To spekulacja, panie Binder, spekulacja uwzględniająca, że pewnego dnia cena akcji Stonehama znacznie wzrośnie.

— Rozumiem, panie Coleman. Więc co się stało później w pańskiej batalii o ochronę mojej klientki?

— Sprzedaż nie nastąpiła. Panna Dennison zmieniła zdanie. Domagała się osobistego wzięcia udziału w kierowaniu korporacją, czyli domagała się czegoś, o czym nie miała żadnego pojęcia.

— Czy uzasadniała, dlaczego tak jej na tym zależy?

— Powiedziała, że chce, aby firma była prowadzona „zgodnie z sumieniem”.

— I był pan temu przeciwny?

— Moralność w życiu ma duże znaczenie. Ale moralność w interesach nie może oznaczać filantropii. Nasza korporacja jest skupiona na osiągnięciu zysków.

Howie wspiął się na palce.

— Ale rozumienie moralności zaprezentowane przez pannę Dennison oznaczało traktowanie waszych pracowników w sposób należyty ludzkim istotom, szczególnie w waszej fabryce w Nogales, czyż nie tak było?

— Ktoś źle jej to wszystko przedstawił i udzielił błędnych porad. Wzdłuż meksykańskiej granicy mamy takich sąsiadów jak General Motors, ITT, Ford, IBM, United Technologies, Xerox i wielu innych. Wszyscy utrzymujemy te same standardy.

— Standardy leżące poniżej ustalonego przez prawo amerykańskie minimum?

— Panie Binder, w Nogales respektujemy prawo Meksyku.

— I unikacie w związku z tym kosztów obejmujących ochronę pracowników i środowiska przed zagrożeniem środkami chemicznymi? Czyż nie przeciwko temu występowała Patrycja Dennison?

— Nie jest osobą kompetentną do wyrażania takich sądów — odciął się Coleman, a jego twarz zaczęła robić się coraz bardziej czerwona — chciała, byśmy stali się towarzystwem dobroczynnym... chciała zrezygnować z zysków należnych posiadaczom akcji. To o n a jest głównym akcjonariuszem, w ten sposób krzywdziła s i e b i e .

— Ale panna Dennison nie rozumowała tak, prawda?

— Nie.

— Dlaczego więc pan zdecydował się na rozpoczęcie przeciwko niej procesu o ubezwłasnowolnienie?

— Tylko dlatego, iż po długich i bolesnych rozważaniach utwierdziliśmy się w przekonaniu, że nie ma innego sposobu, by chronić Patrycję.

— Chronić Patrycję? Ciągając ją po sądach? Narażając jej „delikatną psychikę”, jak sam pan to określił, panie Coleman, na te obciążające emocjonalnie procedury?

Coleman wypchnął do przodu pierś. Jego głos drżał ze zniecierpliwienia:

— Panie Binder, nie mieliśmy innego wyjścia!

## ROZDZIAŁ 21

### Stone Ridge

Zmęczona i roztrzęsiona oskarżeniami, jakie przez cały tydzień spadały na jej głowę, Patrycja była wdzięczna losowi za dwa dni odpoczynku przed ponownym wszczęciem procesu w poniedziałek. Była taka zmęczona. Odczuwała ból w każdej części ciała. Zwinęła się w kłębek i naciągnęła kołdrę na głowę, zapominając o Taxi i Phoebe, tłoczących się razem z nią na łóżku. Żeby tylko mogła zasnąć — tak brakowało jej snu w ostatnim czasie.

Róże... pożar... obrażenia Edgara... śmierć Paula... aresztowanie Miguela. Co jeszcze mogło na nią spaść?

Nie była w stanie przewidzieć reakcji sędziego, który siedział naprzeciwko i spoglądał na nią z góry nad szklami okularów, podczas gdy ją atakowano ze wszystkich stron. Opisywano jej załamania nerwowe, próby samobójcze, nieodpowiedzialne zachowanie... Pilot w swoich zeznaniach mówił o jej wielkim niezdecydowaniu... Proszę wracać do Ameryki... Nie, nie, lećmy do Lizbony... Nie, proszę lądować gdziekolwiek. I najgorsze ze wszystkiego: ta dziewczyna to beztroska romantyczka, która omal nie poślubiła homoseksualisty.

Do tej pory sędzia już musiał uwierzyć, że jest wariatką. Sama zaczęła w to wierzyć. Aż wzdrygnęła się na myśl, że znowu będzie musiała przesiadywać w sali rozpraw. Dlaczego po prostu nie sprzedała akcji...

Miguel byłby rozczarowany, gdyby się poddała, ale wydawał się teraz taki daleki. Była bardzo zmęczona, chciała po prostu zasnąć... i już nigdy się nie obudzić.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Weszła Laura, niosąc szklanke ciepłego mleka i kilka pigułek.

— Proszę, dziecinko, weź to teraz — podsunęła Patrycji pigułki do ust i podała dziewczynie szklanke. — Musisz wreszcie odpocząć.

— Och, Lauro, jesteś dla mnie taka dobra. Nie wiem, co bym zrobiła bez twojej pomocy.

— No, znasz przecież tę piosenkę: od tego właśnie są przyjaciele. Ale chyba nie podobałoby ci się, gdybym ją zaśpiewała — zażartowała Laura.

Patrycja uśmiechnęła się blado.

— Wiesz, Lauro, myślę, że nie jestem w stanie przejść przez to wszystko.

— Ależ wcale nie musisz, dziecinko. Powiedz im wszystkim, żeby sobie poszli do diabła i sprzedaj swoje akcje.

Patrycja mruknęła sennym głosem.

— Nie wiem... Może masz rację... No, nie wiem.

W tej samej chwili zasnęła.

Laura wyszła na palcach z pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi. Szybko zbiegła na dół do kuchni i chwyciła telefon.

— Co takiego? — odezwał się Horace Coleman.

— Chyba już niedługo pęknie.

— Hmm... — Coleman jak gdyby ważył słowa. — Lauro... co byś powiedziała na premię w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów?

Laurze aż zaparło dech.

— Bardzo bym chciała.

— Upewnij się, że ona podejmie właściwą decyzję.

## Lizbona

Miguel nie miał odwagi otworzyć oczu. Pragnął jeszcze trzymać Patrycję w ramionach. Chciał czuć delikatność jej skóry, smak jej rozchylnych warg.

W oddali rozległ się dźwięk kościelnego dzwonu. Miguel gwałtownie drgnął. Wszystko, co przed chwilą widział i czuł, było tylko snem — wciąż

przebywał w więzieniu i leżał w celi na swojej pryczy. Czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Patrycję?

Poprosił o pozwolenie na codzienne odwiedzanie kaplicy — został uznany za najbardziej religijnego ze wszystkich więźniów — ale on wchodził tam tylko po to, by ciągle od nowa przeżywać chwile, które spędził w niej z Patrycją. Zazwyczaj przychodził tam po południu, gdy promienie słońca przenikały przez okna w taki sposób jak w chwili, gdy wszedł i znalazł ją stojącą przed ołtarzem.

Miguel leżał, wpatrując się w dużą żółtą plamę na suficie, otoczoną ciemnobrązowym postrzępionym konturem, która zamazywała większość sztukaterii. Każdego dnia zastanawiał się, co takiego było przyczyną powstania owej plamy. Dzisiaj stwierdził wreszcie, że to rozwścieczony współwięzień z wyższego piętra roztrzaskał swój ustęp i zalał całą celę.

Wstał z łóżka i podszedł do okratowanego okna. Na zewnątrz, na więziennym dziedzińcu tliła się sterta śmieci., wypuszczając w górę kłęby czarnego dymu, które zakłóciły czysty błękit niedzielного nieba.

Kiedy odbędzie się jego proces? Emilio twierdził, że upłynie jeszcze jakiś czas do momentu, gdy sąd zgromadzi cały materiał dowodowy. Czekanie jednak było najgorsze ze wszystkiego, po prostu nie do zniesienia.

Ale w końcu przecież proces się rozpocznie. Co powie wtedy na swoją obronę? Zabił Luisa Velóse. Takie były fakty. Teraz Isabel rozpoczęła swoją zemstę, zemstę odrzuconej kobiety. Nigdy nie zapomni dnia, w którym przyprowadziła policję, aby go aresztować.

Dobrze to rozegrała. Wszystko odbyło się na cmentarzu, przy grobie Paula.

Przychodził tam codziennie, by w ciszy posiedzieć na kamieniu tuż obok miejsca ostatniego spoczynku ojca. Wyobrażał sobie, że rozmawiają, powtarzając słowa, które wypowiadali w ostatnich dniach życia Paula.

Tamtego dnia właśnie miał wyjść z cmentarza, gdy spostrzegł, że zbliża się do niego Isabel, ubrana na czarno, eskortowana przez dwóch policjantów.



— Jest pan aresztowany.

— Za co?

— Za morderstwo Luisa Velosy.

Spojrzała na Isabel, jej twarz zasłaniała czarna woalka.

— Isabel — powiedział cicho — dlaczego?

Czuł ukryty w niej jad, nie było jednak żadnej odpowiedzi.

Stało się to w niedzielę, dwa tygodnie temu. A wydawało się, że upłynęło tak dużo czasu.

Gdy obserwował unoszący się ze sterty śmierci ciemno-błękitny dym, nieznośny dźwięk kościelnych dzwonów przybierał na sile i po drugiej stronie więziennych murów zaczynało budzić się miasto. „Och, Patrizio, gdzie teraz jesteś? Przysięgam, że zrobiłbym wszystko za kilka minut spędzonych z tobą, nawet nauczyłbym się kochać kościelne dzwony”.

Dzwony wciąż były. Czy Ultimato stał teraz w swoim kojcu, czekając aż zabierze go Emilio? Tak dobrze poczynał sobie z młodym byczkiem. Musiał się teraz czuć bardzo osamotniony. Miguel miał nadzieję, że Filipe daje mu dodatkowe marchewki, pozwala pobiegać po wewnętrznej arenie i wytarzać się w miękkim piasku.

Z korytarza dochodziło szuranie stóp; inni więźniowie wracali do swoich cel po śniadaniu. Miguel jednak został u siebie; nie był głodny.

W zamku zazgrzytał klucz, drzwi gwałtownie się otworzyły i strażnik zawołał:

— Ej, ty kulasie! Wzywają cię do biura.

Poprowadzono go do pokoju przyjęć, tam gdzie trafił zaraz po aresztowaniu.

— Oto pańskie rzeczy — powiedział strażnik, rzucając mu paczkę opakowaną w brązowy papier i owiązaną zgrzebnym sznurkiem.

Miguel patrzył bezmyślnie na mężczyznę.

— Rozpogódź się — parsknął strażnik — na zewnątrz jest bardzo wiele kaplic.

— Wypuszczają mnie?

— Na to wygląda.

Gdy stalowe pancerne drzwi się otworzyły, stał w nich Emilio z uroczystym wyrazem twarzy.

— Chodź ze mną — powiedział tajemniczo.

— Ale co...

— Nic nie mów... Po prostu wsiadaj do samochodu.

Gdy oddalali się coraz bardziej od więzienia, Miguel nie dawał za wygraną.

— Czy mógłbyś mi jednak powiedzieć, co to wszystko znaczy?

— Wypuścili cię z więzienia, przyjacielu... Czy to nie wystarczy?

— Tak, tak, ale...

— Ale nic. Ciesz się. — Emilio roześmiał się. — No, może nie powinienś okazywać zbyt dużej radości... Wkrótce odbędzie się pogrzeb, na który powinienes się wybrać.

— Kto umarł?

Emilio zastanawiał się przez chwilę.

— Isabel.

Miguel tak mocno chwycił przyjaciela za ramię, że samochód aż skręcił w bok.

— Hej... uważaj! — Emilio momentalnie nacisnął hamulec.

— Tylko bez żartów. W więzieniu miałem wystarczająco dużo uciech.

— To nie żart. Jesteś wolny. Nie ma nikogo, kto by mógł przeciw tobie świadczyć.

— Co się stało?

— Popęłniła samobójstwo.

— Samobójstwo?

— Taak... Pchnęła się nożem. Stało się to zaraz po tym, jak Patrycja opuściła jej dom.

— O czym ty mówisz?

— To długa historia. Patrycja nalegała, by umożliwić jej spotkanie z Isabel. Próbowwała namówić ją, by zrezygnowała z oskarżenia. Isabel wpadła w furię... Próbowwała zabić Patrycję.

— O mój Boże. — Miguel aż ścierpł ze strachu.

— Hej, nic się nie stało twojej wspaniałej dziewczynie. Ale ja znowu zarobiłem podrapania na twarzy, gdy wydzierałem Isabel nóż.

Miguel się nie roześmiał.

— Tym samym nożem odebrała sobie życie.

— Była naprawdę chora... Jakie to tragiczne.

— Zachowaj swoje współczucie dla mnie. Miałem cholerne szczęście, że pokojówka była tam, gdy się to stało.

Miguel popatrzył na niego pytająco.

— Cały nóż był pokryty moimi odciskami palców. Mogliśmy się stać kumplami z jednej celi.

Miguel się uśmiechnął po raz pierwszy.

— Musiałbyś zająć górną pryczę.

— O nie! Mam zawroty głowy.

Tym razem Miguel nie mógł już nie wybuchnąć śmiechem. Po chwili jednak znowu spoważniał.

— Emilio, chciałbym cię prosić o przysługę.

— Jeżeli trzeba tańczyć, to nic z tego.

— Nie, nie... Potrzebuję bilet do Nowego Jorku.

Emilio wyciągnął z kieszeni kopertę mówiąc:

— Przepraszam, że zabrało to tyle czasu.

## Stone Ridge

Przez cały weekend Patrycja próbowała spędzać czas zgodnie ze zwykłym porządkiem. Zauważyła jednak, iż Sport wyczuwa, że dzieje się coś złego — odwracał głowę i patrzył na nią swymi dużymi, brązowymi oczami. Nawet Taxi wyciągał długie nogi niechętnie. Patrycja celowo omijała ścieżkę prowadzącą do lasu. Tam znajdowało się jej ulubione miejsce marzeń, dokąd tak często zabierała Miguela. Tak smutno byłoby tam teraz bez niego.

Zbliżała się właśnie do ostatniego pastwiska i zaczynała kierować się w stronę stajni, gdy spostrzegła, że jeden z koni zachowuje się w przedziwny sposób. Biega wokół własnej osi, kłusując się w bok. Spojrzała na inne konie. Dwa z nich robiły dokładnie to samo. Kolka? Konie nie mają

możliwości wymiotowania i ból brzucha może spowodować tak dziwne zachowanie. Postanowiła, że pojedzie natychmiast do stodoły i przygotuje papkę z gorących otrąb. Przyjrzała się swoim podopiecznym.

Old Cricket, najstarszy koń na farmie, stał ze zwieszoną głową, mokry od potu. Nagle nogi mu się rozjechały i upadł. Przez chwilę jego ciałem wstrząsały konwulsje, po czym nagle zeszywniał i pozostał tak bez ruchu.

Patrycja krzyknęła:

— Edgar! Edgar!

Wybiegł momentalnie ze stodoły, za nim pędził jeden ze służących.

— Tutaj! Prędko!

Zanim Edgar zdołał dobiec do pastwiska, trzy inne konie upadły na ziemię i leżały nie ruszając się.

— Zrób papkę z otrąb! Prędko! — Edgar wydał polecenie służącemu.

— I wezwij natychmiast weterynarza.

Gdy przyjechał weterynarz, dziesięć koni było już martwych. Lekarz patrzył na ten pogrom z niedowierzaniem.

— Co się stało, doktorze Cronin? — Patrycja drżała. — Jak mogło do tego dojść? Co jest nie tak? — powtarzała.

— Jeszcze nie wiem. Proszę zabrać pozostałe konie do stajni i odizolować. Należy zacząć poić je whisky i olejem mineralnym, a ja wezmę zaraz próbki krwi.

Z postronkiem w ręce Patrycja podeszła do Misty'ego, który stał osiwiały ze spuszczoną głową. Nagle zauważyła, że on także jest pokryty potem, a z jego pyska wydziela się piana. Oczy konia zdawały się błagać rozpaczliwie o pomoc.

— Och nie, Misty, tylko nie ty! — Patrycja nie mogła powstrzymać łez.

Dotknęła jego karku. Misty zaczął się trząść. Kolana ugięły się pod nim i upadł na ziemię. Patrycja spojrzała na jego brzuch, który unosił się i opadał z wielkim wysiłkiem. Po chwili nie ruszała się już żadna część końskiego ciała.

— Misty — szepnęła Patrycja i straciła przytomność.

Nie chciała się obudzić. W swoich nieprzytomnych widzeniach dostrzegła, że ma przed oczami twarz Miguela.

— Patrizio... — powiedział. — Patrizio, jestem tu... z tobą... Wszystko będzie dobrze.

Wyciągnęła ku niemu ramiona i poczuła, jak ukochany przytula jej ciało do swojego. Och, to był taki piękny sen, że pragnęła, aby trwał wiecznie.

— Obudź się, Patrizio — Miguel potrząsnął nią delikatnie.

Nagle się ocknęła. To był Miguel! To naprawdę był Miguel.,

Wcale nie śniła. Leżała na kanapie w salonie i Miguel był przy niej.

— Miguel — powiedziała z nikłym uśmiechem.

Pocałował ją delikatnie.

— Przyjechałem, żeby ci zrobić niespodziankę, ale nie spodziewałem się czegoś takiego.

— Jesteś tu... Naprawdę tu jesteś.

— Tak, Patrizio. Ale co się stało z końmi?

— Nie wiem... Chyba jestem przekłeta. Biedny Misty... Mój Boże, gdzie jest Laura?

— Nie widziałem jej.

— Ach, prawda, pojechała dziś rano do Nowego Jorku. Wróci dopiero jutro. Jak mam jej powiedzieć o Mistym. To ją zabije.

Miguel wziął ją za rękę.

— Tak... To smutny koniec dla starego, wyścigowego konia.

— Nie, nie... Misty nie był koniem wyścigowym. Należał do Laury i był jej ulubieńcem.

— Wiem... Ten kasztan, z którym zawsze spacerowała wokół farmy. Z całą pewnością był to kiedyś koń wyścigowy.

— To niemożliwe. Laura wychowywała go od źrebaka.

— Cokolwiek byś powiedziała, Patrizio, nie ma żadnego znaczenia, bo na własne oczy widziałem na jego wardze tatuaż klubu jeździeckiego.

— To niemożliwe...

Ich rozmowę przerwało trąbienie klaksonu. Miguel wyrzwał przez okno.

- Samochód weterynarza.
- Muszę z nim natychmiast porozmawiać.
- Nie, Patrizio... Powinnaś odpoczywać.
- Proszę, nie mogę teraz tak tu leżeć.

Miguel westchnął i objął ją podtrzymująco ramieniem. Szli tak razem w stronę pastwiska, gdzie weterynarz rozmawiał właśnie z Edgarem. W oddali widać było, jak koparka ryje w ziemi groby dla martwych koni, podczas gdy buldożer spycha na jedno miejsce bezwładne ciała zwierząt.

— Czy już pan coś wie na ten temat, doktorze Cronin? — spytała Patrycja.

- Tak... konie zostały otrute.
- Otrute? — wyszeptła Patrycja.
- Jak to się stało? — spytał cicho Miguel.
- To wina monensinu.

— Co takiego? — krzyknął Edgar, jego twarz poczerwieniała z gniewu. — Zawsze trzymamy oddzielnie karmę dla kurcząt.

— Doktorze Cronin — odezwała się Patrycja — nic z tego nie rozumiem.

— Monensin, panno Dennison, to antybiotyk używany jako jeden ze składników karmy dla drobiu i bydła. Jest natomiast bardzo toksyczny dla koni. Oczywiście dano im to przez pomyłkę.

Edgar nie przestawał się wściekać.

— Nie, na Boga! Nie! To niemożliwe!

— Ale może — odezwała się Patrycja — po pożarze karmy się pomieszały...

— Niemożliwe! Sam to sprawdzałem — upierał się zagniewany zarządca.

— Edgarze, uspokój się, proszę... To nie twoja wina.

Edgar gwałtownie odszedł i zachrypłym głosem zaczął wydawać polecenia mężczyznom, którzy palili końskie ciała.

Patrycja z trudem przełykała ślinę, patrząc na zwłoki Misty'ego.

— Miguelu, myślisz, że powinniśmy czekać? Może Laura chciałaby tu teraz być...

— Masz rację, Patrizio. Może tak rzeczywiście jest.

To powiedziawszy, Miguel się schylił i uniósł górną wargę konia.

Oczy Patrycji rozszerzyły się ze zdumieniem. Więc to rzeczywiście tam było — tatuaż klubu jeździeckiego. U65-82551.

## ROZDZIAŁ 22

### Nowy Jork

Laura Simpson siedziała za barierką dla świadków. Jej powierzchowność bardzo się różniła od jej zwykłego image. Ubrana była w kwiecistą suknię o intensywnym wzorze ze skomponowanych ze sobą róż i kwiatów bzu. Włosy miała umyte i porządnie uczesane. Ręce trzymała splecione skromnie na kolanach.

— Panno Simpson, chciałbym pani podziękować za przybycie dziś do sądu, by świadczyć na rzecz panny Dennison zaczął Howie.

Laura się uśmiechnęła do niego tak, jak gdyby przyście do sądu było dla niej rzeczą zupełnie oczywistą, nie wymagającą żadnych wyrazów wdzięczności.

— Jestem szczęśliwa, że mogę to zrobić. Patrycja to moja najlepsza przyjaciółka.

— I teraz właśnie przyjaciele są jej potrzebni mruknął niedosłyszalnie Howie, po czym odchrząknął, podszedł do stołu i napełnił szklankę wodą. Spojrzał na Patrycję siedzącą ze spuszczoną głową. Miguel zajmował miejsce zaraz za nią i nie spuszczał oka z dziewczyny. Howie pociągnął łyk wody i zwrócił się znowu do Laury.

— Panno Simpson, chciałbym zadać pani kilka pytań na temat zachowania pani przyjaciółki w pewnych szczególnie trudnych momentach.

Laura wygładziła sukienkę na kolanach.

— Jestem gotowa, panie Binder.

— Gdy różany ogród Patrycji został w tajemniczy sposób zniszczony, była pani przy niej, prawda?



- Tak.
- Czy Patrycja kochała ten ogród?
- Tak — odparła Laura, skinąwszy głową.
- À propos, większość tych róż wysyłano do szpitali i domów opieki, czyż nie tak?
- Tak.
- Jaka była jej reakcja, gdy się dowiedziała, że z takim trudem i starannością pielęgnowany ogród został zniszczony?
- Bardzo płakała.
- To normalna reakcja, nie sądzi pani, panno Simpson?
- Tak też uważam.
- Czy nie stało się nic bardziej dramatycznego?
- Co ma pan na myśli?
- Nie miała załamania nerwowego, prawda?
- Nie, nie miała.
- Czy była pani z nią także, gdy spłonął magazyn do przechowywania siana?
- Tak.
- To musiała być straszna katastrofa — Howie jak gdyby mówił sam do siebie. — Zarządca, Edgar, został poważnie ranny... Jak zareagowała wówczas moja klientka?
- Była bardzo przygnębiona.
- Czy proponowała jej pani, by pojechała do sanatorium?
- Cóż, czułam, że potrzebuje pomocy. Bałam się, że...
- Że to straszne wydarzenie mogłoby ją rozbić psychicznie? Smith podniósł się z miejsca.
- Wysoki Sądzie, pan Binder naprowadza świadka. Sędzia spojrzął ponad szklami okularów.
- Proszę inaczej sformułować pytanie, panie Binder.
- Czy wyglądała na osobę wyprowadzoną z równowagi psychicznej?
- Bardzo płakała, ale byłam przy niej cały czas i podałam jej środki uspokajające...
- Nie potrzebowała jednak opieki psychiatrycznej?
- Nie.

Miguel słuchał tego wszystkiego ze wzrastającym niepokojem. Patrycja nie powiedziała mu nic o pożarze. Była zbyt taktowna; wiedziała, że jego ojciec jest umierający i nie chciała niczego dodawać do jego własnych problemów. Spojrzał na szczupłe ramiona Patrycji, teraz lekko pochylone do przodu, jak gdyby spoczywał na nich jakiś ciężar. „O moja kochana, to źle, że nic mi nie powiedziałaś, chcę przecież dzielić z tobą wszystko”.

— Później na farmie wydarzyło się następne nieszczęście?

Laura spuściła głowę i westchnęła.

— Tak.

— Konie, które Patrycja Dennison kochała i opiekowała się nimi z wyjątkową starannością, zostały otrute, prawda?

— Tak.

Howie zbliżył się do Laury, oparł obydwie dłonie na barierce i spojrzął kobiecie prosto w twarz.

— Czy nie zdziwiło to pani, że w tak krótkim czasie wydarzyło się aż tyle nieszczęść i to jedno po drugim?

— Było mi bardzo żal Patrycji.

— To oczywiste. Aż tyle katastrof w tak krótkim czasie! Żaden człowiek nie mógłby się z tym pogodzić.

Laura nic nie odpowiedziała.

— Jak panna Dennison zareagowała na śmierć koni?

— Nie było mnie wtedy na farmie. Wyjechałam na weekend.

— Proszę na nią spojrzeć — Howie się odwrócił i wskazał Patrycję. — Ta oto kobieta przeżyła nieszczęścia, które mogłyby załamać nawet bardzo silną osobę, a teraz siedzi tutaj w pełni władz umysłowych, gotowa bronić swoich praw.

— Wysoki Sądzie... — Smith poderwał się z miejsca. — Czy pan Binder ma zamiar wygłaszać przemówienie, czy przesłuchiwać świadka?

— Jestem tu, aby wygrać tę sprawę, Wysoki Sądzie.

Sędzia zmarszczył brwi.

— Proszę dalej się zajmować świadkiem.

Howie bawił się przez chwilę szelkami i podniósł w górę oczy, jak gdyby prosząc niebiosy o natchnienie. Z wciąż odchylną do tyłu głową, zapytał:

— Czy wie pani, panno Simpson, że konie zostały otrute monensinem?

— Tak.

— Czy wie pani, co to jest monensin?

— To jakiś antybiotyk.

— Odpowiedni dla kurczaków, ale toksyczny dla koni, prawda?

— Tak właśnie słyszałam.

— Hmm... Jak się mógł dostać do paszy dla koni? Co pani o tym sądzi?

— Bóg jeden to może wiedzieć.

Howie potrząsnął głową i mruknął:

— Jedno nieszczęście po drugim... Każde gorsze od poprzedniego...

Stenografista podniósł rękę.

— Proszę mówić głośniejsze, panie Binder.

— I dochodzi już do konkluzji — upomniał sędzia.

— Konkluzja brzmi następująco — odezwał się Howie mocnym, czyrym głosem: — Wszystko wygląda tak, jak gdyby ktoś próbował doprowadzić Patrycję Dennison do szaleństwa. Kto miałby po temu motyw?

Na sali rozpraw zaległa cisza.

— Jakich miała wrogów, panno Simpson?

— Nigdy nie słyszałam o wrogach Patrycji.

— Proszę się zastanowić, panno Simpson... Komu mogło zależeć na zniszczeniu kondycji psychicznej mojej klientki?

— Nie wiem.

— Nie wie pani?

— Nie.

— Ależ z pewnością potrafi pani zgadnąć.

Smith znowu poderwał się z miejsca.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie, to jest zadreęczanie świadka.

Howie obrócił się dookoła.

— Ale to jest mój świadek.

— Czuję się dotknięty... no... — jąkał się Smith — żaden świadek nie może być źle traktowany.

Sędzia uderzył młotkiem w stół.

— Sprzeciw podtrzymany.

Smith i opiekunowie Patrycji szeptali jakiś czas między sobą. Patrycja, sama przy stole dla pozwanego, spojrzała przez ramię na Miguela. Jego oczy napotkały jej wzrok i uśmiechnął się do dziewczyny, dodając jej otuchy.

Howie ponownie napełnił swoją szklankę wodą.

— Przepraszam, panno Simpson... — łyknął trochę wody — zdaję sobie sprawę, że dla pani również była to straszliwa tragedia. Pani własny koń, Misty, także został otruty, nieprawdaż?

— Tak — odpowiedziała Laura.

— To musi być straszne przeżycie stracie ukochanego konia.

Laura skinęła głową, na jej twarzy odmalował się ból.

— Rozumiem, że wychowywała pani tego konia?

— Tak... Kupiłam go, gdy był jeszcze źrebakiem, na prezent dla mojego syna Roberta — mówiła cicho Laura. Obydwaj rośli razem. Bobby nauczył się jeździć na Mistym... Później mój syn zmarł... — łzy spływały kobiecie po policzkach.

Nagle wtrącił się sędzia.

— Panie Binder, to bardzo wzruszające, ale jaki to ma związek ze sprawą?

— Próbuje właśnie pokazać, jaką tragedią jest strata ukochanego konia... Panna Dennison straciła ich aż dwanaście.

— Dobrze, proszę kontynuować.

Howie wyciągnął z kieszeni dużą, białą chustkę i podał Laurze.

— Proszę mówić dalej, panno Simpson, i opowiedzieć sądowi, czym była dla pani strata Misty'ego.

— Misty był wszystkim, co pozostało mi po synu — Laura otarła oczy chustką, po czym głośno wydmuchała nos. — Moją jedyną radością było spacerowanie z nim wokół farmy i myślenie o Bobbym — kobieta znowu wybuchnęła płaczem.

Twarz Howiego wyrażała wielkie współczucie.

— Tak... rozumiem, co pani czuje. Koń wyścigowy tej klasy zasługiwał na lepszy koniec.

Laura popatrzyła na niego przez łzy.

- To nie był koń wyścigowy.
- Nie?
- Przecież już panu mówiłam... Należał do naszej rodziny.
- Mój błąd. Ale czyż Misty nie miał numerów wytatuowanych na górnej wardze?
- O czym pan mówi?
- Howie wydawał się lekko zdziwiony.
- Czyż nie tak?
- Oczywiście, że nie — powiedziała Laura, jak gdyby była to odpowiedź na pytanie głupiutkiego dziecka.
- W takim razie przepraszam — powiedział Howie oddalając się. Po chwili jednak się odwrócił. Ale gdyby mimo wszystko miał numery wytatuowane po wewnętrznej stronie górnej wargi, czy wie pani, co by to oznaczało?
- Smith poderwał się z krzesła.
- Przysłuchiwaliśmy się z wielką cierpliwością, obserwując jak pan Binder przeskakuje z tematu na temat, oddalając się coraz bardziej od zasadniczej kwestii, którą jesteśmy wszyscy zainteresowani.
- Sędzia popatrzył na Howiego.
- Pan nadużywa cierpliwości sądu.
- Uprzejmie proszę, Wysoki Sądzie, o jeszcze jedną minutę.
- Tylko jedną minutę — odparł stanowczo sędzia.
- Wysoki Sądzie, każdy koń przed swoim pierwszym biegiem zostaje oznaczony tatuażem wykonywanym po wewnętrznej stronie górnej wargi. Jest to numer ewidencyjny, używany przez klub jeździecki. Losy takiego konia do chwili śmierci są zapisywane w kartotece klubu pod odpowiednim numerem...
- Pański czas prawie się wyczerpał — przerwał sędzia.
- Howie wyciągnął plik papierów z leżącej na stole sterty.
- Oto mam przed sobą zaświadczenie podpisane przez weterynarza okręgowego Orange County. Stwierdza w nim, iż koń, zwany Misty, został oznaczony numerem U65-82551 wytatuowanym na jego górnej wardze. — Laura patrzyła na niego ze zdziwieniem, gdy Howie ciągnął dalej:

— Z kartoteki klubu jeździeckiego dowiadujemy się, iż był to bardzo dobry koń wyścigowy, może nie miał rewelacyjnych osiągnięć, w każdym razie zajął trzecie miejsce w Rozgrywkach Pucharowych w Santa Anita w 1968...

Twarz Smitha była czerwona z gniewu.

— Co wspólne mają te nieistotne stwierdzenia z tą sprawą?

— Powiem panu, panie Smith! — Howie przemierzył salę i zamachał papierami przed stołem powodów. — Właścicielem Misty'ego nie była Laura Simpson, lecz... — wskazał oskarżycielsko na opiekunów — ...pan Robert Ash!

— Ja... Nie wiem, o czym ten człowiek mówi — plątał się Ash.

Nie zwracając na niego uwagi, Howie kontynuował:

— Biedny leżący w grobie Misty jest dowodem na to, iż Laura Simpson została zatrudniona przez opiekunów Patrycji Dennison do odgrywania roli s z p i e g a .

Bob Ash poderwał się z miejsca.

— Ależ nie była żadnym szpiegiem, po prostu miała ochraniać Patrycję.

Sędzia uderzył młotkiem w stół.

— Nie ma pan teraz głosu, panie Ash.

Coleman, któremu z irytacji drżały podbródki, położył uspokajająco dłoń na ramieniu Asha. Rosemont siedział z rozchylonymi ustami.

Howie nie przestawał mówić, jego głos teraz grzmiał:

— Chronić Patrycję? Była tam, by n i s z c z y ć Patrycję: podawać jej pigułki, aranżować katastrofy.

— To nieprawda! — zaprotestowała Laura.

Wyciągając palce w jej stronę, Howie ryknął:

— To p a n i wpuściła mszyce i zniszczyła ogród różany!

— Nie!

— To p a n i podłożyła ogień pod stodołę i omal nie doprowadziła człowieka do śmierci!

— Nie!

Zbliżył do niej twarz i syknął:

- I to p a n i otruła te wszystkie konie, łącznie z Mistym.
- Nie! Nie!
- Nie, panno Simpson?
- Howie podszedł do stołu i sięgnął po swoją teczkę. Wyciągnął z niej plastikową torbę pełną małych, brązowych granulek.
- Wysoki Sądzie, oto jest karma dla kurcząt. Używa się jej do tuczenia ptaków. Ale, jak się dowiedzieliśmy, zawiera ona monensin, który nawet w znikomych ilościach jest śmiertcioną trucizną dla koni.
- Howie zbliżył się do Laury, trzymając plastikową torebkę w dwóch palcach.
- Ta oto torba z trucizną została znaleziona w pani samochodzie, panno Simpson.
- O czym pan mówi? — Laura cała się trzęsła.
- Mam czterech świadków, którzy w każdej chwili mogą potwierdzić, że to pochodzi z pani wozu.
- To... to... nie może być prawda.
- Ale to j e s t prawda.
- Sędzia uderzył młotkiem w stół.
- Więc twierdzi pan, że ten świadek otruł konie?
- Tak właśnie twierdzą. Poza tym mogę z całą pewnością powiedzieć, że ta kobieta zrobiła to z jednego powodu: by załamać nerwowo moją klientkę! Ale ta subtelna, młoda dziewczyna wszystkiemu stawiała czoło — odwrócił się dookoła i popatrzył na Laurę — sprawiła, że pani usilne dążenia, panno Simpson, by doprowadzić ją do szaleństwa, spaliły na panewce.
- Oczy Laury patrzyły bezmyślnie przed siebie.
- Robiłam tylko to, za co mi płacono — powiedziała słabym głosem.
- Na tym skończyłem, Wysoki Sądzie.
- Sędzia zdjął okulary i popatrzył ze swojego podwyższenia na Smitha.
- Teraz pan może przesłuchać świadka.
- Smith szeptał przez chwilę niespokojnie z Colemanem. W końcu podniósł głowę.

— Nie mam pytań — powiedział niskim głosem.

— Właściwa decyzja — odparł ponuro sędzia, po czym zwrócił się do Laury ze zdegustowanym wyrazem twarzy. — Świadek jest wolny.

Laura podniosła się chwiejnie. Jej oczy zdawały się na nikogo nie patrzeć, gdy opuszczała salę rozpraw. Sędzia pochylił się nad stołem i zwrócił do powodów.

— Zostały tu wysunięte zarzuty bardzo poważnych zbrodni. Jeżeli mają one zostać obalone, muszę was ostrzec, panowie, iż od tej chwili wszystko, co powiecie, może być użyte przeciwko wam w procesie karnym.

— Mam już dosyć — powiedział słabym głosem Smith.

Sędzia uderzył młotkiem.

— Sąd odracza obrady. — Po tych słowach wstał i wyszedł.

Howie zwrócił się do Patrycji.

— Wygraliśmy — powiedział radośnie.

— Dziękuję — odpowiedziała dziewczyna z roztargnieniem. Obserwowała, jak opiekunowie umykają chyłkiem z sali rozpraw. Na czele szedł Rosemont, wyraźnie pragnąc jak najszybciej opuścić miejsce zbrodni. Za nim kroczył Ash, zapewne nieświadomy, że cały czas ściska gumową piłkę. Na końcu zaś posuwał się chwiejnie Coleman, wyglądając jak opróżniony do połowy balon, z którego gwałtownie ucieka powietrze. Wydawał się znacznie mniejszy, skurczony, rozpaczliwie próbujący przywrócić swojej postaci dawną godność.

Patrycja poczuła na barkach czyjeś ramię, a jej oczy napotkały ciepłe spojrzenie Miguela.

— Już po wszystkim — powiedział cicho.

Ukryła twarz na jego ramieniu.

— Och, Miguelu, nie wiem, jak mam to wyrazić, ile dla mnie znaczy, że tu jesteś.

— Cii, powiesz mi przy lunchu... Zabieram cię w miejsce, gdzie zakochałem się w tobie, wcale o tym nie wiedząc — przytulił ją mocno do siebie.

— No, już wystarczy, zakochane gołąbki — Howie zamasyżuje zmiótł ze stołu wszystkie papiery i schował je do teczki. — Pani Sperber czeka



na nas na Wall Street. Mamy jeszcze coś do zrobienia.

Miguel rzucił Patrycji zdziwione spojrzenie.

— To nie potrwa zbyt długo — powiedziała usprawiedliwiająco.

— Chodźmy! — zawołał Howie. — Musimy umieścić te kreatury z dała od Grupy Stonehama... Pani Sperber ma już gotowe wszystkie konieczne nakazy.

Prywatna winda dowiozła ich do pokoju konferencyjnego. Pani Sperber z szerokim uśmiechem na twarzy wstała zza sterty papierów. Podeszła bliżej i wyciągnęła ramiona. Jej oczy błyszczały.

— Moja droga — zaczęła; po chwili z braku słów objęła po prostu niezręcznie Patrycję. Zawstydzona, opanowała się w końcu. — Gratuluję — powiedziała już bardziej powściągliwie.

— Pani Sperber, chciałabym przedstawić pani Miguela Cardigę.

Obydwoje mocno uścisnęli sobie dłonie, pani Sperber uśmiechnęła się wręcz nieśmiało.

— Ach tak, Miguel, bardzo dużo o panu słyszałam... i wcale panu nie powiem od kogo.

— Nie jestem pewien, czy pani prawi mi komplementy... czy też mnie obraża — Miguel uśmiechnął się przebiegle, odsłaniając proste, białe zęby.

Patrycja jeszcze nigdy nie widziała pani Sperber tak ożywionej i rozmownej.

— Howie... Jestem z ciebie taka dumna — powiedziała siwowłosa pani mecenas. — Doprowadziłeś sprawę do końca akurat w porze lunchu — wskazała na stół zastawiony kanapkami i kawą.

— Cóż, szczerze mówiąc — odezwał się Howie — myślałem, że uda mi się to załatwić już w porze śniadania.

— Jak to się dzieje, że tak nieduży człowiek może mieć tak silną osobowość — zazartowała pani Sperber.

Patrycja spróbowała przekrzyczeć śmiech pozostałych.

— Nie zostaniemy na lunch. Miguel zabiera mnie do...  
— Ależ, moja droga! — głos pani Sperber wyrażał zdumienie. — Tymczasowy zarząd firmy jest już w drodze... Musimy wybrać nowego prezidenta korporacji... wskazać nowych opiekunów...

Patrycja rzuciła Miguelowi szybkie spojrzenie. Ścisnął jej rękę.

— Niech to pozostanie pani zadaniem.

Howie zaczął już pożerać kanapkę.

— To jedna z moich najłatwiejszych spraw... i całe uznanie należy się pogromcy byków — poklepał Miguela po plecach. Gdy odkrył pan ten tatuaż, wszystko było już jasne.

Miguel szeroko się uśmiechnął.

— Gdy będzie pan miał kolejną sprawę związaną z końmi, proszę do mnie zatelefonować.

— Ależ my mamy następną sprawę — wtrąciła się pani Sperber. — Proces karny.

Howie wziął do ust ostatni kęs kanapki, po czym potarł chude ręce.

— Już nie mogę się doczekać wizyty u prokuratora dziś po południu. Ależ będę miał zabawę z tymi trzema jo-jo w sprawie karnej.

— Nie, Howie — odezwała się stanowczo Patrycja.

— Hm? — popatrzył na nią.

— Nie wniosę tego oskarżenia.

— Mówisz poważnie?

— Tak. Daj sobie z tym spokój. Nie mam zamiaru przechodzić przez to wszystko jeszcze raz.

— Ależ Patrycjo... — zaczęła pani Sperber.

— Proszę. Chcę, aby się to już skończyło raz na zawsze. Znam ich wszystkich od czasów, gdy byłam jeszcze dzieckiem.... Teraz, po wygraniu procesu, jest mi ich żal. Chciałabym o tym zapomnieć.

— Nie rozumiem cię. — Howie sięgnął po następną kanapkę. — Po tym wszystkim co zrobili?

— Panie Binder — wtrącił Miguel — nie zna pan Patrycji. Ona współczuje każdej istocie.

Howie westchnął z niedowierzaniem.

— Usłuchałbym jej, gdybym był na pana miejscu — dodał Miguel.

Patrycja popatrzyła na niego z wdzięcznością. Nie chciała się kłócić ze swymi sprzymierzeńcami — tak bardzo była tym wszystkim zmęczona.

Howie i pani Sperber wymienili spojrzenia.

— Rozumiem, że zostaję wykluczony — Howie nie przestawał przeżuwać — ale nie będziesz mi miała za złe, Patrycyjo, jeżeli nie obwieszczę im jeszcze tych dobrych nowin? Z obawy przed groźącym procesem karnym podpiszą wszelkie rezygnacje i ustępstwa, jakie im podsunę.

Patrycja westchnęła.

— Co o tym sądzisz, kochanie? — spytała pani Sperber.

— Jest tylko jedna rzecz, której nie rozumiem. Dlaczego? Mieli tyle pieniędzy, tak ogromną siłę. Więc dlaczego?

Howie pochylił się do przodu i z pełnymi ustami wyszeptał prosto do ucha Patrycji:

— To żądza.

Miguel siedział cicho, sącząc kawę i próbował nadażyć za tokiem rozmowy, ale bez większego rezultatu. Dochody... odpowiedzialność prawna... restrukturyzacja... dywidendy... zasadnicze udoskonalenia... reinwestycje... Od czasu do czasu Patrycja rzucała jakieś nowe pomysły, które, jak się zdawało, robiły wrażenie na Howiem i pani Sperber. Był z niej dumny, ale to wszystko brzmiało dla niego tak dziwnie. Dobrze władał angielskim, ale w towarzystwie tych ludzi czuł się jak nieporadny obcokrajowiec.

Cicho, nie będąc zauważonym, wysliznął się z pokoju konferencyjnego do gabinetu Patrycji. Podniósł telefon i zamówił rozmowę z Lizboną.

— Emilio?

— Miguel... Znalazłeś czas, żeby zadzwonić do starego przyjaciela? Coś nie w porządku?

— Jaki jest rozkład rozgrywek przed finałami w Lizbonie?

— Hm... Nie będziesz w stanie wystąpić w tej corridzie.

— Dlaczego nie? Mam jeszcze całe sześć tygodni... Mogę zdobyć wszystkie trzy kwalifikacje.

— Ale ominąłeś dwie kolejki, gdy Paulo był chory, i następne dwie, gdy siedziałeś w więzieniu. Zostały jeszcze trzy do rozgrywek finałowych... i nie będzie cię przecież tutaj, by wziąć w jednej z nich udział podczas tego weekendu.

— Tak, będę.

— Będziesz? Ale w jaki sposób możesz...

— Nie spieraj się. Po prostu wszystko przygotuj.

— Okay, okay. Twój pokorny sługa o wszystko się zatroszczy.

Miguel nie miał pojęcia, dlaczego był tak gwałtowny w rozmowie z Emiliem. Kusiło go, żeby jeszcze raz zatelefonować do przyjaciela, ale nie zrobił tego.

Przez na wpół uchylone drzwi zająrzył do pokoju konferencyjnego. Wchodziła doń właśnie grupa mężczyzn w garniturach. Musiała to być rada nadzorcza. Nie miał z tymi ludźmi nic wspólnego. Może powinien odejść. Tak, tak będzie najlepiej — wróci na farmę i tam zaczeka na Patrycję. Na grzbiecie Harpala będzie się czuł znacznie lepiej. Szybko napisał do Patrycji kartkę i poprosił sekretarkę, aby ją oddała. Patrycja na pewno go zrozumie.

## Stone Ridge

Ale Patrycja nie rozumiała. Wcisnęła się w sam róg siedzenia w samochodzie, zupełnie wyczerpana. Jakie straszne były te ostatnie dwa tygodnie. Teraz było już po wszystkim i tęskniła za odpoczynkiem w uspokajających ramionach Miguela. Dlaczego na nią nie czekał?

No tak, oczywiście, był pewnie znudzony i chciał po prostu wskoczyć na konia i wybrać się na przejażdżkę. Powinna popatrzeć na to z jego punktu widzenia. Nie może myśleć tylko o sobie...

Gdy samochód wjeżdżał w drogę prowadzącą na farmę, Patrycja zdołała się uspokoić.

Wokół wszystko wyglądało tak spokojnie. Konie beztrąsko skubały trawę na pastwiskach. Popołudniowe słońce rzucało na pola blask. Kopyta już zabrano; uprzątnięto pozostałości po kremacji koni. W przepięknym świetle zachodzącego słońca wydawało się, że to, co się stało, było tylko złym snem.

Edgar stał na zewnątrz przy nowym magazynie pasz, nadzorując mężczyzn, którzy rozładowywali ciężarówkę z sianem. Pomachał do niej.

— Gdzie pan Cardiga? — zawołała z samochodu Patrycja.

— W lesie... Dopiero co pojechał — odkrzyknął Edgar.

Uśmiechnęła się. To rzeczywiście cudowny letni wieczór, wprost wymarzony na przejażdżkę, pomyślała. Na pewno go dogoni. Ale gdy samochód zatrzymał się przed głównym wejściem, uśmiech zniknął z jej twarzy. Na podjeździe stał duży samochód Laury, jego silnik pracował i tylne drzwi były otwarte. Patrycja mimowolnie zadrżała. Nie mogłaby teraz stanąć z tą kobietą twarzą w twarz. Oddaliła kierowcę i weszła do domu kuchennymi drzwiami, by uniknąć niezręcznego spotkania.

Wewnątrz z filiżanką kawy w ręce stała Concha.

— Concha! Wróciłaś! — Patrycja podbiegła i objęła Meksykankę.

— Proszę uważać, sparzy się panienka — zaśmiała się Concha, stawiając filiżankę na stole.

— Tak się cieszę, że cię widzę.

— Pani wysłała dużą paczkę dla chorej siostry.

— Och, cieszę się, że ją dostałaś.

— Ale ja nie mam siostry. Ośmiu braci. Myślę sobie: niedobrze. Pani Simpson mówić, że pani w Szwajcarii... Mówić, że pani da znać, kiedy wróci. Ale kiedy paczka przychodzi do chorej siostry, myślę sobie: niedobrze.

Patrycja jeszcze raz przytuliła gospodynię.

— Bardzo za tobą tęskniłam, Concha.

— Edgar mi wszystko opowiedzieć — Concha wskazała głową w stronę pokoju Laury. — *iMucha malicia!* — Concha splunęła.

Patrycja w milczeniu skinęła głową. Usiadła przy stole i bez słowa zaczęła sączyć kawę. Ciężko było przyjąć wszystko, co się stało w ciągu ostatniej doby. Najgorszą rzeczą była zdrada Laury. Przez ponad rok Patrycja zwierzała jej swoje najskrytsze uczucia, uważając Laurę za swoją najbliższą przyjaciółkę. Jak mogła tak łatwo dać się wyprowadzić w pole? Jak mogła być taka głupia? Ale myśl o udawanym uczuciu Laury do Misty'ego złościła Patrycję bardziej niż cokolwiek. Nagle usłyszała nad głową czyjeś kroki. Wbrew sobie poczuła, że chce jeszcze raz spojrzeć w twarz kobiecie, która ją tak niecznie zdradziła.

Gdy weszła do salonu, Laura schodziła właśnie ze schodów, dźwigając dwie walizki. Jej włosy były zmierzwione i brudne, oczy mętne i zapuchnięte. Nie ulegało wątpliwości, że piła. Gdy doszła do wyjścia, zauważyła Patrycję i parsknęła pogardliwie. Kopnęła uchylone drzwi. Otworzyły się gwałtownie, po czym zaspężynowały i cofając się wytrąciły Laurze z ręki jedną walizkę.

Patrycja się nie poruszyła.

Laura z czerwoną twarzą podniosła z wysiłkiem walizkę.

— Na co się tak, do kurwy nędzy, gapisz?

Patrycja nie odpowiedziała.

— Cieszę się, że wreszcie stąd wyjeżdżam. Ty i twoje pierdolone problemy: mała, bogata dziewczynka! Biedactwo nie wie, co ma zrobić z pieniędzmi!

Patrycja czuła się dziwnie nieporuszona jej jadem. Łzy spływały teraz po policzkach Laury.

— No już, wsadź mnie teraz do więzienia. Masz wystarczająco dużo pieniędzy, żeby to zrobić. Więzienie nie może być gorsze niż ten dom.

Patrycja wciąż stała bez słowa. Obserwowała biernie, jak Laura opuszcza gwałtownie dom. Nie poruszyła się, dopóki tylne światła samochodu nie zniknęły za zakrętem.

## ROZDZIAŁ 23

### Stone Ridge

Tej nocy Patrycja spała niespokojnie. Wciąż się budziła, żeby sprawdzić, czy Miguel rzeczywiście leży obok. I był przy niej, trzymał w ramionach, kołysał jak małe dziecko, gładził po włosach, pieścił całe jej ciało, dopóki znowu nie zapadła w sen.

Och, jakże była wdzięczna, że jest z nią tutaj. Przyjechał właśnie wtedy, gdy najbardziej go potrzebowała. Bez niego nigdy nie pogodziłaby się z utratą aż tylu starych koni. Bez niego znowu znalazłaby się teraz w okratowanym pokoju w Lozannie, w którym ze ściany zdjęto by nawet lustro.

Gdy obudziły ją wpadające do pokoju promienie słońca, była sama. W panice narzuciła na siebie ubranie i zbiegła na dół.

— Gdzie pan Cardiga? — spytała Conche, próbując ukryć zniecierpliwienie, z jakim czekała na odpowiedź.

— Przy koniach... A pani musi najpierw coś zjeść.

Mimo protestów Conchy Patrycja wybiegła z kuchni.

W stajni Miguel rozmawiał z Edgarem; obok czekały osiodłane konie: Sport i Harpalo.

Nie zwracając uwagi na Edgara, Patrycja zarzuciła Miguelowi ręce na szyję i obsypała go pocałunkami.

Edgar, mrużąc coś o instalacjach wodnych, wyszedł ze stajni.

— Hej, opanuj się — roześmiał się Miguel.

Jeszcze raz mocno go przytuliła, po czym odsunęła się od niego ze śmiechem.

— Czy masz świadomość, że to jest to samo miejsce, gdzie rok temu cię odepchnęłam?

— W takim razie zburzymy stajnię i w tym miejscu wybudujemy świątynię.

Podniósł ją i wsadził na grzbiet Sporta, po czym sam dosiadł Harpala.

— Gotowa?

— Tak, szefie. Dokąd?

— Tam, gdzie byłem wczoraj wieczorem — powiedział tajemniczo. — Po prostu jedź za mną.

Odgadnięcie, dokąd ją prowadził, nie zajęło Patrycji wiele czasu. Jechali w stronę lasu, gdzie kiedyś tak często prowadzili wspólne rozmowy.

— Myślisz, że te tysiące par oczu pamiętają, kiedy byliśmy tu ostatnio? — spytał Miguel.

— Tak — odparła, zsiadając z konia — rozmawiajmy cicho, żeby się nie dowiedziały, że to właśnie tutaj wybudujemy amerykańską filię Centro Equestre da Cardiga.

Miguel nie zareagował.

— Och, Miguelu... Zabieramy się za to od zaraz.

— Ale ty nie możesz.

— Co masz na myśli?

— Przysłuchiwałem się wczoraj twojej rozmowie... Wizyty w fabrykach, rewizje ksiąg, naprawianie błędów poprzedniego kierownictwa... Najpierw tym musisz się zająć.

— Tak, ale ty mi przecież pomożesz.

— Nie, Patrizio... Ja też mam sprawy, którymi muszę się zająć.

— O czym ty mówisz, Miguelu? — zaczynał ogarniać ją lęk.

— Czas jest przeciwko mnie. Opuściłem cztery walki byków, a już za sześć tygodni odbędzie się mój występ w Lizbonie.

Patrycja poczuła przykry ucisk w dole brzucha.

— Nie możesz wyjechać.

— Muszę.

— Ale ja cię potrzebuję. Jak będę mogła prowadzić całą firmę bez ciebie u swego boku?

— W ten sam sposób, w jaki ja mam zamiar pokonać te wszystkie byki bez ciebie u swego boku.



— To znaczy, że zamierzasz mnie opuścić, żeby znęcać się nad zwierzętami? — wyrzuciła z siebie.

Miguel zbladł.

— Ja nie krytykuję tego, co robisz, więc ty nie krytykuj mnie.

Dziewczyna była zdumiona stanowczością, która zabrzmiała w jego głosie.

— Przepraszam.

Miguel obserwował, jak Patrycja siłą powstrzymuje łzy.

— Patrizio, stoją przed tobą zadania, które powinnaś wykonać i wiem, że potrafisz to zrobić. Masz w sobie śmiałość i odwagę. Rozpoczęłaś walkę z opiekunami i wygrałaś.

— Ale walczyłam z nimi ze względu na ciebie. To ty dałeś mi siłę, abym mogła tego dokonać — w jej głosie brzmiała desperacja — i teraz potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek.

— Cały czas będę o tobie myślał.

— To za mało!

Miguel popatrzył na nią twardo.

— To wszystko, co mam do zaoferowania.

— To dlaczego tu tak szybko przyjechałeś?

— Muszę odpowiadać na to pytanie? — zapytał ostro.

— Nie, nie... Ja po prostu nie mogę tego powstrzymać... Pragnę cię.

— Rozumiem... Ja też cię pragnę. Ale obydwoje mamy jakieś zobowiązania.

— Do diabła ze zobowiązaniami!

— Wcale tak nie myślisz — powiedział uspokajająco — znam cię... Wyraz twoich oczu, gdy mówisz o ludziach z Nogales, ton twojego głosu, gdy przemawiasz do zwierząt, które kochasz. Bardzo wiele się od ciebie nauczyłem, Patrizio.

— Och, Miguelu — powiedziała cicho — zostań tylko na trochę... na kilka dni.

— Nie mogę... Muszę lecieć concordem jeszcze dziś po południu.

— Och, nie, nie... Proszę... — starała się, by jej głos nie wyrażał błagania — tylko jeden dzień.

Potrząsnął przecząco głową.

— Jutro będzie mi znacznie trudniej cię opuścić.

W milczeniu wrócili do stajni. Znalazłszy się w domu, Miguel szybko spakował swoją torbę. Patrycja nie zaproponowała, gdy powiedział, że sam pojedzie na lotnisko. Ich pożegnanie było bardzo sztywne. Patrycja skuliła się na tym, by zniknęła wreszcie gula, która ścisnęła jej gardło. Miguel starał się wpływać uspokajająco, obiecywał, że będzie często telefonował i malował radosny obraz ich ponownego spotkania za sześć tygodni — w dniu jego powrotu na lizbońską arenę.

Gdy odjechał, Patrycja usiadła przy oknie sypialni, obserwując zachód słońca. Nad farmą ukazały się białe smugi, pozostawione przez lecący samolot. Czy Miguel był tam, w górze, oddalając się od niej coraz bardziej?

Światło słońca zaczęło gasnąć, ale na niebie nie było jeszcze ani jednej gwiazdy. „Och, tatusiu, gdzie teraz jesteś?”

Minęły miesiące od chwili, gdy po raz ostatni prowadziła rozmowę z ojcem. Nie musiała zwracać się do niebios, kiedy była tak bardzo kochana na ziemi. Ale teraz znowu poczuła się niepewna, opuszczona.

Chciała, by tatuś przytulił ją do siebie i sprawił, że ból zniknie. Nie, nie tata. Pragnęła, by to Miguel wziął ją w ramiona i pozostał z nią już na zawsze. Ale tak niedawno powiedział jej, że znęcanie się nad bykami jest dla niego ważniejsze niż pobyt z nią. Nie mogła się z tym pogodzić — czy on ją rzeczywiście kocha?

## ROZDZIAŁ 24

### Nowy Jork

Patrycja nigdy nie pracowała na farmie tak intensywnie, jak to robiła przez ostatnie trzy tygodnie w korporacji Stonehama — był to jedyny sposób na to, by nie myśleć zbyt dużo o Miguelu. Czowała się śmiertelnie zmęczona, ale wstydziła się skarżyć komukolwiek. Pani Sperber i Howie cały czas pracowali równie ciężko jak ona, ale nigdy nie wydawali się nawet w części tak zmęczeni.

Teraz, siedząc przy dużym stole konferencyjnym z grupą nowo mianowanych dyrektorów, Patrycja ledwie słuchała raportu pani Sperber o jej niedawnej wizycie w odlewni w Ohio. Spojrzała na zegarek. Był piękny, jasny dzień. Jakże nienawidziła wszelkich narad. Może mogłaby wszystkich przeprosić i wyjść...

W tej samej chwili drzwi się gwałtownie otworzyły i wkroczył Howie. Patrycja siłą powstrzymywała wybuch śmiechu. Nie mogła uwierzyć w przemianę, jaka zaszła w jego wyglądzie. Zniknął workowaty, brązowy garnitur, wygnieciona koszula i powyciągane szelki. Zamiast nich Howie miał na sobie żywą koszulę w paski, cienki krawat w duże grochy i — czy to możliwe, jeśli chodzi o ubiór Howiego? Ubrany był w garnitur w stylowe prążki, zakupiony u projektanta! Grube szkła zostały zastąpione parą płaskich, lotniczych okularów. Czy główny radca prawny nie był więc idealnie dopasowany do megakonglomeratu, którym miał się zajmować?

— Howie, wyglądasz superelegancko — odezwała się Patrycja. Zaczerwienił się.

— Podoba ci się? Moja nowa dziewczyna ma bardzo sprecyzowane gusta.

Podszedł do szczytu stołu i podniósł w górę numer „Newsweeka”. Na okładce widniało zdjęcie Patrycji. Na sali rozległy się szepty.

Trzymając magazyn wysoko nad głową, Howie zakomunikował.

— Panie i panowie, oto następny numer „Newsweeka”, który jutro znajdzie się w rękach milionów czytelników. Jestem pewien, że rozpoznają państwo zdjęcie naszej bohaterki. Mówiąc to, Howie aż się rozpromienił.

Patrycja patrzyła w dół na swoje wilgotne i zimne dłonie, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Pozwólcie państwo, że przeczytam kilka głównych wątków tego artykułu — ciągnął Howie. Odchrząknął i tubalnym głosem, zarezerwowanym na salę rozpraw, zaczął czytać: *Rynek akcji wykazuje ostatnio falę zainteresowania Grupą Stonehama, spółką założoną czterdzieści lat temu przez J.L. Stonehama. Jej założyciel, powszechnie znany i budzący strach jako bezwzględny gracz w interesach — wykreował swoje imperium niczym odbicie własnej reputacji. Obecnie jednak jego jedyna spadkobierczyni, Patrycja Dennison, zmienia kierunki działalności spółki i powoduje na rynku ogólne poruszenie takimi wypowiedziami, jak chociażby ta z zeszłego tygodnia: Chcę, aby korporacja Stonehama była spółką prowadzoną zgodnie z sumieniem, spółką, która nie tylko dba o swych klientów i akcjonariuszy, lecz także o swych pracowników, o swoje oddziaływanie na środowisko i o swój wpływ na życie przyszłych pokoleń „.*

Patrycja poczuła, że jej twarz czerwienieje. Oczy wszystkich zgromadzonych wpatrywały się w nią z podziwem. Pani Sperber wyglądała jak kura roztkliwiająca się nad jednym ze swoich kurcząt.

Howie ciągnął dalej. W jego głosie wzrastała emfaza, a on nieświadomie naprężył szyję pod wpływem ucisku nowej koszuli.

*Mimo iż sceptycy z Wall Street przepowiadali rychły upadek Grupy Stonehama zaraz po przejściu firmy przez pannę Dennison, stało się coś wręcz przeciwnego. Informacje o zamierzeniach panny Dennison spowodowały wzrost popytu na akcje spółki wśród tych inwestorów, którzy z aplauzem przyjęli nowatorskie idee młodziutkiej spadkobierczyni. Jak to wyraził pewien przedsiębiorca zajmujący się sprawami socjalnymi w biznesie: „panna Dennison pokazała, iż troska o coś innego niż zyski przynosi profity — jeszcze większe zyski”.*

Howie doszedł do ostatniej klauzuli:

— Brawa dla wspańiałej panny Dennison!

Wszyscy wstali z miejsc, klaszcząc i rozmawiając z ożywieniem. Patrycja ze spuszczoną głową wymamrotała coś, co brzmiało jak „Dziękuję”, zamachała ręką na znak protestu i wybiegła z sali.

Znalazszy się w swoim biurze, zamknęła za sobą drzwi. Dlaczego nie potrafiła się cieszyć chwilą swojego triumfu? Do tego właśnie dążyła. Cały czas reformowała korporację z myślą o tym, by stała się dla innych przykładem do naśladowania. Dlaczego więc wydawało się to teraz takie bezwartościowe?

Wiedziała dlaczego — nie było przy niej Miguela, z którym mogłaby dzielić radość i sukces. Minął już tydzień od czasu ich ostatniej rozmowy. Próbowwała później wiele razy połączyć się z nim, ale bardzo trudno było go teraz zastać. Jeździł po prowincjonalnych miasteczkach, biorąc udział w kwalifikacjach do występu w Lizbonie. Poza tym różnica czasu również nie okazywała się pomocna.

Z drżeniem chwyciła za telefon. Podczas ostatniej rozmowy Miguel wydawał się taki chłodny, odległy, zapracowany. Oczywiście był pochłonięty tym, co robi. Nie mogła go obwiniać, ona także była zajęta. Ale jej praca w korporacji powoli zbliżała się do końca. Wkrótce pani Sperber i Howie przejmą pełną kontrolę nad Grupą Stonehama i będą ją prowadzić znacznie lepiej, niż kiedykolwiek udałoby się to Patrycji. I co stanie się potem? Czy znajdzie się dla niej miejsce w życiu Miguela? Tak bardzo

chciała mu pomóc, ale co mogła zrobić — jeździć za nim z jednej walki na drugą? Przygnębiało ją zastanawianie się nad ich przyszłością. Odwiesiła słuchawkę telefoniczną.

Wychodząc z biurowca Stonehama, zauważyła wysoką blondynkę podobną do Joanny Benson, z włosami ułożonymi tak wysoko, że musiała pochylać się przy silniejszym podmuchu wiatru. Kobieta stała obok ogromnej, białej limuzyny. O Boże — to była Joanna Benson! Patrycja chciała właśnie do niej podejść, gdy z budynku wybiegł nagle zasapany Howie.

— Kochanie! Wybacz, że kazałem ci na siebie tak długo czekać.

Joanna, przewyższająca prawnika o dobre trzydzieści centymetrów, schyliła się i pocałowała go w czoło, po czym wyprostowała jego krawat i przyglądała mu włosy.

Patrycja, ukryła się za kolumną i obserwowała całą scenę z niedowierzaniem. Joanna i Howie! Ależ to niewiarygodne!

Patrzyła, jak odjeżdżają, po czym wsiadła do oczekującego na nią kabrioletu. Kto mogły przewidzieć, że ci dwoje zwiążą się ze sobą. I wydawali się tacy szczęśliwi. Nie mogła oprzeć się uczuciu lekkiej zazdrości. Z tej pary emanowała ta szczególna intymność łącząca kiedyś ją i Miguela, bliskość, o której wiedziała, że odchodzi.

Samochód pędził wzdłuż First Avenue w kierunku tego okropnego miejsca, jakim była rezydencja przy Park Avenue, gdzie Patrycja zamieszkała czasowo ze względu na swój napięty plan. Ale przynajmniej portret J.L. Stonehama już jej wcale nie niepokoił. W jakiś sposób w ciągu ostatniego roku wyraz twarzy J.L. jakby zmiękł. Jego niebieskie oczy już nie przewierały Patrycji na wylot, a granitowe rysy wydawały się wreszcie ukształtowane w ciele, nie w kamieniu. Nawet jeśli J.L. nie zaaprobowałby kierunku, w jakim teraz rozwijała się jego korporacja, musiał być zadowolony, że posunięcia Patrycji przynoszą zyski.

Samochód zwolnił przy miasteczku ONZ-tu — grupa manifestantów wstrzymywała ruch uliczny. Kierowca odwrócił się do Patrycji.

— Chce pani to przeczekać, panno Dennison? Można też spróbować ominąć zamieszanie, jadąc przez Third Avenue. To się tak prędko nie skończy.

— Chyba pójdę pieszo.

— Ależ, panno Dennison, to jeszcze dwadzieścia przecznic.

— Potrzebuję trochę ruchu.

Gdy wysiadła, uderzyło ją bijące z chodnika gorąco. Nagle zdała sobie sprawę, ile czasu spędzała na otwartym powietrzu na farmie, a teraz w klimatyzowanych samochodach i salach konferencyjnych. Po raz pierwszy zdarzyło się, że spaceruje po mieście, a nie wysiada z samochodu przed głównym wejściem rezydencji.

Zaczęła przeciskać się między manifestantami, którzy protestowali przeciwko sposobowi traktowania Palestyńczyków na zachodnim brzegu Jordanu.

Potrącana przez tłum, szła wzdłuż First Avenue. Wiele razy wożono ją tą ulicą, ale nigdy jej tak naprawdę nie widziała. Zawsze była zajęta, czytała raporty czy słuchała muzyki.

Szła wolno, przyglądając się ludziom. Wszyscy gnali dokądś w pośpiechu, każdy poruszał się w świecie swoich własnych spraw. Chłopcy i dziewczęta, nie zwracając na siebie uwagi, pędzili w przeciwnych kierunkach w rytm muzyki odtwarzanej w ich walkmanach. Przy ścianie jednego z budynków, ignorując cały ten rwetes, siedziała bezdomna kobieta. Na jej kolanach spoczywał węzelek z rzeczami, na którego szczycie siedział mały, wyliniały pies. Nikt nie zauważał kobiety. Patrycja się zatrzymała, by pogłaskać psa i wsunęła bezdomnej dziesięciodolarowy banknot.

Idąc przed siebie, doszła do narożnego kiosku z jedzeniem, z którego unosił się intensywny zapach hot-dogów, knyszy, precli. Nie wiedziała, co to takiego knysz, kupiła więc jeden i odgryzła kawałek gorącego ciasta.

Smakowało dobrze. Szła dalej ulicą, przezuwając z zadowoleniem.

Mijając budkę z gazetami, zobaczyła, jak wyładowywano z samochodu plik magazynów. Kioskarz przeciął sznurek i rozsypały się egzemplarze „Newsweeka”. Oto wpatrywała się w nią teraz jej własna twarz.

Przypomniała sobie zdanie przeczytane przez Howiego: *troska o innych... przynosi profity...* Były to słowa Toma Keegana. To on sprawił, że zaczęła w ten sposób rozumować. I pomógł także Miguelowi. Zamierzała przesłać jego fundacji jakąś kwotę, ale przez cały ten proces i przesiadywanie w sądzie zupełnie wypadło jej to z głowy. Muszę to natychmiast zrobić, pomyślała, gdy tłum unosił ją w poprzek ulicy.

Idąc dalej, zobaczyła karetkę, która wbrew kierunkowi ruchu próbowała wywalczyć sobie drogę. Ale inne samochody nie ustępowały. Tak jakby nikt nie dbał o to, że w karetce prawdopodobnie umiera człowiek. Co za męka, żeby dotrzeć do szpitala na Manhattanie! W końcu dzięki wyciu syren karetka przedarła się przez sznur pojazdów i stanęła przed budynkami należącymi do Lenox Hills Hospital.

Lenox Hill! Może tom Keegan jest tam teraz i zajmuje się kimś bliskim śmierci.

Oczywiście było już późne popołudnie, ale mogła przynajmniej wstąpić na moment i zostawić dla niego kartkę. Czyż nie minął już prawie rok od czasu, gdy widziała go po raz ostatni? Tyle się od tamtej pory wydarzyło. Pod wpływem nagłego impulsu przecięła ulicę i weszła do szpitalnego holu.

Podeszła do recepcjonistki.

— Chciałabym zostawić wiadomość dla Toma Keegana.

— Chwileczkę — odparła wesolutka dziewczyna, wystukując coś na komputerze. — Może pani wejść na górę, pokój 602.

— No, nie... ja... — jąkała się Patrycja — chciałam tylko zostawić dla niego wiadomość.

— Przykro mi, ale niczego nie wolno mi przekazywać pacjentom.



— Ależ on jest tu lekarzem. Dziewczyna jeszcze raz popatrzyła na ekran.

— Mam tu informację, że jest pacjentem w pokoju 602. Patrycja, zdumiona, wjechała windą na szóste piętro.

Szła wzdłuż długiego, przepastnego korytarza, sprawdzając numery. Na ruchomych noszach wieziono zmizerowanego człowieka. Obok stała pielęgniarka, trzymając butelkę z kroplówką.

Patrycja zawahała się, stojąc przy drzwiach z numerem 602. Zapukała. Po chwili rozległ się stłumiony głos:

— Proszę.

Na pierwszy rzut oka sądziła, że zaszła jakaś pomyłka. Leżąca na poduszce twarz była wychudzona, zapadnięte oczy błyszczały ponuro w głębokich oczodołach. Policzki pokrywały fioletowe plamy. Mimowolnie zrobiła ruch, by odejść, ale jego wzrok trzymał ją przykutą do miejsca.

Ciszę przerwał zachrypnięty głos wydobywający się ze spierzchniętych warg chorego:

— Nigdy nie przypuszczałem, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

Patrycja nie była w stanie odpowiedzieć. Nagle poczuła, że nie utrzyma się na nogach ani chwili dłużej. Opadła na krzesło przy łóżku, potoki łez spływały jej po policzkach.

— Nie płacz — powiedział poruszając się, jak gdyby chciał jej dotknąć. Żył na jego dłoni wystawały na zewnątrz jak cienkie sznurki na tle krostowatej skóry. Pochwycił jej spojrzenie i ukrył rękę pod prześcieradłem.

— Co się stało? — spytała cicho.

Nie odpowiedział od razu, ale przez chwilę wpatrywał się w sufit.

— Kłątwa bogów — wykrzywił wargi, próbując się uśmiechnąć. — Nabyty Zespół Upośledzenia Odporności.

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

— AIDS.

— Och nie! Tom, nie ty.

Jego oczy wpatrywały się bez celu w przestrzeń.

— Jestem idealnym kandydatem.

Patrycja bez słowa wpatrywała się w jego wymizerowaną postać, okrytą wyświechtaną, białą narzutą. I nagle słowa same zaczęły jej się cisnąć do ust.

— Robiłeś samo dobro, próbowałeś pomagać innym. Pojechałeś do zapomnianej przez wszystkich części świata... Żeby ratować dotkniętych nieszczęściem, głodujących ludzi, ludzi, których wszyscy opuścili. Przez całe swoje życie nie robiłeś nic innego poza dobrem.

— To wielkie gówno.

Nie miała pewności, czy się nie przesłyszała.

— Co? — zapytała, pochylając się nad łóżkiem.

— Nienawidziłem tych pierdolonych Arabów.

Patrycja wolno się odsunęła. Była pewna, że chory bredzi.

— Jedyńm człowiekiem, któremu starałem się pomóc, byłem ja sam — mówił dalej grobowym głosem, podczas gdy jego głowa wolno zbliżyła się w jej kierunku.

— Właśnie tak było... myślałem tylko o sobie.

— Tom, proszę, nie oceniaj się tak surowo. Spędziłeś dwa lata w straszliwych warunkach, pomagając tym bezradnym ludziom.

— To bzdura.

— Jak możesz tak mówić?

Oparł znowu głowę na poduszce, zamykając na chwilę oczy.

— Patrycjo, nie zostało mi już wiele czasu, próbuję więc być uczciwy. Ale czego można oczekiwać od zwykłej cioty?

— Tom, twoje życie seksualne nie ma nic wspólnego ze wspaniałymi rzeczami, których dokonywałeś jako człowiek.

— Chciałbym być człowiekiem, za jakiego mnie uważasz — powiedział, uśmiechając się blado — ale ja byłem samolubny.

— Samolubny?

— Taak... Chciałem być wielkim białym dobroczyńcą z Park Avenue. I oto jestem — na Park Avenue — z jego gardła wydobył się zduszony śmiech, który przeszedł po chwili w kaszel. Wziął głęboki oddech i mówił dalej: — Za pieniądze ściągane ze wszystkich filantropijnych przedsięwzięć, którym patronowałaś, urządziłem sobie mnóstwo wakacji.

— Nie wierzę — szepnęła.

— Cóż, powinnaś uwierzyć. To nie czas na kłamstwa — wcisnęła się głębiej w poduszkę, zmęczony długim mówieniem.

Patrycja nie wiedziała, jak zareagować na jego wynurzenia. Gdy zmagala się z tymi myślami, drzwi pokoju otworzyły się. Weszła pielęgniarka, niosąc kroplówkę. Podłączyła rurkę do cewnika na piersi Toma i wyszła bez słowa.

— Potrzebujesz czegoś... Czy mogę ci coś przynieść, Tom? — wydusiła w końcu z siebie Patrycja.

— Taak — odparł — jeszcze kilka lat życia.

Przygryzła wargi.

— Przepraszam — jego oczy wydawały się mięknąć.

W przyływie współczucia dziewczyna pochyliła się, żeby go pocałować.

— Nie — rzucił ostro i odwrócił głowę.

— Jeszcze tu przyjdę, Tom — powiedziała i szybko wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie mogła tego dłużej wytrzymać. Przy windzie oparła się o ścianę, próbując uświadomić sobie wszystko, co zobaczyła.

Już miała nacisnąć guzik, by przywołać windę, gdy podbiegła do niej pielęgniarka, trzymając coś w dłoni.

— Doktor Keegan chciałby, aby pani to zabrała.

Patrycja spojrzała na owiniętą w brązowy papier i owiązaną sznurkiem paczuszkę. Wzięła ją bez słowa.

Trzymała paczkę niezdarnie w dłoni, gdy winda zjeżdżała na dół. W głównym holu poczuła, że musi na chwilę usiąść. Spojrzała na mały pakunek leżący na jej kolanach. Powoli, starając się nie rozedrzeć papieru, odpakowała zawiniątko. W środku znajdowało się drewniane pudełko, misternie zdobione hieroglifami. Otworzyła je i zamrugła oczami. Wewnątrz połyskiwał kopczyk brylantów. Ostrożnie wyjęła z pudełka naszyjnik, który ofiarowała szpitalowi Toma podczas obiadu wydanego w jej rezydencji w celu zwiększenia funduszu na ten zbożny cel. Pod spodem leżała kartka z krótkim tekstem:

*Przepraszam, że nie zaufałem ci aż tak, by wyznać moją tajemnicę. Wydawała się zbyt straszna, aby wydobywać ją na światło dzienne. Zabrakło mi odwagi i zraniłem cię, osobę, która najmniej na to zasługiwała. Wybacz mi, jeśli możesz.*

*Dałaś mi to kiedyś z wyrazami miłości, która jest bezcennym skarbem.*

*Teraz przyjmij to z powrotem wraz z moją miłością.*

*Tom.*

## Cartaxo, Portugalia

— Co ty tam, do cholery, dzisiaj wyprawiałeś? — krzyknął Emilio.

Miguel zbliżył się do przyjaciela. Zamyślony, nie przestawał chodzić po zakurzonej ścieżce, otaczającej przepelniony wybieg dla byków. Wewnątrz ryczały wściekle bestie.

— Słyszysz mnie, Miguelu? — Emilio poszedł za nim.

— Publiczność wydawała się zadowolona.

— Do cholery! To tylko małe prowincjonalne miasteczko, płonące żądzy zobaczenia syna samego Paula Cardigi, niezależnie od tego, jakiego on robi z siebie durnia.

Miguel rzucił przyjacielowi przez ramię zimne spojrzenie. Ale Emilio mówił jeszcze mocniejszym głosem:

— Kurewsko odważny pogromca, który nawet nie spojrzy na byka, popisując się swoim jeździectwem. Mogłeś zostać ranny.

Miguel przestał chodzić i pochylił się nad ogrodzeniem z żuźlowych bloków — w środku poruszało się bez przerwy kłębowisko falujących, czarnych ciał.

— Ale nie zostałem ranny — odpowiedział Miguel zgodnie z prawdą.

— Dzięki Ultimatowi! On jeden zwracał na wszystko uwagę.

Miguel zacisnął zęby.

— Odpieprz się! — Czego ty ode mnie chcesz?

Emilio wziął głęboki oddech.

— Chcę, żebyś postępował z bykiem tak, jak podczas treningów u mnie, gdy na twarzy twojego ojca odmalował się ten wyraz dumy z własnego syna...

— Obserwował, jak jeżdżę. Nie sędzę, żeby nawet zauważył byka.

— A dzisiaj ty nie zauważyłeś byka.

Miguel odwrócił głowę i spojrzał na przyjaciela.

— Emilio... Gdy postanowiłem, że znowu będę walczyć, myślałem, że wszystko się okaże takie jak dawniej... Ale nie ma we mnie tego, co wtedy. To uczucie... no, nie wiem... jakby odeszło.

— O kurwa! Teraz usłyszałem wszystko. To uczucie do ciebie wróci, jeśli tylko skoncentrujesz się na tym, co robisz.

Przez moment zalegało między nimi napięte milczenie.

— Miguelinho... błagam cię... Przez najbliższe kilka tygodni postaraj się na nich skoncentrować — to powiedziawszy, wskazał w dół na byki — to twoi wrogowie. Spójrz na nie, tylko czekają, żeby cię zabić. Jeden z nich pozbawił cię nogi. Chcesz, żeby jakiś inny cię wykończył?

Wzrok Miguela podążył za dłonią Emilia. Byki potrzęsały swoimi mocnymi łbami, niecierpliwie ryjąc kopytami ziemię, jak gdyby złościły się, że zamknięto je w tak małym wybiegu. Jeszcze kilka dni wcześniej nie miały prawie kontaktu z człowiekiem, wędrując swobodnie po polach. Teraz były więźniami trzymanymi w zamknięciu przed ich jedyną walką, zanim stracą życie w rzeźni.

Potężny byk odłączył się od pozostałych i podszedł do Miguela. Lekko się ślinił, z jego czarnego pyska wysunął się długi, różowy jęzor, którym byk uderzał to o jedno jaskrawe nozdrze, to o drugie. Stojąc tak, wyglądał jak olbrzymia rzeźba, popołudniowe słońce rzucało blask na jego czarne, miejscami bursztynowe rogi. W tej samej chwili zwierzę podniosło łeb w stronę Miguela i wydało z siebie długi, gardłowy ryk. Co takiego próbowało powiedzieć?

W oczach byka nie było żadnej odpowiedzi. Miały migdałowy kształt i wyglądały niczym głębokie, bezdenne studnie z odbijającymi się promieniami światła.

Nagle Miguel przypomniał sobie pewien fragment książki, którą podarowała mu kiedyś Patrycja. Świat dzieli się na zabójców i tych, którzy przed nimi uciekają, stwierdzał autor, i można ich rozróżnić po ułożeniu oczu. Uciekający mają gałki oczne oddalone od siebie, dzięki czemu mogą widzieć wszystko dookoła; oczy zabójców są ułożone bardzo blisko siebie, mogą więc wpatrywać się uważnie w uciekającą ofiarę. Człowiek ze wszystkich istot żywych ma najmniejszy rozstaw oczu.

Po raz pierwszy Miguel zauważył, że gałki oczne byka są od siebie bardzo oddalone. Stanowił ofiarę; człowiek był jego wrogiem.

Byk wciąż się wpatrywał w Miguela oskarży cielsko. Nawet nie drgnęła mu powieka. Miguel się odwrócił.

Emilio położył ramię na barkach przyjaciela.

— Co cię tak naprawdę gryzie?

Ramiona Miguela obwisły.

— Nie wiem...

— Ale ja wiem. To Patrycja. Musisz przestać muczeć żałośnie za tą dziewczyną, muczeć niczym chory cielak.

Miguel popatrzył w ziemię.

— Nie spałem zbyt dużo ostatniej nocy, po tym jak z nią rozmawiałem... Mamy tak mało wspólnego. Ona lata wszędzie swoim odrzutowcem... spotkania rady nadzorczej... fabryki... Nie chcę zostać przez to wszystko pożarty.

— Ale dlaczego masz być pożarty? Jesteś pogromcą byków!

— Tak... no wiem... Ostatniego wieczoru wydawała się taka chłodna, odległa. Miałem właśnie takie uczucie.

— Oho, znowu wracamy do uczuć!

Miguel się odwrócił.

— Ciekawe, czy ona przyjedzie w ogóle do Lizbony...

— Jak na razie, to ty nie pojedziesz nigdy do Lizbony.

Miguel nie odpowiedział. Nie potrafił wyjaśnić przyjacielowi, że to stare uczucie zniknęło dlatego, iż odeszła Patrycja? Był przekonany, że między nim a Patrycją wszystko się już skończyło.

## ROZDZIAŁ 25

### Nogales, Meksyk

Patrycja stała zawstydzona, wpatrując się w ziemię, podczas gdy ogłuszające okrzyki odbijały się po całym piętrze fabryki.

— *Gracias, Patricia; Gracias, Patricia!*

Było to zgiełkliwe spotkanie. Raphael i komitet robotników mówili jeden przez drugiego. Pragnęli usilnie pokazać jej projekty linii elektrycznej i kanalizacji, i uśmiechali się tak szeroko, że ich radość rozświetlała całe pomieszczenie.

Gdy Patrycja odchodziła, Raphael przecisnął się do niej przez tłum.

— Dziś wieczorem urządzamy wielki festyn: muzyka, jedzenie i picie... *tortillas, enchinadas, quesadillas...* — cmoknął ustami — ...jakich nigdy pani jeszcze dotąd nie jadła.

— Przykro mi Raphaelu, muszę wracać jeszcze dziś po południu.

— Ależ nie może pani tego zrobić.

Patrycja nie chciała mu wyjaśniać, jak marnie się czuła w ciągu ostatniego tygodnia i że w końcu opanowało ją śmiertelne znużenie. Zamiast tego powiedziała:

— Wszyscy czekają na mój powrót do Nowego Jorku. Muszę tam być na czas.

— Och, to bardzo źle... To będzie takie wspaniałe przyjęcie.

— Następnym razem, Raphaelu.

W jego oczach znowu pojawiły się błyski.

— Może to lepiej, że pani wyjeżdża... Nie chciałbym, aby mnie pani widziała pijanego — z jego trzewi dobył się głęboki śmiech.

- Raphaelu, zanim odjadę, czy mogę cię prosić o przysługę?
- O wszystko.
- Zaprowadź mnie do kolonii, chciałabym coś tam odszukać.
- Co takiego?
- Przekonam się, gdy to zobaczę.

Szli w dół wzgórza, w kierunku osiedla, które w środku dnia świeciło pustkami, wszyscy robotnicy byli w fabryce. Patrycja niosła dużą brązową torbę.

– Proszę mi pozwolić — powiedział Raphael, wyciągając ręce po pakunek.

– Nie, nie, to nie jest ciężkie.

Musieli zejść na skraj drogi, gdy obok nich przetaczały się dwie ciężarówki pełne żelazobetonowych bloków.

– Widzi pani, nie marnujemy czasu, właśnie zaczynamy — odezwał się Raphael.

Patrycja się uśmiechnęła i wskazała na wąską ścieżkę.

– Skręcimy tu w lewo... O ile dobrze pamiętam.

I wtedy zobaczyła to, czego szukała: chatę z rosnącą przed wejściem białą różą, którą chronił płotek z powykrzywianych gałęzi. Teraz jednak nie kwitł żaden kwiat.

Gdy podeszli bliżej, z chaty wyszła stara kobieta.

– Chciałabym z nią porozmawiać — powiedziała Patrycja do Raphaela — mógłby pan tłumaczyć?

– Oczywiście.

– *Señora* Maria! — zawołał Raphael — ma pani gościa.

Kobieta czekała, aż Patrycja do niej podejdzie.

– Mam coś dla pani — powiedziała Patrycja, podczas gdy Raphael tłumaczył jej słowa na hiszpański. Z papierowej torby dziewczyna wyciągnęła mały krzaczek róży w doniczce. Miał dwa małe pączki, gotowe zakwitnąć lada chwila.

Kobieta sięgnęła po doniczkę drżącymi rękami.

– Och, och... — nie powiedziała żadnego innego słowa, ale jej oczy mówiły, że jest to najpiękniejszy krzew różany na świecie. Po chwili uśmiechając się szeroko bezzębnymi ustami, wciągnęła Patrycję do chaty i wskazała jej miejsce na drewnianej skrzynce. Powiedziała coś po



hiszpańsku do Raphaela.

— Ona chce przygotować dla pani trochę ziołowej herbaty — Raphael przetłumaczył słowa kobiety.

— Och, nie, nie, dziękuję — zaproponowała Patrycja.

Raphael znowu zaczął wyjaśniać.

— Ona mówi, że pani nie wygląda zbyt dobrze... Pani potrzebuje tego specjalnego lekarstwa.

Patrycja czekała cierpliwie, podczas gdy stara kobieta uwijała się przy stojącym na kuchence turystycznej stalowym garnku, po czym wlała napar do wyszczerbionej ceramicznej miski i podała ją Patrycji.

Dziewczyna wzięła naczynie w obydwie dłonie i spróbowała łyk aromatycznej cieczy. Kobieta obserwowała ją z uwagą.

— *Si... si... bueno.* Pani dziecko być silny chłopiec — powiedziała.

— Co takiego? — Patrycja była pewna, że źle coś zrozumiała.

Gdy Raphael powtórzył jeszcze raz słowa, kobieta dotknęła brzucha Patrycji i kościstymi, drżącymi dłońmi potarła go kolistym ruchem.

— Och, chciałabym, żeby to była prawda — powiedziała cicho Patrycja.

Staruszka się uśmiechnęła i skinęła głową, jej oczy były pełne mądrości długiego życia.

— Pani dziecko będzie rosło wysokie i piękne jak ten krzak róży.

Patrycja, trochę nieprzytomna, dopiła napar i wstała.

— Bardzo pani dziękuję — powiedziała do kobiety.

Wychodząc z chaty nie czuła się już ani trochę zmęczona, lecz dziwnie pełna życia, jak gdyby leczniczy napój starej Meksykanki wyzwolił w niej nowe siły.

Samotnie wspięła się na wzgórze, pozostawiając Raphaela na rozmowie z rozładowującymi cegły kierowcami ciężarówek. Jej samochód czekał przed bramą fabryki. Gdy wóz już ruszył, Patrycja spostrzegła małą kapliczkę świętego Ramona, jak dawniej oświetloną wotywnymi świecami.

— Proszę się zatrzymać i zaczekać jeszcze chwilę — powiedziała do kierowcy.

Weszła do wnętrza kaplicy, wpatrując się w drżące płomyki świec.

Wiedziała, że stara kobieta się nie myliła. Teraz już rozumiała, dlaczego nie dostała miesiączki. To nie z powodu stresów, związanych z ostatnimi wydarzeniami, ale dlatego, że była w ciąży. Dziecko zostało spłodzone w kaplicy lisbońskiego więzienia.

Objęła rękami swój brzuch. „Nie obchodzi mnie, co się teraz stanie. Nawet jeśli Miguel mnie nie zechce, mam ciebie, maleństwo, do kochania. Pewnego dnia usłyszysz, jak ci robotnicy cię pozdrawiają. I zobaczysz ogród z białych róż przed murami fabryki”.

Wstała i z pudełka w rogu kaplicy wzięła nową świecę. Zapaliła ją i postawiła wraz z innymi.

## Lizbona

Miguel wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Na jego granatowym atlasowym płaszczu połyskiwał misterny złoty haft.

— To jest mi znajome — odezwał się do Emilia.

— I powinno. To ten sam płaszcz, który miałeś na sobie trzy lata temu, ale krew oczywiście sczyściłem — w oczach Emilia zapłonęły błyski rozbawienia.

Miguelowi wydawało się, że wszystko to stało się dopiero wczoraj. Oto tutaj w garderobie stał z nim jego najbliższy przyjaciel, tak jak to było owego fatalnego dnia. Wyglądził płaszcz, myśląc o tym jednym popołudniu, które tak odmieniło jego życie.

— Emilio, to dobry omen, że mam go teraz na sobie.

Rzucił ostatnie spojrzenie w lustro. We własnym odbiciu dostrzegł arogancję i hardość. Całą duszą pragnął zachować w sobie te same uczucia, na które wskazywał jego wygląd.

Bał się, że Patrycja nie przyjedzie, ale była już tu razem z tłumem oczekującym na jego wejście. Tak bardzo chciał zrobić na niej wrażenie – pokazać jej walkę w najlepszym stylu. Nie tracił nadziei, że mu się to uda.

– Pański koń jest gotowy, *senhor* Cardiga – zza drzwi dobiegł głos stajennego.

Miguel podszedł do Ultimata, którego grzywa była zapleciona i ozdobiona niebieskimi atlasowymi wstążkami dopasowanymi do płaszcza jeźdźca. Nie zwracając uwagi na przygotowane mu do pomocy złożone dłonie stajennego, Miguel lekko wskoczył na siodło.

Emilio podał mu trójrożny, płaski kapelusz, który Miguel nałożył na głowę, lekko przekrzywiając go, i mrugnął do przyjaciela. Już za chwilę zobaczy oczy Patrycji, niecierpliwie goniące za nim z widowni.

– Gdzie ją posadziłeś? – zapytał Emilia.

– Oczywiście w łoży dla gości honorowych. Powinna mieć jak najlepsze miejsce podczas swojej pierwszej walki byków.

– Jak wyglądała?

– Pięknie jak zwykle.

Koń zaczął drobić kroki na ceglanej podłodze.

– Spokojnie, Ultimato – Miguel klepnął jego gładki, łukowaty kark – już zaraz tam będziemy – po czym zwrócił się ku jasnym smugom światła, przeciskającym się przez pęknięcia w masywnych wrotach areny.

Rozległ się dźwięk trąb i drzwi się rozstały. Teraz Miguel mógł już ujrzeć tłum wypełniający widownię aż po krokwie podtrzymujące ceglane ściany. W mauretańskich łukach stały dzieci. Miguel poczuł wstrząsającą ciałem Ultimata dreszcz emocji, gdy wolnymi wymierzonymi krokami pojawili się na arenie. W tej samej chwili rozległ się ogłuszający okrzyk: „Miguelinho!”

Koń i jeździec, jak gdyby ignorując tłum, nie zmieniając kroku, doszli do samego środka areny. Stali tam bez ruchu, dopóki nie umilkły wiwaty i wszędzie nie zaległa cisza. Wtedy, podświadomie odbierając rozkaz

Miguela, Ultimato podniósł się nad ziemią i rozpoczął *capriole* — jego ciało unosiło się metr nad powierzchnią areny. Tłum zawrzał. Prawdziwy styl Cardigi.

Miguel zamaszystym ruchem zdjął z głowy kapelusz i rozpoczął kłus w stronę łoży dla honorowych gości. I Patrycja tam była, tak jak ją sobie wyobrażał. Obserwowała go nerwowo. Gdy Miguel rzucił kapelusz, wyciągnęła ręce i złapała go bez trudu. Ich oczy się spotkały na moment. Miguel uśmiechał się triumfalnie, jak gdyby mówił. „Nie martw się... Ultimato i ja zrobimy dzisiejszego popołudnia to, czego wszyscy oczekują”.

Patrycja nigdy jeszcze nie widziała, by Miguel lepiej wyglądał na koniu. Muzyka, arena, ten strój — wszystko to ukazywało jego mistrzowskie jeździectwo w nowym blasku. Razem z Ultimatem tańczyli płynnie, prezentując kolejne ruchy *haute école* z dokładnością, która zapierała dech w piersiach.

Miała ochotę wraz z innymi krzyknąć: „brawo!”, ale piękno tego, co widziała, nie pozwalało jej wydobyć z siebie ani słowa, była w stanie tylko patrzeć na arenę zamglonymi oczami.

W tej samej chwili znowu rozległ się dźwięk trąb. Koń i jeździec przemknęli wówczas do zaciemnionej części areny i stali tam spokojnie, podczas gdy na widowni zaległa cisza.

Ostry odgłos, przypominający wystrzał, odbił się w ciszy i drzwi wybiegu dla byka gwałtownie się otworzyły, odsłaniając czarny tunel. Przez chwilę panował całkowity bezruch. Po kilku sekundach złowróżbnego oczekiwania olbrzymia czarna bestia wysunęła się z rykiem z ciemności.

Początkowo obraz zasłaniały tumany kurzu, wzbudzone silnymi nogami bestii.

Gdy kurz opadł, Patrycja spostrzegła, że Miguel i Ultimato nacierają. Jeździec zamachnął się krzycząc:

— *Ehe! Ehe!*

Na razie byk jak gdyby nie zauważał konia i jeźdźca. Po chwili jednak pochylił łeb, przygotowując rogi, i zaatakował. Ręce Patrycji mimowolnie wpiły się kurczowo w apaszkę, którą miała omotaną wokół szyi.

Chciała krzyknąć, ale czuła się jak otępiała.

Ultimato puścił się do przodu i gdy byk, podążając za ruchem flagi, przebiegł obok, Miguel uniósł się w siodle i wbił ostrą włócznię w kark zwierzęcia. Koń z łatwością odskoczył w bok, z dala od niebezpieczeństwa, podczas gdy tłum głośno wyrażał swój podziw.

Byk stał zdezorientowany, potrząsając głową, jak gdyby pragnął wyrzucić z siebie włócznię. W miejscu ukłucia pojawiła się krew i zaczęła spływać po szyi zwierzęcia. Patrycja mimo woli zamknęła oczy.

Gdy znowu je otworzyła, Miguel po raz drugi prowokował byka. Dziewczyna pragnęła, aby zwierzę stało bez ruchu, przykute do swojego bezpiecznego miejsca. Ale byk nie był posłuszny jej myślom i znowu przystąpił do ataku.

Zobaczyła teraz, jak Ultimato galopuje przed siebie, aby zderzyć się z przeciwnikiem. Lejce zwisały luźno na końskim karku, podczas gdy Miguel pochylił się w siodle, trzymając obydwie ręce wysoko nad głową, w każdej dzierżąc włócznię.

Byk się rozpędził, tocząc swoje cielsko w stronę konia. Wydawało się, że zwierzęta wpadną na siebie, gdy nagle Miguel uniósł się w siodle i wbił włócznię w uniesiony kark byka. Ranne zwierzę upadło na jedno kolano i Patrycja myślała przez chwilę, że całe zlegnie na ziemi. Byk wstał, krew spływała po jego czarnych nogach, wsiąkając w żółty piasek.

Patrycji zbierało się na mdłości. Krzyk tłumu był nie do zniesienia. Czuła się zagubiona w tym obłąkanym miejscu. Nie mogła na to dłużej patrzeć.

Potykaçąc się wybiegła na korytarz. Chciała uchronić swoje nienarodzone dziecko od tego widoku, tej przemocy, tego okrucieństwa.

Nie wiedziała, jak długo tam stała z twarzą przyciśniętą do chłodnej, otynkowanej ściany, pomalowanej na krwistoczerwony kolor. Krzyki na widowni trwały bezustannie. Co ona tutaj robi? Musi opuścić to miejsce, musi wyjechać z Lizbony.

Wypływający z widowni rozentuzjasmowany tłum ograniczył jej swobodę poruszania. Widzowie przepływali obok Patrycji, otaczając ją jak wody rzeki. Bała się, że utonie. Jedyne, co mogła zrobić, to przywrzeć plecami do ściany, ochraniając swój brzuch.

Nagle poczuła, że jakaś silna dłoń chwytła ją za ramię. Odwróciła się i natopkała roześmiane oczy Emilia. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

— Chodź ze mną. Załatwiłem ci specjalną, prywatną audyencję.

— Nie, nie — odpowiedziała. Zaczynało ją ogarniać uczucie paniki. Poczekam na niego z innymi.

Emilio wyglądał na zaskoczonego.

— Ale Miguel nalegał, żebym cię przyprowadził do jego garderoby. Chce się z tobą widzieć sam na sam.

Wziął ją za rękę i zaczął torować sobie łokciem drogę przez hałaśliwą ciżbę. Przecisnąwszy się do bocznych drzwi, poprowadził Patrycję przez wąskie korytarze przypominające labirynt.

— Uważaj — ostrzegł, gdy wspinali się na rusztowanie, po czym zaczęli iść chybotać, jakby kocią ścieżką. Emilio wskazał w dół na falującą, czarną masę: grzbiety zamkniętych w wybiegu byków.

W końcu otworzył kolejne drzwi i nagle stanęli w oślepiającym świetle kamer telewizyjnych i lamp błyskowych fotoaparatów.

Patrycja znajdowała się teraz w obszernej wypełnionej dymem sali bankietowej wśród elegancko ubranych kobiet, które rozmawiały z ożywieniem z dzentelmenami — była to najwyraźniej śmietanka towarzyska Lizbony. Strzelały korki szampanów, dźwięczały kieliszki, głęboki gardłowy śmiech mężczyzn mieszał się z wysokim chichotem kobiet. Wszyscy doskonale się bawili. Dla Patrycji nie było tu miejsca.

Kilka osób poklepało Emilia po plecach, krzycząc coś, czego Patrycja nie rozumiała.

Wymieniwszy pozdrowienia, Emilio znowu pociągnął Patrycję przez tłum zgromadzonych, dopóki nie dotarli do drzwi znajdujących się w

końcu sali. Emilio pchnął je, by się otwarły i praktycznie wepchnął Patrycję do środka, szybko zamykając za nią drzwi.

Przez kilka sekund oczy Patrycji przyzwyczajały się do słabego oświetlonego wnętrza. Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegła, był przewieszony na krześle płaszcz Miguela. Zahipnotyzowana wpatrywała się w czerwone plamy na materiale, tam gdzie chlapnęła krew byka.

— Patrizio — zrobił krok w jej kierunku, ona jednak wciąż stała bez ruchu, opierając się jedną ręką o krzesło, jak gdyby nie mogła się utrzymać na nogach.

Miguel przygotowywał się do tej sceny tysiące razy, ale teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Dziewczyna patrzyła na niego, blada i przerażona. Nie rzuciła mu się w ramiona.

Miguel wpatrywał się niezręcznie w jej twarz. Chciał obsypać ją pocałunkami, ale nie był w stanie uczynić kroku. Jakaś niewidzialna ręka odciągała go do tyłu ostrzegając, by zachował odległość. Dlaczego?

Po chwili zrozumiał dlaczego.

— Powinnam ci pogratulować — odezwała się Patrycja, odwracając oczy.

— P o w i n n a ś !

— Tak — odparła — osiągnąłeś to, czego zawsze pragnąłeś.

— Naprawdę?

— Teraz jesteś pierwszym pogromcą byków w Portugalii.

Nic nie odpowiedział. Jego milczenie wisiało ciężko na tle dochodzącego z zewnątrz gwaru podekscytowanych głosów.

— Nie powinieneś kazać im czekać, Miguelu. Wszyscy bardzo chcą cię zobaczyć. — Patrycja odwróciła się ku drzwiom.

Miguel szybkim krokiem przemierzył pokój i zagroził dziewczynie drogę.

— P o w i n n a ś mi pogratulować, ale nie możesz. Czy nie to właśnie chciałaś powiedzieć?

Spojrzała mu w twarz, jej oczy były pełne łez.

— Patrizio... Znam cię... Kocham cię nad życie — wziął ją w ramiona i nie przestawał mówić gorączkowo, skrywszy twarz w jej włosach. — Wyszedłem na arenę z taką niecierpliwością, żeby móc wreszcie wystąpić dla ciebie, ale gdy tylko wypuścili byka, wiedziałem, o czym myślisz. Było mi go żal.

Ciche łkanie wstrząsnęło jej ciałem i Miguel mocniej przytulił dziewczynę do siebie.

— Cały czas wiedziałem, co się z tobą dzieje. I stało się ze mną coś dziwnego. Nagle spojrzałem na tego byka twoimi oczami i dostrzegłem to, czego do tej pory nigdy nie zauważałem. Zawsze widziałem w byku wściekłość, gdy atakował. Tym razem zobaczyłem w nim strach... To było przerażone zwierzę, atakujące rozpaczliwie, aby się bronić. Ultimato skończył tę walkę, ja nie.

— Och, Miguelu, Miguelu — Patrycja nie mogła znaleźć słów — tak bardzo cię Kocham.

Rozległo się pukanie do drzwi i Emilio wsadził głowę do garderoby.

— No już dobrze, wy dwoje... Dostyc tej miłości. Tłum nie daje spokoju.

— Emilio, sam musisz się tym zająć — odparł stanowczo Miguel — wszyscy mnie już widzieli.

— Co takiego?! Tam czeka tysiące ludzi!

— Wychodzimy tylnym wyjściem.

— Ale kamery! Fotoreporterzy!

— Idziemy stąd.

— Zwariowałeś!

— Tak, Emilio, zwariowałem. Ale zrobię tak, jak mówię.

Emilio potrząsnął głową i westchnął z rezygnacją.

— Nigdy nie należy się spierać z żadnym z Cardigów — po tych słowach głośno zatrzęsnała za sobą drzwi.

Miguel się roześmiał.

— Biedny Emilio. Mam nadzieję, że nie rozerwą go na strzępy.

Patrycja uśmiechnęła się blado.



— Och, Patrizio — Miguel wpatrywał się w jej twarz — bądź dla mnie cierpliwa, daj mi trochę czasu. Bardzo wiele już się od ciebie nauczyłem i nauczę się jeszcze więcej.

Zadrżała w jego ramionach. Miguel podniósł płaszcz, zarzucił go dziewczynie na ramiona i przyciągnął ją mocno do siebie.

Drżącą ręką gładziła jego kręcone włosy, jak matka pieszcząca ukochane dziecko. Obydwoje pozostawali głusi na dochodzący z zewnątrz kakofoniczny dźwięk, jakim obdarzano oświadczenie Emilia.

Stali tak — złączeni w uścisku — otoczeni ciemnym granatem, który połyskiwał złotem gwiazd.

PO SIĘDMIU LATACH

# EPILOG

## Stone Ridge

— Mamo, będę mógł jeździć po przyjeździe ze szkoły ha Ultimacie?

— Nie, Paulo... Znasz przecież zasady: tylko z ojcem.

— A kiedy on wróci? — marudził siedmiolatek.

— Mówiłam ci już sto razy — odpowiedziała cierpliwie Patrycja. — W przyszłym tygodniu.

— Ale mamo, ja...

— Dopóki tata nie wróci, możesz jeździć na kucyku. A teraz nie chcę już o tym więcej słyszeć. Idź na dół i skończ śniadanie. Nie spóźnij się znowu na autobus do szkoły.

Jasnowłosy chłopiec zaczął zbiegać po schodach, wciąż marudząc.

— Nie mogę czekać, aż wróci *pai*.

Patrycja się uśmiechnęła — zawsze miękło jej serce, gdy syn nazywał swego ojca *pai*.

Pewnego razu, gdy Miguel wyjaśnił małemu Paulowi, że nosi imię po swoim słynnym dziadku, chłopiec zapytał:

— Mówiłeś do swojego taty Paulo?

— Nie, synku, mówiłem do niego *pai*. To po portugalsku tata.

Od tego dnia mały Paulo nazywał swojego ojca *pai*.

Patrycja wzięła niebieski wełniany szal, który Miguel przywiózł jej ze swojej ostatniej podróży do Lizbony. Zatrzymała się na zakręcie schodów, za nią podążali Taxi i Phoebe. Jej ulubieńcy poruszali się teraz wolniej i Patrycja musiała odpychać od siebie myśl, że zwierzęta już niedługo ją opuszczą.

Spojrzała na duże wypłowiele miejsce na ścianie, gdzie jeszcze tego ranka wisiał obraz „Ten, który zawiesza gwiazdę”. Na razie go tu nie będzie i zaczynała już prawie żałować swej decyzji, iż wypożyczyła obraz na wystawę lady McFadden w Nowym Jorku.

Początkowo odmówiła jej prośbie. Ale Luba zadzwoniła ponownie, błagając Patrycję o „pożyczenie mojej najlepszej pracy” na kilka tygodni.

Patrycja nie była pewna, dlaczego w końcu wyraziła zgodę, ale po ośmiu latach bardzo chciała znowu zobaczyć kochankę ojca. Postanowiła osobiście dostarczyć obraz do galerii.

Wzięła na ręce Phoebe, której powyginane artretyzmem łapy sprawiały trudność przy schodzeniu ze schodów, i pośpieszyła do kuchni.

Zastała tam Conche, która czekała na Patrycję z kawą i rogalikiem.

— Nie, nie, Concha, jestem już spóźniona.

Ale gospodyni zastąpiła jej drogę, trzymając filizankę.

— Obiecuję, że przegryzę coś później...

— Powiedziałam panu Miguelowi — odparła uparcie Concha.

Patrycja westchnęła.

— Wy dwoje to istna mafia — usiadła przy stole, naprzeciwko małego Paula, który pożerał ciastko.

— Mamusiu — powiedział z pełnymi ustami — będę mógł pojeździć po lesie?

— Nie — odparła stanowczo Patrycja.

— Ale ja lubię jeździć po śniegu.

— Ziemia pod śniegiem jest oblodzona i sam wiesz, że tata...

Paulo zaczął marudzić.

— Och, biedny mały chłopczyk musi jeździć po dużej, ogrzewanej arenie. No cóż, musisz to po prostu przecierpieć.

Patrycja przełknęła ostatni łyk kawy i ucałowała synka.

— Wrócę na czas, żeby z tobą pojeździć. — Idąc do drzwi, zawołała: — Concha, dopilnuj, żeby mały nie spóźnił się na autobus.

Edgar był na zewnątrz. Podjechał samochodem na podjazd i czekał.

— Obraz jest z tyłu, panno Dennison — (Patrycja poprawiała go setki razy, ale on absolutnie nie mógł się przyzwyczaić do nazywania jej panią Cardiga). — Naprawdę porządnie go zapakowałem.

— Dziękuję, Edgarze. Na pewno masz czas, żeby zawieść mnie do miasta? Mogę pojechać sama.

— A mi szef zrobi awanturę... Nie, dziękuję pani. O tej porze roku nie ma zbyt dużo roboty.

Gdy samochód już jechał, Patrycja wpatrywała się w pastwiska, które pokrywał wciąż padający śnieg. Wokół poruszały się wolno konie, a ich grubą, zimową sierść pokrywały lśniące płatki śniegu.

Na drodze nie było dużego ruchu i samochód podjechał przed galerię już około dziesiątej. Patrycja zastanowiła się, czy przypadkiem nie dotarła na miejsce zbyt wcześnie.

— Ja to wezmę — powiedziała do Edgara, który wyjął z samochodu obraz. Przeszła przez pokryty rozmoczonym śniegiem chodnik, który młody człowiek właśnie uprzątał. Pani Smith, kierowniczką galerii, stała w otwartych drzwiach.

— Widziałam, jak pani przyjechała, pani Cardiga — powiedziała kobieta, biorąc nieporęcznie pakunek. — Jak miło, że sama to pani przywiozła!

— No cóż, ten obraz jest dla mnie czymś szczególnym.

— Ale w taką pogodę!

— Lubię śnieg — powiedziała Patrycja, otrzepując buty i strząsając z szala zabłąkane płatki.

— Mamy dla niego odpowiednie miejsce — powiedziała radośnie pani Smith, wskazując jedną ze ścian — Lady McFadden podała dokładne wymiary.

— Tak, rzeczywiście — odezwał się za nimi jakiś głos i zbliżyła się uśmiechnięta Luba. — Nie masz pojęcia, jak doceniam to, że zgodziłaś się wypożyczyć ten obraz na moją wystawę.

— To naprawdę nie sprawiło mi żadnego problemu — odparła Patrycja.

Luba niecierpliwie rozpakowywała obraz.

— Nie widziałam go dziesięć lat.

— Jak długo będzie go pani potrzebować?

Luba nie odpowiedziała. Wpatrywała się w obraz, który wcześniej oparła o ścianę. Patrycja zauważyła, że oczy kobiety błyszczą. Musiała go bardzo kochać.

Nagle Luba uczyniła ruch ręką.

— Chodź ze mną... — to powiedziawszy, wyszła na zaplecze galerii.

Patrycja podążyła za nią, przyglądając się po drodze kolorowym obrazom. Był tam „Satyr” z wystawy galerii przy Mount Street i „Kochankowie z Troi” ze ściany nad kominkiem w londyńskiej rezydencji Luby.

Weszły do salonu umeblowanego wygodnymi fotelami, które ustawiono wokół lśniącego mahoniowego stołu. Tutaj prawdopodobnie bogaci klienci, szącąc szampana, negocjowali ceny.

— Masz ochotę na kawę? — spytała Luba.

— Nie, dziękuję, muszę wrócić do domu, zanim drogi nie zrobią się jeszcze gorsze.

— W takim razie nie będę zabierać ci dużo czasu. Często o tobie myślałam w ciągu ostatnich ośmiu lat i borykałam się z podjętą wówczas decyzją, iż nie pokażę ci listu, który napisał do mnie twój ojciec.

Patrycja wpatrywała się uważnie w twarz Luby, wciąż piękną, o pełnych, zmysłowych wargach, szeroko rozstawionych, olbrzymich ciemnych oczach, nieskazitelnej cerze i zaraźliwym uśmiechu. Miała na sobie stylowy, seledynowy kostium z dopasowaną kolorystycznie luźną bluzką.

— Mój ojciec pisał do pani, nie do mnie... a poza tym nie mam prawa czytać jego listów miłosnych.

Luba dotknęła dłoni Patrycji.

— Zrozumiałam, że powinnaś znać ostatnie myśli twego ojca, to co napisał spiesząc na spotkanie z tobą. — Luba zawahała się, ważąc słowa: — Często widziałam w jego oczach wyraz cierpienia... ukrytą mękę. Nigdy o tym nie mówił, a ja nigdy nie pytałam. — Wyciągnęła z torebki kopertę — jego list opowiada o tym wszystkim.

Patrycję ogarniało uczucie przerażenia.

— Myślę, że napisał do mnie — mówiła dalej Luba — na próbę, notując to, co zamierzał powiedzieć tobie. Ale los zdecydował, że nie miałaś się dowiedzieć — jej głos stał się teraz prawie szeptem. — Pytałam siebie, czy to ja mam być tą osobą, która wyjawia ci sekret pochodzący z czasów na długo przed twoim urodzeniem. Bałam się i uciekałam przed podjęciem decyzji... aż do tej pory.

Patrycja patrzyła z obawą, jak Luba kładzie na stole kopertę.

— Będę na korytarzu, gdybyś mnie potrzebowała.

Gdy została sama, Patrycja wpatrywała się przez chwilę w list. Zza drzwi dochodził ją odgłos młotka, którym ktoś wbijał gwóźdź. Odwróciła głowę w stronę okna — wciąż jeszcze padał śnieg i samochody jeździły w chłapie zalegającej Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę.

Podniosła list. Był gruby. Koperta sprawiała w dotyku wrażenie lekko tłustej, jak gdyby wiele razy była trzymana w dłoniach.

Tyle się wydarzyło od czasu jej ostatniego spotkania z Lubą w Londynie. Wtedy Patrycja bała się życia. Tak bardzo chciała porozmawiać z tatą, aby wlał w nią trochę pewności siebie, tak pragnęła usłyszeć to, co miał jej powiedzieć. Nie mogła się pogodzić z radą doktora Solomona: „pewne drzwi lepiej trzymać zamknięte”.

Ponownie spojrzała na list. Adres, napisany zaokrąglonym pismem ojca, głosił „Panna Luba Johnson”.

Patrycja miała zamęt w głowie. Myślała o małym Paulu, tak nieuważnym na lekcjach, a zapalonym do jazdy konnej. Myślała o Miguelu — nigdy nie lubił jeździć bez niej do Lizbony, zazwyczaj odwiedzali Centro wspólnie. Nie pojechała z nim tym razem, ale Miguel już wkrótce będzie w domu. Mieli tak wspaniałe plany rozbudowania szkoły jeździeckiej na farmie, szkoły, która stała się teraz bardziej znana i większa niż jej macierzysta placówka w Lizbonie.

Bez przerwy obracała list w dłoniach. Jej myśli znowu goniły do przodu. Była dumna z Grupy Stonehama. Pani Sperber, dzielna przywódczyni

spółki, i Howie, żonaty teraz z Joanną, doskonale się spisywali. Okazali Patrycji wiele zaufania, pozwalając jej tworzyć „przedsiębiorstwo prowadzone zgodnie z sumieniem”.

Odłożyła list, po chwili znowu go podniosła. Biedny tatuś. Tak, czasami, gdy była jeszcze dzieckiem, również chwytła w jego oczach błyski cierpienia, ale wolała pamiętać te szczęśliwe spojrzenia, gdy czytał jej przed zaśnięciem. *Skowronek na gałęzi... Zbocze wzgórze operlone rosą...* Popatrzyła w okno. Śnieg wciąż delikatnie opadał na ziemię, pojedyncze płatki przylegały do szyby i pozostawały tam jeszcze przez chwilę, dopóki nie zmieniły się w krople wody. „Bóg w niebiosach... Wszystko w zgodzie jest ze światem”.

Pragnęła, aby te wspomnienia pozostały żywe; te drzwi chciała zawsze mieć otwarte. Odłożyła gruby list na mahoniowy blat stołu. Te drzwi pozostaną zamknięte. Szybko wyszła z pokoju.

Wróciwszy do sali wystawowej, zatrzymała się przed obrazem „Ten, który zawiesza gwiazdę”, wyeksponowanym teraz na ścianie galerii. „Tatusiu — pomyślała — nie odwracaj się. Nie chcę widzieć w twoich oczach cierpienia. Po prostu zawieszaj na niebie gwiazdy”.

— O, pani Cardiga — zawołała kierowniczką galerii — już pani wychodzi?

— Tak, syn czeka na mnie na farmie... Proszę podziękować ode mnie lady McFadden... za wszystko.

Wsiadła do samochodu, zanim Edgar zdążył otworzyć drzwi.

— Wracajmy do domu, Edgarze.

Czując chłód, owinęła się szalem. Serce waliło jej gwałtownie, ale uspokoiła się, gdy wyjechali z miasta. Łańcuchy opon uderzały rytmicznie o oblodzoną powierzchnię jezdnii, gdy samochód podążał na północ.

„Tak, doktorze Solomon — pomyślała — zamknęłam drzwi za wszystkimi ciemnymi sekretami. Teraz nastala pora wyłącznie na radosne tajemnice”. Uśmiech przebiegł po jej twarzy, gdy oparła się wygodniej i



położyła złożone ręce na brzuchu. Już wyobrażała sobie wyraz twarzy Miguela kiedy oznajmi mu, że wkrótce Paulo będzie miał brać siostrzyczkę, albo jedno i drugie.

Gdy samochód podjeżdżał ku domowi, na jej ustach wciąż igrał uśmiech.

\*\*\*\*\*

Nota wydawcy: O tajemnicy, której ojciec Patrycji Dennison nigdy nie wyjawiał córce opowiada pierwsza powieść Kirka Douglasa „Taniec z diabłem”.